

— MICHAEL J. —
SULLIVAN

ZNIKNIĘCIE
CÓRKI WINTERA



Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Od autora

Rozdział 1. We własnym interesie

Rozdział 2. Powrót Virgila Pucka

Rozdział 3. Król Whisky

Rozdział 4. Rochelle

Rozdział 5. Mercator

Rozdział 6. Przy jagnięcinie i piwie

Rozdział 7. Śniadanie

Rozdział 8. Opowieść o dwóch żołnierzach

Rozdział 9. Kobieta, która jadła złoto

Rozdział 10. A Venlin stoi

Rozdział 11. Małe Gur Em

Rozdział 12. Jednorożce i rzucik w groszki

Rozdział 13. Grom Galimus

Rozdział 14. Stangret

Rozdział 15. Polowanie na ptaszka

Rozdział 16. Przymykanie oczu

Rozdział 17. Wiec

Rozdział 18. Demon

Rozdział 19. Żywy dowód

Rozdział 20. Szemrane sprawki

Rozdział 21. Książę

Rozdział 22. Poranek nazajutrz

Rozdział 23. Modlitwa do Novrona

Rozdział 24. Opętany

Rozdział 25. Klucze i monety

Rozdział 26. Targi

Rozdział 27. Święto Wiosny

Rozdział 28. Zabawa w chowanego

Rozdział 29. Córka Wintera

Posłowie

Podziękowania

Michael J. Sullivan

ZNIKNIĘCIE CÓRKI
WINTERA

Tom czwarty
Kronik Riyrii

Przełożyła Małgorzata Strzelec

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2019

Tytuł oryginału: *The Disappearance of Winter's Daughter*

Copyright © 2017 by Michael J. Sullivan
Copyright for the Polish translation © 2019 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja
Korekta: Magdalena Górnicka
Ilustracja na okładce: Dominik Broniek
Opracowanie graficzne okładki: Dark Crayon
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Wydawca: Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 228 134 743
www.mag.com.pl

Wydanie II

ISBN 978-83-66409-78-1
Warszawa 2019

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej:
pan@drewnianyrower.com

*Royce'owi i Hadrianowi
– dwóm złodziejom,
którzy skradli serca i spełnili marzenia.*

Od autora

Może wydać się dziwne to, że dedykuję książkę fikcyjnym postaciom, zwłaszcza stworzonym przez siebie, ale ta para zaczęła żyć własnym życiem i ostatnimi czasy tylko słucham ich rozmów i podążam tropem ich przygód. Oglądanie tej pary to spełnienie marzeń, o którym kiedyś myślałem, że leży poza moim zasięgiem. Żebyście zrozumieli, dlaczego tak czułem, pozwólcie, że przedstawię Wam pokrótce (tak, Robin, obiecuję, że będę się streszczał) swoją historię.

W roku 2004, kiedy napisałem pierwszą książkę o Riyrii, „Królewską krew”, nigdy nie myślałem, że znajdę się tu, gdzie jestem teraz. Książka, którą skończyłem bezpośrednio wcześniej – „A Burden to the Earth” – powstała w roku 1994, dekadę wcześniej. Nie czytaliście jej. Mogę zliczyć na palcach jednej ręki ludzi, którzy ją przeczytali. To była kropla, która przepełniła czarę goryczy. Widzicie, od roku 1975 do 1994 napisałem trzynaście powieści i cztery opowiadania, ale cała ta praca donikąd mnie nie doprowadziła.

Pierwsze osiem książek nie było przeznaczonych do publikacji. To były wprawki, na których uczyłem się pisać. Po dziesięciu latach nauki następne osiem poświęciłem pisaniu pięciu książek i gonieniu w piętę podczas szukania wydawcy. Nie zaowocowało to ani jedną propozycją publikacji; zebrałem jedynie kolekcję łamiących serce odmów, co najwyraźniej jest czymś, przez co musi przejść prawie każdy pisarz.

Osiemnaście lat to długi czas na życie złudzeniami, więc wreszcie dotarło do mnie, że nigdy nie zostanę pisarzem. Dlatego zrobiłem jedyną rozsądną rzecz w tych okolicznościach – rzuciłem pisanie. Sensowna reakcja, zważywszy, co powiedział Albert Einstein: „Szaleństwem jest robić wciąż to samo i oczekiwać różnych rezultatów”.

Powinienem zauważyć, że przez cały ten czas moja żona Robin była świętą najwyższego kalibru. Nigdy nie musiałem łączyć pisania z pracą zawodową, była gotowa w pojedynkę nas utrzymywać i ani razu nie poprosiła, żebym „rzucił te idiotyzmy i znalazł sobie prawdziwą pracę”. Wiedziała, że pisanie to moja radość i pasja, i to jej wystarczało.

Zatem, jak już wspomniałem, w końcu zmądrzałem i z dramatycznym gestem porzuciłem pisanie. Widziałem siebie jako Scarlett O’Harę z „Przeminęło z wiatrem”, tyle że ja oświadczyłem: „Nigdy więcej nie będę pisał powieści!”. Nie wyobrażałem sobie, żeby cokolwiek sprawiło, że złamię tę przysięgę, co z kolei doprowadza mnie do Royce’a i Hadriana.

Podczas dziesięcioletniej przerwy zdołałem powstrzymać się przed pisaniem, ale nie potrafiłem uciszyć głosów w swojej głowie, zwłaszcza duetu znanego jako Riyria (co znaczy „dwóch” po elficku). Słuchałem ich przez dziesięć lat, więc bardzo się do siebie zbliżyliśmy. Można uznać, że miałem kłopot w odróżnieniu tego, gdzie ja się kończyłem, a zaczynali oni. Jak wiecie, w końcu ustąpiłem i powstał cykl o Riyrii. „Zniknięcie córki Wintera” to dziesiąta książka z tą parą. Nie miałem pojęcia, że tyle książek powstanie z szeptów tych dwóch postaci, i nigdy nie marzyłem, że ich świat wyda z siebie jeszcze sześć innych powieści (które obecnie wychodzą jako cykle „Legends of the First Empire”). I to jeszcze nie koniec. Tworzę teraz nowy cykl (kryptonim „Bridge Trilogy”), który rozgrywa się w czasach pomiędzy opowieściami o Riyrii a „Legends of the First Empire”. Przedstawiają one wydarzenia, które przyspieszyły upadek imperium Novrona.

Wszystkie te książki pozwoliły mi odpłacić się Robin za jej podarunek, dzięki czemu w roku 2011 porzuciła etat. Chociaż nadal pracuje niezwykle ciężko (z czego korzystamy ja i czytelnicy), to przynajmniej sama układa sobie harmonogram zajęć, nie musi ubierać się stosownie do wymogów pracy, a najdłuższe „dojazdy do pracy” wynoszą tyle, ile wynosi odległość z sypialni na werandę, gdzie rankami czyta, patrząc, jak słońce wynurza się zza gór wokół doliny Shenandoah.

Dlatego owszem, zadedykowałem tę książkę Royce’owi

i Hadrianowi, za ich nieustanne szepty w czasie tej okropnej dekady, kiedy pisanie nie stanowiło części mojego życia, i za to, że zostali przy mnie, kiedy powróciłem do klawiatury. Za każdym razem, kiedy siadam, żeby o nich pisać, czuję się tak, jakbym witał się ponownie ze starymi przyjaciółmi. Podobnie było przy pracy nad „Zniknięciem córki Wintera”. Jeśli czytanie jej sprawi wam choć połowę frajdy, jaką dało mi jej pisanie, to powinniście się wyśmienicie bawić.

A skoro już tę kwestię załatwiliśmy, to mam parę spraw porządkowych do załatwienia, zanim przejdę do samej opowieści. Po pierwsze, jeśli nie zetknęliście się jeszcze z historiami o Riyrii, to z pewnością możecie zacząć od tej książki. Wiem, to brzmi dziwnie, skoro to czwarta część „Kronik Riyrii” i dziesiąta książka o Riyrii w ogóle, więc pozwólcie, że wyjaśnię. Zastosowałem tę samą technikę, co przy „Śmierci Dulgath”, która została pomyślana tak, by mogła być samodzielną powieścią. Otrzymałem odzew od setek ludzi, którzy przeczytali tylko tę część i potwierdzili, że nie jest potrzebna znajomość poprzednich tomów. Ponadto wysłałem „Zniknięcie córki Wintera” do innej grupy (z której nikt nie czytał moich poprzednich powieści) i wszyscy potwierdzili, że nieznanostwo Riyrii nie stanowi żadnego kłopotu.

Po drugie, w ostatnich książkach prosiłem czytelników, żeby pisali do mnie, jeśli mają ochotę. Cieszę się, widząc, że tak wiele osób skorzystało z tej propozycji. Wiele z nich nigdy wcześniej nie pisało do pisarza. Ich listy zaczynają się od słów „Nie chcę zawracać głowy, ale...”. Zapewniam Was, że listy od czytelników nigdy nie są uciążliwością. Pisanie to nagroda sama w sobie, ale świadomość, że moja bazgranina przynosi innym radość, zamienia coś dobrego w coś jeszcze lepszego. Dlatego proszę, piszcie. Mój adres to: michael@michaelsullivan-author.com.

Po trzecie, jestem do zgonnie wdzięczny Wam, Czytelnicy, bo bez Was moje marzenie o byciu pisarzem nigdy nie spełniłoby się do końca. Tak, nadal pisałbym (więcej tego nie rzucę), ale Wasza szczodrość sprawia, że oboje z Robin nie musimy „normalnie pracować”, a to znaczy, że mamy więcej czasu, żeby tworzyć historie dla Was – najprawdziwszy przykład synergizmu. Dlatego

w podsumowaniu pragnę powiedzieć Wam: „Dziękuję, dziękuję, dziękuję”. Poważnie traktuję Wasze zaufanie i zawsze będę robił wszystko, co w mojej mocy, żeby tworzyć jak najlepsze książki. Mam nadzieję, że okażą się warte Waszego czasu.

A teraz przewróćcie stronę, puknijcie w ekranik albo pogłośnijcie odtwarzacz. Nowe przygody czekają i cieszę się, że będziecie nam towarzyszyć.

Michael J. Sullivan

październik 2017

Rozdział 1

We własnym interesie

Devon De Luda nie po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy Genevieve Hargrave, księżna Rochelle, jest zdrowa na umyśle.

– Stać! Stać! – krzyczała, waląc pięścią w dach powozu.

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie i rozkazała:

– Każ mu się zatrzymać! – A potem wystawiła głowę przez okno i wrzasnęła na woźnicę: – Zatrzymaj te chabety, na miłość Maribora! Natychmiast!

Stangret musiał uznać, że stało się coś naglącego, bo zahamował tak gwałtownie, że Devon poleciał na ławeczkę naprzeciwko. Kiedy tylko koła się zatrzymały, a nawet odrobinę wcześniej, księżna rzuciła się do drzwi i wybiegła, podkasując suknię i stukając obcasami.

Porzucony i osłupiały Devon złapał się za stłuczone kolano. Jego obowiązki jako podskarbiego księstwa Rochelle zwykle wiązały się z monetami i banknotami. Nie cieszyło go nowe zadanie, jakim była opieka nad impulsywnym tornadem, wolał uporządkowane i przewidywalne życie. Jednak nic w mieście nie toczyło się swoim zwykłym trybem od przybycia nowej księżnej.

Możliwe, że jest przynajmniej odrobinę szalona, pomyślał. To wyjaśniałoby bardzo wiele rzeczy.

Devon zastanawiał się, czy nie poczekać po prostu w powozie, ale gdyby coś stało się księżnej, wina spadłaby na niego. Westchnął z rezygnacją i wysiadł za nią z powozu.

Zmierzch zapadł wcześniej, wiosenne dni nadal były krótkie. Tak jak

dobrobytowi, porze odrodzenia nie śpieszyło się z nadejściem do Alburnu. Przestało padać, ale znad morza nadeszła wieczorna mgła, przez co nic nie zdołało wyschnąć. Bruk lśnił w świetle latarni ulicznych, świat poza powozem pachniał drewnem, dymem i rybami. Nieliczne kałuże stworzyły tor przeszkód dla nowych butów Devona. Kiedy kluczył między nimi, przytrzymał ciaśniej kołnierz płaszcza przy szyi. W powozie nie było szczególnie ciepło, ale wieczorne powietrze okazało się przejmująco zimne. Znajdowali się w Alei Winnej, po obu stronach wznosiły się szacowne dwupiętrowe domy kupieckie. Przy krawężnikach stały dziesiątki wozów, z których emigranci sprzedawali najróżniejsze towary. Na sąsiadujących ze sobą wozach handlowano kolorowymi szalikami, haftowanymi siodłami i świeżo pieczoną wieprzowiną. Jak zawsze wśród kupujących kręciło się szemrane towarzystwo – nielicznych było stać na coś więcej niż przyglądanie się szalikom lub wąchanie wieprzowiny.

Księżna potruchtala wzdłuż szeregu kupców. Przepchnęła się przez tłum; większość ludzi przystawała i gapiła się ze zdumieniem na korpulentną damę w atłasach i perłach, która, dysząc, sunęła ulicą i stukała obcasami równie głośno jak koń podkowami.

– Wasza Książęca Mość! – De Luda pognał za nią. – Dokąd pani idzie?

Księżna nie zatrzymała się ani nawet nie zwolniła, dopóki nie dotarła do rozchwierutanego wozu z wieszakiem z ubraniami. Tam przystanęła zadyszana i spojrzała na wystawę.

– Idealna! – Księżna klasnęła w dłonie. – Ta kamizelka z atłasowym przodem i kwiecistym wzorem. Widzisz? Zupełnie nie w moim guście, sam pan rozumie, ale Leo będzie zachwycony. Wzór jest taki śmiały i żywy. I jest niebieska! Dokładnie tego potrzebuje na Święto Wiosny. W niej bez wątpienia zostanie zauważony. Każdy, kto włożyłby taką kamizelkę, musiałby wyróżnić się w tłumie.

Devon nie miał pojęcia, do kogo księżna mówi. Możliwe, że ona także nie wiedziała. W przypadku księżnej to rzadko miało znaczenie. Chociaż Devon spędzał z Jej Wysokością więcej czasu niż inni, nie widywał jej często. Księżna zwracała się do niego tylko wtedy, gdy

potrzebowała porady w kwestiach skarbu księstwa, a takie okazje przydarzyły się raptem kilka razy. Chociaż ostatnio, odkąd zaangażowała się w nowe przedsięwzięcie, zdarzało się to znacznie częściej. Mimo to kilkanaście spotkań, kilka przejażdżek powozem i jedna rozmowa, może dwie, nie sprawiły, że poznał księżną, nie mówiąc już o jej zrozumieniu. Devon wątpił, czy nawet książe rozumiał poczynania swojej nowej żony.

– Halo! Ej, ty tam! – krzyknęła do ciemnoskórego kupca z Calisu o rozbieganych oczach krętacza. Jeśli chodzi o Devona, oni wszyscy byli tacy sami. Calijczycy to pokrętne dzikusy i choć ubierają się jak cywilizowani ludzie, to nikogo tym nie zwiodą. – Halo! Ile za tę kamizelkę? Tę niebieską na wieszaku, tę z błyszczącymi mosiężnymi guzikami?

Mężczyzna uśmiechnął się lubieżnie.

– Dla pani, moja dobrodziejo, jedynie dwa złote tenenty. – Mówił z silnym, niebudzącym zaufania dalekowschodnim akcentem, dokładnie tak, jak Devon się spodziewał. To był głos wcielonego Oszustwa.

– To oburzające! – De Luda wzdrygnął się, stając za księżną.

Na tym polegał kłopot z handlarzami z wozów: oszukiwali niewinnych i niedoświadczonych. Mówili tak, jakby oferowali niewiarygodną, jedyną w życiu okazję, ale potem oszukany klient odkrywał, że brylant to tylko kwarc, a wino to ocet.

– Dam ci siedem srebrnych tenentów – odpowiedziała księżna. – Devonie, daj temu człowiekowi siedem srebrnych tenentów i...

Kupiec zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Za siedem srebrników znajdę dla pani ładną chusteczkę do nosa. A z tą kamizelką mogę rozstać się za złotego tenenta i osiem srebrnych.

– Wasza Księżęca Mość, nie wypada, żeby księżna Rochelle targowała się na ulicy z... – De Luda spojrział chmurnie na caliskiego kupca, czekającego na obelgę, która jednak nie padła.

Zwykle De Luda nie był nieśmiały, ale w ciągu ostatnich trzech miesięcy odkrył, że księżna nie lubi, kiedy obraża się ludzi w jej obecności, bez względu na to, jak bardzo zasłużyli sobie na przyganę.

– Nic mnie to nie obchodzi. Leo tak się ucieszy. Och, już nie mogę się doczekać, kiedy zobaczy tę kamizelkę! Nie uważasz, że będzie wyglądał cudownie? – Kiedy kupiec zdjął kamizelkę z wieszaka, księżna spostrzegła jaskrawożółty płaszcz, który skrywał się dalej. – Dobry Mariborze! Spójrz na ten płaszcz! Jest jeszcze bardziej boski!

Złapała Devona za rękę i potrząsnęła nią gwałtownie, nie posiadając się z radości. Nie pierwszy raz wpadł w jej rękę, ale wiedział, że solidne potrząśnięcie jest lepsze od objęć. Księżna była znana ze swoich uścisków. Rozdawała je tak hojnie i tak gwałtownie, nawet służbie, że wiele osób uciekało jej z drogi, gdy dostrzegło ją w korytarzu Posiadłości.

– Muszę mieć obie te rzeczy. Zbliżają się urodziny Leo, a w tym płaszczu znowu poczuje się młody. Kończy czterdziestkę, sam rozumiesz, a nikt nie lubi przekraczać tego progu. Prawie popłakałam się tego ranka, kiedy kończyłam trzydziestkę. Czas dopada nas cichaczem, prawda? Wyskakuje na nas jak niedobry kot z cienia, kiedy się tego najmniej spodziewamy. Trzydziestka to rów w porównaniu z przepaścią, jaką jest czterdziestka. Ale przecież nie muszę ci tego mówić, prawda? Leo potrzebuje tej kamizelki i będzie zachwycony tym płaszczem. To nie są szaty nudnego, nic nieznaczącego czterdziestoletniego księcia, ale strój młodego i przystojnego człowieka, którego czas dopiero się zaczyna. – Księżna spiorunowała kupca wzrokiem. – Za obie rzeczy, i płaszcz, i kamizelkę, jeden złoty tenent i żadnych srebrników.

Kupiec rozłożył kamizelkę na ladzie przed nimi i pokręcił głową.

– Moja droga pani, to importowany jedwab ze wschodniego Calisu, nadzwyczajna robota. Ten materiał miesiącami jechał przez pełne panter i kobr straszliwe dżungle Gur Em. – Jego słowom towarzyszyły gesty, jakby to było przedstawienie dla dzieci; zapędził się tak bardzo, że wygiął palce jak pazury, gdy wspomniał pantery. – Wielu ludzi zginęło, żeby dostarczyć tutaj tę rzadko spotykaną i piękną tkaninę. Tylko najlepszym szwaczkom pozwala się przy niej pracować, bo niewłaściwe cięcie mogłoby zakończyć się straszliwą stratą. Pani, oczywiście, potrafi docenić umiejętności konieczne do stworzenia takiego arcydzieła, więc rozstanę się z nim za jednego złotego i sześć

srebrnych tenentów oraz dwa złocisze dodatkowo za płaszcz.

Księżna przesunęła pulchną dłonią po mieniącym się materiale.

– Wątpię, ale ten wtwór na temat szwaczek robi wrażenie. – Posłała mu przyjazny uśmiech, jedyny rodzaj uśmiechu, jaki opanowała. – To zwykły jedwab pozyskiwany przez Vintu na caliskich nizinach na południowym wybrzeżu Morza Ghazel. Można go dostać w licznych tanich sklepikach w Dagestanie po pięć srebrnych dinów za jard. Czasem, zwłaszcza wiosną, można kupić belę za cztery z drobnymi. Tę kamizelkę uszyto z partii, którą najprawdopodobniej importowała Vandońska Kompania Korzenna, płacąc hurtową cenę trzech srebrników za jard. Tkanina płynęła tu krócej niż dwa tygodnie razem z innymi towarami. Pewnie, że Kompania lubi narzucać niebotyczną marżę i ten fakt niewątpliwie wpłynął na cenę, ale proszę mi tu nie mówić o panterach, kobrach i umierających ludziach.

Devon oniemiał. Nowa żona księcia Leopolda, która upierała się, żeby mówić do niej Genny, zamiast bardziej oficjalnie Genevieve, nieustannie zaskakiwała. Większość tych niespodzianek była niepokojąca i w niemałym stopniu żenująca. Jednak wiedza księżnej na temat handlu była niewątpliwie rozległa.

To nie zbiło z tropu caliskiego kupca. Zmarszczył czoło, rozłożył ręce i pokręcił głową.

– Jestem tylko biednym kupcem. Taka wielka pani nawet nie zauważy utraty paru nędznych monet. Dla mnie jednak taka transakcja może oznaczać, że będę miał tygodniami za co wykarmić żonę i moje biedne dzieci.

Po tych słowach Devon był przekonany, że kupiec wygrał. Dobrze odczytał księżnę i właściwie określił słaby punkt w jej obronach.

Genny zrobiła krok w stronę handlarza, pochyliła głowę, żeby spojrzeć mu prosto w oczy, a jej zawsze obecny uśmiech stał się bardziej drwiący.

– Tu nie chodzi o pieniądze – powiedziała z błyskiem w oku. – Oboje to wiemy. Próbujesz mnie oszukać, a ja próbuję coś stargować. To gra, którą oboje kochamy. Nikt nie przekona cię, żebyś sprzedał za mniej niż minimalny zysk, i nie możesz zmusić mnie, żebym zapłaciła więcej, niż jestem skłonna. W tych zawodach jesteśmy sobie równi.

Nawet nie masz rodziny, co? Gdybyś miał rodzinę, pomagałaby ci tutaj przy...

Coś wywołało poruszenie w tłumie. Mały chłopiec, chudy i brudny, śmignął wśród tłoczących się klientów. Przyciskał bochenek chleba do piersi i zręcznie przemykał przez las nóg. Okrzyk zaalarmował straż miejską i dwóch żołnierzy złapało dzieciaka, kiedy chciał przeczołgać się przez połamaną kratę ściekową. Podnieśli go, a maluch wymachiwał nogami i próbował kopać, stopy miał czarne jak smoła. Miał nie więcej niż dwanaście lat i walczył jak dziki kot – miotał się, szarpał się i gryzł. Strażnicy tłukli go, aż padł nieruchomo na bruk i tylko cicho szlochał.

– Przestańcie! – Księżna podbiegła do nich z uniesionymi rękami.

Była dużą kobietą w ogromnej sukni, więc trudno było jej nie dostrzec nawet w tłocznej Alei Winnej.

– Zostawcie to dziecko! Co wy sobie myślicie? W ogóle nie myślicie, co? Pewnie! Oczywiście! Nie bije się głodnego dziecka. Co z wami nie tak? Wytłumaczcie mi!

– To złodziej – powiedział jeden z żołnierzy, podczas gdy drugi wyciągnął rzemień i założył pętlę na lewy nadgarstek chłopca. – Straci za to rękę.

– Puście go! – krzyknęła księżna, łapiąc dziecko i wrywając je z pętli żołnierza. – Nie mogę uwierzyć własnym oczom. Devon, widzisz to? Widzisz, co tu się dzieje? To oburzające! Bicie i okaleczanie dzieci tylko dlatego, że są głodne?

– Tak, Wasza Książęca Mość – odpowiedział Devon – prawo mówi... Prawo ustanowione przez twojego męża mówi, że złodziej ma stracić lewą rękę za pierwszą kradzież, prawą za drugą i głowę za trzecią.

Księżna patrzyła na niego z wyrazem twarzy, który można było opisać jedynie jako osłupiały.

– Mówisz poważnie? Leo nigdy nie byłby tak okrutny. To prawo na pewno nie dotyczy dzieci.

– Obawiam się, że przeciwnie. Nie ma wyjątków. Ci ludzie wykonują jedynie swoją pracę. Naprawdę nie powinna im pani w tym przeszkadzać.

Chłopiec schował się za jej suknią.

Strażnicy wyciągnęli ręce i znowu go złapali.

– Chwileczkę! – Księżna ich powstrzymała, kiedy dostrzegła mężczyznę w oprószonym mąką fartuchu. – To twój chleb?

Piekarz skinął głową.

– Zapłać mu, Devon.

– Słucham? – Devon się zawahał.

Położyła rękę na biodrze i zacisnęła usta. Chociaż Devon rzadko z nią współpracował, nauczył się już, co to znaczy – „Słyszałeś, co mówię!”.

Westchnął, podszedł do piekarza i otworzył sakiewkę.

– To nie zmienia faktu, że chłopak złamał prawo.

Księżna wyprostowała się na całą długość – nawet gdyby była mężczyzną, byłaby to długość znacząca, a w przypadku kobiety wydawała się wręcz zdumiewająca.

– Poprosiłam tego chłopca, żeby przyniósł mi bochenek chleba. Najwyraźniej zgubił pieniądze, które mu dałam, a ponieważ nie chciał zaniedbać obowiązków, zrobił to, co mógł. Ja tylko zwracam pieniądze, które zapodział. Ponieważ działał na moją prośbę, jeśli masz jakieś zastrzeżenia, to jedynie do mnie, nie do niego. Możesz przedstawić swoją skargę księciu. Jestem pewna, że mój drogi mąż zrobi to, co należy.

Piekarz patrzył na nią przez chwilę. Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale instynkt samozachowawczy pomógł mu powściągnąć język.

Rozejrzała się po pozostałych.

– Ktoś jeszcze? – Spiorunowała wzrokiem strażników. – Nie? W takim razie znakomicie.

Żołnierze się skrzywili, a potem się odwrócili. Kiedy Devon płacił piekarzowi, usłyszał, jak jeden z nich mruknął:

– Bimbrowniczka.

Słowo wypowiedziano cicho, ale nie dość cicho. Żołnierz chciał, żeby księżna go usłyszała.

* * *

Powóz znowu ruszył, a księżna zgarbiła się na siedzeniu. Ponieważ była dużą kobietą, a w powozie nie było dużo miejsca, tyle wystarczyło, żeby przycisnęła kolana do ławki naprzeciwko.

– To tylko dziecko. Czy oni tego nie widzą? Oczywiście, że widzą, ale co ich to obchodzi? Brutale, oto kim są. Obciąliby mu rękę, odrąbaliby ją na miejscu, pewnie na stołku kupca bławatnego. Do takiego barbarzyństwa dopuszcza się w tym mieście? Okalecza się dzieci, które umierają z głodu? Nie tak należy władać księstwem i Leo na pewno nie zdaje sobie sprawy z tego, jak niewłaściwie stosuje się jego prawa. Porozmawiam z nim, a on poprawi prawo. Przestaje dziwić, że Rochelle jest tak słabe ekonomicznie, kiedy widzi się taką głupotę. Takie kary rodzą jedynie sprzeciw w społeczeństwie. Czy chłopiec stanie się lepszym obywatelem z jedną ręką?

– To nie chłopiec – odpowiedział Devon, kołysząc się obok niej w jadącym powozie w rytm tętentu końskich kopyt.

– Co masz na myśli?

– Złodziej nie był chłopcem. Chciałem powiedzieć, nie był człowiekiem. To mir. Nie zauważyła pani szpiczastych uszu? Pewnie należy do jakiejś przestępczej organizacji. Tak działają, jak kolonia szczurów, które wloką swoje łupy z powrotem do gniazda.

– Mamy mirów też w Colnorze, Devonie. Pochodzenie chłopca niczego nie zmienia. Nadal jest nędzarzem, głodnym dzieckiem. To proste.

– Proste, powiada pani? – Devon starał się zapanować nad językiem, tak jak wcześniej piekarz.

Wolałyby wprost powiedzieć, że to ona zachowała się niemądrze, nie rozumiejąc prostych rzeczy, ale wtedy za daleko by się zapędził. Księżna często załaziła mu za skórę i w efekcie za dużo mówił. Na szczęście uchodziły mu słowa, które większość ludzi o jej pozycji uznałaby za przejaw braku szacunku. Przy kimś innym już dawno straciłby język i Devon zdawał sobie sprawę, świadom ironii sytuacji, że ta sama postawa, która uratowała małego mira, działała także na jego korzyść.

– Nie żyła pani wśród nas dostatecznie długo, Wasza Książęca Mość. Nie rozumie pani Rochelle. Jak się tu mają sprawy. To nie Colnora. Tu

nic nie jest proste. Mamy kłopoty typowe dla każdego dużego miasta, ale żyjemy tu ciasno upchani. To dom dla czterech odrębnych i różnych od siebie ras.

– Calijczycy nie są odrębną rasą, mają tylko inną narodowość.

– Niemniej Rochelle jest jedyne w swoim rodzaju ze względu na różnorodność, a do tego dochodzą jeszcze sztywne tradycje z minionych czasów. To miasto pogardza zmianami, jakie zaszły w ciągu stuleci. Jesteśmy jeziorem z warstwami osadów. Na dnie znajdują się mirowie i wylądowali tam nie bez powodu.

– Nie pochwalasz tego, że stanęłam w obronie dziecka?

– To był mir.

Zmarszczyła brwi.

– Pewnie myślisz też, że nie powinnam była dorzucać do tego wieprzowiny i sera, co? Wolałbyś, żebym odesłała go, poklepawszy po plecach i pomachałszy mu na pożegnanie? A jeszcze lepiej byłoby, gdybym po prostu pozwoliła, żeby go okaleczono, co? Uważasz, że skoro mirowie są niemili oku i niewyrafinowani... ponieważ nie pasują do reszty... to należy ich unikać? O to ci chodzi?

Księżna nie mówiła już o dziecku i Devon nie zamierzał wpakować się w pułapkę.

– Myślę, że powinna była pani kupić tę okropną kamizelkę i podarować mężowi.

Księżna skrzyżowała ręce na imponującej piersi i prychnęła.

– Dlaczego? Dlaczego uratowanie dziecka jest aż tak złe?

Devon pokręcił głową.

– Mirowie nie są tacy jak my, moja pani, tak samo jak krasnoludy albo Calijczycy. To dzieła innych bogów, pomniejszych bogów i nie należy im oferować przywilejów, jakimi cieszą się wybrańcy Maribora i jego syna Novrona.

– Mylisz się. Są przyszłością tego miasta! – oznajmiła z przekonaniem. – Gdyby złota pszenica rosła dziko na twojej farmie, to zadbałbyś o nią w nadziei na zyski. Tak każe zdrowy rozsądek. Kiedy człowiek jest tak zdesperowany jak my, musi korzystać ze wszystkich atutów... nie tylko z tych ładnych. – Skrzywiła się tak, że wydawało się, iż jej pulchne policzki napierają na usta. – Dlatego

domyślałam się, że nie pochwalasz także tego, co właśnie powiedziałam gildii kupieckiej. Trochę za późno, żeby teraz dzielić się swoim zdaniem, Devon. Masz ochotę skomentować też moje małżeństwo z Leo? Minęły dopiero trzy miesiące. Może jeszcze skłonisz go do zmiany zdania i Leo poprosi biskupa o anulowanie.

De Luda westchnął i potarł skronie.

– Po prostu próbuję wykazać, że jesteś niedoświadczona i naiwna.

– Niedoświadczona? Naiwna? – Księżna zaśmiała się serdecznie. – Dobijałam targu na pirackim statku podczas sztormu, popijając whisky. W Colnorze miałam sąsiada, który był jednym z najbardziej znanych złodziei świata. Krążyły o nim opowieści, że zrzucał konkurentów z Bursztynowego Wodospadu podczas letnich pikników. Jest jednak także doskonałym klientem, a ludzie, których zaprasza, nie są niewiniątkami, więc przymykałam oko na jego wykroczenia. A jeśli chodzi o naiwność, to czy wyglądam na młodą panienkę o różanych policzkach? – Poczekała, ale De Luda milczał. – Oczywiście, że nie. Jestem jałówką, za starą, żeby ją doić, i za twardą na ubój. Myślisz, że zdobyłam obecną pozycję dzięki ślepotcie? Nie jestem ładna, nie mam wytwornych manier, zdecydowanie nie należę do wyższych sfer, jak to mawiają ludzie. Jestem Bimbrowniczką. Tak nazwał mnie ten żołnierz, prawda? Wszyscy tak mnie nazywają, zgadza się? Wiem, co sobie myślą. Zdaję sobie sprawę z szeptów na temat powodów, dla których Leo mnie wybrał. Cóż, słyszałam gorsze rzeczy, możesz mi wierzyć. Jestem kobietą. My zawsze mamy za sobą gorsze rzeczy. Tutejsi eleganci w wykrochmalonych koszulach i obcisłych rajtuzach to puch marny w porównaniu z tym, z czym miewałam do czynienia.

Devon wziął jeden głęboki wdech, potem drugi.

– Miałem tylko na myśli pani naiwność w podejściu do tradycji panujących w Alburnie, a w szczególności w Rochelle. To skomplikowane i niebezpieczne miasto. Pani Colnora to wolna i otwarta metropolia, gdzie kupcy obnoszą się ze swoją niezależnością. Rochelle jest stare, przeludnione i zdławione przez tradycję i biurokrację. To miasto pełne ukrytych miejsc i mrocznych sekretów. Zbyt wielu sekretów. I nie wybacza błędów. My nadal wierzymy w tradycyjne sposoby i potwory ze starożytnego świata. Ujrzawszy

pani zainteresowanie niebieską kamizelką, domyśliłem się, że słyszała pani o naszym morderczym duchu.

– W moim mieście też nie brakuje strachów. Osobiście przeżyłam całe lato w mieście sterroryzowanym przez makabryczne morderstwa, których ofiarami padali zarówno biedni, jak i bogaci.

– Mordercą był człowiek?

– A któż by inny?

Devon skinął głową.

– W wielu miejscach przesady to tylko wyraz nawyków. W Colnorze na przykład, kiedy ktoś rzuca garstką soli przez ramię po tym, jak coś przypadkiem rozlał, nie spodziewa się, że naprawdę podkrada się do niego demon.

– Próbujesz mi powiedzieć, że w Rochelle prawdziwe demony podkradają się do ludzi? – Uniosła brwi i uśmiechnęła się krzywo. – Mają kły i nietoperze skrzydła? Plują ogniem?

– Mówię tylko, że mądrzy ludzie pozostają w domach po zmroku i ubierają dzieci na niebiesko, żeby odgonić zło. Mimo to obywatele tego miasta giną okaleczeni, ostatnio co rusz. Mity aż nazbyt często mają swoje korzenie w prawdzie, a my...

Powóz zatrzymał się gwałtownie. Nie przekroczyli jeszcze mostu prowadzącego do Posiadłości.

– Dlaczego...

Drzwi po stronie Devona otworzyły się z impetem. Wpadło zimne powietrze, wilgotne i lepkie. W ciemności podskarbi zobaczył dwoje okrutnych, złowrogich oczu. Wzdrygnął się, odsunął, chciał uciekać, ale nie miał dokąd. Nadal w uszach mu dzwoniło od wrzasku księżnej, gdy umierał.

Rozdział 2

Powrót Virgila Pucka

Royce zwyczajnie wiedział, co się zaraz stanie.

Hadrian oglądał się na ich więźnia więcej niż kilkanaście razy, chociaż nic się nie zmieniło. Virgil Puck nadal szedł za ich końmi, nadal miał nadgarstki ciasno związane jednym końcem liny, podczas gdy drugi wciąż był przymocowany do kuli przy siodle Hadriana. Mimo to Blackwater coraz częściej się oglądał i na coraz dłużej. Royce podejrzewał, że gdyby miał precyzyjny sposób odmierzenia krótkich odcinków czasu, to zdołałby dokładnie określić chwilę, w której...

– A jeśli on mówi prawdę? – zapytał Hadrian.

Royce zmarszczył brwi. Czuł się oszukany. Spodziewał się, że to potrwa dłużej. Hadrian nie zmienił się tak bardzo, jak Royce miał nadzieję.

– Nie mówi.

– Ale to, co mówi, brzmi, jakby to była prawda.

– Bo to jest prawda – odezwał się Puck, przekrzykując własne szuranie; powłóczył nogami, niechętnie idąc za końmi.

– Nie różni się od wszystkich innych oskarżonych o przestępstwo. Każdy twierdzi, że jest niewinny. – Royce nawet się nie obejrzał. Wszystko, co chciał wiedzieć, zdradzało napięcie liny. Dzięki niemu wiedział, że Puck nadal jest przywiązany; poza tym nic więcej go nie interesowało.

We trzech leniwie pokonywali wiejski odcinek Traktu Króla na północ od Medfordu. Dzień był ciepły, większość tegorocznego śniegu

wreszcie stopniała, woda nadal spływała do jezior i rzek. Wszędzie wokół siebie Royce słyszał ciurkanie wody. Każda pora roku miała charakterystyczne dla niej odgłosy: brzęczenie owadów latem, klangor gęsi jesienią, wycie wiatru zimą. Dla wiosny to były ptasie trele i ciurkanie wody.

– Nie jest przestępcą. Nie jest mordercą ani nawet złodziejem. Teoretycznie oskarżono go bardziej o dawanie niż odbieranie.

Royce uniósł brew.

– Lord Hildebrandt nie zgodziłby się z tobą. Cnota i czystość to rzeczy, które odebrano jego córce.

– Litości! – przerwał mu Puck. – Nie bądź śmieszny. Czy któryś z was widział lady Hildebrandt? Mogę was zapewnić, że imienia Bliss[1] nie nadali jej kochankowie. Ma czterdzieści trzy lata, a zachowuje się, jakby miała osiemdziesiąt dziewięć. Jej twarz wygląda jak latarnia niewprawnie wyrżnięta z dyni, a z figury przypomina bałwana ulepionego z dwóch kul. I lepiej, żebym nawet nie poruszał tematu jej kwaśnego usposobienia i groteskowego rehotu. Jestem całkowicie przekonany, że zachowała swoją cnotę tak jak obity i gnijący melon, którego nikt nie tknie. Nikt, kto rzeczywiście poznał Bliss Hildebrandt z Sansbury, nie wyobraziłby sobie, że można by pójść z nią do łóżka. Osobiście wolałbym przespać się z chora raszplą. Może gdyby ktoś przyłożył mi nóż do gardła, to kto wie...

Urwał, co sprawiło, że Royce się odwrócił.

Zniekształcony nos Virgila Pucka był przekrzywiony na bok i kończył się bulwą jak gałka na końcu laski. Poza tym był wysoki, chudy i miał długie, kręcone blond włosy, jakie wywołują westchnienie kobiet wszelkiej pozycji i klasy. Miał na sobie jedynie grubą tunikę, spodnie i buty. Tunika była w biało-niebieskie pionowe paski, a buty były żółte jak pierś kanarka. Hadrian miał rację w jednej kwestii. Virgil nie wyglądał jak normalny przestępca.

Z drugiej strony „przestępca” to rozmyty termin i co to właściwie znaczy słowo „normalny”?

Puck wbił wzrok w ziemię, kręcąc z grymasem głową.

– Nie, nie, szczerze mogę powiedzieć, że nawet nóż by nie wystarczył. Mówię wam po raz trzeci, złapaliście niewłaściwego

człowieka. Prawdziwy winowajca musi być albo głuchy i ślepy, albo tak zdeprawowany, że już całkiem szalony.

Hadrian obejrzał się, przesuwając koniec miecza na plecach i opierając rękę na końskim zadzie.

– Jesteś szlachetnie urodzony?

– Jeśli pytasz, czy w moich żyłach płynie błękitna krew, to nie. A skąd to pytanie?

– Sposób, w jaki mówisz... Tak mądrze. Skomplikowanie. Posługujesz się takimi słowami jak „winowajca” i „zdeprawowany”.

– Bo jestem poetą – oznajmił Puck tonem pełnym dramatyzmu. Dla podkreślenia swoich słów chciał się nisko skłonić, ale lina była za bardzo napięta, żeby mógł sobie na to pozwolić. – Zarabiam na życie, wędrując od jednego zamożnego domu do drugiego i zabawiając gospodarzy pieśniami i opowieściami. Historiami o miłości i żalości. Od epickiego romansu Persephone i Novrona po tragiczny związek lady Maskarady i hrabiego Focha. Rozśmieszam ich. Wzruszam. Inspiruję, edukuję i...

– Uwodzę? – podsunął Royce. – Kobiety mają słabość do poetów. Omamiłeś Bliss Hildebrandt pięknymi słowami?

Puck wyraził swoje oburzenie, zatrzymując się, ale zaraz koń Hadriana szarpnął go do przodu.

– Nie słuchasz. Nie uwiodłem jej. Nie zrobiłbym tego nawet za całe złoto Avrynu. Wolałbym raczej cudzołożyć z wściekłą fretką. Mówię wam, kiedy wrócimy do Sansbury, zobaczycie ją i zrozumiecie. Mam nadzieję, że obu was wyściska i obślini pocałunkami w podzięce za wasz wysiłek. Jest starym, paskudnym psiskiem, które myśli, że nadal jest szczeniakiem, nawet kiedy z pyska ściekają jej długie, sprężyste nitki śliny. A kiedy otworzy usta, żeby wam podziękować, zobaczycie ozór, organ zdecydowanie za długi dla każdego rozsądnego żywego stworzenia.

– Lady Hildebrandt jest przy nadziei – powiedział Royce. – Jakoś musiało do tego dojść.

Puck uśmiechnął się krzywo.

– Widziałem młode jeżozwierza i też nie wiem, jakim cudem zaistniały.

– Jego słowa brzmią tak... – Hadrian szukał słowa. – No wiesz, szczerze.

– Na wszystkich bogów! To dlatego, że mówię prawdę! – Puck krzyknął w niebiosa. – Wy dwaj... jesteście... kim właściwie? Nie mam pojęcia. Szeryfami? Łowcami nagród? Nieważne, bez względu na swoją profesję, musicie często to robić, prawda? Na pewno złapaliście dziesiątki podejrzanych winowajców i oddaliście ich w ręce sprawiedliwości. Musicie wiedzieć, jacy są nikczemnicy. Jak się zachowują. Kiedy wywlekliście mnie z karczmy we Wschodniej Marchii, czy zachowywałem się jak człowiek winny? Domyślam się, że większość złoczyńców ucieka, prawda? A ja? Czy stawiałem jakikolwiek opór? Nie. A co zrobiłem zamiast tego?

– Wezwałeś szeryfa – odpowiedział Hadrian i zerknął na Royce’a, ledwie widocznie kiwając głową.

– Tak! Właśnie! Zrobiłem tak, bo myślałem, że to jakaś zaczepka. Tylko zbiry wywlekłyby człowieka z karczmy i go związały. Gdyby szeryf o tym usłyszał, to wy dwaj znaleźlibyście się na końcu sznura i podejrzewam, że w dodatku krótszego niż ten.

Hadrian spojrzał na Pucka, a potem na Royce’a z wyrazem zamyślenia na twarzy.

– To nie ma znaczenia – przerwał mu Royce, próbując uprzedzić myśl formującą się w głowie partnera.

– Ale jeśli jest niewinny, to czy naprawdę powinniśmy go oddać w ręce lorda Hildebrandta? Jeżeli go oskarżą, nie ochroni go szlachtetne urodzenie. Baron go zabije.

– To nie ma znaczenia.

– Dla mnie z pewnością ma – wtrącił Virgil.

– Dlaczego? Dlaczego to nie ma znaczenia? – zapytał Hadrian.

– Obchodzi mnie tylko osiem złotych monet, które wypłaci nam Hildebrandt.

– To bezduszne, Royce – powiedział Hadrian.

– Nie, to życie. Nie marudź mi tutaj, idź z tym do Maribora, wszechświata albo natury. Te same zasady, przez które wróbel umiera z głodu zimą, sprawią, że Puck zawiśnie za zbrodnię... nawet jeśli jej nie popełnił. Tyle że to nie jest nasz problem. My tu nie mamy

nic do rzeczy.

– Przepraszam bardzo! – odezwał się Puck. – Czuję się zmuszony zauważyć, że to wy związaliście mi nadgarstki sznurem i to wy ciągniecie mnie bez ustanku na spotkanie losu, na jaki nie zasłużyłem. To wasze konie, nie Maribora, nie wszechświata i nie natury! I z całą pewnością sakramencki, przeklęty wróbel nie ma tu nic do rzeczy!

– Osiem złotych tenentów. – Royce spojrzał twardo na Hadriana. – Wypowiedz na głos te trzy słowa. Powtarzaj je raz za razem, aż zagłuszą tego przeklętego gałgana za nami.

Hadrian nie sprawiał wrażenia przekonanego.

– No dobrze, a co powiesz na to? Pamiętasz, że obiecaliśmy... daliśmy nasze słowo lordowi Hildebrandtowi, że przywieziemy mu z powrotem Pucka. – Royce z trudem zdołał wypowiedzieć te słowa z pełną powagą na twarzy.

Kiedy Hadrian z namaszczeniem skinął głową, Royce musiał zagryźć policzek, żeby się nie roześmiać. Współpracowali już trzy lata jako opryszki do wynajęcia pod oficjalnym szyldem „Riyria”, a Hadrian nadal myślał, że obietnica to coś, czego trzeba dotrzymać. Hadrian był młody, tuż po dwudziestce, ale brał udział w wojnie więcej niż raz i Royce’a nieustannie zdumiewało to, jak bardzo oderwany od życia pozostał.

Puck skupił się na Roysie.

– Zatem tylko tyle jest warte moje życie? Kilka złotych monet? A jeśli zaproponuję wam więcej, niż jest gotów zapłacić lord Hildebrandt? Czy to wyrówna szale w twoim nieprzystosowanym świecie, miejscu, z którym, jak twierdzisz, nie masz nic wspólnego, nawet jeśli sam trzymasz smycz?

Royce zmarszczył czoło.

– Nie masz takich pieniędzy. Gdybyś miał, dogadalibyśmy się już we Wschodniej Marchii.

– Mogę je zdobyć.

– Nie, nie możesz. Jesteś poetą. Poeci niewiele zarabiają i z pewnością nie oszczędzają z myślą o trudnych dniach. Wydajecie pieniądze na idiotyczne rzeczy, na przykład na ubrania.

– Racja, ale nie myślałem o swoich pieniądzach. Chociaż

przysięgam, że nie tknąłem Bliss, flirtowałem swego czasu z paroma damami. Niektóre bardzo mnie polubiły. Jestem pewien, że lady Martel zapłaci, żeby uratować mi życie.

– Lady Martel? Masz na myśli żonę lorda Hemleya? – zapytał Royce.

– W rzeczy samej.

Royce uśmiechnął się znacząco.

– Wątpię, żeby twoja sprawność w pościeli była warta dziesięć złotych tenentów.

– Źle mnie zrozumiałeś. Mój związek z Martel Hemley polegał na czymś całkiem innym. Mam na myśli to, że mogłem się z nią przespać. Też nie jest za piękna, ale przynajmniej pobudza mnie intelektualnie i tak samo odbiera mnie. Jestem pewien, że dziesięć złotych monet to niska cena za kontynuację naszych dyskusji. Nasza więź opiera się na obopólnej miłości do słowa pisanego. Co też ja mówię! Nie dalej jak zeszłego lata spędziłem całą noc w jej sypialni, jedynie pijąc i penetrując jej bibliotekę.

– To eufemizm, czy naprawdę mówisz o książkach? – zapytał Royce.

– Ach, czyli słyszałeś o nich! Tak, mówię o książkach. To kobieta o rozległych zainteresowaniach i ma małą bibliotekę przylegającą do jej prywatnych komnat. Ma egzemplarz „Pieśni Beringera” i „Opowieści pielgrzymich”, co jest imponujące, chociaż nieszczególnie oryginalne. Najciekawszą rzeczą na jej półkach jest cudaczny pamiętniczek.

Royce ściągnął wodze, żeby zatrzymać konia, i obrócił się w siodle.

– Pokazała ci swój pamiętnik?

Puck podniósł zaniepokojony wzrok. Royce nie chciał go straszyć, ale trudno mu było nad tym zapanować.

– Owszem, ale to nie był jej pamiętnik. To były wspomnienia gościa imieniem Falkirk de coś tam, który miał doskonały charakter pisma i wysławiał się archaicznie. Lady Martel wspomniała, że go ukradła, chociaż w to wątpię. W końcu kto słyszał o szlachetnie urodzonym złodzieju? Była już wtedy solidnie wstawiona, więc nie potraktowałem jej poważnie.

– Wspomniała, gdzie poznała tego Falkirka? – zapytał Royce.

– Nie, nie dostała pamiętnika od niego. Lady Martel zdobyła

pamiętnik od mnicha, z którym miała romans. Pewnej nocy, kiedy spał, natrafiła na pamiętnik i zabrała go, ponieważ chciała poznać jego prawdziwe uczucia do niej. Dopiero później zorientowała się, że to zapiski owego Falkirka. Próbowwała zwrócić pamiętnik, ale mnich zniknął, zanim jej się to udało. Nigdy więcej go nie zobaczyła.

– Mówisz, że styl był archaiczny, co znaczy, że go czytałeś?

Puck skinął głową.

– Próbowalem, ale prawdę mówiąc, znudził mnie. Dlaczego tak cię to interesuje?

Kiedy Royce nie odpowiedział, odezwał się Hadrian:

– Wykonujemy różne zadania. Jednym z nich było zabranie tego pamiętnika lady Martel. Kiedy już to zrobiliśmy, ona stwierdziła, że nic nie zginęło. Takie rzeczy drażnią Royce'a; gdziekolwiek spojrzy, wszędzie widzi spiski i nikczemne zamiary.

Royce skupił się na Virgilu.

– Co mogło...?

Tętent zwrócił uwagę Royce'a.

Ośmiu mężczyzn jechało w ich stronę; białe kasaki przykrywały kolczugi, miecze uderzały o uda. Zwolnili, gdy się zbliżyli, ale nie zdradzali żadnych złych zamiarów. Tego ranka Royce i jego dwaj kompani minęli albo zostali wyminięci przez kilkanaście różnych grup podróжных: farmerów, kupców, rzemieślników. To byli pierwsi uzbrojeni, jakich napotkali, a ich kasaki sprawiały wrażenie oficjalnych strojów. Zwykle takie patrole oznaczały kłopoty, ale chociaż raz Royce i Hadrian nie łamali prawa. Pracowali dla szanowanego barona Melengar. Mimo to Royce zeszywniał.

– Wybaczcie najście – odezwał się przywódca jeźdźców, zatrzymując konia.

Miał gołą głowę, a jego twarz pokrywał jednodniowy zarost. Uśmiechał się. Royce nie wiedział, co o nim myśleć.

– Mogę zapytać o wasze imiona i powód, dla którego wleciecie tego człowieka Traktem Króla? – dodał jeździec.

Royce zawahał się z kilkunastu powodów, ale żadnego z nich nie mógł uznać za dobry czy choćby rozsądny. Po prostu nie lubił, kiedy go zatrzymywano. A jeszcze mniej lubił odpowiadać na pytania.

Tę chwilę ciszy wypełnił jego partner:

– Nazywam się Hadrian. Jak się pan miewa?

– Świetnie – odpowiedział mężczyzna. – A ten tu jak się zwie? – Wskazał ich więźnia.

– Nazywam się Virgil.

– Doprawdy? – Jeździec skinął głową i zsiadł z konia, żeby spojrzeć Puckowi w twarz. – A nazwisko?

– Puck. Być może mogliby mi panowie udzielić pomocy. Tych dwóch jegomości żywi błędne przekonanie. Oskarżają mnie o wykorzystanie lady Bliss Hildebrandt, czego absolutnie i w żadnym wypadku nie uczyniłem. Niesłusznie mnie oskarżono. Gdybyście mogli...

Bez słowa ostrzeżenia mężczyzna w kasaku wyciągnął sztylet i dźgnął Pucka w pierś. Virgil nie zdążył nawet krzyknąć, zanim padł na ziemię.

Royce i Hadrian się cofnęli. Ich konie zakręciły się i zarżały niespokojnie. Obaj dobyli broni. Hadrian wyciągnął miecz półtoraręczny, a Royce swój biały sztylet – Alverstone. Ruch wierzchowca Hadriana sprawił, że krwawiące ciało Pucka odsunęło się od napastnika, ciągnąc za sobą szkarłatny ślad. Mężczyzna, który dźgnął Virgila, nie okazywał najmniejszej troski. Wyjął jedynie chusteczkę i otarł z krwi siebie oraz ostrze.

Virgil stęknął, zarzęził i przez tylko kilka sekund szarpały nim spazmy. Poeta zginął w tym samym momencie, w którym ostrze uderzyło w jego serce, ale potrzebna była chwila, żeby wiadomość o śmierci dotarła do wszystkich zakątków jego drgającego ciała.

Royce i Hadrian poczekali, ale nikt poza tym nawet nie sięgnął do broni. Mężczyzna, który zabił Pucka, schował sztylet i wsiadł z powrotem na konia.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał Hadrian, trzymając miecz w gotowości.

– Na rozkaz króla – odpowiedział beznamietnie zabójca. Uśmiechnął się, patrząc z rozbawieniem na miecz Hadriana. – To nie ma z wami nic wspólnego.

Hadrian rzucił spojrzenie Royce'owi, a potem z powrotem popatrzył na patrol.

– Król Amrath rozkazał zabić Virgila Pucka?

Mężczyzna spojrział na ciało przy drodze nadal uwiązane do siodła Hadriana. Wzruszył ramionami.

– Jasne. A czemu nie?

A potem szturchnął końskie boki i cała grupa odjechała.

* * *

Royce i Hadrian wjechali na ulicę Przekorną tuż przed zmierzchem.

Wróciliby wcześniej, ale Hadrian uparł się, żeby pochować Pucka. Royce, który wielokrotnie zaśmiecił, a w pewnych przypadkach wręcz udekorował pejzaż ciałami, nie pojmował stojącej za tym logiki. Puck nie był ich bałaganem, żeby musieli go sprzątać. Jego ciałem, kiedy już zostało odwiązane od konia Hadriana, powinna zająć się natura. Nie mieli nic wspólnego z jego śmiercią, więc po co marnować czas, nie mówiąc już o pieniądzach, na uprzątnięcie jego szczątków? Jednak Hadrian i logika znali się ledwie z widzenia, a może raczej należałoby powiedzieć, że Hadrian kierował się własną logiką. Royce jej nie pojmował i po trzech latach przestał nawet próbować.

Ulica Przekorna nadal była błotnistym grzędzawiskiem przystrojonym kilkunastoma stojącymi sadzawkami i poblížnionym głębokimi koleinami od kół wozów. Brudne łaty upartego szarego śniegu czepiały się cienistego zakamarka między warsztatem garbarza a gospodą pod Różą i Cierniem. Jednakże dachy były już czyste i, jak wiosenny kwiat, Dom Medford rozkwitł świeżą, niebieską farbą. Ostatnie promienie słońca oświetlały frontową werandę wspaniałej siedziby prostytutki, która ostatnio coraz bardziej przypominała luksusowy zajazd.

– Nie ma zbyt wiele cierpliwości, co? – powiedział Hadrian. – Myślałem, że miała poczekać na cieplejszą porę.

Frontowe drzwi się otworzyły i Gwen DeLancy wyszła na werandę. Miała na sobie swoją zwykłą niebieską sukienkę w odcieniu niemal takim samym jak farba na ścianie domu. Royce domyślał się, że właśnie o to jej chodziło. Zawsze lubił tę sukienkę i nie miało to nic

wspólnego z kolorem. Gwen się uśmiechnęła i rozłożyła ręce, prezentując z dumą swoje dzieło.

– No i? Co myślicie? Właśnie dzisiaj zaczęli. Nie zrobili za dużo, tylko jedną ścianę, ale kolor jest cudowny, prawda?

– Jest niebieski – odpowiedział Hadrian. – Czy inny kolor nie byłby lepszy dla interesów? Nie powinien być różowy czy coś takiego?

– Oczywiście, że niebieski! – zbesztła go. – Dom Medford zawsze będzie niebieski. Potrzebowałam tylko czasu na zebranie funduszy.

Hadrian skinął głową.

– Rzeczywiście wygląda na kosztowną rzecz.

Obaj zsiadli z koni. Nie zawracali sobie głowy ich przywiązywaniem. Zwierzęta już się nauczyły i teraz cierpliwie czekały, aż zostaną rozsiodłane.

– I jest kosztowne. – Gwen objęła się ciasno rękami i obróciła się, podziwiając dom, który stworzyła.

Sukienka rozkloszowała się przy tym ruchu. Gwen uniosła ramiona, osłaniając szyję przed chłodnym powiewem wiatru. Stała boso. Jedną nogę ugięła, ciężar opierała na drugiej, biodra miała przechylone.

Royce gapił się i kłął w duchu czas, za to, że go ponagla.

– Royce? – odezwał się Hadrian.

– Co?

– Twoja torba.

– Co z nią?

– Odstawiłeś ją na błoto. Pobrudzi się.

Royce się rozejrzył. Jego torba jakimś cudem trafiła w breję, która była mieszanką gnoju i szlamu.

– Fuj! – Złapał torbę i zaniósł na schody. – Jak tam trafiła? – Spiorunował podejrzliwym wzrokiem Hadriana.

– Na mnie nie patrz. To twoja robota.

– Nie bądź śmieszny. Dlaczego miałbym to zrobić?

– Nad tym samym się zastanawiałem. Dlatego właśnie o tym wspomniałem.

Royce spojrział z grymasem na torbę, jakby to ona sama zawiniła.

– Może rozproszyło cię to, jak piękny jest nowy kolor – powiedziała Gwen i odwróciła się z powrotem do nich, a jej sukienka znowu się

rozkloszowała. Słońce padło na jej twarz i oświetliło pomalowane na ciemno oczy. Jej usta zabłysły rozciągnięte w skromnym uśmiechu.

Hadrian prychnął.

– Tak, to na pewno z tego powodu. – Odstawił juki na schody werandy i wziął od Royce’a wodze. – Wejdz do środka. Ja odprowadzę konie.

Gwen pokręciła głową.

– Nie zawracaj sobie tym głowy. Powiem Dixonowi, żeby się nimi zajął. Albert czeka już w środku.

– Tak? – Hadrian i Royce spojrzeli po sobie zdumieni.

Gwen skinęła głową.

– I jest cały w skowronkach. Mówi, że dostaliście wypłatę.

– Wypłatę? Za co? – zapytał Royce.

Gwen wzruszyła prawie całkiem odkrytymi ramionami, przez co Royce znowu chciał zapytać: „Za co?”.

– Spodziewam się, że za wykonane zadanie.

– To nie ma najmniejszego sensu. – Royce odwrócił się do Hadriana.

– Czy ty widzisz w tym jakiś sens?

– Może powinniście porozmawiać z Albertem – zachęciła ich Gwen.

Hadrian ruszył po schodach, ale Royce nawet nie drgnął. Minęło wiele dni, odkąd widział Gwen, i chciał po prostu na nią popatrzeć. Pobyć z nią. Takie zachowanie było dziwne, zupełnie nie w jego stylu. Royce czuł się niezręcznie. Najwyraźniej Gwen okazała się znacznie lepszym złodziejem niż on. Zdołała ukraść całą osobę; zwędziła mu jego stare ja jak kiepsko pilnowaną sakiewkę. Kiedy przebywała w pobliżu, wszystko stawało się inne. Przede wszystkim było to dezorientujące, ekscytujące i zarazem pełne spokoju. Royce’a zdumiewała ta zmiana. Czy zyskał na tym, czy został w ten sposób okaleczony? Zagubił się czy znalazł coś lepszego?

– Powinieneś wejść do środka – odezwała się Gwen. – Robi się zimno, a Albert pewnie będzie chciał porozmawiać z wami obydwojma.

* * *

Osiem. Osiem złotych tenentów. Royce przyjrzał się jasnożółtym krążkom z wizerunkiem Amratha. Albo może jego ojca. Najwyraźniej byli do siebie podobni. A może nie, tylko królewski skarbnik był leniwy i kazał w mennicy dokonać jedynie drobnych zmian w starych formach. To nie miało znaczenia. Istotne było to, że są prawdziwe i że jest ich osiem. Royce, Hadrian i Albert siedzieli w Ciemnym Pokoju, który nazwano tak z racji braku okien oraz szemranych interesów, jakie w nim prowadzono. Albert rzucił monety na stół, a potem odchylił się na krzesło, które stało najbliżej kominka i oparł nogi w pończochach o palenisko. Uśmiechał się zadowolony z siebie.

– Nie rozumiem – powiedział Royce.

– Nie ma w tym żadnej tajemnicy: zapłacono nam. – Albert wskazał pieniądze teatralnym gestem.

Wicehrabia stracił wszystko poza tytułem, zanim został łącznikiem Royce'a i Hadriana z arystokracją. Zachował też wyniosły sposób bycia i swobodę, jaka wynika z życia bez lęku przed naturalnymi drapieżnikami.

Hadrian odstawił swoje torby i usiadł obok ognia.

– Nie skończyliśmy zadania. Nie doprowadziliśmy Pucka z powrotem do Sansbury. Drużyna zbrojnych zabiła go na Trakcie Króla.

Albert poruszył ustami w zamyśleniu, a potem machnął lekceważąco ręką.

– Najwyraźniej lord Hildebrandt był zadowolony z takiego załatwienia tej sprawy. Pewnie i tak planował stracić biedaka. Oszczędziliście mu roboty.

Hadrian przyciągnął sobie krzesło i usiadł obok Alberta i stołu z monetami. Podniósł jedną i obrócił w palcach.

– Skąd mógł...? – Spojrzał na Royce'a. – Nie mógł mieć pojęcia o tym, że Virgil nie żyje.

– Oczywiście, że mógł. – Albert pochylił się, krzywiąc usta z irytacją, jakby słowa sprzeciwu były wyrazem potępienia dla jego wysiłków. Poprawił koronkowe mankiety jak czyszczący piórka paw. – Mężczyźni, którzy go zabili, pewnie pracowali dla Hildebrandta. Musieli wrócić, zameldować o wykonaniu zadania i...

– Puck zginął na północ stąd, niedaleko miejsca, gdzie Południowa Droga odchodzi od Traktu Króla. To dwadzieścia pięć mil od Sansbury.
– Royce, który nadal stał, pokręcił głową. – Ktoś musiałby jechać niesamowicie szybko, żeby dotrzeć tam do tej pory. A potem potrzebowaliby czasu, żeby... Albercie, kiedy ci zapłacono?

– Dziś, wczesnym rankiem.

Royce i Hadrian spojrzeli po sobie, szukając odpowiedzi, ale znaleźli tylko obopólną konsternację.

– Dzisiejszego ranka? – powiedział Hadrian. – Puck jeszcze żył tego ranka. Rozkoszowaliśmy się we trójkę spacerem przez Wschodnią Marchię.

Albert uniósł brwi, jakby coś w końcu do niego dotarło.

– Cóż, to... To jest naprawdę dziwne, prawda?

– Kto ci zapłacił? – zapytał Royce.

Wicehrabia usiadł prosto, zdjął stopy z kominka i schował pod krzesło, poprawił kamizelkę, obciągając jej dolną krawędź.

– Lady Constance. Spotkaliśmy się dzisiejszego ranka w herbaciarni Tildena przy placu Szlacheckim. Cudowny, maleńki lokal tuż obok piekarni, dzięki czemu mają tam...

– Constance? – zapytał Royce. Coś do niego dotarło i poczuł się jak ogar, który wacha po raz drugi odcisk stopy. – Słyszałem już to imię.

Hadrian skinął głową.

– Ja też. Albert wspomniał je kilka razy.

– Oczywiście. Większość zleceń załatwiam przez lady Constance. Przy niej najbarwniejsze motyle socjety wydają się nudnymi ćmami. Ta kobieta zna wszystkich i wszyscy znają ją. Pochodzi z Warric, ma powiązania w Maranonie, ale najchętniej udziela się towarzysko tu, w Melengarze.

– To ona nas wynajęła do roboty u Hemleyów? To kobieta od pamiętnika lady Martel? – zapytał Royce.

Albert skinął głową.

– Ale nie załatwiała pamiętnika dla siebie, prawda?

– Tak myślę. Tak jak ja reprezentuję was, tak lady Constance jest łączniczką dla swoich ludzi... klientów... przyjaciół... jakkolwiek chcecie ich nazwać. Nigdy nic nie powiedziała, ale zakładam, że

dorzuca dopłatę dla siebie i nam wypłaca różnicę. Musi jakoś zarabiać na życie.

– A nie jest arystokratką?

– Owszem, ale zważywszy, w jakich tarapatach byłem, kiedy mnie znaleźliście, powinniście wiedzieć, że nie wszyscy arystokraci są bogaci. Wyszła za barona Lindera z Maranonu. Wątpię, żeby sama potrafiła wyjaśnić powody. Nie miał żadnych ziem, nie był zamożny, nie był nawet szczególnie przystojny.

– Był? Nie żyje?

– Tak. Poza innymi niedostatkami najwyraźniej nie potrafił też walczyć lancą. Zginął zabity przez sir Gilberta z Lyle podczas zimonalioowego turnieju sześć miesięcy po ich ślubie. W jaki sposób udaje jej się utrzymać swój wystawny sposób życia, to tajemnica dla wszystkich na dworze i przedmiot licznych spekulacji. – Urwał i się zamyślił. – W każdym razie domyślam się, że stała się użyteczna dla swoich znajomych, tak jak ja dla was.

– Nigdy jej o to nie pytałeś?

Albert sprawiał wrażenie wstrząśniętego i zarazem oburzonego.

– Dobry Mariborze, skądże! A ona nigdy nie pytała mnie o moje sprawy. Zachowujemy doskonały wzajemny brak zainteresowania, dzięki czemu nasza współpraca jest nie tylko możliwa, ale także rozkoszna.

– Spałeś z nią – powiedział Hadrian tonem pozbawionym zarówno krytyki, jak i pochwały. Po prostu stwierdzał fakt.

Albert uśmiechnął się szelmowsko.

– Poza brakiem ciekawości oboje jesteśmy wyzbyci moralnych oporów i czujemy awersję do kłopotliwych zobowiązań. Pustkę wypełnia zdrowa żądza. To cudowny układ. Jesteśmy jak dwie krople wody.

Royce, któremu zmęczenie w ręce przypomniało, że nadal trzyma torbę, rozejrzał się za miejscem do siedzenia. Pamiętając, że torba od spodu jest mokra od błocka, postawił ją obok trzaskającego ognia.

– Czyli nie masz pojęcia, kto naprawdę wynajął nas do kradzieży pamiętnika?

– Nie, nie mam zielonego pojęcia.

– A Virgil Puck?

– Ach, to całkiem inna sprawa, prawda? Oczywiście, że stał za tym lord Hildebrandt. W przeciwnym wypadku sytuacja stałaby się niezręczna, gdybyście przyjechali z nim i... – Albert przeniósł wzrok, kiedy elementy układanki zaczęły do siebie pasować.

Albert był doskonałym pośrednikiem. Miał przystojną twarz, świetnie się prezentował i znał wszystkie subtelności etykiety potrzebne do żeglowania po niebezpiecznych wodach arystokracji Avrynu. Był kompetentny i potrafił ładnie się wysławiać, ale cierpiał na chorobę wszystkich arystokratów – życie uprzywilejowanego przytępiło mu zmysły. Zwierzęta domowe cierpiały na podobną przypadłość. Po psie, który dorastał w domu, nie można się spodziewać, że poradzi sobie w dziczy, podobnie jak krowa czy kurczak. Udomowionym stworzeniom brakowało podstawowej czujności, przepojonego strachem nieustannego wyczekiwania katastrofy, dzięki któremu zachowywały życie mniej rozpieszczone istoty. Patrząc na Alberta, Royce widział, jak ten zaczyna wątpić w rzeczy najbardziej fundamentalne, i domyślał się, jakie myśli snuje w głowie: „Nie, nie może być... coś takiego przydarza się innym ludziom, ale nie mnie”.

– Czyli Puck mówił prawdę. Nie miał nic wspólnego z Bliss Hildebrandt. Najwyraźniej w tej kwestii okazałem się lepszym sędzią ludzkich charakterów niż ty. – Hadrian uśmiechnął się promiennie, ale zaraz zrzędała mu mina.

Royce domyślał się, że stało się to w tej samej chwili, w której zdał sobie sprawę, że pomógł zabić niewinnego człowieka.

Royce wiedział jednak swoje. Puck nie był niewinny; nie ma niewinnych ludzi. Zrobił coś komuś, a Royce chciał tylko wiedzieć, czy to było coś, co teraz może zaszkodzić jemu.

– Zatem kto zabił Virgila i dlaczego? – zapytał Hadrian.

– Nigdy się nie dowiemy – odpowiedział Royce. – To jak podwójna zasłona. Poczwórna, jeśli wliczyć Alberta i Constance. Pojmaliśmy poetę z powodu rzekomych przewin, niezbyt poważnych, żebyśmy nie nabrali podejrzeń, nawet ktoś taki jak ja. A potem wynajęto drugą grupę, która miała go zabić, i pewnie oni usłyszeli całkiem inną

historię. To wszystko sprawia, że wytropienie odpowiedzialnych będzie niesłychanie trudne, tak samo jak wykrycie prawdziwego motywu.

– Nie chciałbym wykazać się brakiem współczucia dla pana Pucka wobec jego zgonu, ale... – Albert zerknął na monety – ...rozpaczliwie potrzebuję nowego dubletu i spodni. Rozumiecie, że muszę dbać o właściwą prezencję i...

– Śmiało – powiedział Royce – weź tenenta, ale nowy strój musi poczekać. Nadal musimy zapłacić Gwen za korzystanie z pokoju i wyrównać zaległe rachunki za stajnię.

– W takim razie mamy szczęście, bo już mam dla was nową robotę.

– Mam nadzieję, że nie jest to kolejne zlecenie załatwione za pośrednictwem lady Constance. Wolałbym coś trochę bardziej jasnego. Robotę, w której wiem, w co się pakuję, zanim się w to wpakuję.

– Ach, nie, to nie jest nic załatwionego przez Constance, ale... – Albert się zawahał. – Sprawa jest nietypowa.

Royce uniósł ręce. Miał już dość nietypowych spraw.

– W jakim sensie?

– Zwykle muszę pokręcić się nieco i poszukać roboty, a ten gość przyszedł prosto do mnie, a właściwie przyszedł do mnie, bo szukał ciebie. – Albert rzucił Royce'owi znaczące spojrzenie.

– Mnie? – Ta „nietypowość” z każdą sekundą prezentowała się coraz gorzej.

Albert skinął głową.

– Zatrzymał się w Dzielnicy Szlacheckiej. Nie chciał podać nazwiska ani nawet powiedzieć, o co chodzi. Powiedział, że będzie wiedział, kiedy wrócisz, i że wtedy do ciebie zajrzy.

– Będzie wiedział?

Albert pokiwał głową.

– Tak właśnie powiedział.

– No proszę, od razu zrobiło mi się od tego ciepło i przyjemnie na duszy. Wspomniał, skąd wie, że mieszkam w Melengarze, albo czy w ogóle mnie zna?

– Nie, powiedział tylko, że przyjechał z Colnory i szuka... – Albert

urwał, żeby się zastanowić. – To było dziwne imię, które skojarzyło mi się ze sprzątaczką. Nie wspomniał o Riyrii, ale kiedy sam wymieniłem tę nazwę, to ją rozpoznał. Hm, szkoda, że nie mogę sobie przypomnieć tego imienia... – Albert zmarszczył mocniej czoło, próbując się skupić.

– Nie martw się – powiedział mu Royce, żałując, że sam nie może skorzystać z tej rady, bo aż za dobrze wiedział, że nieznajomy z Colnory nazwał go Zmiataczem.

1 Bliss (ang.) – dosł.: błogość, rozkosz (przyp. tłum.).

Rozdział 3

Król Whisky

Tajemniczy mężczyzna potrzebował tylko kilku godzin, żeby zjawić się w gospodzie pod Różą i Cierniem. Zdążyli się wykąpać i zjeść gorący posiłek. Hadrian zdołał wypić dwa kufle piwa, ale Royce chciał zachować trzeźwą głowę. Zwykle lubił się rozluźnić po robocie kieliszkiem albo dwoma montemorceya i irytowało go to, że wino będzie musiało poczekać. Albert poprosił, żeby Gwen posadziła potencjalnego klienta w pokoju zwanym Ukośnikiem, do którego nie wpuszczano teraz innych klientów, żeby zapewnić im prywatność.

Siedział w głębi pokoju. Starszy mężczyzna o siwych włosach i twarzy tak surowej i szorstkiej jak nadmorski klif. Nie był wysoki; Royce podejrzewał, że gdyby wstał okazaliby się takiego samego wzrostu. Był jednakże mocnej budowy i więcej niż zwałisty, więcej nawet niż tęgi; przesłaniał całkowicie krzesło, na którym usiadł, a jego podróżne ubranie napinało się w szwach. Kaftan mężczyzny miał podwójne szwy i był nabijany ćwiekami, a na jego piersi widniał kwiecisty wzór. Ciężka peleryna leżała rzucona na oparcie sąsiedniego krzesła. Była uszyta z wełny o podwójnej nitce i wyglądała na nową. Mężczyzna miał też drogie rękawiczki z cielej skóry. Leżały na stole obok peleryny. Na każdej widniał ten sam kwiecisty wzór co na kaftanie. Komplet, pomyślał Royce.

Gość patrzył, jak Royce i Hadrian wchodzą, jakby chciał ich dobrze zapamiętać. Nie zwracał sobie głowy wstawaniem ani podawaniem ręki. Cierpliwie poczekał, aż Royce i Hadrian zajmą swoje miejsca na

stołkach naprzeciwko niego. Nie odezwał się słowem.

Skupił się na Roysie.

– To ty? Ty jesteś Zmiat...

Royce przerwał mu, unosząc rękę.

– Już nie posługuję się tym imieniem.

Mężczyzna skinął głową.

– W porządku. W takim razie jak mam się do ciebie zwracać?

– Wystarczy Royce, a ten duży jegomość to Hadrian.

Obaj skinęli głowami.

– A kim ty jesteś? – zapytał Royce.

– Człowiekiem, który mieszkał w Colnorze podczas Roku Strachu.

Dłoń Royce'a ześlizgnęła się ze stołu. Siedzący obok niego Hadrian oparł mocno stopy po obu stronach stołka. Starszy mężczyzna nie robił szczególnego wrażenia, ale wyrazu jego oczu nie dało się z niczym pomylić – mówiły jedno: zemsta. Pragnął jej i zjawił się po nią.

– Nazywam się Gabriel Winter.

Royce znał to imię, ale z niczym mu się nie kojarzyło. O ile pamięć go nie myliła, nigdy nie zadawał się z nikim o nazwisku Winter.

– Sterroryzowałeś Colnorę. Całe miasto było sparaliżowane strachem, jaki wywołałeś. Kulisi, sprzątacze, sklepikarze, magnaci handlowi, wszyscy aż po sędziego byli przerażeni. Nawet dzielny hrabia Simon uciekł do Aquesty tego lata. To ogromnie wpłynęło na morale ludzi, mogę cię zapewnić. – Kiedy mężczyzna mówił, tłuszcz na jego szyi trząsał się, ale spojrzenie pozostało niewzruszone, a głos brzmiał spokojnie i chłodno. Przybysz trzymał obie ręce na widoku, dziesięć pulchnych palców i dłonie oparte na stole obok rękawiczek i do połowy stopionej świecy. Nic nie leżało ani nie stało na blacie między Royce'em i Winterem.

Żaden kubek czy filiżanka. Mężczyzna nie zamówił niczego do picia.

W Ukośniku zapadła cisza. To pomieszczenie nie było częścią dawnej gospody i dobudowano je niedawno, żeby pomieścić coraz liczniejszą klientelę. Dobudówka wypełniała podłużną przestrzeń między gospodą „Róża i Cierń” a Domem Medford i dlatego miała

kształt rombu. Słysząc tam było tylko dwie dziewczyny z karczmy, które myły kubki w sąsiednim pokoju.

– Czego chcesz? – zapytał Royce, a jego palce wsunęły się w fałdę peleryny i zacisnęły na rękojęści Alverstone’a.

– Chcę cię wynająć.

To nie powinno było zaskoczyć Royce’a. Albert opisał nieznanego jako potencjalnego klienta. Tyle że całe to spotkanie budziło w nim duży niepokój.

– Wynająć?

– Tak – odpowiedział mężczyzna szorstko i szczerze, z ledwie widocznym uśmiechem na ustach, jakby znał jakiś sekret albo puentę żartu, która dopiero zostanie ujawniona.

– Do czego?

– Dokładnie do tego samego, co zrobiłeś w Colnorze. Tyle że tym razem chcę, żeby to miasto Rochelle spłynęło krwią.

Hadrian poruszył się na stołku, przesuwając stopy i rozluźniając się.

– Dlaczego?

Mężczyzna odsunął się od stołu i skrzyżował ręce na piersi, jakby zastanawiał się, co teraz, albo może zbierał siły do odpowiedzi. Niektóre rzeczy nie przychodzą łatwo. Royce dobrze to rozumiał, a widząc nieszczęśliwy wyraz twarzy mężczyzny, domyślał się, że cokolwiek przyjdzie mu powiedzieć, być może po raz pierwszy ubierze to w słowa.

– Moja żona zmarła dziesięć lat temu. Zostałem wtedy tylko z córką. Dobra dziewczyna, ta moja Genny, wierna, lojalna, pracowita, bystra i twarda jak stal. Dobrze nam się razem powodziło. Pomagała mi w trudnych chwilach, a tych nie brakowało. Jednak niecałe cztery miesiące temu wyjechała z arystokratą z Rochelle. Niejakim Leo Hargrave’em.

Hadrian się pochylił.

– Leopoldem Hargrave’em?

– Zgadza się.

Royce uniósł pytająco brew, patrząc na Hadriana.

– To księżę Rochelle. Miasto znajduje się w Alburnie, na południowy

wschód stąd. Byłem w tamtych okolicach z armią króla Reinholda, zanim popłynąłem do Calisu.

– Reinhold nie żyje – powiedział Winter.

– Król Alburnu zmarł?

– On i cała jego rodzina. Biskup Tynewell będzie koronował nowego króla podczas Święta Wiosny. Genny o wszystkim mi napisała. Od dnia ślubu pisała do mnie trzy razy w tygodniu, a potem nagle zamilkła.

Mężczyzna zmarszczył czoło i skierował wzrok na blat stołu. Paznokciem zaczął skrobać wytarte miejsce, próbując oderwać drzazgę.

Royce skinął głową.

– Czyli co? Myślisz, że nie żyje?

– Wiem, że nie żyje.

– Bo spóźnia się z listami? – odezwał się Hadrian. – Kobieta dopiero co wyszła za mąż. Jest nowa w mieście, w mieście bardzo innym od wszystkich, i właśnie została księżną. Może być odrobinę zajęta. A może wysłała listy, ale kurier przepadł wśród śniegów. Jeszcze nie nadeszła wiosna, a górskie przełęcze bywają zdradzieckie. Za szybko wyciągnął pan wnioski.

Gabriel Winter spojrzał mu w oczy.

– Otrzymałem list, ale nie od mojej Genny. Hargrave napisał, że zniknęła.

– Och, zniknięcie... to nic dobrego, ale nie znaczy, że nie żyje.

– Owszem, znaczy. – Jego spojrzenie było zimniejsze i twardsze niż granit. – Uprzedziłem ją, co się stanie. Nie chciała słuchać. Jedynym powodem, dla którego Hargrave poślubił Genny, było jej wiano. On jej nie kocha. Nigdy jej nie kochał. Ale widzicie, Genny go kocha. Całą sobą, od czubka głowy po palce stóp. Nie wiem dlaczego. W przeszłości zawsze była rozsądna, ale ten Hargrave... Cóż, to arystokrata i to od razu powinno jej wyjaśnić całą rzecz. Próbowałem ją powstrzymać, ale jakie miałem szanse? Hargrave jest wszystkim, czego pragnęła. Tak mi powiedziała. Moja Genny... Takich dziewczyn nie nazywa się ładnymi. Mimo naszego majątku nikt nie dobijał się do jej drzwi. Przybywało jej lat, jesienią skończy trzydzieści trzy, i cóż,

kiedy książkę poprosił ją o rękę, to było jak zaoferowanie kurczakowi daru latania. Nie potrafiła przejrzeć na oczy, żyła swoim marzeniem. Hargrave z pewnością ją zabił, on i jemu podobni. Od początku taki miał plan. Widziałem to w jego oczach. Wykorzystał ją. – Gabriel zwrócił się do Royce’a. – Pojechałbym osobiście, ale... – Rozłożył ręce. – Jestem stary i gruby, nigdy nie byłem najlepszy w posługiwaniu się nożem. Co mógłbym zrobić, żeby pomścić kochaną córkę? Nic. Jako ojciec nie jestem w stanie sam się tym zająć, ale jako biznesmen... – wskazał na Royce’a – ...mam środki, by zapłacić innym, żeby zostali moimi rękami.

Biznesmen! Zapadka w głowie Royce’a szczęknęła i wreszcie wiedział, z kim rozmawia i skąd mężczyzna wiedział, jak go znaleźć.

– Whisky Wintera.

– To ja.

Tym razem to Hadrian uniósł pytająco brew.

– Jeden z magnatów handlowych w Colnorze, którzy tak naprawdę kierują miastem. Arystokraci wyznaczeni przez króla Warric mają niby zajmować się administracją, ale kierują miastem tak samo, jak pąkla dowodzi okrętem. Prawdziwą kontrolę sprawują magnaci, którzy mieszkają w dzielnicy wzgórz, tacy ludzie jak DeLurowie, Bocantowie i Gabriel Winter, dostawca doskonałych trunków i najwyższej jakości alkoholi.

– Moim sąsiadem jest Cosmos DeLur. Był tak uprzejmy, że podał mi twój nowy adres.

– Tyle sam się domyśliłem.

– Pieniądze zapewniły mi wszelkie wygody, ale w tej chwili pragnę jedynie zemsty.

– Próbował się pan skontaktować z księciem? – zapytał Hadrian.

– Oczywiście.

– Co powiedział?

– Jego skryba napisał, że Hargrave „bada sprawę”. Bada sprawę! Och, na pewno szuka jej ze wszystkich sił, zważywszy, że sam ją zabił!

– Jest pan tego pewien? – Hadrian spojrzał na niego wstrząśnięty.

– Jestem tego tak samo pewien, jak tego, że tu siedzicie. Powiedziałem Genny, że jemu zależy tylko na jej pieniądzach.

Najwyraźniej nie potrzebował mojej córki, kiedy już spłacił długi. Nie było sensu jej trzymać. Arystokraci nie są tacy jak wy czy ja. Nie znają lojalności, nie wiedzą, co to uprzejmość. Odstawiają szlachetnych i porządných, to tylko gra.

Gabriel zwrócił się do Royce'a.

– Sprawisz, że będą cierpieć, jak to zrobiłeś w Colnorze?

– To droga impreza.

– Wiesz, kim jestem. Na jakiej ulicy mieszkam. Stać mnie na to, a pragnę krwi. Zapłacę ci pięćdziesiąt sztuk złota za twój czas i kolejne dwadzieścia pięć za każde życie, które odbierzesz, dwa razy tyle, jeśli odejdą w cierpieniu.

Hadrian potarł twarz dłonią.

– Tyle gadania o krwi i ciałach, a ona nadal może żyć. – Gabriel chciał coś powiedzieć, ale Hadrian uniósł rękę, żeby go uciszyć. – Jasne, nie wygląda to dobrze i wiele wskazuje, że stało się coś złego, ale możliwe, że pańska córka nadal żyje. Możliwe, że siedzi gdzieś uwięziona. Zabicie księżnej jest ryzykowne, nawet jeśli jest nowym nabytkiem w rodzinie.

Gabriel zastanowił się nad tym.

– Dobrze. Zapłacę wam sto pięćdziesiąt złotych kawałków z odcisniętym paskudnym pyskiem Ethelreda, jeśli odnajdziecie, uratujecie i przywieziecie Genny z powrotem do mnie żywą. Jeżeli jednak nie żyje, pozostaję przy początkowej ofercie.

– Zależnie od sytuacji, zadanie może okazać się kosztowne nawet dla pana.

Gniew Gabriela Wintera zapłonął na nowo. Zacisnął wsparte na stole dłonie w pięści.

– Mam mnóstwo pieniędzy, ale tylko jedną córkę. Jeśli ona odeszła, na co mi złoto? – Otarł oczy. – Niech ten przeklęty książę i wszyscy, którzy z nim współpracowali, zapłacą krwią. Niech rzeka Roche spłynie czerwienią dla mnie i mojej Genny.

* * *

– Daleko to? – spytał Royce.

Hadrian upchnął okrągły, świeży bochenek chleba do małej sakwy, którą przywiązywał do kuli przy siodle Tancerki. To była podręczna torba, w której trzymał niezbędne w podróży rzeczy: rękawiczki, parę orzeszków ziemnych, trzy paski suszonego mięsa, szmatkę, parę jabłek, lój z olejkiem cedrowym przeciwko owadom, hubkę i krzesiwo, igłę z nicią. Bochenek był świeży, prosto z pieca i jeszcze ciepły. Chociaż dopiero co skończył świetne śniadanie, wiedział, że chleb ma małe szanse przetrwać krótki odcinek do Mostu Wjazdowego. Zastanawiał się, czy nie włożyć go do którejś z dużych, skórzanych toreb za siodłem, ale tam by się zgniótł, a nie należało w taki sposób traktować prezentów od Gwen.

– Rochelle? – upewnił się. – Nie wiem, pięć, może sześć dni, o ile przełęcz jest przejezdna, a powinna, skoro Gabriel Winter otrzymywał stamtąd listy. Będziemy musieli przejść na wschodnią stronę Gór Wyniosłych.

– I objechać szerokim łukiem Colnorę – przypomniał mu Royce, kiedy skończył mocować ostatni ze swoich pakunków na końskim zadku. – Będzie tam gorąco?

Hadrian się zastanowił. Rochelle znajdowało się prawie tak samo daleko na południe jak Dulgath, ale oba regiony miały różny klimat. W Dulgath panowała cudowna pogoda, nigdzie nie doświadczył lepszej. Zaś w Alburnie – przeciwnie, zapamiętał je jako zimne i mokre miejsce.

– Weź grubą pelerynę i wysokie buty.

– Już je spakowałem.

– Jak myślicie, kiedy wrócicie? – zapytała Gwen.

Stała na werandzie Domu Medford razem z Jollin, Abby i Mae; wszystkie wyszły, żeby ich pożegnać. Słońce wschodziło i wszystkie kobiety z wyjątkiem Gwen były nadal w koszulach nocnych i owijały się kocami. Za ich plecami malarze ustawili rusztowania i malowali dalej Dom Medford na niebiesko.

– To może chwilę potrwać – powiedział cicho, z żalem, Royce.

Gwen wyszła do niego na ulicę i oboje stali na odległość wyciągniętej ręki od siebie. Hadrian patrzył na nich i czekał, podobnie

jak dziewczyny.

– To zadanie może być trudniejsze od tego w Maranonie, bardziej... Sam nie wiem, po prostu może być bardziej. – Royce złapał wodze, ale odległość między nim a Gwen się nie zmieniła. – Nie martw się, jeśli nie wrócimy... Nie wiem, to może potrwać kilka tygodni. Powiedzmy, że tyle, w porządku?

Gwen skinęła głową.

– Powiedzmy, że tyle.

– W porządku. – Royce nie drgnął, tylko nadal wpatrywał się w Gwen.

Minęła jedna chwila, druga i Hadrian zaczął się zastanawiać, czy Royce kiedykolwiek się poruszy, czy w ogóle zdoła. Nie pojmował, co powstrzymuje jego partnera przed objęciem Gwen i pocałowaniem na pożegnanie. A potem przypomniał sobie, że patrzy na Royce'a, i wszystko nabrało sensu.

– W porządku – powtórzył Royce i skinął głową.

A potem poprowadził konia ulicą, a Hadrian poszedł za nim.

* * *

Podróż upływała w ciszy. Hadrian nawet nie próbował zagadywać Royce'a.

Przez ostatnie trzy lata przeszli przez różne stadia rozmowy. Początkowo Hadrian próbował pociągnąć Royce'a za język, myląc jego milczenie z towarzyską niezręcznością. To tylko irytowało Royce'a, który nie pozwalał, żeby w jakikolwiek sposób nim manipulowano, nawet gdy chodziło o zachętę do rozmowy. Potem Hadrian próbował udawać, że Royce jest normalnym człowiekiem, który zwyczajnie się nie odzywa. Dlatego wziął na siebie wypełnianie długich godzin powolnej podróży własnymi perorami i kiedy trzeba było, rozmawiał za dwóch. Royce znosił to w milczeniu. Ponieważ Hadrian uważał, że niektóre z jego wypowiedzi są przenikliwe, a nawet interesujące, mocno stłumiona reakcja kompana go irytowała. Pewnego razu Hadrian zaimprovizował całą debatę między obsesyjnie pracowitą

pszczołą a płochym dmuchawcem, za którą powinien otrzymać owację na stojąco w strzemionach. Kiedy Royce go zignorował, Hadrian zaczął się zastanawiać: „Dlaczego to ja odwalam całą robotę?”.

Kilka godzin po wyjeździe do Rochelle, Hadrian wreszcie uznał, że zabawianie Royce'a nie jest jego zadaniem. Jeśli złodziej był zbyt skupiony na sobie, żeby wziąć udział w zwykłej rozmowie, to niech mu będzie. Będą jechać w milczeniu. Hadrian trzymał się z tyłu, skubał chleb, machał do mleczarek, robił głupie miny do pastuszków z owcami. Zaszył dziurę na kciuku w rękawiczce, a po tym, jak zobaczył sokoła, któremu trzy razy nie udało się złapać polnej myszy, zdołał powstrzymać się od komentarza, że ptak ewidentnie szuka widowni. I tak przejechali cały dzień bez ani jednego słowa.

Trzymali się głównie Starej Południowej Drogi, którą zwano też Drogą Colnorską albo Medfordską, zależnie od tego, gdzie dana osoba mieszkała. W rankingu dróg ta była jedną z najlepszych. Szeroka, twarda i przeważnie prosta, biegła przez połacie szacownych lasów i przyjaznych pól. Pojawiały się przy niej gospodarstwa i małe wioski o takich nazwach jak Windham albo Fallon Mire, nie całkiem różne od miejsca, gdzie urodził się Hadrian.

Tuż przed zachodem słońca Royce sprowadził ich bez słowa z drogi do małego zagajnika. W milczeniu przywiązał konia, rozsiodłał i zdjął z niego swoje rzeczy. Hadrian czekał, aż złodziej coś powie, cokolwiek, ale kiedy już rozłożył swoje rzeczy, jak zawsze zajął się badaniem okolicy połączonym ze zbieraniem drewna.

– Zupełnie jakby zapomniał, że tu jesteśmy – szepnął do Tancerki Hadrian, gdy przywiązywał ją do konara. – Myślisz, że jest na mnie zły?

Rozwinął posłanie i rozłożył je na polaci miękkiej trawy, nadal przywiedłej po niedawnej zimie. Chociaż powierzchnia wyglądała na suchą, przekonał się, że grunt jest dosyć wilgotny, więc rozłożył pod kocami osmołowane płótno.

– Masz pomysł, co mogłem takiego zrobić? – szepnął do Tancerki, rozglądając się wśród drzew i szukając Royce'a. – Milczenie to jedno, ale czuję się tak, jakbyśmy znowu jechali do Wieży Koronnej. –

Poklepał klacz po szyi. – Zostawiliśmy cię uwiązaną na polu, a Royce był nieprzytomny, kiedy ja spływałem lodowato zimną rzeką. Żadne z nas nie bawiło się wtedy dobrze, co?

Kiedy Royce wrócił z naręczem drewna, miał typową dla siebie żalostną minę. Już prawie całkiem się ściemniło, obóz był rozbity, a Royce nadal nie wypowiedział ani jednego słowa. Hadrian zastanawiał się, jak długo może potrwać to milczenie.

W końcu coś powie, pomyślał. Może zapyta, gdzie jest chleb.

Chociaż zostawił połowę dla Royce'a, zamierzał odpowiedzieć, że zjadł cały, bo Royce nie powiedział, że chce kawałek.

Po rozpaleniu ognia Royce usiadł na kocach i patrzył w płomienie.

Nie przygotuję posiłku, dopóki czegoś nie powie, obiecywał sobie Hadrian. Będzie musiał poprosić. Będzie musiał otworzyć usta i powiedzieć: „Ugotujesz coś w końcu czy nie?”.

Nie odezwał się. Siedział i wpatrywał się w ogień, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

Och, na miłość Maribora! Hadrian wstał i zaczął grzebać w torbie z jedzeniem. Nie mogę uwierzyć, że Royce...

– Nie jestem na ciebie zły – odezwał się złodziej.

Hadrian zerknął na Tancerkę z miną winowajcy. Royce mnie usłyszał? – zachodził w głowę. Złodziej miał nadzwyczaj wyczulony słuch, ale Hadrian nie podejrzewał, że aż tak bardzo.

– To czemu się nie odzywasz?

Royce wzruszył ramionami.

– Chodzi o robotę?

Royce pokręcił głową.

– Najlepsza fucha od lat.

– Denerwujesz się, bo ten Cosmos wie, że mieszkasz w Medfordzie?

– Nie. To byłby prawdziwy szok, gdyby nie wiedział.

– Więc co cię gryzie?

Kolejne poruszenie ramionami, po którym nastąpiło niepotrzebne poprawianie koca.

Hadrian poddał się i ustawił garnek na ogniu. Potem poszukał kawałka smalcu, któremu zawsze udawało się zsunąć na dno torby.

– Myślisz, że mnie lubi? – zapytał Royce.

– Gwen?

– Aha.

Nie wyciągając ręki z torby, Hadrian podniósł wzrok.

– To podstępne pytanie? Jest więcej niż jedna Gwen?

– Wiem, że nas lubi, ale ona lubi wszystkich, nie? Nawet Roya Kanalarza. – Royce wstał i wrzucił patyk do ognia z taką siłą, że buchnęła chmura iskier. – Roy sprzedał za butelkę parę spodni, którą mu dała, i prawie zamarzł na ulicy, ale ona uśmiecha się do niego i nadal daje mu jedzenie za darmo. To oczywiste, że to miła osoba, ale...

– Lubi cię. I owszem, bardziej niż Roya Kanalarza. – Hadrian przewrócił oczami z powodu absurdalności zachowania partnera.

Royce spojrział na niego z tak mocno ściągniętymi brwiami, jakby to były troczki od sakiewki skąpca.

– Pytasz poważnie? – zdumiał się Hadrian.

– A czy wyglądam, jakbym żartował?

Hadrian musiał przyznać, że przyjaciel sprawia wrażenie śmiertelnie poważnego, nawet bardziej niż zwykle.

– Ona zawsze jest tak miła, że czuję...

Hadrian poczekał zaszokowany tym, że Royce mógłby dokończyć takie zdanie. Nie dokończył jednak.

– Po prostu większość ludzi uważa mnie... Sam wiesz. Gdyby w Medford urządzono głosowanie na osobę, której najbardziej należy unikać, byłby to pojedynek między mną i starym Royem Cudem-Bez-Portek.

– Chwileczkę. – Hadrian zapomniał o smalcu i podszedł z powrotem do ognia. – Zawsze zakładałem... Ale... Co ty wygadujesz? Całowaliście się już, prawda?

– Całowaliśmy? – Royce spiorunował go wzrokiem. – Nie! Na Mara, czyś ty oszalał? Co to za pytanie? Gwen jest... Ona...

– Jest kobietą, która pewnie chciałaby, żebyś ją pocałował.

Royce usiadł na swoim posłaniu spięty i rozgniewany. Rozpierany energią nieświadomie zaciskał i rozwierał pięści.

– Więc wy dwoje... nic a nic?

– Co masz na myśli?

- Mam na myśli...
- Objąłem ją – oznajmił z dumą Royce.
- Nie o to mi chodziło, ale... Serio? Naprawdę? Czy raczej to ona cię objęła, a ty się nie wzdrygnąłeś? Bo to niecałkiem to samo, wiesz?
- Słuchaj, tylko dlatego, że ty szybko...
- Tu nie chodzi o mnie ani o Roya Kanalarza. Ta kobieta jest w tobie zakochana. I nie mów mi, że ty nie jesteś zakochany w niej. – Hadrian pokręcił głową. – Nie możesz znieść wyjazdów i rwiesz się do powrotu. Oboje zachowujecie się, jakbyście już byli po ślubie, chociaż nadal w fazie miesiąca miodowego. Nie rozumiem tego. Zwykle jesteś taki... – Urwał. – Aha! To dlatego jesteś taki milczący. Nie jesteś zły na mnie, tylko na nią!
- Nieprawda.
- Pewnie, że jesteś. Jesteś zły na Gwen, bo zniszczyła twój idealny światek. Wszystko było schludne i uporządkowane, wszystko było pomalowane na taki sam kolor: czarny. A teraz jej nie ma, ale wszędzie zostawiła po sobie plamy rozlanej nadziei i słonecznego blasku. Zakochałeś się w niej i to cię dręczy, zgadza się?
- Royce nie odpowiedział.
- Przyznaj, kochasz Gwen i to cię przeraża. Boisz się, bo nigdy dotąd nikogo nie kochałeś.
- Kaptur swoim zwyczajem powędrował na głowę Royce'a.
- Wiesz, że to żadna odpowiedź.
- Przeciwnie.

Rozdział 4

Rochelle

Pofalowane wzgórza i urocze gospodarstwa zniknęły. Royce i Hadrian dotarli do Gór Wyniosłych. Poszarpane, ośnieżone szczyty, które ciągnęły się od Wyżyny Senon do Bursztynowych Wzgórz, oddzielały Warric od Alburnu, zachód od wschodu, nowe od starego. Jak zawsze Royce zjechał z drogi, żeby ominąć Colnorę i uszanować rozejm, jaki zawarł z tamtejszą gildią złodziejską – Czarnym Diamentem. Natrafili na boczną drogę w okolicy rzeki Gula i pojechali nią do Alburnu, zamiast ryzykować przeprawę przez ośnieżoną przełęcz w Bursztynowych Wzgórzach. Gdy dotarli do drugiego końca Gór Wyniosłych, znaleźli się w zupełnie innym świecie. Krajobraz odzwierciadlał tę zmianę. Pofalowane zielone wzgórza zamieniły się w poszarpane góry, rzeczne jary i nadmorskie urwiska. Sosny i jałowce zastąpiły wcześniejsze dęby i klony. Śnieg pojawił się ponownie na większych wysokościach i gęsta mgła zalegała nad wybrzeżem. Ludzie mieszkali w odizolowanych punktach – w górskich wioskach, jak je nazywano. Royce i Hadrian przejechali przez kilka takich osiedli bez przystanków. Miejscowi wyraźnie nie przepadali za obcymi.

– To już to? – zapytał Royce, kiedy, siedząc w siodłach, patrzyli na miasto w rzecznej dolinie poniżej.

Miasto nie było tak rozległe jak Colnora; budynki stały ciasniej upakowane i sprawiały wrażenie wyższych. Hadriana i Royce’a nadal czekało kilka mil drogi i z takiej odległości i wysokości miasto

sprawiało wrażenie spokojnego. Otoczone z trzech stron ośnieżonymi szczytami i otwarte z czwartej na morze prezentowało się idyllicznie.

– Chyba tak – odpowiedział Hadrian. – Tak naprawdę to nigdy tam nie byłem, ale to zdecydowanie jest rzeka Roche, a miasto Rochelle powinno znajdować się nieopodal jej ujścia do morza, czy też do zatoki. Morze Goblinów znajduje się dalej na wschód. Myślę... – wskazał na urwisko obok nich, które spadało do ujścia, gdzie fale obwieszczały nadejście przyływu – ...że to jest Zatoka Blythin. A przynajmniej tak się nazywała sześć lat temu, a nie wiem, czemu mieliby zmienić nazwę.

Już od pięciu dni byli w drodze; zawsze rozbijali obóz w dziczy, unikali miast i wiosek. Podczas podróży było ciepło i sucho, ale wkrótce miało się to zmienić.

Kaptur odchylił się do góry, kiedy Royce przyjrzał się ciemniejącemu niebu.

– Nadciąga brzydka pogoda. Lepiej zjedźmy. Co wiesz o tym miejscu?

– Nigdy nie dotarłem do Rochelle. Spędziłem w Alburnie tylko kilka miesięcy. Służyłem wtedy u króla Reinholda. Przez większość czasu obozowałem w Bursztynowych Wzgórzach. Całymi dniami patrzyłem na pierwszy pułk Chadwick i czekałem, aż zaatakują.

– Dlaczego tylko kilka miesięcy?

– Ponieważ niecały rok wcześniej sam należałem do tego właśnie pułku. Lord Belstrad, dowódca, dał mi medal za dokonania podczas Drugiej Bitwy na Wzgórzach Vilan. Znałem wszystkich tych ludzi. Kilku było moimi przyjaciółmi, a wszyscy wiedzieli, że stary Clovis pali się, żeby zaatakować Alburn i zająć wzgórze. Dlatego odszedłem. Zniknąłem w środku nocy. – Hadrian spojrział na wschód ponad ujściem, gdzie prawie można było dostrzec wybrzeże, cienką, zieloną linię rozmywającą się w podnoszącej się mgle. – Popłynąłem do Galeannonu i wędrowałem dalej, aż do Calisu. Bursztynowe Wzgórze były nie pierwszą sytuacją, gdzie kroila mi się walka z dawnymi przyjaciółmi. Uznałem więc, że jeśli powędruję dostatecznie daleko, to więcej mi się to nie przydarzy.

– I przydarzyło się?

– Nie. – Hadrian westchnął. – Mordowałem tylko nieznanym.

Spodziewał się dowcipnej uwagi ze strony Royce'a, a przynajmniej złośliwego komentarza, ale kaptur milczał.

– Dlatego niewiele mogę ci powiedzieć o Alburnie, a jeszcze mniej o Rochelle. Jedyne, co pamiętam, to ogólne wrażenie dziwności.

– Dziwności?

– Nieprzyjazne, skryte, a nade wszystko przesądne miejsce. Wschód jest inny. Ludzie żyjący w wieczornym cieniu Gór Wyniosłych są specyficzni. Przekonasz się. Nie mam żadnych dobrych wspomnień z Alburnu, ale... Cóż, pamiętam niewiele dobrych rzeczy z tamtych lat. Może nie jestem sprawiedliwy.

– Dobrze wiedzieć, że nie masz stąd miłych wspomnień, zważywszy na naturę naszego zadania.

– Co masz na myśli?

– Nie przyjechaliśmy z towarzyską wizytą. Nie chodzi o pomoc w ratowaniu ludzi albo o doradzanie arystokratom. Przyjechaliśmy zapolować. Minęło trochę czasu, odkąd zajmowałem się brudną robotą. Wraz z egzekucjami pojawia się... pewna jasność myślenia.

– Nie przyjechaliśmy, żeby zabijać – powiedział Hadrian. – Mamy uratować księżną.

Royce zsunął kaptur, żeby spojrzeć na Hadriana, a może tylko po to, żeby pokazać mu swój kpiarski uśmiech.

– Rozumiesz chyba, że córka Wintera nie żyje, co?

Hadrian pokręcił głową.

– Nie.

Royce wytrzeszczył oczy.

– Książę Rochelle ożenił się z nią dla pieniędzy, a potem zaaranżował wypadek, żeby pozbyć się zbędnego bagażu. Pewnie robił już to wcześniej i najpewniej zrobi znowu z kolejną bogatą córką albo starszawą wdową.

– Nie masz pewności.

Dotarli na grzbiet górski, gdzie ścieżka prowadziła wąską przełęczą dostatecznie stromą, żeby kamienie potracone końskim kopytem powodowały małe lawiny. Mewy wrzeszczały nad ich głowami, wiatr znad wody wył.

– Oczywiście, że mam. Gabriel Winter ma rację. Książęta nie żenią się z brzydkimi podstarzałymi córkami kupców z miłości. Chciał pieniędzy. Tak działa ten świat. Ludźmi kieruje pragnienie pieniądza, władzy, bezpieczeństwa i... Właściwie to wszystko. Na dobrą sprawę, jak się nad tym zastanowić, to wszystkie te rzeczy są wariacją na ten sam temat.

– Czyli nie wierzysz w miłość?

– Miłość to inna nazwa żądzy lub uzależnienia. Ludzie myślą ją z mnóstwem rzeczy, przeważnie z fantazjami i pobożnymi życzeniami.

– Doprawdy? – Hadrian popędził konia, żeby dogonić Royce'a, którego klacz miała tendencję do pchania się przodem. – W takim razie powiedz mi, o mędrco, czy to żądza, czy raczej uzależnienie sprawiły, że narażałeś własne życie, ratując Gwen z więzienia? Jaka fantazja albo pobożne życzenie sprawiły, że Gwen ukrywała nas i pielęgnowała, dopóki nie odzyskaliśmy zdrowia, chociaż narażała się na niebezpieczeństwo?

Royce ponaglił konia.

– Och, powiedz mi, chodzący geniuszu, dlaczego zapominasz własnego imienia w jej towarzystwie, ale nie śmiesz jej pocałować?

Kaptur powrócił na głowę.

– To żadna odpowiedź.

* * *

Rochelle okazało się zatłoczonym miejscem, w którym wrzała gorączkowa praca. Wozy, furmanki i powozy wypełniały wybrukowane ulice wciśnięte między wysokie budynki. Strzeliste, kamienne budowle o ostrych łukach i ozdobnych fasadach sprawiały, że Hadrian czuł się mały, i to nie tylko pod względem wzrostu. Jak katedra w Medfordzie, i tutejsza majestatyczność architektury sprawiała, że czuł się niegodny i niechciany; to jeden z powodów, dla których Hadrian nigdy nie zainteresował się szczególnie religią.

Słońce nie zaszło jeszcze do końca, ale cienie budynków sprawiały,

że na ulicach poniżej zapadł przedwczesny zmierzch. Tłumy przecinały kałuże blasku rzuconego przez oświetlone witryny sklepowe. Wśród mężczyzn z laskami i dam w sukniach spacerujących chodnikami Hadrian dostrzegł ciemnoskórych robotników we wschodnich strojach i krasnoludzkich rzemieślników uwijających się wzdłuż rynsztoków. Mężczyzna na szczudłach i chłopiec z trzaskającą pochodnią przebijali się przez ciżbę i zapalali uliczne latarnie. Dama we wspaniałej pelerynie wyprowadzała na smyczy maleńkiego psa o spłaszczonym pysku. Hadrian pomyślał o lady Martel i Panu Hipple'u. Dwóch mężczyzn w czerwono-niebieskich mundurach szło jak gdyby nigdy nic ulicą, a po jej drugiej stronie szła druga taka para. Patrzyli uważnie i podejrzliwie.

Zapach dymu drzewnego, pieczonego mięsa i pasztecików wypełniał powietrze. Tłumy zatrzymywały się, żeby zerknąć na jasne witryny albo wozy ulicznych handlarzy, wymachujących rękami, żeby zwrócić uwagę kupców. Uprząż końska podzwaniała, kopyta stukały o bruk, rozbrzmiewały dzwony, skrzypce wygrywały skoczne melodie, naganiacze zachęcali do obejrzenia tanich butów i przedstawień, które zaraz się zaczyną. „Przyjdźcie zobaczyć, jak człowiek-jaszczurka zrzuca na scenie skórę!”. Rozmowy przelewały się jedna w drugą, słowa ginęły, ale mimo to Hadrian zauważył akcent. Bardziej liryczny i wyrafinowany niż zachodnie dialekty; dźwięki wschodu to dźwięki muzyki i tajemnicy. To wszystko przypominało mu o czasach, o których wolał zapomnieć. W młodości, kiedy jeszcze był arogancki i głupi, takie widoki i dźwięki go upajały. Royce odrzekłby, że nadal jest głupi, ale nie znał Hadriana sprzed Calisu, młodego żołnierzyka, który zabijał jak dorosły mężczyzna. Co za okrutny i absurdalny żart: im bardziej zdajesz sobie sprawę z własnej głupoty, tym mądrzejszy się stajesz.

Zerknął na Royce'a, którego kaptur obracał się na prawo i lewo, kiedy złodziej starał się ogarnąć wszystko spojrzeniem. Uczucie przytłoczenia było typową reakcją dla kogoś, kto nigdy nie zawędrował w te okolice. Kiedy w grę wchodzi wschód, wrażeń zawsze jest za dużo. Za dużo, a jednak nigdy dość.

Kiedy wjechali do miasta, zaczęło kropić. Była to tylko

niedogodność, żaden poważny problem, ale Hadrian uznał, że to może się zmienić, kiedy kropli przybyło, słońce zaszło i powietrze zrobiło się zimniejsze. To kolejna rzecz, jaką zapamiętał: tutejsza pogoda była równie nieprzewidywalna jak ludzie. Według gwiazd do wiosny brakował mniej niż tydzień, ale chłodne powietrze było innego zdania. Hadrian naciągnął kaptur i zapiął porządnie kołnierzyk, kiedy obaj z Royce'em siedzieli w siodłach i czekali na przejazd na zatłoczonej ulicy.

– Masz pomysł, dokąd powinniśmy jechać? – zapytał Royce, kiedy czekali za powozem, który stał za rozładowywanym wozem.

– Myślę o zajeździe albo przynajmniej karczmie. Nie wiem jak ty, ale ja jestem głodny.

– Mnóstwo tych straganów sprzedaje jedzenie – zwrócił mu uwagę Royce. – Na tym mają chyba jagnięcinę.

– Już prawie wiosna, większość sprzedawców będzie miała jagnięcinę, ale wejdźmy pod dach. Wolę nie przemoknąć w noc, która już się robi zimna.

Hadrian rozejrzał się po szyldach, szukając jakiejś przystani: „Apteka Abernathy’ego”, „Szkło Botthmana i Fullera”, „Kapitałne Kapelusze Hinkela”, „Talizmany i Amulety Ochronne Fiske’a i Pine’a”.

– Mnóstwo sklepów, ale nie widzę żadnego zajazdu.

Skończono rozładunek wozu i mogli znowu ruszyć. Royce i Hadrian nie mieli pojęcia, dokąd się udać, zatem pojechali zgodnie z ruchem w mieście, ufając mu podobnie, jak czasem zawierzali koniom, że doprowadzą ich do wody. Ku zdumieniu Hadriana ulice stały się jeszcze bardziej zatłoczone, kiedy dotarli do kamiennego mostu nad Roche. Chociaż był szeroki, wozy i ludzie całkowicie go zablokowali. Na prawo od nich las masztów wskazywał położenie portu miejskiego, a przed nimi i na wzgórzu wznosiła się wspaniała posiadłość otoczona murem. Gdy już przejechali most, odkryli, że znajdują się na wyspie. Ruch uliczny zmusił ich do objechania posiadłości za murem, aż dotarli do drugiego mostu. Po przekroczeniu go znaleźli się na rozległym placu okolonym przez ogromną katedrę i kolejne sklepy. Chociaż to wydawało się niemożliwe, na placu panował jeszcze większy ścisk. Morze głów kołysało się, płynąc powolnym nurtem.

Budowle w mieście były niezwykle, a ich styl tym bardziej wyrazisty, im bliżej znajdowali się centrum. Większość budynków zbudowano z kamienia według eleganckich projektów. Tutejsze domy były nie tylko wyższe od tych na peryferiach, ale też wspanialsze, co wyrażało się w wielu subtelnych ozdobnikach i zbędnych dodatkach – kopuły były równie powszechne jak iglice. Nawet nieduże sklepy ugięły się pod wymyślnymi mansardami. Osobliwe płaskorzeźby zdobiły drzwi, podpory i framugi okien. W miastach takich jak Medford tego typu dekoracje przybierały kształt winorośli lub kwiatów, ale w Rochelle pojawiały się groteskowe, powykrzywiane twarze. Ozdobne rzygacze miały kształt fantastycznych potworów, małp, lwów i koszmarnych stworzeń, z których tryskała woda spływająca po kamiennych dachach. Wszystko sprawiało wrażenie starego, zniszczonego i sfatygowanego latami deszczy. Wszędzie wokół Royce i Hadrian widzieli rzeźby.

Jedna górowała znacząco nad tłumem. Na okazałym placu na drugim brzegu Roche wznosiła się monumentalna postać mężczyzny. Wycięta z nieskazitelnego białego marmuru miała siedemnaście stóp wysokości i przedstawiała najbardziej idealny okaz rodzaju ludzkiego, jaki Hadrian kiedykolwiek zobaczył. Smukły, muskularny i młody mężczyzna został przedstawiony z opuszczonym ramieniem i ciężarem opartym na jednej nodze – była to tak naturalna, nonszalancka postawa, że równie dobrze mógłby tam stać przyprószony mąką olbrzym. Mężczyzna o nagim torsie trzymał w prawej ręce opuszczony miecz. Novron, domyślił się Hadrian. Nie było to szczególnie trudne, bo posąg wznosił się przed ogromną katedrą. Postać miała wszystkie typowe przymioty półboga: długie włosy, idealną prezencję i charakterystyczny miecz. Gdyby to nie był Novron, to Kościół Nyphrona w Rochelle musiałby się gęsto tłumaczyć.

– Tam! – Royce wskazał sztyl: „Karczma pod Czarnym Łabędziem”.

Skreśli w jej stronę, próbując wyrwać się z ludzkiego potoku. Hadrian poczekał z końmi, a Royce wszedł do środka. Wrócił już po kilku minutach.

– Nie mają żadnych wolnych miejsc.

Ruszyli do zajazdu „Szary Lis”, a potem do „Kła Ogara” i wreszcie

do „Żelaznej Wrony”. Wszędzie pokoje były już zajęte.

– Mają tu listę oczekujących – wyjaśnił Royce po kolejnym powrocie ze złymi wieściami. – Grupa ludzi ma nadzieję, że ktoś wyjedzie i zwolni miejsce. Gość w środku powiedział, że najlepsze miejsce, w jakim możemy mieć nadzieję na wolny pokój, to „Brudny Kufel”. Mówi, że tędy do niego dojedziemy.

Hadrian ucieszył się i przeraził, kiedy wyjechali z gęściej zaludnionych okolic. Cieszyło go, że oddalił się od ścisku, ale niepokoilo go, że kończą się im opcje. Miał nadzieję znaleźć wkrótce jakieś miejsce, zwłaszcza że padało coraz bardziej. Pokonali kolejny, mniejszy i skromniejszy most i znaleźli się w okolicy o równie wąskich, ale ciemniejszych uliczkach. Sklepów było tu niedużo, nawoływacze i stragany całkiem zniknęły. „Brudny Kufel” wyglądał stosownie do swojej nazwy – obskurna buda, która przypominała Hadrianowi karcznię „Pod Ohydny Łbem”, zanim Gwen ją przejęła i zamieniła w znacznie lepszą gospodę „Róża i Cierń”. Chociaż „Brudny Kufel” prezentował się paskudnie, kolejka ludzi ciągnęła się od drzwi i wila się wzdłuż brudnej uliczki.

Zsiedli z koni, Royce je uwiązał, a Hadrian stanął w kolejce. Słyszał, jak deszcz coraz mocniej bębni o dach zajazdu.

– To przez święto – powiedziała stojąca przed nim kobieta do mężczyzny, który stał przed nią. Wypowiedziała to słowo z takim akcentem, że Hadrian potrzebował chwili, żeby ją zrozumieć. – O tej porze roku zawsze jest duży ruch.

– No tak, ale to szczególny rok, nie? Wszyscy się zjechali.

– Nie wiem dlaczego. Dla większości tych ludzi to żadna różnica, nie?

– To co pani tu robi?

– To samo, co pan. Żeby się przekonać, jak bardzo duża okaże się ta „żadna różnica”.

Royce podbiegł. Kaptur zaczął mu połyskiwać, jak zawsze, gdy namókł.

– Kiedy będzie to święto? – zapytał Hadrian stojących przed nimi ludzi.

Kobieta się odwróciła. Była w średnim wieku i miała ciemną skórę

oraz błyszczące oczy w kształcie migdałów. Spojrzała na nich zdumiona, przyglądając się ich strojom. Zerknęła na uwiązane do słupka nieopodal konie.

– Szukacie noclegu?

Hadrian i Royce skinęli głowami.

– To nie chcecie zostać tutaj. – Powiedziała to z takim przekonaniem, jakby wszyscy czekali tam w kolejce do katowskiego pieńka.

Kolejne głowy się obróciły. Hadrian zobaczył twarze mężczyzny, do którego kobieta zagadywała, i stojącej przed nim kobiety. Wszystko Calijczycy. Przed nimi stało dwóch krasnoludów w strojach podróżnych i z torbami na ramionach.

– Ona ma rację – odezwał się jeden z krasnoludów. – Powinniście zatrzymać się w dzielnicy kupieckiej albo na Starymi Mieście. Ta oberża... – wskazał kciukiem „Brudny Kufel” – ...jest obskurna.

– Próbowaliśmy – odpowiedział Hadrian. – Wszystkie miejsca zajęte.

– Jest wolny pokój przy Młynarskiej.

Kobieta, która to powiedziała, nie stała w kolejce. Siedziała na ulicy oparta o ścianę i zawinięta w płachtę podniszczonego żaglowego płótna. Hadrian uznałby, że to dopiero dziewczyna, ale miała dziecko w powijakach na kolanach. Nie zauważył jej, dopóki się nie odezwała.

– Och, przepraszam, stałaś w kolejce? – zapytał przepraszająco Hadrian.

– Nie. Nie stoję w kolejce. – Wypowiedziała te słowa z wahaniem, jakby nie była pewna, czy sobie z niej nie żartował.

– Gdzie ten pokój? – zapytał Royce.

Wskazała kierunek.

– Wynajmuje go stara kobieta. Nie ma szyldu, ale pokój jest wolny. Tędy. Dom z niebieskimi okiennicami i takimi samymi drzwiami, w górę od introligatorni, idąc z powrotem w kierunku dzielnicy kupieckiej.

Royce zerknął we wskazanym kierunku.

– Skoro wiesz o tym miejscu, to czemu siedzisz na deszczu? – Zerknął na dziecko. – Dlaczego sama go nie zajmiesz? Dużo kosztuje?

Kilka osób się roześmiało.

– Skąd jesteście? – zapytał ich Calijczyk.

– Nie stąd – odpowiedział znacząco Royce.

– To jasne. W przeciwnym wypadku nie rozmawialibyście z nią. Ani pewnie ze mną.

– I nie czekalibyście, żeby wejść do „Brudnego Kufla” – dodał jeden z krasnoludów.

– Kobieta, która wynajmuje pokój przy Młynarskiej, jest tutejsza – powiedziała matka z dzieckiem, jakby to wszystko wyjaśniało. A kiedy zauważyła, że nie zrozumieli, dodała: – Mogłabym dobijać się do jej drzwi cały dzień, ale ona nie otworzyłaby komuś takiemu jak ja.

– Dlaczego? – zapytał Hadrian.

Kobieta odsunęła żaglowe płótno, którym osłaniała się jak kapturem, ukazując parę uszu mocno zwężających się przy końcach.

– Nigdzie nie wynajęto by mi pokoju w tym mieście. – Położyła rękę na plecach śpiącego dziecka. – Nawet w „Brudnym Kuflu”. Ich pluskwy są dobre dla takich jak my. – Ostatnie zdanie miało być żartem; nawet zaśmiała się lekko.

Z budy wyszedł mężczyzna i zaczął wymachiwać rękami nad głową, żeby zwrócić uwagę wszystkich.

– Nie ma już miejsc! – krzyknął. – Idźcie szukać gdzie indziej.

Ludzie z kolejki jęknęli chóralnie i zaczęli się rozchodzić.

– To będzie mokra noc – burknął krasnolud.

– I zimna – dodała Calijka.

Royce zerknął na Hadriana, który wzruszył ramionami.

– Jak się nazywa ta kobieta z Młynarskiej?

– Nie wiem – odpowiedziała młoda matka, zasłaniając płótnem głowę i uszy. – Mąż był poborcą podatkowym, co nie przysporzyło jej popularności. Zmarł kilka lat temu. Teraz ona wynajmuje pokój. To niezbyt przyjazna osoba.

– Podobnie jak ja – odrzekł Royce.

* * *

Ulica Młynarska okazała się wąską, wybrukowaną drogą z budynkami z cegły i kamienia tak ciasno upchanymi, że tworzyły dwa nierówne mury. Wąskie balkoniki rzucały cienie na bruk, gdzie deszczówkę skierowano tak, żeby płynęła przy krawężniku. Żadne drzewo, krzak czy trawa nie urozmaicały okolicy. To była poważna ulica, porządna, pozbawiona poczucia humoru okolica, która nie tyle miała marsową minę, ile wręcz krzywiła się w grymasie. Nawet w tak zatłoczonym mieście Młynarska była pustym ciągiem żaluzji i zamkniętych drzwi. Tylko jeden budynek miał niebieskie okiennice. Stał w pobliżu środka kwartału, miał dwa piętra i dwa wąskie okna na każdym piętrze wyposażone w pomalowaną na niebiesko jałową skrzynkę na kwiaty. Staroświecka latarnia ze świeczką oświetlała frontowe drzwi, które pomalowano w takim samym, szafirowym odcieniu co skrzynki. Mosięzna kołatka w kształcie dzięcioła przysiadła pośrodku nad dużym okratowanym okienkiem, z dziobem przy metalowej płytce.

Tak jak wspomniała matka, nic nie wskazywało, że ktoś tu wynajmuje pokój.

– Powinieneś pozwolić mnie załatwić sprawę – powiedział Hadrian, łapiąc za dzięcioła.

Rozległo się zaskakująco głośne stukanie.

– Tobie? Nie potrafisz w ogóle negocjować – odpowiedział Royce, ocierając błoto z butów o ganek. – I jesteś zdecydowanie zbyt hojny. Pozwolisz, żeby ta stara wiedźma oskubała nas ze wszystkich miedziaków.

– Widzisz, właśnie takiego sposobu myślenia powinniśmy unikać. Epitety w rodzaju „stara wiedźma” nie świadczą najlepiej o podejściu do kobiety, która może być skłonna udzielić nam gościny.

Royce zmarszczył czoło.

– Nie zamierzałem tak się do niej zwrócić.

– Ale tak właśnie myślisz.

– Ona nie może usłyszeć moich myśli.

– Niestety, to słyhać w tonie twojego głosu.

– Mój głos nie ma tonu. – Royce skupił się na dzięciole. Nie opuścił kaptura i deszcz nadal bębnił o materiał błyszczący w świetle latarni.

– Poza tym jestem zawodowym złodziejem. Zarabiam na życie,

przekonująco kłamiąc.

– Przerażasz ludzi – odpowiedział Hadrian. – Ta stara wdowa mieszka samotnie. Nie zaryzykuje wynajęcia pokoju komuś, kto ją przeraża. Raczej...

Drzwi się nie otworzyły, ale okienko za mosiężną kratą się odsunęło. Za nim pojawiła się chuda, siwa kobieta o zaciśniętych ustach. Ścisnęła szal przy szyi i spoglądała z lękiem. Najpierw dostrzegła Royce'a.

Przyglądał jej się tylko chwilę, a potem westchnął i odsunął się na bok, dając pole do popisu Hadrianowi.

– Na Bezbożne Bliźniaki! – zaklęła kobieta. Spiorunowała obu wzrokiem. Miała wielkie oczy, zapadnięte i wypukłe, co podkreślały uniesione łuki brwi. – Jeśli szukacie jałmużny, to pukacie do niewłaściwych drzwi. Jeżeli coś sprzedajecie, to dzielnica kupiecka jest w centrum miasta. Jeśli macie wieści, to zapewniam was, że już je słyszałam. Jeżeli przynosicie kłopoty, to... uwierzcie mi, że mam wszystkie, których mi trzeba, rzekłabym, cały asortyment.

Hadrian zamrugał osłupiały.

– Och, przepraszam – złagodziła ton, a jej brwi przestały się unosić, jakby coś do niej dotarło. – Rozumiem. Jesteście tylko parą idiotów. Zmykajcie stąd. Idźcie się bawić w deszczu. Zostawcie w spokoju tego ładnego ptaszka na moich drzwiach. Nie jest prawdziwy, nie potrafi latać. – Machnęła na nich kruchymi palcami. – Tam jest rzeka. Jeśli wpadniecie, to istnieje spora szansa, że już wkrótce zakończą się wszystkie wasze kłopoty. Dobranoc i żegnajcie. – Z uśmiechem zatrzaskała małe okienko za kratą.

– Przyszliśmy, bo szukamy pokoju! – krzyknął za nią Hadrian, podnosząc głos przy każdym kolejnym słowie, już godząc się z przegraną.

– Świetna robota – powiedział Royce. Zaklaskał nieśpiesznie. – Muszę przyznać, że nie robiła wrażenia ani trochę przestraszonej.

Całe drzwi uchyliły się szarpnięte, aż dzięcioł uderzył o płytkę.

– Mówicie, że szukacie pokoju?

– Owszem – odpowiedział Hadrian. – Słyszeliśmy, że ma pani pokój do wynajęcia. To prawda?

– Prawda. – Przyjrzała im się ponownie, marszcząc brwi. – A macie jakiegokolwiek pieniądze?

Royce uśmiechnął się do niej szyderczo.

– Mamy – odpowiedział Hadrian i dorzucił szeroki uśmiech.

Wlał w niego cały swój czar.

– Rozumiem – powiedziała, nadal marszcząc brwi. Teraz jej spojrzenie wyrażało na dokładkę rozczarowanie. Szybko zwróciła się do Royce'a. – Biorę cztery srebrniki za noc. Mam na myśli cztery srebrne tenenty.

Royce zmrużył oczy.

– O ile pokój nie ma bieżącej wody i przydzielonej służby, to musi pani śnić. Dam trzy srebrne diny.

Kobieta pociągnęła nosem.

– Wybacz mi, powiedziałam cztery srebrniki? Miałam na myśli pięć. I przyjmuję tylko tenenty. Nie zamierzam zawracać sobie głowy dinami. Te śmieszne pieniądze to kawałek pomalowanego metalu. W pokoju jest nocnik i łóżko. I ja, młody człowieku, robię za całą obsługę, ale nie oczekuj, że ruszę choćby palcem dla ciebie.

Royce pokręcił głową.

– Zapłacimy trzy srebrniki.

– Nie, jeśli chcecie tu zostać, to zapłacicie sześć.

– Sześć? Ale... – Royce zerknął na Hadriana skonsternowany i poirytowany. Nie okazywał szczególnej cierpliwości w kontaktach z dziećmi i starszymi ludźmi, czy też w ogóle istotami żywymi. – Powinna pani obniżyć cenę. Na tym polega targowanie się.

– A ty powinienes być uprzejmy dla starszych ludzi. Nie jestem wiedźmą.

Royce westchnął.

– Nie sugerowałem, że pani jest.

– Czyżby?

Sporunowała go wzrokiem, który sprawiłby, że mniej odporny chwast już dawno by zwiędł.

– Myślę, że słyszała nas wcześniej – wyjaśnił mu Hadrian.

Royce spojrział na niego gniewnie.

– Domyśliłem się.

– Cena wynosi sześć srebrnych tenentów. Czy może spróbujecie wytargować się o siedem?

Stara kobieta sztywno skrzyżowała ręce na piersi i zacisnęła usta w kwaśnym grymasie. I chociaż byli z Royce'em podobnego wzrostu, udawało jej się patrzeć na niego z góry, gdy czekała na nieuniknioną odpowiedź, jakiej – jak sugerowała jej mina – od początku się spodziewała.

– Ostro się pani targuje jak na nie-wiedźmę.

– Poza tym pada, a miasto pęka w szwach. – Wyciągnęła rękę. – Płatne z góry. Wykopię was bez zwrotów, jeśli nie będziecie przestrzegać moich zasad.

– A mianowicie?

– Macie być cicho, okazywać szacunek i sprzątać po sobie. Żadnych kobiet. Żadnych zwierząt. Żadnego picia. Żadnego palenia. Żadnych wygłupów. Śniadanie jest o świcie. Nie ma kolacji. Nie spóźnijcie się na śniadanie. Nie lubię marnować jedzenia.

Hadrian wyjął monety z sakiewki, a kobieta wzięła je i obejrzała w świetle latarenki.

– Możliwe, że zostaniemy na więcej niż jedną noc – powiedział Hadrian i znowu wsunął palce do sakiewki.

Uniosła dłoń, żeby go powstrzymać.

– Przekonajmy się najpierw, jak ułoży się pierwsza noc, co? A teraz mówcie, jak się nazywacie.

– Baldwin i Grim – powiedział Royce.

Staruszka zacisnęła monety w pięści i odsunęła się na bok, żeby mogli wejść.

– Dobrze więc, panie Baldwin i panie Grim, wasz pokój jest na końcu schodów po lewej. Ja nazywam się Evelyn Hemsworth.

Rozdział 5

Mercator

Mercator Sikara zadygotała na zimnym deszczu, ciaśniej owijając się szalem. Jak często o tej porze roku w Alei Winnej wiało, wiatr niósł znad zatoki wilgoć i sól. Wichura miała otwartą drogę między Grom Galimus i Cesarską Galerią, dwoma najwyższymi budynkami przy Placu Dariusa, a jej podmuchy niosły się potem wzdłuż rzeki. Cieniutki jak pajęczyna szal stanowił nędzną ochronę przed takim atakiem i, jakby tego było mało, padało.

– A proszę, ty nie masz nawet takiego okrycia – powiedziała do ogromnego posągu Novrona, patrząc na deszcz ściekający po marmurze. – Ale pewnie półbogowie nie marzną, co?

Pogoda jest okropna, znacznie gorsza niż w zeszłym roku, pomyślała.

Mercator jak przez mgłę przypominała sobie, że podobnie się czuła poprzedniej wiosny, i zaczęła się zastanawiać, czy nie myśli tak samo każdego roku. Jeśli tak, to tylko z powodu naturalnego porządku rzeczy, zgodnie z którym wszystko schodzi na psy.

A może po prostu się starzeję? Jestem za stara, żeby docenić uroki deszczu pod koniec zimy. Młodzi patrzą na śnieg i zdumiewają się jego pięknem. Starzy patrzą na niego i myślą o niebezpieczeństwie, jakie wiąże się z poślizgnięciem i upadkiem. Czy jestem stara? Oczywiście, że jestem, ale nie tak naprawdę. A może jednak?

Podejrzewała, że ktoś nieznajomy dałby jej nie więcej niż czterdziestkę. A miała więcej. Miała zdecydowanie więcej niż

czterdzieści lat. I nawet bardzo młoda osoba nie znalazłaby przyjemności na tym zimnym deszczu. Jej hipotezę potwierdzali ludzie wokół niej. Wszyscy otulali się najlepiej, jak zdołali, zasłaniając się przed kąśliwą zimą. Straganiarze i klienci nad rzeką pochyłali głowy, ściskali peleryny i garbili się jak jeże na wichurze.

Dlaczego łatwiej jest znosić niedolę w towarzystwie? – zastanawiała się. W przeciwieństwie do zmiennej pogody ta myśl sprawiała wrażenie prawdy nie do obalenia. Liczba dawała siłę, świadczyło o tym każde mrowisko. Mimo to milion pracujących w idealnej harmonii mrówek nie zatrzymałby wiatru ani deszczu. A nawet gdyby zdołał, zawsze istniało pytanie: czy taka próba to mądry pomysł?

Mercator wlekła się ulicą ze swoim brzemieniem do caliskiego handlarza i jego rozchwierutanego wozu pełnego szalików, taniej biżuterii i wieszaków z ubraniami. Erasmus nie był prawdziwym kupcem, to znaczy nie był członkiem gildii kupieckiej w Rochelle. Nie wolno mu było. Był Calijczykiem i chociaż wśród swoich zajmował znaczącą pozycję, nie wolno mu było zajmować się handlem w żaden stały poważny, profesjonalny sposób. Każda jego transakcja była niezgodna z prawem, ale na ruchomy wóz można było przymknąć oko. Nielegalny charakter jego pracy musiał być jednym z największych kosmicznych absurdów – jednemu z największych handlowców świata zakazano pracy w jednym z największych portów handlowych na świecie. Jednakże to miasto, a w gruncie rzeczy cały Alburn, było siedliskiem największych absurdów życia. Mercator aż za dobrze zdawała sobie z tego sprawę, bo na tej samej liście znajdowała się linijka zarezerwowana konkretnie dla niej.

– Dobry wieczór, panie Nym – pozdrowiła Calijczyka, zrzucając torby pod jego nogi.

Mężczyzna, którego znała od dziesięcioleci, zignorował ją i udawał, że poprawia ladę z błyskotkami. Deszcz ściekał z malutkiej markizy w czerwone i białe pasy.

– Mam farbowaną wełnę: tkaniny w belach, przędzę i nici. Ta partia wyszła wyjątkowo dobrze, kolor jest głęboki i nadzwyczaj równo rozłożony.

Erasmus pociągnął nosem i otarł go, zerkając na nią tylko kątem

oka i nadal udając, że jej tam nie ma.

– Za wcześniej – burknął, mamrocząc niewyraźnie, bo starał się nie poruszać ustami. Jego ręce nadal śmigały wśród towarów. – Nie powinno cię tu być. Ludzie zobaczą.

Miał całkowitą rację, przyszła znacznie wcześniej niż zwykle, ale...

– Panie Nym, leje jak z cebra, jest zimno i w miarę upływu czasu będzie coraz gorzej. Nikt na nas nie patrzy. Potrzebuję pieniędzy. Jedzenie to nałóg, w który jak człowiek raz wpadnie, to strasznie trudno go rzucić. – Zamilkła na chwilę, żeby dodać: – A przynajmniej tak słyszałam.

To zmusiło ponurego Calijczyka do uśmiechu. Rozejrzał się po ulicy. Tak jak powiedziała, nikt nie zwracał na nich uwagi. W przeciwnym wypadku nigdy by do niego nie podeszła. Znała zasady i w żaden sposób nie naraziłaby Erasmusa na utratę tego skrawka miejsca na ulicy, który ledwie utrzymywał. Był jednym z nielicznych ludzi, którzy kupowali jej farbowaną wełnę, i był przyjacielem.

– Nie mogę teraz niczego kupić. – W jego oczach pojawiło się współczucie.

Erasmus Nym był dobrym człowiekiem, odważniejszym od większości. Często ryzykował życie i pracę, żeby jej pomóc. Nie mogła o nic więcej prosić, więc teraz tylko skinęła głową.

Kiedy zaczęła podnosić tobołki, zatrzymał ją:

– Chwileczkę.

Odsunął szaliki i wyjął małą sakiewkę. Wysypał z niej kilka monet i położył na ladzie, popychając w jej kierunku.

– A to za co?

– Jestem ci winien za ostatnią partię.

– Nie, nieprawda.

– Może w takim razie za jeszcze wcześniejszą. Po prostu weź te pieniądze.

– Ale...

Erasmus wyciągnął rękę, zdjął piękną, niebieską kamizelkę i rzucił ją na tobołki z farbowaną wełną.

– To też możesz zabrać. Nie sprzedam jej. Wszyscy teraz uważają, że jest przeklęta. Powinienem był ją od razu sprzedać księżnej.

– To czemu nie sprzedałeś?

– Siła nawyku. – Pociągnął nosem. Rozkładało go przeziębienie. Wiosenne przeziębienia to prawdziwe przekleństwo. – Nie mogłem się powstrzymać. Mamy to we krwi, sama wiesz.

Mercator uniosła brwi. To był pierwszy raz od czterdziestu lat, kiedy choćby zasugerował, że oboje ich łączy ta sama krew. A potem zdała sobie sprawę, że wcale tego nie zrobił. Erasmus Nym nie włączał jej do tego „my”. Czasem Mercator słyszała to, co chciała. Oczywiście wcale nie chciała, żeby uważano ją za Calijkę, nie w tym rzecz. Oboje mieli skórę w tym samym kolorze, ale ona nie była Calijką. I chociaż Erasmus Nym był dalekim potomkiem szlacheckiego rodu, to jego ludzie na ulicach Rochelle znaczyli tyle co kurz. Rodzaj Mercator był łajnem, które omijali nawet Calijczycy. A sama Mercator...

– Twoja głowa! – Erasmus nagle machał ręką nad swoją. – Zakryj głowę!

Mercator zauważyła powóz jadący w ich stronę. Szybko poprawiła przemoczony szal i zakryła uszy. Erasmus odwrócił się, udając, że poprawia rzeczy na belkach pod markizą, kiedy powóz ich mijał.

– Nie patrzyli – powiedziała. – Mieli zasunięte zasłony.

– To nie ma znaczenia. Jeśli ktokolwiek zobaczy twoje uszy, jeśli ktokolwiek pomyśli, że zadaję się z mirami... – Rzucił jej poirytowane spojrzenie. – Zabieraj pieniądze i odejdz stąd.

Położył pieniądze na ladzie, bo nie chciał, żeby ktoś zobaczył, jak mi je daje, czy żeby nie dotknąć mojej ręki? Czasem Mercator także widziała rzeczy, których nie chciała widzieć.

Nie potrafiła orzec, co jest bardziej prawdopodobne ani co jest lepsze.

– Zanim odejdę, muszę coś wiedzieć. Są jakieś wieści? Jakies sugestie, że książę podjął działania?

To był prawdziwy powód, dla którego przyszła. Potrzebowała pieniędzy, ale jeszcze bardziej pragnęła nadziei.

Pokręcił głową z gniewnym grymasem. On też tracił cierpliwość. Wszyscy tracili i sytuacja wyglądała źle. Robiło się niebezpiecznie. Erasmus odwrócił się na dźwięk kolejnego przejeżdżającego powozu i spiorunował ją wzrokiem.

Wzięła monety, podniosła kamizelkę, tobołki i odeszła.

* * *

Upchnięta między odkrytymi ściekami i kanałem, który odprowadzał nadmiar wody z rzeki, zrujnowana dzielnica zwana przez swoich mieszkańców Melrah, a przez wszystkich innych Gawronią Kolonią, nie miała wybrukowanych ulic, więc deszcz zamienił wąskie arterie z ziemi, popiołu i nocnych nieczystości w breję. Większość budynków w tej części Rochelle dawno została opuszczona. Ponieważ mieszkańcy nie mieli pieniędzy na naprawy ani prawa do ich przeprowadzenia, dachy i mury waliły się, kiedy kolejne belki pękały przegniłe. Ludzie Mercator wykorzystywali resztki belek jako opał w zimne noce, wybebeszając własne schronienia dla odrobiny ciepła. Stary las wdzierał się do Melrah, jakby chciał odebrać to, co mu skradziono. Ścięcie drzew na opał nie byłoby trudne, ale nie wolno im było tego robić. Teoretycznie nie wolno im było także palić drewna z walących się ścian i schodów. Ogólna liczba zakazów obejmująca mieszkańców Kolonii wydawała się nieskończona. Mimo to Mercator doceniała to, co było jej dane. Nadal na liście zakazów nie było jednego: mirom nie zakazano jeszcze żyć.

Chociaż czy to naprawdę jest życie?

Mercator mijała tych, którzy siedzieli zawinięci w szmaty, kulili się za każdą osłoną i w każdym suchym zakątku. Szła w stronę światła małego ognia, gdzie pół tuzina mirów nadal grzało się pod ocalałym kawałkiem dachu starego młyna. Seton pierwsza ją zauważyła i uśmiech opromienił jej dziewczęcą twarz. Dziewczęcą. Kolejny absurd. Powinna myśleć o niej nie jak o dziewczynie, ale jako o *gyn*, jednak nawet w jej własnym umyśle ludzka mowa wypierała stary język. Dziewczyna to ludzki potomek płci żeńskiej, a nie osiemdziesięcioletnia mir, w której żyłach płynęło tak mało ludzkiej krwi, że miała typowe jasne włosy i błękitne oczy starożytnych Instaryów i wyglądała jak nastolatka. Jednak, jak w przypadku walących się domów, i w tym korzystali z tego, co mieli.

Przynajmniej w porównaniu z Mercator Seton rzeczywiście była dzieckiem.

– Wróciłaś! – zawołała Seton i oderwała się od ciepłego ogniska, żeby wyściskać Mercator.

Te objęcia były niespodzianką. Mercator nie spodziewała się tego i takie otwarte okazanie uczuć ją przytłoczyło. W nieposkromionych objęciach dziewczyny, która nie zważała na jej przemoczone ubrania, poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Podziękowała deszczowi za to, że je ukrył.

– Jakież wieści? – zapytała Seton.

– Minęły dwa tygodnie – powiedział Vymir. – Musiało do tej pory coś się wydarzyć. Już prawie wiosna.

Mercator pokręciła głową i radość na ich twarzach zgasła.

– Nie – odpowiedziała, wyciągając monety. – Ale mamy to.

Obeszła ognisko i upuściła po monecie do każdej dłoni.

Kiedy doszła do Seton, dziewczyna nie podniosła ręki.

– To twoje pieniądze.

– Pomagałaś zbierać rośliny potrzebne do farbowania.

– I tylko tyle – zaprotestowała Seton. – Gdybyś mi pozwoliła...

Mercator wzięła jej rękę i siłą wsunęła do niej monetę.

– W przeciwieństwie do ciebie nie muszę ładnie wyglądać.

Twarz Seton pociemniała.

– Uroda zawsze była dla mnie przekleństwem. Sama wiesz. Byłoby lepiej, gdybym urodziła się jako zdeformowana kaleka. Gdyby nie *rasa...*>

– To się wydarzyło wiele lat temu.

– To nadal mnie prześladowuje. Poza tym na co mi uroda, kiedy jestem mirem, paskudnym elfem, który...

– Jesteś piękna – przerwała jej stanowczo Mercator – wszyscy jesteśmy, nawet Vymir. – Mrugnęła do niego porozumiewawczo. – Nie pozwól, żeby opinia ignorantów zmieniała twoją prawdę w kłamstwo.

Seton się skrzywiła i opuściła wzrok na ubłocone stopy.

– Ośmiolatek rzucił dziś we mnie kamieniem. Byłam na ulicy, po prostu szłam, na miłość Ferrola! A on rzucił we mnie kamieniem wielkości jajka, który podała mu matka. Nie trafił, więc dała mu

następny. Po pewnym czasie trudno nie widzieć siebie taką, jaką oni mnie widzą.

– Po pewnym czasie? – Mercator uśmiechnęła się, nadal mocno trzymając blade ręce dziewczyny w swoich niebieskawo-czarnych palcach. – Mam sto dwadzieścia trzy lata i pozwól, że coś ci powiem. Po pewnym czasie poznasz prawdę na temat ludzi, a ta prawda brzmi następująco: ludzie nie mają o niczym pojęcia. Są bardziej tępi od bydła, które, goniąc jedno za drugim, spada z urwiska. Musisz słuchać osób.

Seton zmrużyła oczy, nie rozumiejąc.

– Posłuchaj, z osobą możesz porozmawiać. Jednostkę możesz przekonać. Zwykle. Ale ludzie to coś całkiem innego. W grupie gubią siebie. Nieważne, czy to istoty ludzkie, krasnoludy, czy mirowie, jeśli zamkniesz w pokoju trzy osoby albo więcej, to zaczną produkować głupotę, jakby to była złota nić. Pod tym względem są pracownicy jak pszczołki, tyle że owoce ich pracy nigdy nie są słodkie. Nie słuchaj ich. Słuchaj mnie. Nie słuchaj ludzi. Słuchaj osoby.

Mercator pochyliła się i spojrzała Seton w oczy, uśmiechając się kojąco.

– Sytuacja się poprawi. Zadbam o to. To mój obowiązek jako głowy rodu Sikara. Jestem to winna mojemu dziadkowi i jego ojcu.

– Od wieków jest tak samo – powiedziała dziewczyna.

– Wiem, ale nadchodzi wiosna. Zaufaj mi. Naprawdę nadchodzi wiosna.

Seton westchnęła i skinęła głową, lecz ewidentnie jej nie uwierzyła.

Mercator nie miała jej tego za złe. Sama z trudem w to wierzyła.

– Dobrze. A jutro weź tę monetę do dzielnicy caliskiej i kup sobie coś dobrego do jedzenia.

Mercator odwróciła się, żeby wyjść.

– Mamy jedzenie – poinformowała ją wesoło Estrya.

– Tak? – Mercator się odwróciła.

Wszyscy z dumą pokiwali głowami.

Estrya wskazała czarny garnek na ogniu.

– Vymir i Bista znaleźli grzyby rosnące w zaułku pod skrzynką. Zostaniesz, prawda? Przynajmniej tyle możemy dla ciebie zrobić.

Mercator pokręciła głową.

– Nie muszę zaglądać pod pokrywkę, żeby wiedzieć, że nie macie dość dla trzech osób, nie wspominając o siedmiu. Poza tym muszę wracać. I tak za długo mnie nie było.

– Dokąd musisz iść? – zapytała Seton.

Mercator uśmiechnęła się cierpko.

– To tajemnica.

– Nie możesz mi powiedzieć? – Seton była zaszokowana.

– Nawet tobie.

Jej twarz zdradzała ból.

– Nie ufasz mi?

– To nie jest kwestia zaufania, to kwestia odpowiedzialności. Jestem głową rodu, więc nieprzyjemne zadania spadają na mnie. – Mercator uniosła ręce, żeby rękawy opadły i odsłoniły niebieską aż po łokcie skórę. – Widzisz? To idealny przykład. Niektóre rzeczy zostawiają ślady, których nie da się zetrzeć, a ja muszę zrobić kolejną tego typu rzecz. – Odwróciła się od ognia. – Życzę wam smacznego. Niedługo sytuacja się poprawi. Obiecuję.

Pomachała im po raz ostatni i wyszła z powrotem na zimny deszcz.

Rozdział 6

Przy jagnięcinie i piwie

Royce oniemiał, kiedy wspięli się po schodach i otworzyli drzwi. Pokój stanowił ucieleśnienie przytulności. Duży kominek obudowany pięknie rzeźbionym ciemnym drewnem zajmował większość jednej ściany. Ogień już trzaskał za mosiężnym parawanikiem. Figurka chłopca na łyżwach zdobiła jeden koniec półki nad kominkiem, a na drugim stał kandelabr. Ciemnobordowa tapeta zdobiła ściany, ciężkie zasłony okalały wysokie okna, gruby, caliski dywan przykrywał drewnianą podłogę. Wyściełane krzesła, komody i stoliki tworzyły przyjemny kącik do siedzenia w pobliżu kominka. Wielkie łóżko praktycznie wypełniało cały sąsiedni pokój. Na ścianach wisiały obrazy, w koszu obok kompletu kominkowego leżały miechy. Pokój wyposażono także w lampy, poduszki i lustro. Na biurku leżały nawet papier listowy i pióro.

Hadrian upuścił torby przy drzwiach.

– To najładniejszy pokój, w jakim spałem. – Spojrzał na swoje brudne buty. – Boję się ruszyć.

Royce rozejrzał się skonsternowany. Obszedł szybko pokój, zaglądając za szafę i zasłony. W większości miejsc, w których nocowali, znajdował mursz, pleśń, szcurze bobki, a czasem krew. Tutaj zobaczył tylko czyściuteńkie drewno i wypolerowane szkło.

– Nic dziwnego, że nie chciała się targować.

Hadrian podszedł do szafki z miedniczką.

– Obok miski leży mydło. I ręczniki z wyhaftowanym nazwiskiem

Hemsworth.

Royce zerknął, kiwając głową.

– Przez to trudniej je sprzedać, jeśli je ukradniesz. Trzeba zapłacić za sprucie haftu. Za to nie ma nazwiska na dywanie. – Przyjrzał się skomplikowanemu wzorowi z kwiatów. – Jak myślisz, ile dostalibyśmy za niego? Fortunę, co? Moglibyśmy wyrzucić go przez okno. Nie narobiłby dużo hałasu, uderzając o bruk.

Hadrian podniósł wzrok znad ręczników i pokręcił głową.

– Nie będziemy okradać wdowy.

Royce spojrział czule na dywan.

– To ewidentnie bogata wdowa.

– Jesteśmy tu z powodu zadania, zapomniałeś?

Royce odwrócił się do okien, rozgryzając kwestie logistyczne. Były za wąskie, żeby przez nie wejść, ale dywan bez problemu dałoby się przez nie wyrzucić. O ile ramy okienne nie skleiły się z framugą przy malowaniu, to mógłby zwinąć dywan i wysunąć przez okno, podczas gdy Hadrian czekałby na dole. Spokojnie mogliby go załadować na konia. Cała trudność polegała na zorientowaniu się, gdzie go potem sprzedać. To zawsze największe wyzwanie, gdy pracuje się na nieznanym terenie.

Hadrian pstryknął palcami, przywołując uwagę Royce'a.

– Halo! Skup się. Powiedziałaś, że podoba ci się nasze zadanie. Możemy się na tym skupić? Możliwe, że będziesz mógł zabić paru ludzi, zapomniałeś?

Royce podniósł wzrok.

– Racja.

Posłał jeszcze jedno tęskne spojrzenie dywanowi.

– Możemy wysprzątać ten pokój później. Nie ma sensu robić tego teraz i stracić lokum.

Hadrian usiadł na jednym z wyściełanych krzeseł i sprawiał wrażenie równie swobodnego, jak gdyby siedział na dmuchanym szkłe. Spojrział na stołeczek przed sobą, ale nie oparł na nim stóp.

– Co zrobimy w pierwszej kolejności?

Royce podszedł do okna i, prawie nie poruszając zasłoną, wyjrzał na ulicę. Padało mocniej i mokry bruk lśnił w dole. Ich konie, które

zostawili przed domem, zażywały zimnej kąpieli.

– Musimy zakwaterować gdzieś nasze konie, znaleźć jakieś jedzenie i zebrać trochę informacji. Kiedy tylko deszcz trochę osłabnie, odwiedzimy biuro informacji.

– Co? Skąd pomysł, że w Rochelle coś takiego istnieje?

– Jest w każdym mieście.

– Karczma?

Royce pokręcił głową.

– Burdel.

* * *

Nie przestało całkiem padać i chociaż znaleźli miejsce dla koni, to nie udało im się wypatrzeć nawet jednego burdelu po prawie dwóch godzinach poszukiwań. Jak na tak gęsto zaludnione miasto jak Rochelle, było to bardzo dziwne. Według oceny Royce'a miasto było tylko odrobinę mniejsze od Colnory, w której funkcjonowały co najmniej trzydzieści dwa domy uciech. Było ich o trzy więcej niż licencjonowanych karczm, osiem więcej niż zajazdów. Nawet Medford, który w porównaniu z nimi był prowincjonalną wioską, miał dwanaście burdeli. Obeszli obie strony rzeki i nie natrafili na ani jeden.

Byli głodni i przemoczeni, więc zapach przyrządzonego mięsa okazał się nieodpartą pokusą. Hadrian zaciągnął ich do miejsca o nazwie „Dom Mięsiw” – małej, zadymionej i zatłoczonej szopy z wypaczonego od wilgoci drewna przy wąskiej uliczce. Sprzedawano tam funtowe porcje kawałków jagnięciny lub wieprzowiny na poplamionych tłuszczem deszczułkach.

– Najświeższe mięso w mieście. Dostajemy je z rzeźni po sąsiedzku – poinformował ich kucharz.

Obaj kupili po kawałku jagnięciny od człowieka, który pracował przy roźnie. Potem wzięli sobie po kuflu, które stały już napełnione piwem na ladzie, i oparli się łokciami o długą, wąską półkę, która pełniła funkcję stołu dla wszystkich. Z racji mężczyzn stojących

rzędem, przeżuwających parujące mięso i wpatrujących się w drewnianą ścianę ozdobioną wieloletnimi plamami tłuszczu, „Dom Mięsiw” przypominał żłób dla bydła. Jedyne światło padało z otwartego paleniska z rożnem, kiedy tłuszcz skapywał na węgielki i płomienie buchały jaśniej. I chociaż jadłodajnia robiła okropne wrażenie, było tam sucho i ciepło, a mięso było przynajmniej gorące.

Muskularny łysy zbir ubrany w poplamioną roboczą niebieską koszulę, który śmierdział rybami i nie miał nawet szalika, chroniącego go przed chłodem, usiłował oderwać kęs mięsa od kości i nie poparzyć przy tym palców.

– Może lepiej poczekać, aż trochę przestygnie – zasugerował Royce.

Łysy mężczyzna odwrócił głowę i spojrzał podejrzliwie na Royce’a. Psy też tak robią przy jedzeniu.

– Mam tylko kilka minut do przybycia następnego trawlera – odpowiedział, oblizując palce. – Dam radę pracować z poparzonymi rękami, ale nie z pustym żołądkiem.

– Fatalna noc do pracy na dworze.

– Każda noc jest dobra, jeśli dostaje się wypłatę.

Royce’owi nie podobała się perspektywa poparzeń, więc odciął sobie kęs Alverstone’em. Wrzucił kawałek do ust, ale musiał nabrać przy tym powietrza, żeby nie poparzyć języka. Zaszokowany odkrył, że mięso jest delikatne i aromatyczne, chociaż, kto jak kto, ale Royce powinien wiedzieć, że nie należy sądzić po pozorach.

Hadrian stał na lewo od niego i rozmawiał cicho z drobnym gościem w szarym kapturze. Royce miał wyczulony słuch, ale wiele rzeczy utrudniało mu słuchanie. Tak dużo osób mówiło naraz, że trudno było skupić się na jednej rozmowie. On i Hadrian potrzebowali informacji, ale chociaż Hadrian był przyjacielski i lubił rozmawiać, to miał skłonność do zdradzania zbyt dużej liczby niepotrzebnych szczegółów. Royce wierzył, że ostatecznie ich zadanie przyjmie niezgodną z prawem i brutalną formę, więc wolał monitorować poczynania przyjaciela. Lepiej upewnić się, że Hadrian nie zdradzi ich prawdziwych nazwisk, miejsca pochodzenia ani faktu, że najpewniej zamordują księcia Rochelle.

Po jakimś czasie Royce się rozluźnił. Mimo jego rozlicznych

komentarzy wyrażających całkowicie przeciwne zdanie, Hadrian nie był idiotą. W przeciwnym wypadku zakończyliby już współpracę. Chociaż jego przyjaciel zachował niemądre przekonanie, że większość ludzi jest zasadniczo dobra, to przynajmniej nauczył się nie ufać każdemu, kto się do niego uśmiechnie. Ponieważ dwa haczyki w wodzie złapią więcej ryb naraz, Royce odwrócił się plecami do Hadriana i skupił się na łysym mężczyźnie po swojej prawej stronie.

Oparł łokcie na półce i zgarbił się jak miejscowy, a potem zapytał:

– Jeśli człowiek szuka czegoś na rozgrzewkę w nocy poza kocem, to masz pojęcie, gdzie to znajdzie?

– Chcesz whisky?

Bardziej tępy, niż myślałem.

Royce pokręcił głową.

– Myślałem raczej o kobiecym towarzystwie, no wiesz, odpłatnym.

Łysy odwrócił się do niego. Jego oświetlona ogniem twarz błyszczała od grubej warstwy tłuszczu, którym się opryskał.

– Tego tu nie dostaniesz. To niezgodne z prawem. – Obracając całą głową, oderwał kolejny kęs jagnięciny od kości i rzucił z otwartymi ustami: – Kościół tego nie pochwała.

– Kościół nie pochwała mnóstwa rzeczy – zauważył Royce – co nie znaczy, że nie istnieją.

– Tutaj nie istnieją.

– Skąd wy dwaj jesteście? – zapytał stojący obok łysego smukły, śniady mężczyzna, któremu tłuszcz kapał z podbródka.

– Z Maranonu – odpowiedział Royce. – Z małej krainy zwanej Dulgath.

– Aha. – Śniady mężczyzna pokiwał głową, zdradzając to, na co Royce miał nadzieję: całkowitą ignorancję. – Tom ma rację. Nie wiem, jak to wygląda u was, ale Rochelle to pobożne miasto. – W jego ustach zabrzmiało to jak „poboczne”.

– Cnotliwe i czyste jak pierwszy płatek śniegu zimą – dodał Tom z ustami pełnymi mięsa.

I obaj zarechotali. Słyszając swój śmiech, usmarowani tłuszczem geniusze zaśmiali się jeszcze głośniejszym, aż łysy prawie udławił się na śmierć kawałkiem jagnięciny. Zakaszłał, wypluł do ręki chrząstkę,

przyjrzał jej się i włożył z powrotem do ust.

Royce napił się z kufła i odkrył, że piwo śmierdzi malizną. Nie chodziło o wielkość kufła, bo mieścił więcej piwa, niż Royce zamierzał wypić, ale o zawartość alkoholu. Takie cienkie piwo to napitek biedaka, podobnie jak rozwodnione wino serwowane podczas kościelnych nabożeństw. Miało raczej gasić pragnienie niż upijać. Royce'owi nie chciało się pić, ale chciał zachować pozory.

– Wy dwaj jesteście tutejsi, co?

– Urodziłem się w porcie – odpowiedział łysy. – Przejąłem robotę ojca przy rozładunku rybnych trawlerów. Dlatego przybiegam aż tu w czasie przerwy. Na Mara, nie znoszę ryb.

– Ja pochodzę z Blycourt – odpowiedział drugi. – To miejscowość na wschodzie, bliżej Zamku Blythin. Pewnie o nim słyszałeś. Ale moja rodzina przeprowadziła się tutaj, gdy byłem dzieckiem. Większość życia spędziłem w Małym Gur Em. – Wskazał coś za drzwiami, jakby to miało jakieś znaczenie.

– Miło poznać miejscowych. – Royce zmusił się do mówienia z pełnymi ustami i pozwolił, żeby tłuszcz spływał mu po podbródku. – Może powiecie mi nieco o mieście. Na co uważać, gdzie nie chodzić.

Śniady jegomość tak szybko zaczął odpowiadać, że jedzenie prawie wypadło mu z ust i musiał je zasłonić ręką.

– Przyjechałeś z okazji Święta Wiosny?

– Aha, chociaż nie czuje się jeszcze wiosny. Nie spodziewałem się takich tłumów.

Miejscowy pokiwał głową.

– Biskup ogłosił, że każdy, kto pragnie korony, musi zjawić się na uczcie, inaczej nie będzie spełniał warunków, żeby zostać królem. Dlatego zjechali się arystokraci ze wszystkich stron. Niektórzy myślą wręcz, że biskup urządzi zawody i zwycięzca dostanie koronę.

– To sporo wyjaśnia. Mieliśmy kłopot ze znalezieniem noclegu. Macie pojęcie, kto zostanie wybrany?

– Najpewniej księżę Floret Killian – podsunął Tom.

– A co z Leopoldem Hargrave'em? Jest księciem Rochelle, nie? – zapytał Royce.

– Stary Leo nie ma dzieci. A król potrzebuje potomków.

– Dopiero co się ożenił, prawda? – dopytywał się Royce. – Jeszcze może mieć dzieci, chociaż... słyszałem coś o tym, że jego żona zaginęła... To prawda?

Po słowach Royce'a radosne uśmiechy na twarzach obu mężczyzn zgasły jak świece.

Spojrzeni na siebie nerwowo, a potem rozejrzeli się po szopie, kiedy płomienie buchnęły i cienie wspięły się po ścianach.

– Muszę wracać. Trawler zaraz pewnie przyplynie. – Łysy wyłopał resztę piwa i otarł twarz rękawem.

Zanim przepchnął się do wyjścia, przeszył Royce'a podejrzliwym spojrzeniem.

Śniady patrzył ponad pustym miejscem zostawionym przez śpieszącego się łyska. Obrzucił Royce'a spojrzeniem od stóp do głów.

– Szukasz księżnej? – Jego słowa sięgnęły ostrożnie jak palce szukające w ciemnościach.

– Niczego takiego nie powiedziałem. Chciałem tylko pogadać.

– Co tu robisz... panie... ehm... mówiłeś, że jak się nazywasz?

– On nazywa się Grim, a ja Baldwin – wtrącił się Hadrian, wyciągając rękę zza Royce'a. – A pan?

Mężczyzna spojrział na dłoń Hadriana jak na syczącego węża.

– A mnie tu nie ma – odpowiedział.

Odsunął się, zdjął niebieską chusteczkę z szyi i otarł ręce. Bez słowa poszedł do wyjścia.

Royce i Hadrian spojrzeli po sobie zdumieni.

– Ciekawe – mruknął Royce.

– Powiedziałem gościowi, który ze mną rozmawiał, że nazywam się Baldwin – szepnął Hadrian. – Nie chciałem, żebyś wybrał to samo nazwisko.

Royce rozejrzał się za mężczyzną w szarym kapturze.

– A gdzie właściwie jest gość, z którym rozmawiałeś?

– Wspomniałem o księżnej i natychmiast przypomniał sobie, że zapomniał nakarmić kota.

Royce rozejrzał się po „Domu Mięsiw”. Dym wypełniał miejsce, gdzie rząd mężczyzn opierał się o półkę, popijając piwo i odrywając gorące kęsy mięsa. Zbyt wiele oczu zerkało w ich stronę.

Więcej niż wcześniej? – zastanawiał się Royce.

– Może powinniśmy...

– Wyjść stąd? – Hadrian się uśmiechnął. – Myślałem o tym samym. Przełknął resztę piwa i razem wyszli na ulicę.

* * *

„Dom Mięsiw” stał w zaniedbanej okolicy kilka przecznic od miejskiego portu. Royce poprowadził ich w górę, z powrotem w kierunku wynajętego pokoju, trzymając się z dala od tłumów. Szli coraz węższymi uliczkami między ceglanyymi murami, zaułkami, w których cieniach przemykały szczury. Nadal padało – woda spływała po murach i lała się z dachów, zbierając się w strumień i grożąc, że za chwilę wybije z przykrytych tylko kratą rynsztoków.

– Rozumiem, że nie dowiedziałaś się niczego przydatnego? – spytał Royce.

– Poza faktem, że na ulicach miasta grasuje potwór, który wyrywa ludziom serca?

– Słodkie, ale...

– Nie żartuję. Właśnie to mi powiedział.

– Ten gość od kota?

Hadrian pokiwał głową.

– Miał takie same uszy jak matka, która powiedziała nam o pokoju do wynajęcia. Starał się je ukryć, ale widać było, że są spiczaste, kiedy obrócił głowę.

– Nazywają ich „mirami”, to pół elfy, pół ludzie.

– Mir to elfickie słowo? W Calisie nazywają ich *kaz*.

Royce skinął głową.

– Chyba tak, ale nie wiem, co znaczy „kaz”. Poza tym, że znaczy „powszechnie znienawidzony”, rzecz jasna.

Doszli do szczytu niewielkiego wzgórza. Ulica skręcała w prawo, więc, żeby nie zmieniać kierunku, Royce skręcił w boczną uliczkę w lewo. Nie miał pewności, ale miał nadzieję, że doprowadzi go do szerszej arterii. Poza tym była spokojniejszą, ciemniejszą drogą, a czuł

potrzebę zniknięcia. Nie spędzili w tym mieście jeszcze choćby nocy, a już czuł, że popełnili błąd, i nie mógł nawet winić za to Hadriana.

– A ty? – zapytał Hadrian. – Miałeś więcej szczęścia?

– Odrobinę. Wiem, dlaczego panuje tu taki tłok. Podobno trzeba pojawić się na uczcie z okazji Święta Wiosny, żeby zostać wybranym na króla. Wszyscy arystokraci z Alburnu muszą tu być, a pospólstwo zjechało się, żeby zobaczyć, kto zostanie wybrany. A, i możliwe, że Leo nie ożenił się z Genny tylko dla pieniędzy.

– Dlaczego tak myślisz?

– Kandydaci muszą mieć potomka.

Hadrian się uśmiechnął.

– Co znaczy...

– Tak, tak, to raczej wątpliwe, żeby księżę ją zabił, ale to nie znaczy, że ona rzeczywiście żyje. Mogła zostać zamordowana przez jego rywala.

Hadrian skinął głową.

– Ale możliwe, że jednak żyje. Nie musi być martwa, żeby biskup nie wybrał jej męża. Może siedzi gdzieś przetrzymywana do czasu wyboru nowego króla.

Obeszli kałużę. Ulica, którą teraz szli, była tak wąska, że bardziej przypominała zaułek. Nie poprowadzono jej też z taką precyzją jak ulicę Młynarską. Co prawda zbudowano rynsztoki – Royce widział kratki odpływowe w równych odległościach – ale woda do nich nie spływała. Zbierała się głównie w zagłębieniach i dziurach, których nigdy nie naprawiono.

– Hmm... – mruknął zamyślony Hadrian.

– Co?

– Nie uważasz, że to podejrzane?

– Uważam, że wszystko jest podejrzane. Możesz wyrażać się konkretniej?

– Gabriel Winter powiedział, że Reinhold oraz cała jego rodzina nie żyją. Widziałem go raz, kiedy robił przegląd wojsk. Ten staruszek miał tyle dzieci, że mógłby zostać honorowym królikiem. I żadne z nich nie przeżyło? To dziwne. Jego śmierć i zaginięcie Genny mogą być powiązane. Możliwe, że natknęliśmy się na coś więcej niż tylko

zniknięcie zamożnej kobiety. Powinniśmy dowiedzieć się, co stało się z poprzednim królem. Moglibyśmy chyba zapytać Evelyn Hemsworth. Może coś wie.

Royce się skrzywił.

– Czy ty się właśnie wzdrygnąłeś? – Hadrian zaczął rechotać. – Wzdrygnąłeś się, nie? Niesławny pan Grim drży na myśl o rozmowie ze starą kobietą?

– O, bo ty pewnie aż rwiesz się do jutrzejszego śniadania w jej towarzystwie? Będzie cudnie! O ile zasuszona zamknięta w domu starowina w ogóle coś jada. Założę się, że żyje z krwi, którą wysysa kozom.

– Nie jest taka straszna.

Royce przystanął i spojrzał Hadrianowi prosto w twarz.

Hadrian się przygarbił.

– No dobrze, drażni jak szorstka wełna na poparzonej słońcem skórze, ale ma najlepszy...

Głośny hałas przebił się przez szum deszczu za ich plecami.

Obaj obrócili się błyskawicznie.

Byli sami na ciemnej ulicy. Chwilę wcześniej Royce uznał brak światła za zaletę, ale teraz miał powód, żeby zmienić zdanie. Bardziej podejrzane ulice zadowalały się latarniami naftowymi, niektóre radziły sobie z pochodniami, wiele nie miało żadnego oświetlenia, ale nawet w najgorszych okolicach padało światło z okien. Z wyjątkiem miejsca, w którym stali. Na tej ulicy nie było żadnego światła. Ani żadnych drzwi. Po obu jej stronach wznosił się wysoki na dwa piętra mur.

Odgłosu nie dało się z niczym pomylić – w ich kierunku pędziły konie.

– Czy to jest to, o czym myślę? – zapytał Hadrian.

Na ulicę za ich plecami wjechał z łoskotem wóz – jeden z tych dużych, o wysokich bokach, w których przewozi się bydło – zaprzężony w dwa czarne konie pociągowe pędzące na złamanie karku. Ulica była tak wąska, że koła zazgrzytały o mur raz po jednej stronie, potem po drugiej. Nawet w ciemności Royce widział pot pieniaący się na bokach zwierząt, ich odchylone uszy i szeroko otwarte,

przerażone ślepia. Konie były spanikowane.

– W nogi! – krzyknął Royce.

Razem popędzili ulicą, ale Royce już wiedział, że nie zdążą dobiec do przecznicy.

– Tutaj! – Skierował Hadriana do kraty rynsztokowej.

Obaj padli na kolana i wspólnie zdołali podnieść kartę, za którą widniała niezbyt zachęcająca dziura. Posypały się iskry i oświetliły ciemny zaułek, kiedy metalowa oś lewego koła wozu zazgrzytała o ceglany mur. Royce nie szukał drabiny. Nie było nawet czasu, żeby spojrzeć w dół. Wszystko jest lepsze od stratowania na śmierć. Oczywiście to nie była prawda. Musiał to przyznać przed sobą, kiedy skoczył w dziurę. Istniało wiele gorszych rzeczy, ale Royce wątpił, żeby cokolwiek z tej listy znajdowało się na dnie kanału. Poza tym Royce zasadniczo lubił kanały. Wychował się w jednym.

* * *

Upadek nie był długi, a poziom wody okazał się wyższy, niż Royce się spodziewał, co w pierwszej chwili wydawało się dobre. Royce zawsze uważał, że lepiej uderzyć w wodę niż w kamień, kiedy skacze się do ciemnej dziury nieznanej głębokości. Po pierwszym plusku i obowiązkowym gwałtownym złapaniu powietrza, miał sekundę, żeby się zorientować, że woda sięga mu do piersi. Sekundę potem odkrył, że poziom wody ma całkiem spore znaczenie w połączeniu z napływem deszczówki. Potężny prąd ściął jego i Hadriana z nóg i cisnął nimi przez ciemny tunel. Pościerali sobie nogi i łokcie o kamienne ściany, zbyt śliskie od szlamu, żeby się ich chwycić.

Snopy światła wpadającego przez inne kratki kanalizacyjne przecinały co pewien czas ciemność. Rozbłyski pozwoliły Royce'owi ocenić z grubsza, jak szybko płyną. Wolniej od kłusującego konia, ale niewiele wolniej, pomyślał. Wrażenie było dziwne i upiorne. Unosili się na wodzie w ciemności, a plamy słabego światła, przez które przelatywali, były rozmieszczone w niemal regularnych odstępach i stanowiły jedyny wyznacznik upływającego czasu i pokonywanej

przestrzeni. Między kamiennymi ścianami każdy dźwięk powracał echem, każdy plusk, ciurkanie, szum wody ulegały wzmocnieniu.

– Nie jest dobrze! – krzyknął Hadrian.

Głos kompana odbił się od ścian tunelu, przez co Royce nie potrafili określić jego położenia. Czyżby znajdował się za nim?

– Co cię skłoniło do tego wniosku?

– Jak myślisz, dokąd ten tunel prowadzi?

– Będę strzelał: do zatoki.

Wpadli w ostry zakręt i Royce sięgnął, żeby się złapać przyległej ściany. Zebrał tylko garść szlamu.

– O ile się chcesz założyć, że nie wylewa się na ładną, miękką plażę?! – wrzasnął Hadrian.

Minęli kolejne kraty wpuszczające światło. Korzystając z rozbłysku, Royce się rozejrzał. Hadrian znajdował się kawałek za nim i nieco na lewo. Nurt sprawiał, że obaj byli idealnie zsynchronizowani. Wymachując rękami i nogami najmocniej, jak zdołał, Royce zmniejszył dzielącą ich odległość, aż wreszcie złapał Hadriana za stopę. I wtedy Hadrian wierzgnął.

– Przestań, bałwanie! – wrzasnął Royce.

– To ty?

– Tak, to ja. Nie ruszaj się!

Royce znowu złapał go za stopę i pociągnął, a potem złapał go za pas, żeby na pewno się już nie rozłączyli.

– Myślałem... – Hadrian urwał. – Nie wiem, co myślałem. W końcu jesteśmy w kanale, nie? Kto wie, co tu siedzi.

– Posłuż się swoim mieczem – powiedział Royce. – Tym dużym. Może o coś nim zaczepisz.

Poczuł, jak Hadrian skręca tułów, a potem usłyszał zgrzyt metalu, ale nie zauważył, żeby znacząco zwolnili.

Znowu przepłynęli blisko ściany. Hadrian wyciągnął się i wykręcił ciało. Ponownie rozległ się zgrzyt. Kilka razy nimi szarpnęło i wreszcie poczuł, jak woda na nich napiera. Za mocno, żeby Hadrian ich utrzymał i zaraz znowu nurt ich porwał.

– Ściany i podłoga są zbyt gładkie – zameldował Hadrian. – Potrzebuję czegoś, o co zahaczę klingę.

– Tam! – Royce wskazał następną kratę. – Widzę światło.

– Za wysoko. Nie dam...

– Nie krata, obok niej! Schody!

W słabym świetle Royce dostrzegł kilka kamiennych stopni schodzących do ścieku. Zdał sobie sprawę, że pewnie dla Hadriana jest za ciemno, żeby coś zauważył.

– Zaufaj mi. Dokładnie przed następnym snopem światła. Po lewej. Machaj nogami!

Wierzgali kończynami ze wszystkich sił, co niewiele zmieniło kurs. Prąd trzymał ich i wszystko inne uwięzione dokładnie pośrodku.

Nie uda nam się, zdał sobie sprawę Royce, kiedy światło znowu ujawniło ich szybkość i niemożność przesunięcia się w bok.

– Trzymaj się! – krzyknął Hadrian, kiedy zbliżyli się do kraty.

Zanurkował pod wodę. Chwilę potem Royce omal nie wypuścił pasa Hadriana, kiedy partner odbił się od dna ścieku w stronę stopni. Trzymając głowicę długiego miecza w jednej ręce, a jelec w drugiej, zaczepił się o róg, gdzie przepływające ścieki pieniły się, uderzając w ścianę. Stękając głośno Hadrian pociągnął ich w bok. Nurt stawał się coraz słabszy, im bardziej odsuwali się od środka, mimo to Hadrianowi ręce trzęsły się z wysiłku, żeby utrzymać ich nieruchomo, gdy woda pieniała mu się na wysokości twarzy.

– Ruchy! Ruchy! – krzyknął Hadrian.

Royce wspiął się po Hadrianie i złapał się krawędzi schodów. Potem sięgnął, żeby wciągnąć przyjaciela. Obaj wyczołgali się na dolny stopień i padli, dysząc w ciemności i słuchając szumu pędzącej wody. Rozległ się echem głośny brzęk, kiedy Hadrian odłożył espadon na kamień. Nie mógł się położyć, więc oparł się plecami o ścianę i wyciągnął nogi wzdłuż stopnia. Oparł głowę i jęknął, próbując złapać oddech. Royce kuczał z głową między kolanami, wypluwał ścieki z ust i odgarniał do tyłu włosy.

– To było odświeżające – powiedział zadyszany Hadrian.

Głos mu drżał.

Słabe światło wpadało przez kratę nad schodami, dostatecznie mocne, żeby Royce widział twarz partnera. Hadrian drżał na całym ciele, a jego oddech malował się mgiełką. Noc od początku była

chłodna, a chodzenie na deszczu to całkiem co innego niż przemoczenie do suchej nitki. Przynajmniej nie wiało, ale to się zmieni, kiedy tylko wyjdą na powierzchnię. Royce zazgrzytał zębami na samą myśl.

– Co się przed chwilą wydarzyło? – zapytał Hadrian. – Chciałbym uwierzyć, że konie przypadkiem się spłoszyły i pobiegły w naszym kierunku.

– Na poza tym całkiem pustej ulicy? – zapytał sceptycznie Royce. – Ulicy bez okien i drzwi?

– Powiedziałem, że chciałem w to wierzyć.

Podnieśli się obaj i wspięli po paru stopniach, a potem przystanęli, żeby wyżyć nieco ubranie.

– Ktoś próbował nas zabić, prawda? – spytał Hadrian.

– Z całą pewnością tak to wygląda.

Hadrian włożył espadon do pochwy na plecach.

– Ale przecież dopiero co tu przyjechaliśmy.

– Wiem. To nie w porządku, co? – Royce wyjął pelerynę, z której pociekła na stopnie woda. – Możesz mieć rację, myślę, że wpakowaliśmy się w coś poważniejszego niż sprawa męża, który zabił żonę dla pieniędzy.

– Ale dlaczego ktokolwiek... No wiesz, skąd ktokolwiek wiedziałby, co tu robimy? Czy myślisz, że traktują tak wszystkich przybyszów? „Hej, witajcie w mieście. Macie tutaj kawałek jagnięciny, którą można wypalić sobie usta, niewiarygodnie słabe piwo i nie zapomnijcie o darmowym wozie zaprzężonym w spłoszone konie!”

– Rozpytywaliśmy się o księżną.

– Pytaliśmy... Czekał... Mówisz serio? To z tego powodu?

Royce skinął głową. Popatrzył po wilgotnych, ociekających ścianach kanału.

– To miasto pod wieloma względami przypomina mi Ratibor. Jest tłoczniejsze, bardziej ozdobne, nie ma burdeli, ale panuje tutaj ta sama mentalność. Łysy robotnik portowy i jego kumpel nie zwiiali przed nami, ale pobiegli do kogoś, może do paru ktosiów.

– Ale dlaczego ten ktoś chciałby nas zabić? My tylko...

– Domyślam się, że nie chce, żebyśmy interesowali się księżną.

– Bo nie żyje? – zapytał Hadrian. – Czy dlatego, że nadal żyje?

Royce zastanowił się i uznał, że nie ma najmniejszego pojęcia. Po prawie całej nocy spędzonej w tym mieście miał więcej pytań niż zaraz po przyjeździe.

Rozdział 7

Śniadanie

Royce i Hadrian przyszli na śniadanie punktualnie.

Evelyn Hemsworth siedziała przy stole zastawionym rozległą kolekcją zastawy i przykrytym trzema obrusami: na żółtym leżał niebieski, a na nim nieskazitelnie biały. Porcelanowe dzbanuszki na śmietankę, filiżanki, talerze i pojemniki z przyprawami ustawiono z taką precyzją, że Hadrian zastanawiał się, czy kobieta posłużyła się pionem i przykładnicą. Kryształowe kieliszki pyszniły się nad srebrnymi widelcami i nożami, które strzegły przykrytych serwetkami talerzy. Imponujące srebrne tace z ozdobnymi pokrywkami ustawiono z podobną precyzją w kole wokół wysokiej na dwie stopy srebrnej rzeźby przedstawiającej palmę, u której podnóża stali trzej mężczyźni w caliskich turbanach i szatach, trzymając kandelabry. Chociaż nie było widać żadnego jedzenia, cały dom pachniał świeżymi ciastkami i skwierczącym bekonem.

U szczytu stołu siedziała Evelyn. Wyglądała dokładnie tak jak poprzedniej nocy: włosy upięte w kok, wizytowa sukienka z wysokim, obcisłym kołnierzykiem, na którego widok Hadrian przełknął współczująco ślinę. Patrzyła na nich dwóch dużymi, przeszywającymi oczami i marszczyła krytycznie brwi, ściągając mocno usta.

Royce spojrzał na Hadriana, który odpowiedział spojrzeniem. Obaj nie bardzo wiedzieli, co teraz – usiąść, przywitać się, zapytać, czy mogą się dosiąść?

– Dzień dobry – zaryzykował Hadrian powitanie, siląc się na

beztroskę.

– Spóźniliście się – odpowiedziała.

Hadrian wyrzwał za okno. Poranne słońce dopiero co wpadało przez okno, zastępując blask gasnącego ognia i sprawiając, że kryształowe kieliszki rozbłysły tęczowo.

– Powiedziała pani o świcie.

– Owszem. Świt był osiem minut temu.

– Ale słońce...

– Słońce dociera do tego domu dopiero osiem minut po świcie z powodu Garderoby Lardnera na wzgórzu przy skrzyżowaniu z ulicą Howella, budynku wysokiego na całe trzy piętra, którego cień pada na mój dom.

Hadrian otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie miał nic do dodania.

– Siadajcie – rozkazała.

Obaj wypełnili polecenie. Hadrian usiadł pośrodku. Royce usiadł na najdalszym miejscu.

– Wspaniale pachnie – powiedział Hadrian, wyciągając rękę, żeby zajrzeć pod srebrną przykrywkę dokładnie naprzeciwko niego.

– Ejże! – zaprotestowała Evelyn i klasnęła w ręce, powstrzymując go. – Co z wami, ludzie? – Spiorunowała ich oskarżycielskim spojrzeniem.

Hadrian znowu zerknął na Royce'a zdumiony. Prawda była taka, że mógłby odpowiedzieć na to pytanie na kilkanaście różnych sposobów.

– Nie ma w was za grosz poczucia przyzwoitości? Krztyny pobożności?

Hadrian nadal nie miał pojęcia, do czego zmierza staruszka, i najwyraźniej było to po nim widać. Spojrzała na niego chmurnie.

– Musimy podziękować za posiłek Panu Naszemu, Novronowi.

– Aha – odpowiedział Hadrian.

– Aha? – Rozczarowanie w oczach Evelyn zapłonęło jeszcze mocniej. – Co to za reakcja?

Obawiając się, że kolejną odpowiedzią tylko pogorszy sytuację, Hadrian wzruszył ramionami.

– Teraz zachowuje się jak małpa – odezwała się do Royce'a, jakby on

mógł zrozumieć i ją poprzeć.

Royce siedział sztywno i tylko patrzył. Hadrian wyobrażał sobie, że przyjaciel zabawia się, rozważając po kolei różne sposoby, w jakie mógłby ją zabić, i wypróbować każdy w myślach.

Evelyn odwróciła się wyczekująco do Hadriana. Minęła długa minuta, a wraz z upływem czasu jej brwi unosiły się coraz wyżej.

– No więc?

– No więc co? – zapytał Hadrian.

Evelyn osłupiała.

– Chcesz mi powiedzieć, że... Czy słusznie zakładam, że nigdy nie składałeś dziękczynienia Novronowi za dobry los? Jak to możliwe? Wylęgliście się w jakiejś jaskini i dlatego nie pojmujecie najbardziej podstawowych idei cywilizacji i oddania naszemu bogu?

Hadrian spojrzał na Royce'a, szukając u niego pomocy, i nie zdziwił się, gdy zobaczył, że partner naciąga kaptur na głowę.

– Nie nosimy kapturów przy stole! – Evelyn powiedziała to tak stanowczo, że zabrzmiało to jak bezsporny fakt.

Royce zamarł jak szop przyłapaný w koszu na śmieci.

– Naprawdę, wy dwaj... Jakbym mieszkała ze zwierzętami.

– Przepraszam – powiedział Hadrian. – Nie jesteśmy z tych stron.

– Najwyraźniej. Mieszkacie w lesie, najpewniej w jakiejś ziemiance pełnej robactwa.

– Jeśli to nas zbliży do posiłku, to popieramy wszelkie podziękowania, jakie planowała pani złożyć. Prawda? – Zerknął na Royce'a, który zastygł z w połowie uniesionym kapturem i wpatrywał się w Evelyn groźnym, nieruchomym wzrokiem.

– Dobrze. – Evelyn westchnęła ciężko ogromnie rozczarowana. A potem pochyliła głowę. – Dziękujemy ci, Panie Nasz, Novronie, za jedzenie przed nami. Obyśmy okazali się godni twojej dobroci. – Uniosła głowę i spojrzała na Hadriana.

– Mam to teraz powtórzyć?

Poirytowana Evelyn pokręciła głową.

– Po prostu... Po prostu jedzcie. Proszę.

Po podniesieniu pokrywek ujrzeli parujące zatrząsienie jajek, wieprzowiny, sera, ryby, mały, miodu, migdałów, ciasteczek

i serwatki. Na chwilę przytłoczyło to Hadriana.

– Pani... to wszystko sama przygotowała?

– Oczywiście, że nie. Nie widziałeś armii skrzatów, które wyszły stąd gęsiego, kiedy obrażałeś Naszego Pana? Najbardziej podobają mi się ich malutkie fartuszki, a tobie?

– Ja... – Hadrian nie był pewien, czy staruszka sobie z niego kpi.

– Jedz! – rozkazała.

Podawali sobie tace i nakładali jedzenie na talerze. Hadrian czuł się ogromnie egoistyczny i zepsuty, nakładając sobie tak dużo, ale Evelyn upierała się, że przygotowała to dla nich, więc lepiej, żeby jedli.

– Nie słyszałam, kiedy wczoraj wróciliście – powiedziała, nalewając sobie herbaty z wymyślnego czajniczka w kształcie słonia.

Dla Evelyn Hemsworth i Royce'a czajnik był pewnie jedynie dziwnym pomysłem pełnego wyobraźni artysty, ale Hadrian widział te zwierzęta na własne oczy. Widział je podczas lat spędzonych w Calisie, gdzie posługiwano się słoniami jako zwierzętami jucznymi i bojowymi. Dużo elementów zastawy było zainspirowanych Calisem, o ile wręcz z niego nie pochodziły. Port w Rochelle to pewnie pierwszy przystanek na szlaku handlowym wiodącym przez Morze Goblinów. Nawet solniczka i pieprzniczka były ozdobione małpkami.

– Zauważyłam jednak, że zostawiliście sporą kałużę na dywanie i brzydki mokry ślad wiodący schodami na górę. Proszę na przyszłość zdejmować buty. Jestem starą kobietą i mam dość pracy. Nie potrzebuję, żebyście dokładali mi zajęć. I pamiętajcie, że zamykam drzwi zaraz po tym, jak dzwony wybiją po raz trzeci po zachodzie słońca. – Sięgnęła po cukier i zamarła. – Nie macie jakichś niecznych planów, prawda? Nie będę tolerować żadnych szwindli i szachrajstw, skoro już o tym mowa. Nie w tym domu. Zrozumiano? Póki tu przebywacie, oczekuję, że obaj będziecie zachowywać się przyzwoicie. A pan... – skinęła głową w stronę Royce'a i uniosła brew – ...proszę, żeby nie wkładał pan peleryny do stołu. I proszę myć ręce przed zejściem na posiłek. Kim byli pańscy rodzice? Naprawdę chciałabym wiedzieć.

Jedli przez kilka minut w ciszy. Jedzenie było cudowne, ale Evelyn

niewiele jadła.

– Mogę zapytać, co się stało z królem Reinholdem? – zagadnęła ją Hadrian, za co Royce rzucił mu trwożne spojrzenie. Obaj aż się wzdrygnęli, oczekując reakcji. Rozmowa z Evelyn przypominała szukanie zabłąkanych jajek w ciemnym kurniku.

Evelyn westchnęła.

– Przepraszam, jeśli to jest stosowny temat przy śniadaniu – dodał Hadrian.

– Co? Och, nie, nic nie szkodzi, ale cóż, Jego Wysokość... – Evelyn zmarszczyła brwi, patrząc w talerz, na którym leżały mała bułeczka i kawałek pomarańczowego sera. – To była prawdziwa tragedia, sami rozumiecie. Jego okręt, *Wieczne Imperium*, zatonął podczas sztormu przy Cyplu Blythin jakieś pięć miesięcy temu. Cała królewska rodzina przebywała na pokładzie wraz z najwierniejszymi dworzanami. To dlatego godność namiestnika przypadła biskupowi Tynewellowi.

– Dlaczego biskupowi? – zapytał Hadrian.

– Głównie z racji tradycji. Kiedy ostatni władca imperium novrońskiego umarł, biskup Percepliquis przejął urząd namiestnika imperium. – Patrzyła na nich przez chwilę wyczekująco. – Nie macie pojęcia, o czym mówię, co?

– Nie bardzo – przyznał Hadrian.

Westchnęła.

– Jakbym rozmawiała z dziećmi. Jesteście jak dwójka pięciolateków przebranych za dorosłych. Boję się wypuścić was na ulicę. Moglibyście wziąć cukierka od nieznanego i dać się porwać w najciemniejszy zakątek Calisu.

– On by mógł. – Royce wskazał palcem Hadriana.

– Nie pokazuj palcem – zbeształa go Evelyn. – To niegrzeczne.

Royce przewrócił oczami.

– Uważaj, młody człowieku. Stąpasz po kruchym lodzie.

Royce uśmiechnął się do niej wyzywająco.

– Akurat w tym jestem całkiem niezły.

Hadrianowi nie podobał się wyraz oczu przyjaciela – z zaskoczzonego szopa zmienił się w głodną panterę.

– Chyba chciała pani powiedzieć nam więcej o śmierci króla

Reinholda?

– Niezupełnie. Wyjaśniałam fakty z historii powszechnej, w której znajomości ty i twój przyjaciel macie wręcz zdumiewające braki, podobnie zresztą jak w kwestiach higieny osobistej i należytych manier.

– Jasne – odpowiedział Hadrian. – W rzeczy samej. Proszę mówić dalej.

– No cóż, w Alburnie można by rzec, że historia to nasza pasja, sami rozumiecie. Tutejsi ludzie są dumni ze swojego dziedzictwa. Widzicie, jesteśmy jedyni w swoim rodzaju na świecie. To nasz związek z przeszłością definiuje nas jako ludzi. Dlatego kontakt z kimś takim jak wy, obskuranckimi umysłami w kwestiach tak ważnych, jest dla nas dużym rozczarowaniem. – Umilkła, żeby wziąć oddech albo dać możliwość Hadrianowi udowodnić jej słuszność, na przykład za pomocą pytania, co znaczy słowo „obskurancki”. Nie złapał tej przynęty.

– Zamierzałam powiedzieć wam, że po śmierci ostatniego imperatora i jego rodziny, po zniszczeniu stołecznego miasta Percepliquis, biskup Venlin przejął rządy. To on oficjalnie kierował imperium z miejsca znajdującego się na zachód stąd. Wtedy to była imperialna prowincja Alburnia. Biskup, bo nim był wtedy patriarcha, rządził pozostałościami imperium z Zamku Blythin, dopóki nie ukończył budowy swojej katedry. – Wskazała gestem, ale nie palcem, wschód. – Już wtedy Rochelle było kwitnącym miastem portowym. Musicie zrozumieć, że w tamtym czasie wszystkie tereny na zachód od Gór Wyniosłych pogrążyły się w całkowitym chaosie, ponieważ drobni watażkowie zagarniali ziemię i władzę.

Hadrian chciał zauważyć, że niewiele się zmieniło, ale nie zamierzał przerywać Evelyn. Miał nadzieję, że jej opowieści rzucają jakieś światło na ostatnie wydarzenia. Royce sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie słuchał, kiedy nożem zeskrobywał z talerza resztki jajka.

– Wszyscy wierni sztandarowi imperatora przybyli tutaj. Calderowie, Killianowie, Hargrave'owie, to wszystko były ważne rodziny na dworze ostatniego imperatora. Alburn stał się siedzibą imperium na wygnaniu. Wszystko, co udało się uratować,

przywieziono tutaj, żeby to przechować: pamiątki, książki, posągi, obrazy. Jak więc widzicie, Alburn w ogólności, a Rochelle w szczególności są bardzo silnie powiązane z tradycjami imperium novrońskiego. Dlatego, kiedy król i cała jego rodzina utonęli na Morzu Goblinów, naturalną kolejną rzeczą biskup zajął urząd namiestnika. To proste.

– To było proste? – zapytał Royce i oblizał do czysta nóż.

– Ja to nazywam myśleniem, mój drogi. Jeżeli to poćwiczysz, twój umysł stanie się mocniejszy.

Royce zmienił chwyt na nożu, łapiąc go za ostrze.

– I co stało się potem? – spytał szybko Hadrian. – Dlaczego to nadal nie jest imperium na wygnaniu? Dlaczego patriarcha tu nie został? W jaki sposób Reinhold został królem? Nie jest z Calderów, Killianów czy Hargrave'ów, prawda?

– Nie. To wszystko była robota Glenmorgana. Był wielkim zwycięzcą wyścigów do tronu. Największy zbir na zachodzie, jeśli tak wolicie to ująć. Kiedy Glenmorgan najechał na Alburnię, patriarcha uniknął grabieży, namaszczając go na prawie imperatora, innymi słowami namiestnika. Kiedy Glenmorgan ustanowił swoją siedzibę na północy w Ervanonie, patriarcha musiał do niego dołączyć. Jednakże chociaż głowa Kościoła udała się do Ghentu, jego serce zostało tutaj. Na przykład rycerze Sereta nadal mają swoją kwartę główną na Zamku Blythin, tak jak to było zawsze.

– A Reinhold?

– Jego praprapradziadek czy ktoś taki, został wyznaczony na gubernatora Alburnu przez Glenmorgana. Wybrał sobie na siedzibę miasto leżące najdalej na zachód, Caren, najbardziej odsunięte od konserwatywnych imperialistów. Kiedy stary dobry Glenny III został stracony w Blythin, gubernator, a potem jego syn, nadal rządzą, tyle że już jako królowie.

– A ponieważ wszyscy zaginęli na morzu, nie ma żadnych innych potomków z ich rodu, zgadza się? – upewnił się Hadrian.

– W rzeczy samej, a biskup dokona wyboru podczas Święta Wiosny.

– Evelyn spojrzała z góry na Royce'a, który się skrzywił. – Nie jesz. Na Novrona, jesteś chudy jak krucha garstka zeszłorocznej trawy. To

dlatego nosisz taką obszerną pelerynę, co? Wstydzisz się tego, jaki jesteś drobny. No to jedz. Nie urośniesz taki duży i silny jak twój przyjaciel, jeśli nie będziesz jadł.

* * *

– Musimy znaleźć nowe lokum – powiedział Royce, kiedy tylko wyszli z domu, i ruszył ulicą z niezwykłą szybkością.

Przestało padać, ociepliło się i jeśli pominąć niewielką mgłę i parę kałuż, był to względnie ładny dzień.

– Nie ma innego lokum, zapomniałeś? – odpowiedział Hadrian, wyciągając nogi, żeby nadążyć z Royce’em, który praktycznie biegł. – Wczoraj szukaliśmy całą wieczność.

– Tylko przez kilka godzin. – Royce obejrzał się po raz trzeci, jakby Evelyn Hemsworth deptała mu po piętach.

Ulica Młynarska ożyła. Jechały nią powozy, dziewczyna sprzedawała pierwsze wiosenne kwiaty z małego wózka, mężczyzna z wozem dostarczał mleko i ser do domów, mały psiak o pysku mopsa żebrał o jedzenie, przechodnie z laskami i w grubych pelerynach lawirowali między wozami, kałużami i sobą nawzajem. Zupełnie inny świat w porównaniu z poprzednim wieczorem.

– O co ci chodzi? – zdumiał się Hadrian. – Nie pamiętasz, jak wyglądał „Brudny Kufel”? Dom Hemsworth jest naprawdę przytulny. I to jedzenie! To mógł być najlepszy posiłek w moim życiu.

– Ta kobieta to wariatka.

– Ja właściwie ją polubiłem.

Royce się zatrzymał. Stał pośrodku ulicy między dwoma podobnej wielkości kopczykami końskiego łajna i piorunował partnera wzrokiem z miną tak zaszokowaną, że niemal przerażoną.

Hadrian zrobił jeszcze dwa kroki, zanim zauważył, że Royce stanął.

– Co znowu? – Obejrzał się z miną na wpół niewiniątka, na wpół winowajcy. – Jest miła... na swój autorytarny, fałszywie skromny i zarozumiały sposób. Myśl o niej jak o matce, której nigdy nie miałeś.

Royce się skrzywił.

– Jeśli moja matka chociaż trochę ją przypominała, to cieszę się, że jej nie znałem.

Znowu ruszyli, schodząc z drogi wozowi z nabiałem. Na platformie stało pół tuzina skopków wielkości beczek, zroszonych białymi łzami.

– Ona ma rację, wiesz? – dodał Hadrian. – Powinieneś więcej jeść, jeśli chcesz wyrosnąć na takiego dużego i silnego jak ja. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Royce naciągnął kaptur.

– Nie odzywaj się do mnie.

Wspięli się na wzgórze, z którego rozciągał się rozległy widok na miasto, głównie dachy i dymiące kominy. Jednak kiedy przestało już padać, a mgła wisiała tylko wokół portu, Hadrian zdołał wreszcie stworzyć w głowie mapę tego miasta. Rochelle leżało po obu stronach rzeki Roche, wpadającej do Zatoki Blythin, która w większości tonęła we mgle. Podzielone na pół miasto rozrosło się na obu brzegach, a port zdominował ujście rzeki. Pośrodku Roche leżała długa, wąska wyspa, która łączyła się z brzegami dwoma kamiennymi mostami.

Wyspa, poza tym, że umożliwiała przejście z jednego brzegu na drugi, była całkowicie zarezerwowana dla księcia. To było oczywiste z racji imponującego muru, który okalał tereny pałacowe. Okolice najbliższych mostów na obu brzegach były najzamożniejsze. Im dalej od rzeki, tym bardziej miasto stawało się nędzne i zaniedbane. Tereny na wschodzie kawałek od rzeki obejmowały katedrę i wielki plac. Hadrian podejrzewał, że właśnie tę okolicę ludzie nazywają Starym Miastem. Na wschód od niej znajdował się kolejny plac otoczony przez sklepy. Hadrian domyślał się, że to dzielnica kupiecka, chociaż po drugiej stronie rzeki było równie dużo sklepów, więc nie miał pewności.

Royce ruszył na południe w stronę omglonej zatoki i węższych, brudniejszych ulic. Hadrian pamiętał tę okolicę z poprzedniego wieczoru. W świetle dnia wyglądała jeszcze gorzej. „Dom Mięsiw” znajdował się przed nimi, po prawej stronie.

– Co tu znowu robimy? Dopiero co jedliśmy.

– Tym razem nie szukamy jedzenia. Musimy znaleźć... Tam! – Royce wskazał budynek sąsiadujący z „Domem Mięsiw”.

Upiornie wyglądająca piętrowa konstrukcja z szarego, poplamionego drewna przypominała z grubsza stodołę. Wysokie dwuskrzydłowe drzwi były poplamione czerwonymi odciskami rąk przy krawędziach i zasuwie. Stał przed nimi rząd wozów. Kołysały się i podskakiwały z powodu mnóstwa niespokojnych pasażerów – głównie świń, które kwiczały i chrząkały.

– To rzeźnia.

Royce skinął głową.

– Kucharz powiedział, że dostają świeże mięso z rzeźni po sąsiedzku. Wóz, który wczoraj o mały włos nas nie zabił, służył do przewozu żywego inwentarza. Tak samo jak te tutaj.

– Royce, na pewno w mieście i w okolicy są setki takich wozów.

– Ale tylko te miał akurat pod ręką ktoś, kto podsłuchiwał naszą rozmowę.

Royce podszedł do wozów i przeszedł wzdłuż ich rzędu w tę i z powrotem, uważnie je oglądając. Były stare i zniszczone. Miały wysokie i wyblakłe od słońca boki. Duże koła były oblepione gnojem i słomą. Hadrian wyobraził sobie, jakie to musi być uczucie, kiedy jedno takie koło, a może nawet dwa, przetaczają się po człowieku. Śmierć pod wozem z rzeźni nie znajdowała się na jego liście najlepszych sposobów na odejście z tego świata.

– Jest jakiś problem z moimi wozami?

Z budynku wyszedł mężczyzna w obryzganym krwią fartuchu i wyświechtanej skórzanej mycce. Miał zakrwawioną szmatkę w jednej ręce i ociekający posoką topór w drugiej.

– Tak – odpowiedział Royce. – Myślę, że jest. – Wskazał na trzeci w rzędzie. – Ta piasta, widzisz? Metal wygląda na zdarty, jakby niedawno ktoś go opiłował albo może otarł nim o ceglany mur.

Rzeźnik nawet nie spojrzał.

– To żaden problem.

– Dla mnie owszem. – Royce zrobił krok w stronę mężczyzny. – Wóz został skradziony? Zniknął zeszłego wieczoru? Musiałeś go szukać dziś rano?

Rzeźnik zastanowił się chwilę, a potem splunął na ziemię.

– Nie. Stał tu całą noc. Nawet nie drgnął. A dla ciebie to niby jaki

problem?

– Masz rację. To nie mój problem. – Royce się uśmiechnął i zrobił następny krok w stronę rzeźnika. – W tej chwili to już twój problem.

Hadriana fascynowało to, jak podobny do kota stawał się Royce, kiedy szykował się do zabijania. Źrenice mu się rozszerzały z podniecenia. Hadrian nie miał pewności, czy Royce zabije rzeźnika. Zwykle nie mordował na widoku na ruchliwej ulicy, ale mowa jego ciała była oczywista.

– Ktoś próbował mnie zabić tym wozem zeszłego wieczoru, a ponieważ nie został skradziony... – Royce zrobił kolejny krok – ...założę, że to twoja sprawka.

Podczas gdy rzeźnik przetrawiał oskarżenie, Royce rzucił się na niego.

W jego przypadku liczyły się sekundy. Na szczęście Hadrian spodziewał się ataku, chociaż rzeźnik nie miał o niczym pojęcia, i stanął między nimi dwoma. Rzeźnik wreszcie zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa i się cofnął.

– Zejdź mi z drogi! – warknął Royce, kiedy Hadrian wyciągnął rękę, uniemożliwiając złodziejowi łatwe wyminięcie go.

– Trzymaj go z dala ode mnie! – krzyknął rzeźnik. – To wariat. Nic nie zrobiłem.

– Nie jest wariatem – próbował wyjaśnić Hadrian. – Myśli, że próbowałeś go zabić... właściwie, ehm... nas.

– Pomocy! Pomocy! – krzyczał rzeźnik, cofając się.

Royce przechylił się w lewo, potem w prawo, ale Hadrian cały czas go blokował. Dla rzeźnika, czy kogokolwiek innego, kto by patrzył, wyglądałoby to tak, jakby Royce robił, co w jego mocy, żeby ominąć partnera. To nie była prawda. Royce mógłby tańczyć z rozeźlonym grzechotnikiem i nie dałby się ukąsić. Przechwalał się raz, że potrafi uskakiwać przed strzałami. Hadrian nigdy tego nie widział, ale mu wierzył. Gdyby Royce naprawdę chciał go obejść, Hadrian nie zdołałby go powstrzymać.

– Odsuń się – warknął Royce. – Zabiję go.

Rzeźnik wytrzeszczył oczy i jego błagania stały się naprawdę desperackie:

– Ratunku! Niech ktoś... ktokolwiek... mi pomoże!

Kilka osób na ulicy przystanęło i zaczęło się gapić. Starszy mężczyzna i dwie kobiety zaciekawili się, ale nie stanowili zagrożenia. Z kolei dwóch robotników, którzy układali worki z paszą kawałek dalej przy ulicy, warto było mieć na oku. Oni też przerwali pracę i odwrócili się w ich stronę. W tej chwili twarze wszystkich wyrażały zdziwienie, ale niedługo to się zmieni.

Hadrian zwrócił się do rzeźnika:

– Słuchaj, próbujemy się tylko dowiedzieć, kto próbował nas wczoraj rozjechać.

– To on – upierał się Royce, sięgając pod pelerynę i wyciągając Alverstone’a. – I zamierzam go potraktować tak, jak on traktuje swoje świnię. Czas na rzeź, ty macioro o szczurzym ogonie!

Rzeźnik spojrział na lśniący biały sztylet i z piskiem, który trochę przypominał świński kwik, odwrócił się do ucieczki.

Hadrian podciął mu nogę.

– Nie uciekaj! Cokolwiek zrobisz, nie uciekaj! Wtedy naprawdę cię zabije. Twoją jedyną nadzieją jest trzymać się blisko mnie.

To było tylko po części kłamstwo. Royce celowo straszył mężczyznę w nadziei, że wyciągnie z niego jakieś informacje, ale Royce to Royce i porównanie do kota pasowało aż za dobrze. Istniała spora szansa, że jeśli rzeźnik był zamieszany w atak, a okaże się niezbyt pomocny albo przestanie być potencjalnym tropem...

– Pomocy! Ja nic nie zrobiłem! – krzyczał leżący na plecach rzeźnik. Upuścił topór rzeźnicki i szmatę, obie ręce uniósł, żeby zasłonić się przed spodziewanym atakiem. – Nic nie wiem o wozie. Nie pilnowałem go przez całą noc. Spałem. Może ktoś go wziął. Może go wzięli i odstawili z powrotem. Nie wiem. Ale nic złego nie zrobiłem!

– Stać! Stać w imieniu księcia! – Ulicą biegła trójka mężczyzn w kolczugach i niebieskich kasakach. Straż miejska.

Hadrian zmarszczył brwi, gdy zdał sobie sprawę, że nawet jeśli Royce tylko grał, to teraz sytuacja stała się poważna. Widział strażników w mieście, ale wcześniej tylko w parach. Powód, dla którego zjawiała się trójka, natychmiast stał się jasny. Pierwszy nosił hełm z żółtym grzebieniem z końskiego włosa typowy dla oficera,

a jego twarz wydawała się znajoma.

– Co tu się dzieje? – zapytał oficer, podbiegając. Zobaczył sztylet Royce'a i sięgnął ręką do miecza. Towarzyszący mu żołnierze poszli za jego przykładem.

Royce przykucnął. Koniec żartów. Stał w gotowości do walki.

– Roland Wyberg? – zapytał Hadrian. – Na Mara! To naprawdę ty?

Nikt się nie poruszył.

Oficer zmrużył oczy, przyglądając mu się. Rozdziawił usta ze zdumieniem.

– Blackwater?

I wtedy ku niepomiernemu zdziwieniu wszystkich zgromadzonych, w tym gapiów na ulicy, obaj uścisnęli sobie dłonie.

– Nadal żyjesz – powiedział Hadrian, poklepując oficera po plecach.

– Kto by pomyślał.

– Ja? To ty zniknąłeś. Spodziewałem się... No wiesz, wszyscy myśleli, że nie żyjesz. Krążyły wieści, że zasztyletował cię patrol z Warric.

– Przepraszam! – krzyknął rzeźnik, który nadal leżał na ziemi. Wskazał Royce'a. – Ten człowiek zamierzał mnie zabić.

Roland popatrzył na Hadriana i przeniósł wzrok na Royce'a.

– Twój przyjaciel?

– Owszem. – Hadrian pokiwał głową. – Myślimy, że rzeźnik mógł próbować nas zabić zeszłej nocy.

– Nie – powiedział Royce. – To po prostu idiota.

– Widzieliście go! Zamierzał mnie zabić! – Rzeźnik wskazał Royce'a palcem.

Całkiem przyzwoicie parodiując Evelyn Hemsworth, złodziej odrzekł:

– Nie pokazuj palcem, to niegrzeczne.

– O co tu chodzi? – dopytywał się Wyberg.

– Ktoś próbował nas rozjechać wozem z rzeźni – odpowiedział Hadrian. – Dokładnie tamtym.

Oficer przyglądał się chwilę wozom, mrużąc oczy w zamyśleniu.

– Jesteście pewni, że to nie był wypadek? – Skupił się na Hadrianie z nową uwagą. – Jest jakiś powód, dla którego ktoś chciałby waszej śmierci? Co właściwie tu robisz, Blackwater? I skoro już o tym mowa,

to dlaczego wcześniej zniknęłaś?

Royce skinął głową w stronę tłumu, który się rozrósł, chociaż groźba przemocy zmaląła. Już tuzin ludzi stał na ulicy, a schodzili się następni.

– Możemy kontynuować tę rozmowę w nieco mniej publicznym miejscu? Może na placu głównym? Na miejskiej scenie?

Roland rozejrzał się i zmarszczył brwi, widząc widownię.

– Kawałek dalej przy tej ulicy jest posterunek straży. – Wskazał kciukiem jednego z żołnierzy za sobą. – Sprawdzalem, co u tych dwóch, kiedy usłyszeliśmy krzyki. Mogę zaproponować kawę, ale nic mocniejszego.

– Nie aresztuje ich pan? – zapytał rzeźnik, który nadal leżał na ziemi, jakby nie mógł się podnieść.

– Za to, że cię nastraszyli?

Rzeźnik nabzdyczył się teatralnie.

Oficer wskazał „Dom Mięsiw”, kiedy go mijali.

– Jeśli zgłodnieliście, to możemy tam coś zjeść. Lokal nie wygląda szczególnie, ale jedzenie jest dobre.

– Nie! – odpowiedzieli zgodnie Royce i Hadrian.

Rozdział 8

Opowieść o dwóch żołnierzach

Dzieciak, którego Hadrian pamiętał, był szczupłym siedemnastolatkiem o głębokich dołeczkach w policzkach, które przyciągały kobiety, jak misa cukierków przyciąga dzieci. Nie widział Wyberga od sześciu lat, odkąd opuścił służbę u króla Reinholda. Roland niewiele się zmienił. Nabrał ciała, ale zawsze potrzebował paru dodatkowych funtów. Ze smukłego chłopca zmienił się w krzepkiego mężczyznę, ale dołeczki nie zniknęły. W jego oczach Hadrian dostrzegł mgliste odbicie kolejnego młodego żołnierza, którego zmienił czas.

Posterunek straży wyglądał typowo – jednoizbowa buda, miejsce, w którym można się odmeldować, odstawić kajdany i broń, odrobinę się zagrzać, gdy jest zimno, i nic ponadto. Dużo miejsca zajmował zapas drewna, ale stało tam także w kącie poplamione atramentem biurko, na którym leżał stos podniszczonych pergaminów przyciśniętych końską podkową. Podłoga skrzypiała pod nogami, ogień trzaskał, a całe miejsce pachniało dymem i wilgotnym drewnem.

– No dobra, Blackwater, co ci się przytrafiło? – Roland odpiął sprzączkę pod brodą i rzucił duży hełm na biurko.

Pod wpływem ciężaru grzebienia hełm przeturlał się w stronę krawędzi.

– Zawędrowałem do Calisu. – Hadrian usiadł na topornej ławce, która wyglądała jak złożona z dwóch nierozłupanych kłód i szerokiej

dechy.

Royce rzucił mu spojrzenie świadczące, że źle się tu czuje, i usiadł obok, owijając się peleryną tak, jak przyzwoita kobieta poprawiłaby sukienkę.

Roland podszedł do ognia, gdzie poczerniały metalowy czajnik stał na ruszcie z kutego żelaza umieszczonym nad żarzącymi się węgielkami.

– Dlaczego?

– Pewnie nie pamiętasz, ale przyjechałem do Alburnu z Warric. Miałem przyjaciół, którzy służyli w pierwszym pułku Chadwick. Nie chciałem tu zostać, żeby ich przywitać, a nie mogłem uzyskać przeniesienia, więc... – Hadrian urwał.

Roland uniósł pokrywkę czajnika. Pokręcił głową z grymasem.

– Nikt nigdy nie doleje wody.

Wyszedł z czajnikiem, napełnił go wodą z beczki na deszczówkę, pomocował się z klamką przy drzwiach, żeby je zamknąć, i postawił naczynie z powrotem na ogniu. Nadal poprawiał pokrywkę, kiedy powiedział:

– Miałeś rację. Zaatakowali. Parę tygodni po twoim zniknięciu. Potworna bitwa. – Sięgnął na półkę na lewo od biurka i zdjął dużą cynową puszkę. – Richard, Trick i Mel zginęli. Pamiętasz Mela, co?

– Mel-Kumpel? Pewnie.

Mel był starszym jegomościem, obcinał krótko włosy, zwyczajowo pomagał rekrutom i przygarniał bezpańskie zwierzaki.

– Pierwszy pułk uderzył z dwóch stron. – Z pewnym wysiłkiem zdjął pokrywkę z puszki. Parę ziarenek kawy wypadło na podłogę. Odsypał mały stosik na biurko. – Kapitan Stowe i większość oficerów zginęli. Szybko nas załatwili. – Wziął młotek, który wisiał na kołku, i zaczął miażdżyć ziarenka. – Odesłałem Brady'ego konno do Caren. Kazałem mu pędzić na łeb na szyję i sprowadzić pomoc – opowiadał między uderzeniami młotka. – My zaś wycofaliśmy się do Przesmyku. Tam odpieraliśmy atak. Przy okazji straciliśmy prawie wszystkich ludzi. O wschodzie słońca było nas czterystu, o zachodzie czterdziestu dwóch. Potem dostałem awans i mogłem wybrać, gdzie chcę służyć. Wybrałem Rochelle. Miałem dość walki. – Roland zebrał zmiażdżone

ziarenka i wrzucił po garstce do trzech kubków, a potem sprawdził wodę i się skrzywił. Obejrzał się. – Jak ci się podobał Calis?

– Krwawy – odpowiedział Hadrian.

* * *

Roland popatrzył na niego. Ich spojrzenia się spotkały, skinął głową.

– Wygląda na to, że obaj się obudziliśmy z kacem.

Royce skupił całą uwagę na jedynym oknie, które wychodziło na ulicę. Wewnętrzna szyba była pokryta muchami, które nieustannie uderzały w szkło. Spora ich liczba leżała martwa na parapecie.

Roland wziął dwa kawałki drewna ze stosu i dołożył do żaru pod rusztem. Wilgotne plamy wskazywały, że opał leżał na deszczu, i teraz szczapki zasyczały. Buchnął dym i Roland uchylił drzwi, żeby go wypuścić.

– Kto to? – zapytał, skinąwszy głową w stronę Royce'a.

– Mój wspólnik przestępstwa – odpowiedział z uśmiechem Hadrian. Royce rzucił mu spojrzenie, ale poza tym nawet nie drgnął. – Pracowaliśmy na zachodzie. Wykonywaliśmy różne drobne zlecenia, jakie nam się trafiały.

Roland obrócił krzesło stojące przy biurku i usiadł.

– To dlatego tu jesteście? Macie jakąś robotę?

Hadrian zerknął na Royce'a, ale on w żaden sposób mu nie pomógł. Rozmowę ze strażnikiem miejskim o ich zleceniu można było porównać do dwóch myszy, które konsultują się z domowym kotem w kwestii tego, co mogą znaleźć na kolację. Tyle że Ronald był przyjacielem, przyzwoitym człowiekiem i mógł im pomóc, a metody Royce'a nie dały im nic poza tym, że omal nie zginęli. Wiedząc, że potem nasłucha się na ten temat, zaryzykował i powiedział:

– Zgadza się. Wynajęto nas, żebyśmy znaleźli kobietę imieniem Genny.

Royce poruszył się na ławce.

Roland, który właśnie miał zajrzeć pod pokrywkę czajnika, zamarł.

– Masz na myśli Genevieve? Księżnę, która wyszła za starego

Leopolda?

Hadrian skinął głową.

– Kto was wynajął?

Royce zakasłał w dłoń.

– Przepraszam. Chyba się przeziębilem.

Hadrian czuł spojrzenie Royce'a na sobie, ale nie odwrócił się, żeby się upewnić. Już wybrał drogę.

– Jej ojciec.

Hadrian wyobrażał sobie, jak Royce wrzeszczy na niego w myślach albo wstrzymuje ze zgrozy oddech, ale reakcja Rolanda nie była taka, jakiej się spodziewał. Kapitan straży odwrócił się do czajnika i pociągnął nosem.

– Jej ojciec myśli, że Genny nie żyje, chociaż z listu dowiedział się tylko, że zaginęła.

– Szukaliśmy jej. Przetrzęsaliśmy całe miasto. Książę kazał nam chodzić od drzwi do drzwi, przeszukiwać sklepy i prywatne domy. Ale...

– Ale co?

– Nie ma jej już od dwóch tygodni. Nikt jej nie widział ani nie miał od niej żadnych wiadomości. – Skinął głową. – Myślę, że jej ojciec ma powody się martwić.

Roland wsunął mały palec do czajnika i zaraz go wyszarpnął. Potem nalał parującej wody do trzech kubków.

– To jeden z największych plusów pracy w Rochelle. Dostajemy doskonałą kawę prosto z Calisu. Koniecznie odczekajcie, aż unoszące się na wodzie kawałeczki opadną na dno. – Podał im kubki.

– W takim razie – zagadnął go wesoło Hadrian – dobrze, że przyjechaliśmy. Może zdołamy pomóc. Możesz nam powiedzieć, jak doszło do zniknięcia? W jakich okolicznościach to się wydarzyło?

– Nie mam wiele do powiedzenia. Ona i książęcy podskarbi, jegomość nazwiskiem Devon De Luda, wracali ze spotkania z gildią kupiecką. W drodze powrotnej do Posiadłości, to znaczy rezydencji księcia, zaatakowano powóz. De Luda zginął na miejscu, a księżnę wywleczono z pojazdu.

– Gdzie do tego doszło? – zapytał Royce.

– Tuż przed mostem do Posiadłości, na drugim końcu Rynku Głównego. To ten duży plac z katedrą.

– Dość publiczne miejsce jak na morderstwo – zauważył Royce.

– Zwykle tak, ale tego wieczoru było opustoszałe.

– Opustoszałe? To trochę dziwne, co?

– Niezupełnie. Miasto jest teraz pełne ludzi z powodu święta. Dwa tygodnie temu było tu spokojniej. A mieszkańcy Rochelle są przesądni, nie wychodzą nocą.

– Czyli żadnych plotek, żadnych pogłosek?

– Mnóstwo. Zawsze jest ich mnóstwo. Ale to tylko plotki i bujdy o duchach. Żaden tajemniczy potwór nie zabił księżnej, jeśli to sugerujesz.

Hadrian zerknął zdziwiony na Royce'a.

– W porządku... Wcale tego nie sugerowałem, ale chyba dobrze wiedzieć. A zwykle podejrzewacie potwory?

– Nie, ale to nie sprawia, że ludzie przestaną mieć ozorami. De Ludę zasztyletowano. Po prostu. Nadal miał serce w piersi i nadal miał twarz.

Hadrian otworzył usta, ale nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

Roland westchnął.

– Mówię tylko, że to nie był żaden potwór, w porządku?

Hadrian skinął głową. Zerknął na Royce'a, który wpatrywał się ze skupieniem w Rolanda.

– No dobrze. Ostatnio znajdowano okaleczone dzieci, głównie mirów. Dzieci z otwartymi piersiami i wyrwanymi sercami. Ale twarze miały całe. Już od lat nikt nie stracił twarzy. O ile kiedykolwiek takie rzeczy się zdarzały.

– Co za urocze miasteczko tu macie – mruknął Royce.

– Aha, cóż, żadne miejsce nie jest idealne. Myślę, że całe to gadanie o ataku potwora na powóz to po prostu efekt tego, że ludzie znajdują to, czego się spodziewają. Jak już powiedziałem, ciało De Ludy nie wyglądało tak jak inne ciała. Osobiście mam teorię, to znaczy na temat księżnej, że zaciągnięta ją do cienia, poderżnięto jej gardło, a ciało wrzucono do rzeki.

– Dlaczego? – zapytał Royce.

– Pewnie słyszałeś, co się ma wydarzyć w czasie Święta Wiosny, zgadza się?

– Aha, Alburn dostanie nowego króla.

– Cóż, mnóstwo ludzi myśli, że to nie przypadek, że ceremonia namaszczenia odbędzie się w Rochelle, a nie w Caren. Ludzie uważają, że Leopold to główny kandydat. Wierzą też, że to właśnie dlatego czterdziestoletni książę nagle się ożenił. Teoria jest taka, że biskup zaproponował mu koronę pod warunkiem, że najpierw się ożeni. Jeśli to prawda, założę się, że mnóstwo arystokratów chciałoby pokrzyżować ten plan i sprawić, że biskup wybierze kogoś innego.

– To czemu nie zabić po prostu Leopolda? – dociekał Royce.

– Książę rzadko opuszcza Posiadłość. Księżna ciągle krąży po mieście. I łatwiej zabić kogoś obcego, importowaną córkę kupca niż człowieka, którego znasz i z którym być może jesteś spokrewniony. Możesz nie życzyć mu śmierci, tylko nie chcieć, żeby został królem.

– W porządku, ale dlaczego jej ciała nie zostawiono obok ciała tego De Ludy? Dlaczego zadawać sobie tyle trudu i odciągać ją od powozu przed zabiciem? – spytał Hadrian.

– Ja też się nad tym zastanawiałem. – Roland uśmiechnął się szeroko jak chłopiec, który zna rozwiązanie zagadki. – Ale zdałem sobie sprawę, że gdyby nie żyła, książę mógłby znaleźć sobie nową żonę, ożenić się szybko i nic by się nie zmieniło. Jednak skoro zaginęła... Cóż, nie może ponownie się ożenić. I przez jakiś czas nie będzie mógł. Nie, dopóki istnieje szansa, że ona nadal żyje. To niewiedza obniża jego szanse. Biskup wybierze mniej ryzykownego kandydata. Niestety to znaczy, że to może być ktokolwiek z około setki arystokratów.

– Ale masz faworyta?

Roland pokiwał głową.

– Postawiłbym na księcia Floreta Killiana. Jest popularny, wpływowy i z rodzaju tych, co nie zawahają się przed niczym. Nie mogę jednak oskarżyć go bez dowodów. A żadnych nie mam.

– Wspomniałeś, że księżna wracała ze spotkania z gildią kupiecką. Wiesz, o co chodziło? – spytał Royce.

– Narobiła trochę zamieszania, o ile dobrze słyszałem. Wtykała nos

w sprawy, w które kobieta nie powinna się mieszać. Ale najwyraźniej sprawy inaczej się mają w Colnorze. Stamtąd pochodziła. Chociaż to już pewnie wiecie. Nie najlepiej tu pasowała. Rochelle ma swoje specyficzne sposoby załatwiania różnych rzeczy. Ludzie spełniają tu określone role, a ona chyba nie lubiła swojej. – Roland dorzucił kolejną szczapkę do ognia.

– A co z woźnicą? – zapytał Royce. – On też zginął?

Roland się zawahał.

– Woźnica?

– Wspomniałeś, że księżna i De Luda byli w powozie. To co stało się z woźnicą?

Roland popatrzył na nich.

– Znalezione tylko ciało De Ludy. Woźnica pewnie uciekł.

– A gdzie jest teraz powóz? Z powrotem w posiadłości księcia?

Roland pokręcił głową.

– Niedaleko stąd przy tej samej ulicy. Zabrano go do warsztatu Woffingtona do wyczyszczenia. Wszystko było we krwi.

Wypił kolejny łyk kawy.

– Przykro mi, ale wygląda na to, że przejechaliście taki kawał drogi na darmo. Mam jednak nadzieję, że zostanieie kilka dni. Latam teraz po mieście jak koliberek w ostatni dzień lata, ale możemy napić się, gdy zejdę ze służby. Może uda mi się zwabić Hadriana z powrotem do Alburnu, teraz, kiedy nie walczymy już z Warric.

– Och, myślę, że zostaniemy tu jakiś czas – zapewnił go Royce z przyjaznym uśmiechem, od którego Hadrianowi przeszły ciarki po plecach.

* * *

Firma Woffington i Synowie znajdowała się niedaleko od rzeki, w okolicy, gdzie wszystko, nawet warsztat powozowy, zbudowano ze starego kamienia – materiału zarezerwowanego zwykle dla zamków i kościołów. Royce był przekonany, że budynek nie zawsze służył jako warsztat, w którym buduje się powozy. Styl architektoniczny był zbyt

wyrafinowany, zbyt ozdobny jak na miejsce przeznaczone do prowadzenia interesów, nawet jeśli obsługiwano tam arystokratów. Żłobkowane filary podtrzymywały łukowate, rzeźbione naświetle, a nad wielkimi drzwiami przykucnął jeden z licznych w tym mieście kamiennych gargulców. Ten miał ogon z zadziorami owinięty wokół stóp i siedział jak sęp, zerkając groźnie na wszystkich wchodzących.

Hadrian poszedł za Royce'em bez słowa, trzymając się krok za nim. Royce nadal zastanawiał się, czy go upomnieć. Kłopot w tym, że Hadrian być może nie popełnił błędu. Na czysto obiektywnym poziomie zaliczył wręcz monumentalną wpadkę. Planowali popełnić morderstwo, prawdopodobnie więcej niż jedno, a on właśnie oznajmił, że są powiązani z nadchodzącymi wydarzeniami, i to, ni mniej, ni więcej, tylko wysoko postawionemu oficerowi ze straży miejskiej. Chociaż brzmiało to wręcz idiotycznie, Royce musiał przyznać, że otwarte podejście Hadriana zapewniło im mnóstwo informacji, na których zdobycie mniej bezpośrednią metodą musieliby pewnie poświęcić kilka tygodni, a zaczynał podejrzewać, że czas ma tu kluczowe znaczenie. Jeszcze jedna rzecz powstrzymywała Royce'a przed udzieleniem nagany, jeszcze jeden powód, żeby uwierzyć, że szczęście rzeczywiście sprzyja Hadrianowi, ale musiał dowiedzieć się czegoś więcej, zanim nabierze pewności.

Warsztat znajdował się niedaleko od rynku, więc było oczywiste, dlaczego właśnie tam zaprowadzono powóz. Z wejścia do warsztatu Royce widział katedrę. Potężne gmaszysko ze strzelistymi dzwonicami dominowało na wschodnim brzegu. Na samym zaś Rynku Głównym mieściły się liczne sklepy, posągi i fontanny. Poranna nadržeczna mgła jeszcze się nie rozproszyła, ale plac już wypełniał się przechodniami i sprzedawcami.

To tam się to wydarzyło, pomyślał.

Mimo zapewnień kapitana Wyberga co do nawyków mieszkańców Rochelle Royce uznał, że to dziwne miejsce na morderstwo. Zabicie kogoś w tak ostentacyjnym miejscu zwykle znaczyło, że sprawca chce przekazać wiadomość.

Tak ja bym to załatwił, pomyślał Royce. I tak robiłem.

Zastanowił się chwilę.

Więcej niż raz, dodał w myślach.

Ta myśl była zarazem intrygująca i niepokojąca, rozbudziła w równym stopniu ciekawość Royce'a, jak i niepokój.

Z kim mamy tu do czynienia?

Dzieciak, którego Royce ocenił na trzynaście lat, zobaczył dwóch mężczyzn kręcących się przy otwartych drzwiach warsztatu. Otrzepał się z trocin i podbiegł. Nosił w talii szeroki pas z narzędziami w pętelkach, głównie dłutami i drewnianym młotkami.

– W czym mogę panom pomóc?

Ponad ramieniem chłopca Royce dostrzegł czterech mężczyzn pracujących w otwartej, rozległej przestrzeni między starymi kamiennymi filarami. Zatrzęsienie kół, surowego drewna i metalowych drągów zwieszało się z sufitu i przewalało na półkach. Royce zliczył osiem powozów na różnych etapach budowy.

– Oficer Roland Wyberg ze straży miejskiej poinformował mnie, że to tutaj doprowadzono do naprawy powóz księcia – powiedział Royce z agresywną nutką w głosie.

Chłopiec się wyprostował.

– O, tak, proszę pana. Jest pan z Posiadłości?

Royce powoli skrzyżował ręce na piersi, przyglądając się chłopcu z lekceważeniem, które z łatwością mu przychodziło. Chłopak robił wrażenie takiego młodzika, że mógłby być wiosennym jagnięciem.

– Powiedzmy jedynie, że badam wydarzenia, które zaszły tamtego wieczoru, dobrze? – Rzucił chłopakowi chytry uśmiech. – Musisz być jednym z synów Woffingtona, co?

– Tak, zgadza się, proszę pana, jestem Brian Woffington.

– Dobrze, Brianie, a pracujesz przy tamtym powozie?

– Ojciec i mój brat Steven, ale teraz ich tu nie ma. Pojechali po materiały do wykończenia wnętrza. Są u Handona na zachodnim brzegu.

– W porządku, nie musimy z nimi rozmawiać. Chcemy tylko obejrzeć powóz. Możesz nas do niego zaprowadzić?

– Ehm, tak, proszę pana.

Brian obszedł z nimi stoły, wieszaki, bele wyprawionej skóry i wielgachne szpule z nicią. Pozostali synowie zerknęli w ich stronę,

ale żaden o nic nie zapytał.

– Pracujecie nad mnóstwem pojazdów – zauważył Hadrian. – Interes musi się kręcić.

– W Rochelle jest ponad trzysta powozów do wynajęcia – odpowiedział dzieciak. – Utrzymanie ich w dobrym stanie czasem wymaga wymiany całego zaprzęgu.

Obeszli jeszcze kilka stołów i na tyłach warsztatu Royce i Hadrian zobaczyli najbardziej jarmarczny powóz, jaki w życiu ujrzeli. Calutki, łącznie z kołami, wyglądał jak zrobiony ze złota. Jedynie drzwi stanowiły wyjątek. Na ich powierzchni namalowano mężczyznę na wspiętym koniu, z unoszącą się na wietrze opończę, i piękną kobietę, która patrzyła na niego z podziwem. Całe wnętrze usunięto, wyjęto siedzenia, które teraz stały na podłodze w warsztacie, odarte ze skóry, z drewnianymi ramami na wierzchu. Royce podszedł do okna i zerknął do środka, żeby lepiej się przyjrzeć. Kłaczki wyściółki i ślady po równomiernie umieszczonych gwoździach tapicerskich wskazywały, że kiedyś cały powóz był w środku obity tapicerką, od podłogi po sufit. Teraz został tylko drewniany szkielet.

Odsunął się i zaczął oglądać boki powozu na zewnątrz.

– Mogę... – Royce wskazał kozioł.

– Hm? Śmiało, proszę – odpowiedział Brian. – To nie jest prawdziwe złoto, nawiasem mówiąc. To tylko malowanie. Gdyby to było prawdziwe złoto, konie zdechłyby, próbując to uciągnąć. Och, i potrzebowalibyśmy całego oddziału żołnierzy, żeby pilnował warsztatu nocą. – Chłopak się zaśmiał.

Royce wskoczył na kozła i szybko przyjrzał się siedzisku.

– Naprawiano tę ławkę?

Brian pokręcił głową.

– Nie, proszę pana. Niczego nie ruszaliśmy. Nie było żadnych uszkodzeń. Plamy krwi były tylko w środku.

Jak w przypadku większości powozów, oparcie dla nóg było regulowane. Royce usadowił się na ławce, jakby powoził, i kiedy oparł nogi, kolana miał prawie przy piersi.

– Nikt niczego tutaj nie zmieniał? Nie regulował siedzenia?

– Nie.

- Kiedy przyprowadzono pojazd, ktoś musiał nim powozić, prawda? Brian znowu pokręcił głową.
- To się wydarzyło nad rzeką, niedaleko stąd. Poprowadzono konie.
- Wiesz, kto powoził w noc ataku?
- Powoził? – zapytał chłopiec i zastanowił się, zanim pokręcił głową.
- Pewnie Ickard Wimbyly.
- Pewnie? Nie wiesz?
- To stangret księcia. Dlatego myślę, że on. Nie pamiętam dokładnie, czy...
- To nie był Wimbyly. – Jeden z pozostałych synów Woffingtona przerwał pracę, żeby się wtrącić. Musiał być co najmniej dwa lata starszy od Briana i zaczął mu się sypać zarost. – On nigdy nie wozi księżnej. Steven często tam bywa. Ciągłe gada z Wimbylym. Facet odmawia wożenia księżnej. Nazywa ją Bimbrowniczką.
- Hadrian rzucił mu pełne powątpiewania spojrzenie.
- Jak to możliwe, że stangret księcia odmawia wożenia żony księcia?
- I jakim cudem nie stracił pracy za nazywanie jej Bimbrowniczką?
- dodał Royce.
- Wimbyly woził kiedyś ojca księcia. Jest nieodłączną częścią Posiadłości i cieszy się powszechnym szacunkiem. I możecie mi wierzyć, nie on jeden tak ją nazywał. Księżna nie była szczególnie podziwiana.
- A księżę to tolerował?
- Wszyscy synowie Woffingtona popatrzyli po sobie, kiwając zgodnie głowami.
- Nie wiadomo, czy faktycznie o tym wiedział, ale raczej nie mógł nie wiedzieć.
- To kto powoził?
- Synowie pokręcili głowami i wzruszyli ramionami.
- Wimbyly nie jest wybredny, kiedy chodzi o stangreta dla księżnej, więc to mógł być ktokolwiek z Posiadłości.
- I to się wydarzyło po zmroku? – Royce zwrócił się do Briana.
- Aha, było już ciemno.
- A wiesz, którądy powóz jechał z gildii kupieckiej?

– Przejechał dokładnie obok tamtego sklepu u podnóża wzgórza, minął Grom Galimus i skierował się do mostu.

Grom Galimus? Royce nie był specjalistą od języków, ale znał całkiem przyzwoicie Starą Mowę, elficki i garść krasnoludzkich słów, jakie podłapał od Merricka, który nauczył go czytać i pisać. Oczywiście mnóstwo elfickich i wszystkie krasnoludzkie słowa to były różne przekleństwa. „Grom galimus” to fraza ze Starej Mowy albo z języka elfickiego, Royce za dobrze nie pamiętał, ale wiedział, co to znaczy: „Jego chwała”.

Dzieciak pokiwał głową.

– Tam do tego doszło. Tam ją zabito.

– Myślisz, że księżna nie żyje?

– No pewnie. Nikt nie wychodzi żywy z ataku Morgana. Ja bym obstawiał, że się przestraszyła i próbowała uciekać. Poważny błąd. Kiedy znajdą jej ciało, będzie w fatalnym stanie. Morgan był zajęty ostatnimi czasy. Raptem poprzedniej nocy mały elficki chłopiec został rozdarty na strzępy i w podobnym stanie znaleziono caliską dziewczynę w okolicy portu.

– Dlaczego myślisz, że księżna uciekała? – zapytał Hadrian.

– Bo nic by jej się nie stało, gdyby została w środku. Ale księżna jest nowa w tych stronach i pewnie nie wiedziała.

– Nie wiedziała o czym?

– Że kolor niebieski odstrasza potwory. To kolor czystości, barwa czystego nieba albo czystej wody. Teraz tego nie widać, ale całe wnętrze powozu było obite niebieskim aksamitem. Gdyby księżna wiedziała, że ten kolor odpędza złe duchy, to wiedziałaby, że będzie bezpieczna, dopóki zostanie w środku.

Royce skinął głową, udając, że się zgadza, ale był przekonany, że los księżnej pozostałby taki sam bez względu na kolor obicia w powozie.

* * *

– Nikt nigdy nie zauważył woźnicy – powiedział Hadrianowi, kiedy schodzili ze wzgórza w stronę mostu, a wejście do warsztatu

Woffingtona i Synów stało się jednym z wielu drzwi w kamiennym gmachu. – Odkryłem to lata temu. Służba jest niewidzialna dla wszystkich poza innymi służącymi. Baron zawsze ci powie, jak nazywa się jego koń, ale rzadko wie, jak nazywa się stajenny, który się nim zajmuje. To martwy punkt, jeśli chcesz zaatakować kogoś z arystokracji. Widziałeś, jak to się sprawdziło w przypadku lorda Exetera.

Royce mówił szybko. Nie należał do tych, którzy myślą na głos, ale wreszcie złapał trop. Zębatki się obracały i albo dzielił się przemyśleniami z Hadrianem, żeby ocenić ich słuszność, albo szkolił go, naświetlając co bardziej subtelne kwestie. Większość ich dłuższych rozmów wpadała do jednej z tych dwóch kategorii. Hadrian rzadko wiedział, do której dokładnie, i podejrzewał, że Royce także.

– Myślisz więc, że stangret brał w tym udział?

– W przeciwnym wypadku znaleziono by go martwego obok De Ludy.

– Może odciągnięto go jak księżną.

– Zabranie jej to jedno, ale nie ma powodu, żeby zadawać sobie dodatkowy trud w przypadku nic nieznaczącego stangreta. Gdyby zniknęły wszystkie ciała, mógłbyś mieć rację. Ponieważ jednak zostawiono De Ludę, zabójca lub zabójcy nie zawracali sobie głowy sprzątaniami po sobie. Nie, woźnica żyje.

Wchodzili na plac, który okazał się ładnym kołem z ozdobnych kamieni brukowych pomiędzy wylotem mostu a potężnymi drzwiami do katedry. Kiedy ostatni raz tędy szli, był wieczór i cały rynek wypełniała masa ludzi przepychających się przez zwężenie, nie dało się więc zobaczyć ogromnych drzwi kościoła, nie wspominając już o bruku. Teraz rynek był rozległą otwartą przestrzenią z oszałamiającym widokiem na ogrom katedry.

– Jego chwała – powiedział Royce.

– Co? – zdziwił się Hadrian.

– To tłumaczenie nazwy katedry. Grom Galimus znaczy „Jego chwała”. Domyślam się, że „Jego” oznacza Novrona. – Royce wskazał posąg przed gmachem.

Posąg pierwszego imperatora wydawał się większy i bardziej

imponujący bez ludzkiej ciżby, chociaż nawet o tej wczesnej godzinie paru ludzi klęczało na schodach i modliło się z pochylonymi głowami. Wokół nich rozstawiały się wozy. Różni sprzedawcy byli zajęci rozkładaniem towarów i stawianiem daszków, chociaż niektóre wozy miały stałe zadaszanie. Stado gołębi czmychnęło pod niebo, kiedy dźwięk dzwonów Grom Galimus oznajmił nową godzinę, co miało miejsce – niestety – przez cały dzień i noc.

– Czyli nie jesteś na mnie zły za to, że otwarcie powiedziałem o wszystkim Rolandowi? – zapytał Hadrian, kiedy mijali piekarnię, gdzie właściciel wykładał towar na witrynie.

Zapach pieczonego chleba dogonił ich dwa kroki dalej. Potem porwał go wiatr, zastępując ciepło i przytulność rybim zapachem rzeki, co nie było nieprzyjemne, ale obie wonie gryzły się ze sobą jako całkowite przeciwieństwa. Jedna to dom i palenisko, druga to poszukiwania i przygoda. Z niewiadomych przyczyn Hadriana dopadło poczucie straty. Na tym polegała tajemnicza siła zapachów i wspomnień.

– Zastanawiałem się nad tym – odpowiedział Royce.

– To wszystko? Spodziewałem się, że zaczniesz wymyślać mi i wściekać się, gdy tylko wyjdziemy. Już się zastanawiałem, jak będę się tłumaczył przed przechodniami.

– I na co wpadłeś?

– Najlepszy mój pomysł to powiedzieć, że użądliła cię pszczoła. Chociaż byłoby zabawne powiedzieć, że jesteś zaklinaczem węży i jeden gad wpadł ci do nogawki spodni.

Royce pokręcił głową, marszcząc czoło.

– Naprawdę fatalnie kłamiesz. Trzeba nad tym popracować. W naszym fachu to poważna przeszkoda.

– No dobrze, to dlaczego mnie nie zgromiłeś?

– Bo jak zwykle szczęście ci sprzyjało.

Hadrian uniósł brwi.

– Pod jakim względem?

Resztki mgły się rozwiewały. Delikatne białe smużki unosiły się nad wodą, poranek nie miał ochoty zrzucić jeszcze kołderki. Kiedy mgła się rozsunęła, ich oczom ukazał się surowy widok wody i serii

kamiennych łuków tworzących most. Słońce odbijało się od rzeki.

– Myślę, że istnieje spora szansa, że ominie nas gorączka mordowania – powiedział niemal ze smutkiem Royce.

Hadrian od początku nie zamierzał wpadać w żadną gorączkę, ale postanowił nie dzielić się tą myślą.

– Czyli uważasz, że ona nadal żyje?

Royce pokiwał głową.

– Zaczyna na to wyglądać.

– Jak ja mówię, że ona żyje, to myślisz, że zwariowałem. Kapitan straży miejskiej i dzieciak z miejscowego warsztatu mówią ci, że księżna najpewniej została zamordowana, to ty obstajesz, że jednak żyje. Dlaczego zawsze stajesz na przekór opinii innych ludzi?

– Bo większość ludzi to idioci. Jednak w tym wypadku brak ciała stanowi przekonujący argument. Twój przyjaciel mówi, że trupy ciągle się pojawiają, ale nigdzie nie ma śladu ciała księżnej? Kiedy myślałem, że to mąż ją załatwił, to spodziewałem się, że leży w jakiejś dziurze pod Posiadłością albo najpewniej przykuta do kamienia w zatoce, ale teraz wygląda na to, że on nie był w to zamieszany.

– Myślisz, że to był Morgan?

Royce się nachmurzył.

– Oczywiście, że nie. Nie ma czegoś takiego jak potwory, które krążą po ulicach miasta i okaleczają ludzi.

Hadrian uniósł brwi.

Royce jeszcze bardziej spochmurniał.

– Wiesz, co mam na myśli: potwory, które boją się niebieskiego koloru. Całą tapicerkę wymieniają w powozie z powodu krwi podskarbiego, co znaczy, że Devon De Luda został zaatakowany, kiedy nadal znajdował się w środku. To, że ten dzieciak przegapił tak dużą dziurę w logice swojego rozumowania, pokazuje, jak bardzo ludzie są gotowi nie spostrzeżać oczywistości, jeśli nie pasują do ich przekonań. Będziemy wiedzieć więcej, kiedy znajdziemy woźnicę.

– A jak to zrobimy? Facet jest praktycznie niewidzialny. Nikt nie ma pojęcia, kto to był.

– Ja wiem. I wiem dość, żeby mieć pewność, że go nie polubię.

Hadrian się roześmiał.

– To zawęźa zakres naszych poszukiwań do prawie wszystkich na powierzchni Elanu.

Royce już chciał odpowiedzieć, ale powstrzymał się i skinął głową.

– W porządku, racja, ale miałem na myśli to, że naprawdę nie polubię tego gościa.

Rozdział 9

Kobieta, która jadła złoto

Genny Hargrave skrobała srebrną monetą, przeciągając ją po kamiennej podłodze. Co rusz przerywała, żeby sprawdzić ostrość krawędzi i żeby nadstawić uszu.

Nie słyszała nikogo za drzwiami ani za ścianami. Nikogo też nie widziała. Chociaż drzwi do jej małej celi były dostatecznie solidne, żeby ją uwięzić, nie brakowało w nich szczelin. Znalazła kilka dziur do wyglądania i teraz wszystkie zgodnie potwierdzały to, że jej porywacze wyszli i Genny została sama. Wykorzystywała dany jej czas na ostrzenie monety, ale przy każdym skrobnięciu przechodził ją dreszcz.

A jeśli on wróci, kiedy jej nie będzie?

A jeśli odkryje, co robię?

On to Villar i chociaż padło też nazwisko, to nie dość wyraźnie, by je zrozumiała. Ona to ktoś zasadniczo lepszy od wściekłego psa, jakim był Villar. Wściekły, myślała o nim Genny, jak warczące, zaślinione, chore zwierzę. Miał w sobie żrącą nienawiść, którą przelewał na wszystkich z dowolnego powodu.

Genny znała ten typ. Nie przekształciła nielegalnej bimbrowni i handlu alkoholem na czarnym rynku w złoty interes, jakim była Whisky Wintera w Colnorze, uczestnicząc w serdecznych kolacyjkach z wykwinnymi arystokratami. Z tego samego powodu nie było to pierwsze zimne, obskurne wiadro, na którym Genny siedziała. Ludzie tacy jak Villar są podli, nieprzewidywalni, niebezpieczni i niestety

liczni. Jej ojciec należał do nich. Lubiła myśleć, że poskromiła szaleństwo tego człowieka, że pieniądze, władza i szacunek uciszyły demony, które wyzwoliła w nim śmierć żony. Wiedziała jednak, że uciszenie to nie to samo co usunięcie i że szaleństwo zawsze tam będzie, czujne i szukające powodu, żeby się objawić.

A jeśli żadne z nich nie wróci?

Genny nadal nie wiedziała, gdzie się znajduje, nie miała nawet pewności, jak długo tam przebywała. Więcej niż dwa, ale mniej niż trzy tygodnie – to były jej najbardziej precyzyjne wyliczenia. Początkowo nie zwracała sobie głowy odliczaniem dni. Spodziewała się, że umrze, i tylko ta jedna myśl wypełniała jej głowę, wykluczając wszystkie inne. A potem, w miarę upływu czasu, była zmuszona zmienić ocenę sytuacji. Nie ma sensu tak długo utrzymywać mnie przy życiu, żeby zabić mnie później, rozumowała, ale musiała przyznać, że nie jest do końca obiektywna. To samo można było powiedzieć na temat jej oczekiwania na ratunek. Jej mąż był księciem i sprawował kontrolę nad całym regimentem straży miejskiej. Skoro dysponował takimi zasobami, ratunek musiał nadejść już wkrótce, prawda? Najwyraźniej niekoniecznie. Dni mijały, wlekąc się w nieskończoność, i Genny zaczęła się zastanawiać, czy coś się nie przytrafiło Leo.

Przez cały ten czas bardzo niewiele dowiedziała się na temat swojego więzienia. Nie miała nawet pojęcia, co to za miejsce. Kamień był podniszczony, pokryty porostami i bluszczem, dlatego podejrzewała, że znajduje się poza miejskimi murami. Niewiele wychylała się poza Posiadłość i dzielnicę kupiecką od przyjazdu do miasta. W dodatku niektóre części Rochelle mogły wchodzić głęboko w las – skąd miała to wiedzieć? Możliwe, że istniały całe zniszczone dzielnice, których jeszcze nie odkryła. Tak czy inaczej, jej mały wycinek świata był niezwykle cichy. Słyszała tylko ptaki. Żadnych odgłosów powozów, sprzedawców, uderzeń młotków czy płaczu dzieci. Nigdy nie natrafiła na taką część jej nowego miasta – ani żadnego innego – w której panowałyby podobna cisza. A co najważniejsze, w ogóle nie słyszała dzwonów z Grom Galimus.

Zabrali mnie poza miasto, ale dokąd i po co?

Próbowała przypomnieć sobie noc, kiedy Villar ją porwał. Tak wiele się zatarło, to było jak przypominanie sobie koszmaru kilka godzin po przebudzeniu. Widziała śmierć Devona. Villar chciał, żeby to zobaczyła, ale nie ze względu na dumę. To nie był zawodowiec, to nie było fachowe podejrzenie gardła czy precyzyjne wbicie ostrza. To było brutalne i krwawe morderstwo. Villar wielokrotnie dźgnął Devona małym nożem. Sparaliżował ją widok krwi i przemocy. Genny nie była wymuskaną panienką z dobrego domu i zanim stała się najnowszym nabytkiem wśród arystokracji, lubiła grać hazardowo w karty i popisywać się przed mężczyznami głową do alkoholu. Mimo to nigdy nie była świadkiem czegoś podobnego. Patrzenie na mordowanego człowieka z tak małej odległości, że jego krew obryzguje ci twarz, było więcej niż przerażające. Nie mogła się ruszyć, nie mogła myśleć. Potem pojawił się kaptur, worek narzucony jej na głowę i ciasno obwiązany. Później wrzucono ją na wóz, przykryto kocami i zabrano.

Za bardzo się bała, żeby krzyknąć – nie doświadczyła niczego podobnego, odkąd skończyła osiem lat. W tamtej chwili była przekonana, że zostanie zabita. Gdyby myślała, może zwróciłaby uwagę na długość jazdy, zakręty, wyboje czy towarzyszące im dźwięki, ale jej głowę wypełniał tylko dźwięk, z jakim nóż zagłębiał się raz za razem w piersi Devona. To i charczenie, jakie dobyło się z jego ust. Próbował coś powiedzieć. Genny myślała, że może: „Przestań, proszę”, ale nie miała pewności. Kiedy wóz w końcu się zatrzymał, niesiono ją spory kawałek, zanim wrzucono do celi. Zapięto jej metalową obręcz na szyi z łańcuchem umocowanym do ściany. Drzwi się zatrzasnęły i usłyszała szcęk. Zamek, nie zasuwa. Zwróciła na to uwagę. Leżąc na zimnym kamieniu, słyszała, jak jej porywacze rozmawiają. Ich głosy były stłumione przez drzwi. Wspomnienie kłótni pozostało żywe, ponieważ niosło nadzieję. Genny pamiętała każde słowo.

- Skąd ta krew? – zapytała kobieta pełnym strachu tonem.
- Nie była sama – odpowiedział Villar.
- Kogo zabiłeś? – W głosie kobiety pojawił się gniew.
- Nie mam pojęcia, jakiegoś dworzanina.

- Nikomu nie miała stać się krzywda! – krzyknęła kobieta.
- A ona miała być sama. Widział mnie. Chciałaś świadka?
- Niedobrze.
- Jest, jak jest. Pogódź się z tym.

Genny chwyciła się najważniejszej linijki z tej kłótni: „Nikommu nie miała stać się krzywda”. Jeśli to prawda, to jej śmierć nie była nieunikniona. Może nawet była mało prawdopodobna.

Tamtej pierwszej nocy czekała godzinami, aż nabrała pewności, że jest sama, a potem znalazła węzły, rozwiązała sznur i zdjęła kaptur. Odkryła, że znajduje się w małym kamiennym pomieszczeniu bez okna i jedynie z drzwiami. Światło małego ognia po ich drugiej stronie przesączało się przez szpary pod drzwiami i wokół nich, podobnie jak okropny smród octu. Drzwi były nowe i solidne. Świeżo ścięte drewno nadal pachniało lasem, żywica kapiała z dziur po sękach. Obroża wokół szyi Genny była zamknięta i przymocowana do łańcucha za pomocą dużej żelaznej kłódki, która zwieszała jej się na pierś jak jarmarczny wisiołek z okropnego naszyjnika. Drugi koniec łańcucha przymocowano do ściany naprzeciwko drzwi. Mogła się swobodnie poruszać po celi, ale nic poza tym. Leżała tam wiązka słomy, która miała służyć jej za łóżko, jak się domyślała, ale teraz słoma wałała się rozrzucona i połamana. Zbierała ją na stos każdego wieczoru, ale co rano słoma była rozrzucona, co kazało jej zastanawiać się nad swoimi snami. Nie pamiętała ich, ale była pewna, że nie są przyjemne. Miała wiadro, słomę, dwa zaskakująco grube wełniane koce. Na jednym leżała, drugim się owijała, wsuwając końce pod nogi i ramiona. Cella była zimna, ale dzięki kocom dało się to znieść. Była w stanie spać, a to już coś.

Nie odniosła żadnych ran, niczego jej nie zabrano. Oczywiście Genny nie miała wiele przy sobie, kiedy wywleczono ją z powozu, tylko suknię, buty i malutką torebkę na nadgarstku. Zdziwiła się, że nie zabrano jej sakiewki. Nie miała w niej za dużo pieniędzy, raptem parę sztuk srebra – drobne na wszelki wypadek, jak je nazywała – ale po co ją porwano, jeśli nie dla pieniędzy? W sakiewce znajdowała się jeszcze jedna rzecz, klucz do jej podróżnego kufra. Spakowała się do wielkiego, żeglarskiego kufra, kiedy przeprowadzała się do Rochelle,

i zatrzymała go w swoim pokoju jako kawałek osobistej przestrzeni, którą rezerwowała tylko dla siebie. Nie trzymała tam niczego, co miałoby wartość dla kogokolwiek poza nią. Kufer był pełen pamiątek. Miała tam butelkę whisky z „dawnych dni”, pamiętnik, pierścionek matki, który był dla niej za mały, listy od ojca. Trzymała je w kufrze, bo nie chciała, żeby Leo przeczytał i dowiedział się, jak bardzo Gabriel nienawidził go za to, że „ukradł” mu córkę. Kufer nie mógł jej teraz pomóc, tak samo jak sukienka i buty, ale monety i klucz okazały się skarbem. Już dawno temu ukryła je w celi w szparach między kamieniami, obawiając się, że porywacze w końcu zauważą sakiewkę i ją zabiorą. Nie mogła pozwolić sobie na utratę tych skarbów.

Przez większość czasu Genny siedziała samotnie w celi. Cieszyła się, że Villar rzadko tam bywał. Kiedy się zjawiał, jego wizyty były na szczęście krótkie. Ten nieobliczalny mężczyzna kłócił się z kobietą, gromił ją, obrażał Genny i rozprawiał o przewinach innych. Znikał zwykle naburmuszony. Genny wołała strażniczkę. Była cicha, powściągliwa i pełna szacunku.

Hałas za drzwiami sprawił, że Genny zamarła w trakcie tarcia monetą. Schowała ją, podeszła do drzwi i szybko przycisnęła policzek, żeby wyjrzeć przez szparę między deskami. Z ulgą zobaczyła, że to nie Villar. W pobliżu wejścia stała i otrząsała deszcz z przemoczonego szala kobieta, którą Villar nazywał Mercator Sikara.

* * *

Mercator zdjęła przemoczoną sukienkę i zrzuciła ją na podłogę. Już dawno temu przestała próbować ją uratować. Podała się temu, co nieuniknione, i ufarbowała ją, ale to niewiele pomogło. Przód i rękawy były ciemniejsze o kilka odcieni. Mimo wszystko sukienka lepiej to przeżyła niż jej skóra. Kremowo-biały materiał zrobił się niebieski, ale brązowa skóra Mercator przybrała odcień czarno-fioletowy. Kiedy stała nago w słabym świetle, wyglądała jak jeden wielki siniak.

Z drugiej strony muszę być najbezpieczniejszą osobą w Rochelle,

pomyślała.

Wytarła się i owinęła w jeden ze swoich koców. Był miękki, gruby i ciepły; powinien sprzedać się za prawie jednego złotego tenenta, zważywszy, jak idiotycznie dużo byli gotowi zapłacić arystokraci za wszystko, co niebieskie. Mercator kupowała materiał od caliskich tkaczy, którzy albo nie wiedzieli, albo jak Erasmus nie przejmowali się tym, że jest mirem. Potrafiła doskonale ocenić jakość i zrobiła dobry interes, kupując materiał za pięć do ośmiu miedziaków. Kiedy mogła, sprzedawała koce takim kupcom jak Erasmus za dwa razy tyle. Niebieski barwnik wszystko zmieniał. Po ponad stu latach Mercator wiedziała, jak uprawiać i zbierać urzet barwierski, delikatną kwitnącą roślinę, z której uzyskiwała niezbyt efektywny niebieski barwnik. Żeby to nadrobić, maczała i suszyła każdą sztukę materiału po kilkanaście razy. Pochłaniało to dużo czasu, ale nie stać jej było na kupno prawdziwego indygo, rzadkiej, importowanej rośliny, którą sprzedawano za astronomiczne ceny. Źródło barwnika nie miało znaczenia; ludzi interesował tylko głęboki niebieski kolor. Jej metoda, chociaż czasochłonna, dawała pożądaną efekt. Gdyby nie była mirem, zbiłaby już fortunę.

Mercator napełniła czajnik, dołożyła do ognia i wzięła się do pracy. Uchyliła pokrywkę na glinianym garze oznaczonym niebieskim odciskiem dłoni, wyłowiła materiał, uniosła, pozwalając, żeby ociekł, i przyjrzała się odcieniowi. Wyglądał idealnie, co znaczyło, że po wyschnięciu, gdy nadmiar barwnika zniknie, okaże się za jasny.

Westchnęła z rozczarowaniem i zanurzyła materiał z powrotem w garze. Miała prawie tuzin starych glinianych garów, które znalazła w podziemiach ruin kościoła. A przynajmniej jej zdaniem to był kościół, bo patrząc z zewnątrz, trudno było spostrzec, że to w ogóle jest budynek. Wszędzie wokół rosły wysokie trawy i krzewy. Gdyby nie łukowate wejście, można by z łatwością pomylić to miejsce z kamiennym wzgórzem.

Gary to były ogromne, stare urny, wysokie na trzy stopy i pięknie rzeźbione. Mercator używała ich niemal z przykrością, ale musiała w czymś farbować materiał, a te naczynia idealnie się do tego nadawały. Przez pół lata i jesień zbierała urzet. Poddawała liście

fermentacji w naczyniach z wodą i odrobiną wapna. Wiosną wysiewała nasiona, które pieczołowicie zebrała, ale tylko część z nich się ukorzeniła.

Zimą przez większość dni zanurzała materiał w niebieskim barwniku, tak samo jak dzisiaj. Wyjęła przemoczoną sukienkę najlepiej, jak się dało, ubrała się i wróciła do pracy. Podeszła do ostatniego gara, nad którym najdłużej pracowała, i zanurzała ręce po łokcie. Trzymała wełnę pod powierzchnią płynu, jakby topiła małe zwierzątko, i ścisnęła ją najmocniej, jak potrafiła, wyzymając materiał pod powierzchnią, by barwnik jak najlepiej go przeniknął.

Puszczaj farbę, ty nędzna, wełnista owco! Mercator spróbowała się uśmiechnąć zdumiona własnym szaleństwem, na które pozwalała sobie, żeby nie zwariować naprawdę.

Nic z tego, to nie działało.

Najlepiej w ogóle nie myśleć. Praca zajmowała jej umysł, ale materiał się kończył, a po rozmowie z Erasmusem Nymem nie sposób było nie...

– Istnieje jakaś szansa, że pomyślisz o nakarmieniu mnie w najbliższej przyszłości? – dobiegł głos księżnej z drugiego pomieszczenia.

Nawet stłumiony przez jedyne drzwi w tej ruinie rozbrzmiewał donośnie. A ona lubiła dużo gadać.

– Wiem, że mogłabym zacząć mniej jadać, ale istnieje różnica między dietą a głodówką.

Mercator wyciągnęła materiał i przyjrzała mu się uważnie.

Wystarczy, pomyślała.

Kiedyś „wystarczy” nigdy nie wystarczało. Mercator wydziwiała z powodu wszelkich niedociągnięć, ale kiedyś była młodsza. Wiek, jak zdała sobie sprawę z pewnym żalem, rozrzedził jej dążenie do perfekcji. Pasję, jak to nazywano. Wszyscy tak ogromnie cenili namiętność ducha, ale ona była jak barwnik – cenny tylko wtedy, gdy jest skupiony, ograniczony i właściwie używany. Spojrzała po sobie – a co daje, gdy rozbryzguje się chaotycznie po wszystkim? Młodzi byli fontannami energii i wigoru, pędzili na oślep do wyimaginowanych krain. Mercator skończyła już z wyścigami.

I skończyłam z tym materiałem.

Wrzuciła go do octu.

Jeszcze jedna rzecz, dzięki której tak wspaniale tu pachnie, pomyślała.

– Na wypadek gdybyś zapomniała, jedzenie to roślina albo zwierzę, które można skosztować! – ryknęła kobieta zza zamkniętych drzwi.

– To konieczne do życia. Wiedziałaś o tym? Niektórzy ludzie wręcz rozkoszują się czynnością jedzenia. Próbują tego codziennie. Nawet więcej niż raz dziennie.

– Sól – powiedziała Mercator.

– Co? Co powiedziałaś? Powiedziałaś „sól”?

– Tak, sól. To skała, minerał. To ani roślina, ani zwierzę, a musi być spożywana, żeby przeżyć. To jedyna skała, którą da się jeść, i trzeba ją jeść, żeby przetrwać.

– Racja, ale nie wypełnia brzucha tak jak dobry, pieczony udziec jagnięcy, nie zgodzisz się? Ludzie jedzą mnóstwo różnych rzeczy, które nie napełniają żołądka. Można nawet jeść złoto.

– Złoto to metal i zdecydowanie nie jest potrzebne do życia. Nikt nigdy nie zjadłby złota.

– Ja jadłam.

Mercator otarła ręce w poplamiony na niebiesko ręcznik, który trzymała przy garach. Zamarła i spojrzała na zamknięte drzwi, które oddzielały zewnętrzne pomieszczenie od małej celi, w której trzymali kobietę. Starła się nie odzywać do więźnia. Początkowo ważne było, żeby księżna jak najmniej wiedziała na ich temat. Kiedy dni zamieniły się w tygodnie, takie uniki straciły sens.

– Żartujesz sobie, co?

– Nie. Kucharze wyklepują ze złota cieniutką folię i kładą na czekoladowych tortach.

– Brzydzisz mnie.

– Nie powiem, że to mój ulubiony przysmak, ale kiedy podaje się coś takiego na kolacji z ważnym potencjalnym partnerem w interesach, to nie obrażasz go, kręcąc nosem, prawda?

– Ludzie głodują na całym świecie, a bogacze jedzą złoto?

– Wiem, wiem! To idiotyczne. Mogę cię zapewnić, że nie jest to coś,

co sama bym wybrała. Wolę zjeść porządny stek albo może gęś. Och, czego bym nie dała za gęś o skórce spieczonej na złotobrązowo. Może jeszcze za kilka ostryg i maź w sosie z wina i masła. Wiesz, istnieją prostsze sposoby zabicia mnie niż zagłodzenie na śmierć.

– Nie głodujesz. Potrzeba ponad miesiąca, żeby umrzeć z głodu. Po kobiecie, która jada złoto, spodziewałabym, że będzie więcej wiedziała.

Mercator wyjęła materiał z octu i rozwiesiła go na sznurze rozciągniętym pod kopułą. To ciekawe rozwiązanie, jeśli idzie o sklepienie, i właśnie z powodu kopuły Mercator uznała, że ta ruina musiała być kiedyś kościołem. Jedyłą drugą kopułę widziała tylko nad ołtarzem wielkiej katedry w Rochelle. Mała kopuła nad jej warsztatem farbiarskim była zbudowana z ociosanych zazębających się kamieni takich samych jak ściany. Ruina nie dość, że idealnie sprawdzała się jako ukryty warsztat, to jeszcze spowijała ją starodawna tajemnica. Cały Alburn był taki, a Rochelle stanowiło cmentarzysko jego niewygodnych sekretów.

Księżna była jednym z nich i z każdą minutą stawała się coraz bardziej niewygodnym sekretem.

– I po co robić coś takiego? – zapytała Mercator. – Po co w ogóle jeść złoto? Jaki w tym sens? Nic to nie daje i nie może dobrze smakować. Więc po co?

– Z tego samego powodu, dla którego ludzie mieszkają w domach ze zbyt dużą liczbą pokoi, mają więcej ubrań, niż mogą nosić, i przejeżdżają powozem odległość jednej przecznicy, zamiast ją przejść. Tylko bogatych na to stać, więc za pomocą takich ekstrawagancji demonstrują innym swój status.

– Ale wszyscy już wiedzą, że jesteście bogaci.

– Ty tak myślisz, ale jest jedna bardzo ważna osoba, której wszyscy chcą zaimponować. Ktoś, kto rzadko dostrzega prawdziwą wartość człowieka. Ludzie zadają sobie wiele trudu, na przykład jedząc złoto, żeby przekonać tę osobę o ich prawdziwej wartości.

– A kto to taki?

– Och, oczywiście my sami, moja droga.

Jaka to dziwna kobieta, pomyślała Mercator.

Porwali ją, mając rozpaczliwą nadzieję, że to coś zmieni. Tyle że to najwyraźniej nie działało. I jeśli już wkrótce coś się nie wydarzy, to cały ich plan się zawali. Tak wiele zależało od Mercator i czuła, że wszystkich zawodzi.

Sytuacja się poprawi. Sprawię, że się poprawi. To mój obowiązek jako głowy rodu Sikara. Jestem to winna mojemu dziadkowi i jego ojcu.

Powiedziała Seton, że nadchodzi wiosna, ale nie zdołała wyjaśnić, co by to miało znaczyć. Villar postawi na swoim, ponieważ ja... ponieważ ja...

To mi w niczym nie pomaga.

Odetchnęła głęboko i spróbowała się uspokoić. Czuła się słaba, nawet trochę kręciło jej się w głowie. Bolał ją brzuch. Spojrzała na drzwi księżnej i zmarszczyła brwi. Może rzeczywiście nadszedł czas, żeby coś zjeść.

* * *

Początkowo Genny wierzyła, że nędzna jakość jedzenia i niesłychanie małe porcje miały na celu ją osłabić, sprawić, że stanie się bardziej uległa, łatwiejsza do kontrolowania. Od tego czasu zmieniła teorię. Robili to złośliwie.

Mieli księżną na swojej łasce i torturowali ją dla zabawy. Karmili ją kleikiem, żeby ją upokorzyć. Na tym polegał ich plan: zniszczyć ją, zagłodzić, upodlić, zastraszyć. Kiedy już będzie zdesperowana, może dadzą jej zdechłe szczury i będą się śmiać i judzić, żeby je zjadła. To było możliwe, że fatalne traktowanie stanowi część sprytnego planu, ale Genny zaczęła myśleć, że robią to tylko dla zabawy. Jakie to musiało być wspaniałe, zawstydzające ją, jak się musieli śmiać – ubaw, że boki zrywać. Jak cudownie, że w końcu jedno z nich będzie cierpieć.

Tyle że ja nie jestem jedną z nich. Nie tak naprawdę. Skrzywiła się, spojrzawszy na zniszczoną drewnianą miskę, i przypomniała sobie, że z podobnej jadła jako dziecko. Nigdzie nie należę. Ciemne masy uważają mnie za uprzywilejowaną, a arystokracja za plebejuskę.

Gdyby porwano księżnę Dederię, żonę księcia Floreta, nie przeżyłaby nawet pierwszej godziny. Kiedy tylko wsadziliby jej na głowę cuchnący worek, padłaby martwa.

Mają szczęście, że dopadli mnie. Z jednej strony szczęście, z drugiej niekoniecznie.

Genny miała dość bycia grzeczną.

Nikt niczego nie osiągnął dzięki łagodności. Nikt nie zrobił żadnych postępów, szepcząc. To była lekcja, którą wcześniej sobie przyswoiła.

Genny już dawno temu zauważyła, że mężczyźni, którzy odnoszą sukcesy, są śmiali i zachowują się jak pewni siebie, nawet kiedy wcale tacy nie są. Oznajmiali, że mają rację, obstawali przy tym i jakimś cudem nawet ludzie, którzy powinni wiedzieć lepiej, wierzyli im. Nawet jeśli w połowie przypadków się mylili, w drugiej rzeczywiście mieli rację. Po jakimś czasie o pomyłkach zapomniano, ale nigdy o zwycięstwach – mężczyźni dbali, żeby wszystkim o nich przypominać. Genny to obserwowała, uczyła się i ćwiczyła to, co nazwała na własny użytek Sztuką Fanfaronady. Zawsze miała niewyparzoną gębę. I była bystrzejsza, niż na to wyglądała, co początkowo stanowiło przeszkodę, ale z czasem stało się jej bronią.

Zerknęła przez jedną ze szpar w drzwiach, żeby się upewnić, że jej tyrada będzie miała widownię. Mercator stała przy ogniu kuchennym i nakładała sobie posiłek. Wlewała tę samą nieapetyczną breję do identycznej drewnianej miski. Nie dodała ani kawałka owocu, orzecha, ani kropli syropu. Nie jadła mięsa, chleba, nie piła ani piwa, ani cydru. Genny patrzyła zdumiona. Była przekonana, że porywacze jedzą co innego. Kto z własnej woli jadłby coś równie podłego?

Patrzyła, jak Mercator wlała resztki owsianki do miski. Wtedy Genny zdała sobie sprawę z najbardziej uderzającego faktu. Po wylaniu resztek Mercator miała zdecydowanie mniejszą porcję niż to, co nałożyła Genny.

Czy ona naprawdę na tym żyje?

Mercator usiadła na podłodze, skrzyżowała nogi i zjadła swoje pół porcji owsianki, przykładając miskę do ust i pijąc ją jak zupę. Nawet w najbiedniejszych czasach rodzina Winterów nie jadła tak podle.

Genny przyklękła na końcu łańcucha, wpatrując się przez szparę

i obserwując uważnie swoją strażniczkę. Mercator wyglądała żałośnie. Była chuda i obszarpana, jej skóra była ciemna, czerwonobrazowa jak żołądź, z wyjątkiem rąk, rzecz jasna. Była drobna i więcej niż gibka. Mercator wyglądała jak sarna pod koniec zimy. Nóżki jak patyczki, długa, smukła szyja, ostre kości nad zapadłymi policzkami, niesławne wydłużone uszy, które zdradzały elfickie dziedzictwo. Mercator była mirem, a wszyscy mirowie, jakich Genny widziała, byli chudzi.

Czy wszystkim mirom brakuje jedzenia?

Genny wiedziała już, że trzeba poprawić pozycję Calijczyków i krasnoludów, ale okazało się, że ona też nie dostrzega pewnych rzeczy – mirów. Oni zawsze pozostawali niewidzialni. Dopóki Genny jednego nie poznała. Zanim została zmuszona patrzeć, jak Mercator próbuje przeżyć. Zanim zobaczyła, jak zjada swoją małą jak dla myszki porcję owsianki. Zanim dostrzegła osobę tam, gdzie nie powinna.

Mercator przestała jeść. Pochyliła głowę nad resztkami nędznego posiłki, podciągnęła kolana i zaczęła się rytmicznie kołysać. Starła się być cicho, ale Genny usłyszała szloch.

– Co się stało? – zapytała księżna.

Mercator próbowała złapać oddech, pociągnęła nosem i odgarniając włosy, uniosła głowę zaskoczona pytaniem Genny.

– Twój mąż nic nie robi. Nie próbuje cię uratować.

– Leo? Co masz na myśli?

Mercator potrząsnęła mokrymi włosami.

– Kiedy Villar cię porwał, zostawił nasze żądania w powozie. Prosta instrukcję. Po jej wypełnieniu miałaś zostać uwolniona. – Dolna warga jej drżała, a na twarzy pojawił się grymas, który miał na celu powstrzymać emocje, ale nigdy nie działał. – Nie prosiliśmy o wiele. Prawie o nic. Ale zamiast się zgodzić albo chociaż przedstawić kontrpropozycję, on odmówił współpracy.

– Żądania? – powiedziała Genny praktycznie do siebie. – Prosimy o pieniądze? O okup? O to chodzi?

Mercator prychnęła zdeglustowana.

– Nie jesteśmy złodziejami. Chcemy... mieć szansę żyć. – Znowu

pociągnęła nosem. – Prosimy tylko, żebyśmy mieli takie same możliwości jak wszyscy inni. Z niewiadomego powodu Calijczykom odmawia się przywileju otwierania własnych sklepów. Krasnoludom zabrania się udziału w jakimkolwiek handlu, z jakiego powodu, można tylko zgadywać. Moim ludziom, mirom, zabrania się wszystkiego. Jesteśmy wyjęci spod prawa od chwili urodzenia, naszą zbrodnią jest to, że istniejemy.

– Na pewno przesadzasz. Farbujesz tkaniny i je sprzedajesz.

– Nielegalnie. Jeśli ktoś przyłapie mnie albo tych, którzy ryzykują prowadzenie ze mną interesów, obie strony czeka okaleczenie lub śmierć, zależnie od kaprysu strażników miejskich, którzy wykryją nasze przestępstwo. Kary są subiektywne i zależą od widzimisie straży. – Pokręciła głową i pomachała palcem, wskazując siebie i księżnę za drzwiami. – Już w tej chwili, rozmawiając z tobą, łamię prawo.

– Co masz na myśli?

– Mirowi nie wolno rozmawiać z obywatelem miasta. Karą za taki postępek jest bicie. Teoretycznie nie mogę ci nawet spojrzeć w oczy. To też jest zakazane, chociaż rzadko egzekwuje się to prawo. Nie wolno nam brać wody ze studni i fontann, nie wolno nam łowić ryb ani polować. Nie wolno nam żebrać. Nie wolno nam wynajmować lokali, podobnie jak spać na ulicy albo w zaułkach. Obowiązuje nas zakaz wstępu do łaźni i odmawia nam się prawa mycia się w rzece lub zatoce. Nie wolno nam rozpalać ognia dla ogrzania się, musimy mówić szeptem, żeby nie zakłócać spokoju lepszych od nas, i nie wolno nam uczyć naszych dzieci pisania, czytania i liczenia.

– To jak żyjecie?

– W tym rzecz: nie powinniśmy żyć.

– O co poprosiliście mojego męża? Czego zażądaliście?

– Błagaliśmy o przywilej pracy, kupowania i sprzedawania, dzierżawienia ziemi tak jak inni. Prosiłiśmy, żebyśmy stali się obywatelami miasta i żebyśmy otrzymali te same przywileje, możliwości i ochronę co wszyscy inni.

– Tylko tyle?

– Tak. Twój mąż mógł wszystko naprawić jednym podpisem, ale

kiedy chodzi o danie czegoś, nawet odrobiny godności pożałowania godnym, nawet życie świeżo poślubionej żony nie wystarczy, żeby zrobił to, co należy.

- Nie mogę w to uwierzyć.
- Ja też, ale proszę, jest, jak jest.

* * *

Mercator nie cierpiała płaczu. Świadomość, że księżna wygląda przez szparę i widzi jej chwilę słabości, tylko pogorszyła sytuację. W tej chwili jedyne, co jej pozostało, to godność osobista, a księżna pozbawiała ją nawet tego.

– Wiesz, byłaś głupia – powiedziała księżna. – Porwanie mnie było najgłupszą rzeczą, jaką można zrobić.

– Tak samo jak nazywanie mnie głupią, jeśli chcesz jeszcze kiedykolwiek dostać coś do jedzenia.

– Nie rozumiesz. Próbowałam pomóc.

– Nazywając mnie głupią?

– Nie bądź niemądra.

– Niemądra i głupia, ty chyba naprawdę nie lubisz jedzenia, co? – Mercator podniosła szmatę i otarła twarz.

– Źle mnie zrozumiałaś. Pozwól, że wyjaśnię. Tamtego wieczoru, kiedy mnie porwaliście, wiesz, co robiłam? Skąd wracałam?

– Słyszałam, że szalałaś na zakupach. Oglądałaś niebieską kamizelkę na prezent dla męża.

– To był krótki przystanek w drodze ze spotkania z gildią kupiecką.

– Gildią kupiecką? – Mercator spojrzała na zamknięte drzwi. Nie widziała księżnej, ale domyślała się, że tamta wygląda przez szpary, jak to często robiła Mercator, gdy chciała sprawdzić, czy księżna śpi. – A jaki interes miała księżna w gildii? Nie importują modnych łaszków, których pragniesz?

– Próbowałam przekonać kupców, żeby zgodzili się na członkostwo Calijczyków.

Mercator parsknęła śmiechem.

– A po co miałybyś to robić? Bo przewidziałaś porwanie i pomyślałaś, że to dobry sposób, żeby...

– Bo to miasto jest pogrążone w finansowym chaosie! – wyrwała się księżna z takim oburzeniem, że zagłuszyłyby dzwony Grom Galimus.

Zabrzmiało to tak szczerze, że Mercator zapomniała o sarkazmie. Całkiem też zapomniała o obojętności, która odgradzała ją od współczucia. Zamiast tego zaczęła słuchać.

– Sytuacja jest katastrofalna, a ja jestem kobietą, która może to naprawić. Widzisz, nie zawsze byłam księżną. Zanim tu przyjechałam, byłam kupcem. Pomagałam prowadzić jeden z najbardziej dochodowych interesów w odnoszącym największe sukcesy handlowe mieście na świecie. Może i nie wiem, dlaczego słońce okrąża Elan, ale wiem, jak robić pieniądze. Kiedy ma się taką urodę jak ja, to konieczność. Wierz mi, kiedy mówię, że kocham Leo, ale ten człowiek nie ma pojęcia o finansach. Poprosiłam, żeby pokazał mi swoje księgi, a on pokazał mi bibliotekę z poezją! Ha! Możesz uwierzyć? To miasto ma ogromny niewykorzystany potencjał. Większość ludzi nie widzi w uciskanych niczego cennego, ale mają też niskie mniemanie na mój temat, a ja pomogłam zamienić nielegalną bimbrownię w szanowaną gorzelnię. Ignorancja innych ludzi to zawsze źródło pieniędzy, zapamiętaj to sobie.

Mercator nie była pewna, czy zdołałaby właściwie zapamiętać cokolwiek z gadaniny księżnej, ale nie wątpiła w prawdziwość jej słów.

– Jesteśmy portowym miastem z dostępem do egzotycznych wschodnich szlaków handlowych, ale nie chcemy wykorzystać naszych najlepszych źródeł. Zamiast tego zmuszamy tych ludzi do nielegalnych interesów, przez co księstwo nie tylko traci na podatkach z ich zysków, ale także zaniża dochody legalnych biznesów, tym bardziej pozbawiając nas pieniędzy.

Genny ewidentnie się rozkręciła. Mercator słyszała, że krąży po małej celi.

– W przypadku krasnoludów sytuacja jest jeszcze bardziej tragiczna. Ich dzielnica Littleton powinna być kopalnią złota dla tego miasta. Surowe towary z Calisu i Galeannonu powinny zamieniać się

w dzieła sztuki w ich rękach. Efektem byłoby potrojenie zysków, kiedy te wykończone towary szłyby na eksport. Przy takim ogromie naturalnych talentów i dzięki położeniu geograficznemu Rochelle powinno być perłą w koronie wschodu, czołowym producentem w Alburnie. A zamiast tego toniemy w długach.

Urwała, być może dla złapania oddechu, ale zaraz podjęła wątek:

– To dlatego nawrzeszczałam prosto w ziemiste gęby tym sklepikarzom, zbyt kurczowo trzymających się swoich tradycji i zbyt zaślepionych nietolerancją i głupotą, żeby zobaczyć, że ich zyski też by się podwoiły. Podnoszące się morze unosi wszystkie łodzie. Zażądałam, żeby zgodzili się na przyjęcie do gildii wszystkich Calijczyków zainteresowanych prowadzeniem interesów w naszym mieście, albo potroję ich podatki. Dla dobra ludzi, sama rozumiesz.

– To dlatego towarzyszył ci De Luda.

– Tak. Chociaż nie zgadzał się z moimi pomysłami, był zobowiązany przedstawić mnie właściwym ludziom. Jak na ironię został zamordowany dokładnie przez tych, którzy skorzystaliby na jego dalszej pracy.

Rozdział 10

A Venlin stoi

Biskup Maurice Saldur z Medfordu wpatrywał się z nabożnym podziwem w sklepienie wielkiej kaplicy w Grom Galimus. Freski namalował znany malarz z czasów imperium, Elijah Handel. Piękno, głębia, żywość kolorów sceny ukazującej Novrona otrzymującego Rhelacana od Maribora stanowiły ucieleśnienie mistrzostwa. Także kilka innych obrazów na ścianach katedry było autorstwa Handla, którego zatrudnił biskup Venlin w latach zaraz po upadku Percepliquis. Venlin wypowiedział wtedy słynne słowa: „Elijah, Novron ocalił ci życie podczas upadku starej stolicy, żebyś mógł ozdobić nową”. Czego nie namalowano, wyrzeźbiono w marmurze. Trzech największych rzeźbiarzy wszech czasów pracowało przy katedrze: Burke Thatcher, który w młodości studiował na Akademii Sztuk w Percepliquis, jego syn Alrick Thatcher, który prześcignął ojca, i największy ze wszystkich, Marley Layton, który najbardziej zasłynął z ogromnego posągu Novrona stojącego na placu przed katedrą.

– Niesamowite, prawda? – zagadnął go Tynewell. On także patrzył w górę. – To najbliższa imperium Novrona rzecz, jaka nam została.

– Fresk jest wspaniały.

– I oto mój dom – powiedział Tynewell z pełnym zadowolenia uśmiechem, jaki mógłby wypłynąć na twarz człowieka, który obzał się na ucztę jak prosię.

To było źródłem irytacji Saldura, o której dobrze wiedział, że jest zwykłą zazdrością, ale nic na to nie potrafił poradzić. Kto by potrafił?

Grom Galimus było spokojnie najświętszym miejscem na Elanie. To, dlaczego patriarcha i arcybiskup zdecydowali się zamieszkać w miejscu tak oddalonym, w pozostałościach zamku wybudowanego przez bluźnierczego barbarzyńcę, Glenmorgana, który dosłownie zmiotł z powierzchni ziemi ostatnie ślady imperium, nie mieściło się w głowie Saldura. Mimo to Wieża Koronna była błogosławionym reliktem w porównaniu z katedrą Mares. Saldur został odesłany do taniej imitacji Grom Galimus, wybudowanej przez dziecinnych oprychów na kulturalnej pustyni znanej też pod nazwą Melengar. Jego kościół został pośpiesznie wzniesiony z maestrią godną ślepej krowy z farbą na ogonie i prezentował się równie nabożnie jak pobielony burdel.

To jest to, o co chodzi w religii. Saldur westchnął w duchu, patrząc na marmur i złoto. Widząc, że Tynewell szczyrzy do niego zębami w uśmiechu, skrzywił się i zapytał:

– Zjemy kolację tutaj czy wyjdziemy do miasta?

– Rochelle w rzeczy samej szczyrzy się licznymi kafejkami i oberżami, które są doprawdy zachwycające... – Tynewell znęcał się teraz, obracając sztylet w ranie i rozkoszując się tym, jak Saldur ślini się z zazdrości – ...ale pozwoliłem sobie zaaranżować to tak, żeby mięso i chleb przyniesiono do mojego gabinetu. Czuję, że na osobności będziemy mogli bardziej szczerze porozmawiać.

Maurice Saldur miał nadzieję na posiłek w ładnej kawiarni po drugiej stronie placu, którą minął, idąc do katedry. Nie mieli takich miejsc w Medfordzie ani nawet w Colnorze, za to w Rochelle były wszędzie. Chociaż wolał dobrą brandy od ciemnej kawy, nie wypadało, żeby biskup przesiadywał w miejscowej karczmie. Kawiarnie zaś to inna rzecz. Na cywilizowanym wschodzie traktowano je jako miejsce intelektualnych dyskusji, gdzie uczeni biskupi byli mile widzianymi gośćmi. Chociaż Saldura nie zachwyciła myśl o żuciu żylastego mięsa przy poobijanym biurku w ciasnym gabinecie, to poddał się i przystał na propozycję gospodarza. Poszedł z Tynewellem, który wpuścił go przez pięknie rzeźbione mahoniowe drzwi do prywatnych biur biskupa Alburnu.

Kiedy tylko drzwi się otworzyły, Saldur oniemiał. To było zaledwie

biuro w równym stopniu, jak Grom Galimus było po prostu kościołem.

Tynewell poprowadził go przez amfiladę pokojów pod każdym względem równie wykwintnych jak sama katedra. Kolejne freski, najprawdopodobniej także stworzone przez Handla, zdobiły sufity, których nigdy nie miała ujrzeć szersza publika. Minęli skrupulatnie wypolerowane biurko Tynewella i weszli do osobnego apartamentu z obitymi pluszem meblami ustawionymi w półkole przed potężnym marmurowym kominkiem, gdzie płonęły jasno trzy wielgachne kłody. Jedną ścianę zajmowało ogromne okno z witrażem, na drugiej widniał fresk ze śmiejącym się Novronem ze srebrnym dzbanem w ręce. Siedział na krześle i rozmawiał ze starszym mężczyzną w podejrzenie nowoczesnych szatach kościelnych. Tło stanowiło idealne przedłużenie pokoju, w którym się znajdowali. Wrażenie iluzji było niesamowite, Saldur czuł, że mógłby wejść prosto do obrazu.

– Venlin. – Tynewell wskazał starszą postać na obrazie. – Kazał Handlowi umieścić Naszego Pana i jego samego na obrazie w swoim gabinecie. To najszczęśliwy wizerunek Novrona, jaki kiedykolwiek znajdziesz. Jest niemal nieprzyzwoity, ale poza biskupami nikt go nigdy nie widuje. Historia mówi, że Venlin zamówił ten fresk, żeby ukazać ludzką stronę Novrona, i tu, w świętym zaciszu kulis, my także możemy się odprężyć i być ludźmi. – Biskup pogardliwie pociągnął nosem. – Osobiście uważam, że Venlin był egoistycznym narcyzem. Mówiono mi, że podobno na starość wierzył, że Novron naprawdę do niego przemawia. – Tynewell spojrział na obraz, który wypełniał ścianę od podłogi po sufit, dzięki czemu Venlin i Novron zostali ukazani w naturalnych rozmiarach. – Wyobrażasz sobie Jego Świątobliwość, tego samozwańczego patriarchę, jak siedzi w tym pokoju i gada do siebie, wierząc, że mówi do Novrona? Zdumiewające, nie uważasz? – Wskazał kanapę. – Siadaj, proszę.

Dopiero wtedy Saldur zauważył ucztę z sarniny i przepiórek na stole przed nimi.

– Dobrze żyjesz – powiedział, siadając i zabierając się do jedzenia.

– Venlin dobrze żył – poprawił go Tynewell, podchodząc do drzwi, żeby je zamknąć na klamkę, a potem na klucz. – Korzystam ze spuścizny po nim. – Biskup Alburnu usiadł naprzeciwko Saldura,

odchylił się na kanapie, skrzyżował nogi i wyciągnął rękę wzdłuż poduszek. – Patriarcha cię przysłał?

Saldur oderwał przepiórczą nóżkę.

– Tak, chociaż nie tak wprost. Nie rozmawiałem tak naprawdę z patriarchą. Nigdy w życiu go nie widziałem. – Wskazał malowidło nóżką. – To moje najbliższe spotkanie z patriarchą Kościoła. Czasem zastanawiam się, czy on w ogóle istnieje. Może Nilnev zmarł dziesięć lat temu, a arcybiskup nikomu nie powiedział. To by była zagrywka w stylu Galiena; nikt by się nie zorientował. Arcybiskup przekazał mi jednak wiadomość, która podobno wyszła spod ręki Nilneva. – Wyjął zapieczętowany list z kieszeni szaty i podał Tynewellowi.

Biskup Alburnu złamał pieczęć, przeczytał list i się uśmiechnął.

– Mogę? – zapytał Saldur, wyciągając rękę.

Tynewell skinął głową i podał mu list.

Saldur szybko przebiegł treść wzrokiem.

– Proszę, to prawdziwy zaszczyt. Patriarcha zostawia tobie wybór nowego króla. To ma sens. Znasz królestwo i najlepiej ocenisz kandydatów. – Saldur przełknął kęs doskonale przyprawionej przepiórczki, a potem sięgnął po dzban, mając nadzieję na wino. – Mogę?

– Oczywiście.

Saldur nalał sobie do kielicha coś, co niestety okazało się miodem. Nie przepadał za tym trunkiem. Uniósł otłuszczony palec.

– Pamiętaj tylko, żeby wybrać kogoś, kto z własnej woli odda władzę, kiedy nadejdzie dzień.

– A czy on kiedykolwiek nadejdzie? – zapytał Tynewell.

Saldur uniósł brwi. Takie pytanie było równoznaczne z herezją, ale podobnie było z obrazem za jego plecami, chociaż zamówił go założyciel Kościoła Nyphrona. Po to właśnie mamy prawa stworzone z myślą o takich sytuacjach, pomyślał. Obecność pokusy prowadzi do błędów.

– Taką mam nadzieję – odpowiedział Saldur. – W przeciwnym wypadku zamordowałem cały ród królewski i tuzin biurokratów po nic.

Tynewell usiadł prosto.

– Zatopienie *Wiecznego Imperium* to twoja robota?

Saldur skinął głową.

– To nie... Chwileczkę... Jak mogłeś wywołać sztorm?

– Nie było sztormu. To tylko historia, którą rozpuściliśmy wśród ludzi, a ponieważ zaczęliśmy rozpowiadać wszystkim o potwornym sztormie na kilka dni przed planowanym powrotem *Wiecznego Imperium*, nikogo nie zdziwiło, że statek mógł zatonać.

– To jak zatopiłeś statek?

– *Wieczne Imperium* było doskonałym okrętem. Nowiutką, najdroższą trzymasztową i czteropokładową fregatą, która nawet miała ładny galion w kształcie kobiety o złotych skrzydłach. Reinhold nie skąpił pieniędzy. Nie mogłem zmarnować czegoś, co może się przydać przyszłemu imperium.

– Statek nie zatonął?

– W tej chwili statek stoi w porcie Aquesty pozbawiony wszystkich charakterystycznym cech. Dodaliśmy mu ładne zielone proporczyki i przemianowaliśmy na *Szmaragdowy Sztorm*. Poetyckie, nie uważasz?

– Zatem co się stało z rodziną królewską?

– Puszczono ich wolno.

Saldur wyszczerzył zęby w uśmiechu, widząc, że jego słowa wywołały zamierzony wstrząs. Tynewell był niezwykle zadowolony z siebie i z racji posiadania tego wspaniałego domostwa, ale jego wystawne życie było równie niepewne jak życie ich wszystkich. Dopóki nowe imperium nie powstanie, byli zaledwie cieniami kryjącymi się przed światłem.

– Ale... ale...

Saldur uciszył Tynewella, unosząc drugą brudną od tłuszczu dłoń.

– Byli wtedy na morzu, kilka mil od lądu... i mieli związane nadgarstki.

– Ach.

Saldur znalazł chleb i oderwał kawałek.

– Zatem kogo wybierzesz?

– W jakim sensie? – zapytał Tynewell, wędrując wzrokiem i niewątpliwie wyobrażając sobie scenę z rodziną królewską,

kuzynami i królewskimi zarządcami zrzucanymi z pokładu.

– Wieść niesie, że zamierzasz urządzać zawody, zgadza się? Szczerze mówiąc, nie uważam tego za najlepszy pomysł.

Stwierdzenie „nie najlepszy pomysł” było niedomówieniem stulecia. Oczywiście można było ustawić sytuację tak, żeby pożądanego kandydat wygrał, ale co będzie, jeśli wydarzy się coś niespodziewanego? Wtedy będą mieli niewłaściwego władcę i znowu trzeba będzie zaaranżować wypadek. Zbyt wiele wypadków zrodzi w końcu podejrzenia. Nie, przez swoją nieprzewidywalność zawody wiążą się ze zbyt wieloma niebezpieczeństwami.

Tynewell odpowiedział cierpkim uśmiechem.

Saldur nie był rozbawiony.

– To nie zabawa. Nie robimy tego dla własnej rozrywki.

– Ty zajmujesz się swoimi sukcesjami na swój sposób, a ja swoimi na swój.

Ten mniej niż zręczny przytyk do porażki, jaką Saldur poniósł w Melengarze, był jak policzek, na który Saldur nie zasłużył. Pomógł Tynewellowi w usunięciu monarchistycznego króla Alburnu – a to zawsze najtrudniejsza część planu – więc biskup powinien okazać większą wdzięczność.

– Osobiście wybrałbym Armanda Caldera.

– Caldera? Mówisz poważnie? Spośród drzew genealogicznych Alburnu to ma najpłytsze korzenie. Żadnych szczególnych osiągnięć, nie najlepsze powiązania. Poza tym nie przywiózł swojej rodziny, chociaż wystosowałem jasne instrukcje. Nie obchodzi mnie to, że jego synowie mają gorączkę. To nie powód, żeby ignorować edykt i zostawiać także żonę i córkę, o synach nie wspomnę.

Tynewell pokręcił głową, ale Saldur naciskał.

– Armand to mało znany hrabia, ale także człowiek bez nadmiernie rozdmuchanego ego, co może okazać się nadzwyczaj użyteczne, kiedy...

Przestał mówić. Tynewell nie słuchał. Patrzył na obraz Venlina.

– Zamierzasz coś zjeść? – zapytał Saldur, machając ręką nad ucztą. – Czuję się jak obżarciuch.

– He? Och, nie jestem głodny.

– Naprawdę? Gdybym miał takie jedzenie w Medfordzie, ważyłbym już czterysta funtów. – Gospodarz nadal nie uważał. – Coś się stało?

– Hm? – Tynewell spojrzał na niego jak wyrwany ze snu. – Och, nie. Nic...

– Nie rozważasz chyba Leopolda Hargrave’a, co? Jest dostatecznie skłonny ulegać wpływowi, ale to fatalny administrator. Oddanie mu władzy bez wątpienia zakończyłoby się katastrofą finansową.

Tynewell wreszcie ponownie skupił się na rozmowie. Pokiwał głową.

– Leo jest staroświecki. Jego rodzina wywodzi się z rady imperialnej. Rochelle to dom trzech z najznacniejszych rodów, które przetrwały upadek: Hargrave’ów, Calderów i Killianów. Floret Killian twierdzi nawet, że jest w linii prostej potomkiem brata Persephone. Te rody wraz z lordem Dariusem Seretem stworzyły tę prowincję, która później stała się królestwem. Leo wyznaje dawne zasady, cnoty praktykowane niegdyś przez teshlorów, rycerzy ze starego imperium. Nie potrzebujemy tego typu kłopotów.

– Słuszna uwaga. Zatem kogokolwiek wybierzesz, koniecznie pamiętaj, że to ktoś, kto rzeczywiście będzie musiał władać królestwem, prawda?

Tynewell skupił się na Saldurze i się uśmiechnął.

– Tak, tak, oczywiście. W rzeczy samej. To... poważna decyzja. Muszę bardzo uważnie rozważyć kandydatury.

– Tak, ale także szybko. Uczta odbędzie się... Za ile? Za trzy dni?

Tynewell pokiwał głową.

– Masz absolutną rację. Tylko...

– Co takiego?

Tynewell zagryzł dolną wargę i się zawahał.

– Chcę, żeby patriarcha zaaprobował mój wybór.

Saldur uniósł ręce.

– Powierzył ci wybór! Naprawdę nie pojmuję, jak mógłby narzekać na efekty.

Tynewell się uśmiechnął.

– To prawda. To niewątpliwa prawda. Może jednak coś zjem. – Oderwał kawałek chleba i zaczął nakładać na niego mięso, a potem

urwał, kiedy jego wzrok znowu powędrował ku obrazowi. – Nie uważasz, że to dziwne?

– Co takiego?

– Że Venlin stoi.

Saldur odwrócił się i spojrzał na fresk.

– Spójrz na niego. Patriarcha znajduje się w obecności samego Novrona, ale nie klęczy, nie korzy się nawet odrobinę. Wręcz przeciwnie, stoi wyprostowany. Jakby się czuł równy Naszemu Panu. Skąd się bierze taka pewność siebie?

– Myślę, że to wiąże się z faktem, że władał pozostałościami imperium.

– Myślę, że możesz mieć rację.

Rozdział 11

Małe Gur Em

Dzwony Grom Galimus wybiły południe, kiedy Royce przeprowadził Hadriana obok portu, w którym dziesiątki masztów wyglądały jak zimowy las. Przez cały ranek krążyli po mieście. Royce szedł z szybkością człowieka, który wie, czego chce, więc Hadrian nie zadawał pytań. Royce za nimi nie przepadał, a Hadrian zakładał, że z czasem wszystko się wyjaśni. Mijały godziny odmierzone skrupulatnie przez katedralne dzwony, a oni przepychali się przez tłumy, przechodząc przez mosty na zachodnią stronę miasta, a potem z powrotem. Gdy wrócili na plac, na którym o tej porze panował już zwyczajowy ścisk, Royce poprowadził ich na południe wzdłuż rzeki, obierając wydawałoby się nonsensowną trasę, która snuła się zygzakiem ulicami aż do portu.

– Dokąd idziemy? – zapytał w końcu Hadrian, kiedy zatrzymali się między dwoma ogromnymi słoniowymi kłami, tworzącymi bramę do dzielnicy o wąskich uliczkach.

– Hm? – mruknął Royce, oglądając się, jakby nie usłyszał, co Hadrian mówi, a to zdecydowanie znaczyło, że coś kombinuje.

Przecznice za słoniowymi kłami były tak ciasno upakowane, że sznury do bielizny między budynkami tworzyły skomplikowaną pajęczynę. Te, na których nie wisiało suszące się pranie, udekorowano kolorowymi flagami albo kwietnymi girlandami. Przejście było wypełnione ludźmi, obchodzącymi przeszkody w postaci kramów, które celowo ustawiono tak, żeby utrudniały ruch. Kupcy nawoływali

klientów w więcej niż jednym języku. Z jakiegoś niewidocznego miejsca dobiegało rytmiczne, hipnotyzujące bębnienie.

– Zmierzasz dokądś czy tylko wędrujesz?! – krzyknął Hadrian, kiedy uskoczył przed ciemnoskórą kobietą niosącą w klatkach dwa gdaczące i trzepoczące skrzydłami kurczaki. – Szukasz w tym tłumie stangreta?

– Nie, skąd. – Royce pokręcił głową. – Wiem, gdzie jest woźnica, ale nie ma sensu go szukać przed wieczorem.

Royce obrócił się zgrabnie i z trzepotem peleryny uskoczył przed wozem z opalem. Próbując za nim nadążyć, Hadrian prawie wpadł na kobietę trzymającą za ręce dwoje dzieci, ale w ostatniej chwili się zatrzymał. Cała trójka spojrzała na niego z uśmiechem. Odpowiedział tym samym, kończąc w ten sposób milczącą, ale jasną w przekazie rozmowę wyrażającą zrozumienie, wybaczenie i odrobinę humoru. Ominął ten sam wóz i zdołał dogonić Royce'a, który kluczył i przemykał się dziurami, które często mogły pomieścić tylko jego.

Próbuje mnie zgubić? – zastanawiał się Hadrian.

Wyrwali się z wąskich uliczek i wyszli na szerszy plac targowy, gdzie Hadrian mógł wreszcie wykorzystać dłuższe nogi i dogonić partnera.

– No to co? Zwiedzamy miasto?

Royce obejrzał się poirytowany.

– W takim razie co robimy?

– Szukam innego lokum. Innego pensjonatu. Uznałem, że musi być coś jeszcze. Nie szukaliśmy wszędzie. Może coś się znajdzie w mniej zamożnych dzielnicach. Wolę dzielić pokój ze szczurami niż zjeść jeszcze jedno śniadanie z tą kobietą.

– Mówisz poważnie? Całe miasto jest zarezerwowane, a pokój, który mamy, jest fantastyczny.

– Nasz pokój wynajmuje wariatka.

– To miła kobieta.

– Jest obłąkana i najpewniej zasztyletuje nas we śnie.

– Evelyn Hemsworth? Nie możesz mówić poważnie.

– Nie, nie mówię. Jasne, że to tylko metafora. O wiele bardziej prawdopodobne jest to, że otruje nas jutro podczas śniadania. Tak zwykle działa ten typ.

– Ten typ? Co masz na myśli, mówiąc „ten typ”?

Royce nie odpowiedział. Znowu ruszył i ponownie wymknął się Hadrianowi. Tym razem obszedł grupę gapiącą się na młodą kobietę w welonach, która tańczyła z dzwoneczkami na palcach. U jej obutych w pantofle stóp leżał materiał z paroma miedziakami. Gdyby Hadrian nie martwił się tym, że zgubi Royce’a, popatrzyłby chwilę.

Znajdowali się w sercu dzielnicy zdominowanej przez barwną ceramikę, podpłomyki, kolorowe ubrania, kosze, rzeźbione drewno i egzotyczne przyprawy. Według kilku szyldów było to Małe Gur Em, nazwa nawiązująca do dżungli Calisu, zarówno gęstych, jak i niebezpiecznych. Dla Hadriana, który spędził trochę czasu w prawdziwym Gur Em, to była obelżywa nazwa, ale mieszkańcom najwyraźniej odpowiadała i chętnie powtarzali ją na swoich straganach z towarami. „Olejki i balsamy z Małego Gur Em” napisano na jedne tabliczce, „Egzotyczne Herbaty z Gur Em” na innej.

Wszędzie ciemnoskórzy Calijczycy mówili z akcentem albo w jednym z szorstkich tenkińskich języków, mowie z dżungli. Starzy, pomarszczeni mężczyźni w luźnych szatach tłoczyli się przy kawiarnianych stolikach pod chmurką i grali w hekera, popijali kawę albo palili wysokie, mosiężne fajki wodne. Hadrian przypomniał sobie solniczkę i pieprzniczkę ze stołu Evelyn i zdał sobie sprawę, że imigranci przybywający do Alburnu wnieśli ze sobą wszystkie smaki domu. Muzyka, zapachy, głosy i twarze groziły, że otworzą mentalne drzwi w głowie Hadriana, które powinny pozostać zamknięte. Idąc ulicą, przepychał się nie tylko przez tłum, ale i przez gęstwinę ciernistych wspomnień. To był ten okres jego życia, od którego odszedł. Do którego – przysiągł to – nigdy nie wróci. Z trudem starał się ignorować ulicę i skupić się na partnerze.

– Evelyn nie jest wariatką – powiedział. – Jest normalna. Na tym polega twój problem. Nie wiesz, jak poradzić sobie z normalnym człowiekiem.

– Ona nie jest normalna.

– Oczywiście, że jest. To prawa i przyzwoita osoba. Nie możesz nawet tego spostrzec, bo jesteś taki... szemrany.

Royce przystanął i obejrzał się na niego. Chciał się skrzywić, okazać

gniew i pogardę, ale miał z tym kłopot. Wyglądał, jakby próbował nie kichnąć, ale to nie kichnięcie powstrzymywał. Walczył z niechcianym uśmiechem.

– Nie bądź śmieszny – warknął. – Człowiek nie może być szemrany. Coś, co człowiek robi, może być szemrane.

Hadrian zarechotał.

– O, proszę, teraz okazuje się, mówisz biegle w języku Evelyn Hemsworth?

Stanęli przed ręcznym wózkiem, na którym namalowano pejzaż z wodospadem w dżungli. Wystawiono na nim imponującą kolekcję rzeźb w drewnie i wypolerowanym kamieniu. Mężczyzna za wózkiem, niski, chudy jegomość o siwej brodzie i wielkich zębach, żwawo poderwał się na równe nogi.

– Potrzebuje pan ładnego prezentu, żeby pogodzić się ze swoją dziewczyną, tak? – zagadnął Royce'a.

Złodziej spojrział na niego przerażony.

– Ach, to jasne, wystarczy spojrzeć na pańską udręczoną twarz. Posprzeczaliście się i teraz musi pan przeprosić ją prezentem! – oznajmił kupiec. – To jedyny właściwy sposób rozwiązywania problemów z ukochaną.

– Ona nie jest moją ukochaną.

– Proszę o wybaczenie, mój dobry panie! – Kupiec uśmiechnął się i złożył dłonie, ukazując długie, chude palce. – Teraz już wyraźnie widzę pański kłopot. O, tak! To kłótnia z żoną przywiodła pana do mojego wózka. O, tak, to zdecydowanie poważniejsza sprawa niż zwykle nieporozumienie z trzpiotką. Nie jest dobrze, kiedy żona podejrzewa człowieka o jakieś szachrajstwa i szemrane sprawki! – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Ale lepsze to niż śliskie sprawki, co? – Mrugnął porozumiewawczo, co sprawiło, że Royce zaczął na niego patrzeć, jakby miał trzy głowy.

– No dobrze, potrzebuje pan gałązki oliwnej. – Zatarł ręce i poruszał palcami, jakby zamierzał wykonać magiczną sztuczkę. – Mistrzowsko wykonany drobiazg, żeby zapomniała o pana przewinach. – Podniósł figurkę przedstawiającą mężczyznę i kobietę w namiętnych objęciach. Pokazał tę doskonale wykonaną miniaturową rzeźbę. – O, proszę, ten

drobiazg sprawi, że przypomni sobie, dlaczego za pana wyszła, prawda? Ręczna robota z Dagastanu dziewięćdziesięcioletniego niewidomego pasterza, który podobno był kiedyś piratem. A ponieważ znalazł się pan w tak dramatycznym położeniu, sprzedam to za raptem parkę srebrnych tenentów. To odpowiedź na pańskie modlitwy, prawda?

– Nie! – warknął Royce.

– Jesteś pewien? – Hadrian uśmiechał się od ucha do ucha. – Stara może ci wszystko wybaczyć, jak to zobaczy.

Royce nie odpowiedział, a jedynie naciągnął kaptur i zaczął odchodzić. Nagle się zatrzymał. Jego wzrok zatrzymał się na innej figurce, stojącej bardziej z tyłu.

– Ta – powiedział, wskazując masywną rzeźbę mężczyzny stojącego triumfalnie, z jedną stopą na pokonanym wrogu.

– Czyli pańska żona jest wielbicielką igrzysk? – zapytał wesolutki kupiec, podnosząc figurkę z pewnym trudem. To nie była leciutka igraszka. – Nie znajdzie pan niczego lepszego na całym świecie.

– On nie szuka prezentu dla żony. – Hadrian przepchnął się gwałtownie do przodu. – On nawet nie ma żony. Niczego nie chcemy kupić. Chodź, Royce. Powinniśmy pewnie poszukać czegoś do jedzenia. Może...

Hadrian zaczął oddalać się od wózka, ale Royce nie poszedł za nim.

– Jaka historia się z nim wiąże? – zapytał Royce. – Dlaczego ten człowiek ma trzy miecze?

– Ach! – Kupiec uśmiechnął się szeroko do obu, a Hadrian zauważył, że ma żółte i krzywe zęby. – Ta rzeźba to precudne dzieło sztuki mające upamiętniać największego wojownika świata, Galentiego, Tygrysa Mandalinu, Bohatera Calisu, Dworzanina Królowej, Zguby Ba Ran Ghazelów.

– Jestem głodny. Ty nie jesteś głodny? – Hadrian poklepał się po brzuchu. – Wydaje mi się, że tam sprzedają szaszłyki. Cudnie pachną. Masz ochotę na szaszłyk?

– Największy wojownik świata, co? – mruknął Royce. – Aż trudno uwierzyć.

– Podejrzewam, że chyba tylko tym, którzy nigdy nie widzieli, jak

on walczy. Już słynął ze swoich walk z Ba Ran Ghazelami, kiedy przybył do Mandalinu. Jednak to dzięki zwycięstwom na arenie zdobył królową.

– Doprawdy? – Royce zdjął kaptur i uśmiechnął się do Hadriana. – A kim jest owa królowa?

Mężczyzna obrócił się i wyjął kolejną figurkę ze swoich zasobów – piękną, zmysłową kobietę o pomalowanych skośnych oczach. Miała okrągłą twarz lalki i drobne, nadąsane usta podkreślone mocną czerwienią. Nosiła kapelusz z bażancimi piórami i jedwabną suknię, która wydawała się raptem warstwą farby na rzeźbie. – Rea Rhys Ramsey, nieślubna córka króla Calisu. Jej przyrodni brat, Lemuel Ramsey rozkazał ją zabić, ale Rea Rhys uciekła i wycofała się do jedyne miejsce, w którym brat by jej nie szukał: na wschód. Trzymając się rzeki Estee, dotarła do starożytnego regionu Erbon w centrum kraju. Tam odkryła ponownie ruiny Ulineusu. Zajęła starożytną stolicę i przemianowała ją na Mandalin. Odbudowanie starej areny i przywrócenie igrzysk sprawiło, że stała się dość popularna. Teraz włada wschodnim Calisem, podczas gdy jej brat rządzi zachodnim z Rolandue.

– Czyli ona nadal żyje?

– Jak najbardziej. Rea Rhys to niesławna postać. Żyje na obrzeżach cywilizacji, manipuluje tenkińskimi watażkami za dnia, a nocami walczy z Ba Ran Ghazelami. Ma zniewalającą urodę gwiazdnej konstelacji i jest równie uwodzicielska i niebezpieczna jak żmija. Przez niemal dwa lata Galenti był jej kochankiem, a ona jego panią. Oboje nurzali się w jeziorach alkoholu, łóżach z liści tulan i rzekach krwi aż do jego ostatniej walki. – Wskazał drugą figurkę. – Nazywają go Tygrysem Mandalinu, bo walczył z wielkim pasiastym kotem.

– Ostatnia walka? Rzeźba ukazuje go jako zwycięzcę. Zwierzę go jednak zabiło?

Kupiec się roześmiał.

– Nie, Galenti nigdy nie został pokonany, to niemożliwe. Jak w przypadku wszystkich dobrych legend po prostu zniknął. – Mężczyzna teatralnym gestem uniósł rękę, jakby wypuszczał w niebo gołębicę.

A potem zamarł, patrząc na Hadriana. Zmrużył oczy i powiódł wzrokiem od jednego z jego mieczy do następnego.

Royce odwrócił się do Hadriana.

– Co o tym myślisz? Może spodoba się mojej starej? Powinienem ją kupić?

Hadrian nachmurzył się i odszedł.

– Idę po coś do jedzenia.

* * *

Royce nie kupił żadnej figurki. To nie zaskoczyło Hadriana. Nie było mowy, żeby złodziej chodził z wysoką na stopę rzeźbą pod pachą. I nikt nie mógłby go zobaczyć, jak wraca do Melengararu z przytroczonym do siodła posążkiem. Dlatego Hadrian nie był zaskoczony, kiedy Royce przysiadł się do niego w Erbońskiej Herbaciarni bez żadnego podarku dla „swojej starej”, ale zdziwił się, gdy zapytał tylko:

– Co tu podają?

Kawiarenka wychodząca częściowo na ulicę, ale znajdująca się na skraju ruchu oferowała wspaniały widok na ludzką paradę. Usiedli przy jednym z kilkunastu rozchwierutanych stolików, które ustawiono w krytym strzechą otwartym pawilonie, nieszczególnie chroniącym przed wiatrem czy słońcem. Właściciel pochodził z Alburnu, ale tylko przywitał klientów. Całą robotę wykonywali imigranci z Calisu.

– Jeśli to autentyczny lokal – odpowiedział Hadrian – to ryż i herbatę. Chociaż jeśli szukasz przygód, to możesz spróbować hohury. To caliski alkohol. Jeśli jesteś kompletnym wariatem, to możesz wziąć kubek Gurlin Bog, alkoholu goblinów, który syczy i smakuje jak coś, co zwymiotowało ognisko.

– Chyba na razie będę unikał napojów wyskokowych i substancji odurzających.

– W takim razie trzymaj się z daleka od wszystkiego, co zawiera grenestę, a oni lubią dokładać tego zioła praktycznie do wszystkiego.

Raz zjadłem wyśmienitą potrawkę i dziesięć minut później straciłem przytomność.

Royce zerknął na niego z grymasem.

– Przez ciebie zaczynam tęsknić za „Domem Mięsiw”.

– Ale tu mają krzesła i lepsze widoki.

Niewiele miejsc w mieście dorównywało Małemu Gur Em pod względem ruchu i ciekawości, a Hadrian porzucił myśl, że nazwa jest obraźliwa. Może tak było początkowo, ponieważ prawdziwe Gur Em było równie powszechnie uwielbiane jak czarna gorączka, którą zresztą łatwo można było złapać w tejże samej dżungli. Mimo wszystko Gur Em to miejsce dzikie, barwne, pachnące i pełne nieposkromionego życia. Pod tym względem przypominało caliską dzielnicę Rochelle. Hadrian zapamiętał Calis jako miejsce przytłaczające dla zmysłów – wielkie bazyry i rozległe targowiska w starych miastach nad brzegiem morza albo tętniące życiem wioski w gęstwinach – ale tu całe to doświadczenie upchnięto w maleńkiej dzielnicy miejskiej z kamiennymi budynkami i brukowanymi chodnikami. To naprawdę była swego rodzaju dżungla.

Bosy mężczyzna w długiej, pozbawionej ozdób tunice przyniósł miskę z ryżem i warzywami, którym towarzyszył talerz z podpłomykami i ciemna herbata. Jedzenie było tak gorące, że aż parowało. Hadrian wiedział, że to smażone kenase. Royce pociągnął podejrzliwie nosem i poczekał, aż Hadrian zje kęs, zanim do niego dołączył.

– Dlaczego nie pytasz mnie o Mandalin?

– Znaczący o to wszystko, co tamten facet powiedział na temat królowej, tygrysa i walk na arenie?

– Aha.

– Chcesz znać prawdę?

– Jasne.

– Nie interesuje mnie to.

– Naprawdę? – Hadrian odstawił herbatę zaskoczony. – Facet opowiada ci fantastyczną historię o krwawych bitwach i niesławnej królowej Calisu, a ty nie jesteś nawet odrobinę zaintrygowany?

– Nasza przeszłość nie jest naszą teraźniejszością i dzieje się tak nie

bez powodu.

– Czyli skoro ty mnie nie pytasz, to ja nie powinienem pytać ciebie?

– Coś w tym guście. Poza tym jestem pewien, że przebiłbym cię w zawodach na minione horrory.

Hadrian zerknął znad krawędzi parującej filiżanki.

– Tak myślisz?

– A ty nie? – Royce sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego. – Całe miasto wciąż ma koszmary z mojego powodu.

Hadrian skinął głową, a potem pokiwał kciukiem w stronę kupca.

– Nie słuchałeś. Cały kraj zna moją krwawą przeszłość.

– Możliwe, ale nadal cię kocha. Nikt nie robi rzeźb na moją cześć.

– W Calisie wykonują także podobizny Śmierci i Zarazy. To dziwni ludzie.

– Nie mówił o tobie jak o pladze.

– Bo zna tylko mit. Zastanawiałeś się kiedyś, jakim cudem najemnik może być taki... – Hadrian urwał, żeby wypić łyk herbaty.

– Naiwny? – podsunął Royce.

Hadrian przełknął herbatę.

– Chciałem powiedzieć optymistyczny.

– Serio? Chyba można to i tak ująć. Pewnie, zastanawiałem się nad tym od pewnego czasu. Większość najemników jest bardziej...

– Zblazowana i cyniczna? – podsunął Hadrian.

– Zamierzałem powiedzieć: realistyczna i praktyczna.

– Serio? Chyba można to i tak ująć. Nie wzięłaś jednak pod uwagę tego, że być może ja już wracam?

– Co takiego?

– Masz koszmary z powodu ludzi, których zabiłeś?

– Nie.

– Sam widzisz.

– Co sam widzę?

Hadrian wziął gliniany garnuszek, który zostawiono na ich stole, i przelał do niego herbatę z filiżanki, aż zaczęła się wylewać.

– Każde naczynie jest inne, każde może pomieścić w sobie tylko pewną ilość płynu. W końcu, albo przestaniesz wlewać, albo narobisz okropnego bałaganu. Narób odpowiednio dużego bałaganu,

a będziesz musiał posprzątać. Będziesz musiał coś zmienić. – Hadrian spojrzał na kałużę herbaty kapiącą przez szpary między deszczułkami chwiejnego stołu. – Ja narobiłem naprawdę okropnego bałaganu i to nie herbatę rozlałem.

Obaj patrzyli na kałużę herbaty, kiedy rozległy się krzyki.

Rozdział 12

Jednorożce i rzucik w groszki

Na ulicy, gdzie zaułek oddzielał prowizoryczną zagrodę dla zwierząt od starego kamiennego budynku, zaczął zbierać się tłum.

Zagroda składała się ze sznura rozwieszonego między słupkami wokół dwudziestu owiec. Przed nią obok pośpiesznie skleconego prowizorycznego podwyższenia wisiała ręcznie namalowana tabliczka z napisem „Aukcja o zmierzchu”. Z racji bloków białego marmuru i filarów dwupiętrowy budek naprzeciwko zaułka sprawiał wrażenie ważnego niegdyś miejsca – być może rachuby lub sądu. Teraz okna na piętrach były wypełnione suszącymi się ubraniami, a balkony pękały w szwach od kołowrotek, dzbanów, koszy i garnków. Kilka rodzin zagnieździło się w opuszczonym budynku z popękanego marmuru. Większość ich członków wybiegła na balkony i patrzyła teraz z góry. Kilka osób wskazywało zaułek w dole.

Hadrian przełknął resztki ryżu z warzywami i wstał. Był dość wysoki, żeby widzieć ponad tłumem, ale niewiele mu to pomogło.

– Co się dzieje? – zapytał Royce, nie zwracając sobie głowy wstawaniem.

– Nie wiem. Coś się stało w zaułku.

– Nic dobrego, sądząc po tym, jak to brzmi.

Krzyki ustały, ale zastąpiło je chóralne zawodzenie.

– Dokąd się wybierasz? – spytał Royce, kiedy Hadrian zaczął się przepychać.

– Zobaczyć, co się stało.

– Cokolwiek się stało, jest tu mnóstwo ludzi, którzy mogą się tym zająć. A krzyki i płacze nigdy nie wróżą niczego dobrego. Ja bym trzymał się z daleka.

– Nie wątpię.

Co prawda Hadrianowi brakowało zręczności w kluczeniu wśród niespokojnie wiercącego się tłumu, ale nadrabiał to aż z nawiązką umiejętnością przepychania się przez najgęstszą ciżbę. Ludzie schodzili z drogi mężczyźni jego rozmiarów. Tych, którzy nie schodzili, po prostu odsuwał. Wszelki opór, jaki mogli stawiać przy przesuwaniu, natychmiast znikał, kiedy dostrzegali jego miecze. Mieszkańcy miasta nie nosili broni. Większości nie było na to stać i nieliczni odczuwali w ogóle taką potrzebę. Farmerzy, kupcy i rzemieślnicy rzadko mieli do czynienia z przemocą poza pijackimi bójkami od czasu do czasu. Ich życie sprowadzało się do niekończących się powtórek i dopóki trzymali się swojego miejsca i uprawiali tylko własny skrawek ziemi, nic doniosłego nigdy im się nie przydarzało. Ludzie walki to co innego. Człowiek z kielnią i kozłem do cegieł szuka okazji do budowania murów, człowiek z mieczem szuka okazji do zabijania, a człowiek z trzema mieczami... Takiemu trzeba pośpiesznie schodzić z drogi. W ten sposób Hadrian szedł przez tłum, aż dotarł do wylotu zaułka. Tam zatrzymała się ciżba. Chociaż każdy chciał zobaczyć, skąd ten hałas, niewielu odważyło się zbliżyć bardziej. Tłumowi wystarczał widok z daleka. Droga dalej była wolna.

W mieście tak zatłoczonym jak Rochelle, coś musiano robić z odpadkami. W lepszych dzielnicach wyrzucano je do Roche, która niosła je do zatoki, a potem Morza Goblinów. Biedniejsze dzielnice, takie jak Małe Gur Em, radziło sobie, upychając swoje śmieci za budynkami w zaułkach. Dlatego ogromna hałda śmieci w głębi zaułka nie była niespodzianką. Połamane skrzynki, podarte ubrania, gnijące jedzenie, zwierzęce nieczystości i kości tworzyły wysoki stos. Garstka kobiet klęczała przed nim i zawodziła. Mniejsza liczba wstrząśniętych i przerażonych mężczyzn stała w pobliżu i patrzyła na to, co wyglądało jak wywleczony z hałdy śmieć.

Po części tak właśnie było. Mała lawina śmieci osunęła się

w miejscu, gdzie ktoś zaczął grzebać. Ludzie czasem to robią. Hadrian wiedział, że nawet względnie dobrze sytuowani ludzie czasem szukają skarbów w śmieciach dla zabawy. Wiecznie krążą historie o kimś, kto znalazł złote kolczyki albo przegapiony worek ze srebrem, ale największy skarb, o jakiego znalezieniu Hadrian osobiście wiedział, był pęknięty skórzany pas, który okazał się dość długi, żeby skorzystać z niego chudszy mężczyzna. Tym razem ktoś znalazł więcej, niż chciał. Kto by chciał podnieść zgubiony but i odkryć, że w środku nadal jest stopa?

Kobiety zawodziły nad ciałem dziecka. Małej dziewczynki, która miała nie więcej jak sześć, siedem lat. Hadrian znał się na martwych ciałach. Zbyt wiele razy szedł przez pola bitewne po walce, żeby teraz nie wiedzieć, że dziecko zmarło raptem kilka godzin temu, z pewnością mniej niż dzień temu. Jednak nie chodziło tylko o to, że było to martwe ciało.

Kiedy Hadrian podszedł i stanął obok otępionych mężczyzn, zrozumiał problem. Małą dziewczynkę nie tyle zamordowano, ile rozerwano na strzępy. Jej twarz pozostała nietknięta, usta miała rozchylone, oczy na szczęście zamknięte. Hadrian zabił więcej ludzi, niż potrafił zliczyć, i brał udział w bitwach, w których ginęły także kobiety i dzieci. Przestał brzydzić się krwi dawno temu, ale nie przywykł do widoku martwych dzieci o szklistych oczach. Pierś dziewczynki została rozerwana i rozgrzebana. Hadrian nie musiał podchodzić, żeby się zorientować, że czegoś brakuje. Zniknęło serce dziecka.

– Powinniśmy stąd pójść – szepnął Royce. Złodziej stał za nim i dawał znać ręką, żeby ruszali. – Nadchodzą żołnierze.

Za późno ostrzegł Hadriana.

* * *

– Naprawdę powinieneś częściej mnie słuchać – oznajmił Hadrianowi Royce, gdy siedzieli na posterunku straży.

To był inny posterunek niż ten, w którym gawędzili z Rolandem, ale

wnętrze wyglądało identycznie. Podobne pomieszczenie z biurkiem, bronią, stosem drewna i małym paleniskiem. Identyczna podkova przyciskała pergamin. Służba wojskowa nie sprzyja indywidualizmowi. Przynajmniej kajdany pozostały na ścianie, zamiast wylądować na ich nadgarstkach. Strażnicy skonfiskowali miecze Hadriana, ale przegapili sztylet Royce'a w trakcie przeszukiwania i po kilku wstępnych pytaniach kazali im poczekać.

– Nie mamy kłopotów – powiedział Hadrian. – Prawda jest taka, że nie zrobiliśmy niczego złego.

Royce zamknął oczy i pokręcił głową.

– Na Mara, ten twój sposób myślenia. To jest... To jest... Naprawdę, brakuje mi już słów. Zdajesz sobie sprawę z tego, że prawda rzadko ma znaczenie, co?

– Żołnierze to też ludzie. Wiem to. Sam byłem jednym.

– Nie ograniczałem swojego spostrzeżenia tylko do żołnierzy. Większość ludzi ma w nosie prawdę.

– Słuchaj, nie mają powodu, żeby się nas czepiać. Jesteśmy niewinni. Zgarnęli nas, bo jesteśmy obcy i nie mieliśmy po co zjawiać się w zaułku. Po prostu się upewniają.

– Powód, prawda, niewinność... – Royce oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersi – ...jednorożce, wróżki i smoki. Nie jesteś aż tak młody, żeby wierzyć w takie rzeczy. Jak to jest, że uważasz się za obywatela wymagowanego świata?

– Już ci mówiłem. Na tym etapie to kwestia wyboru.

– Nieprawda. Oszukujesz się. Mogę zdecydować, czy zjem rybę, czy wieprzowinę, ale mogę tylko udawać, że jem mięso jednorożca. Nie mogę go naprawdę zjeść. Świat jest, jaki jest, a ty możesz żyć w nim z otwartymi oczami albo ślepy. Mnie to obojętne, ale nie mogę udawać, że masz rację.

Hadrian się skrzywił.

– Twoje słowa są chore na co najmniej kilku różnych poziomach.

Tylko Royce mógł wymyślić metaforę ze zjadaniem jednorożca. Skąd się biorą takie myśli, zastanawiał się Hadrian. Dlaczego jednorożec? Kto myśli o zjedzeniu symbolu czystości i łaski?

Może w tym właśnie rzecz. Może Royce umieścił argument

wewnątrz argumentu, ale Hadrian nie zamierzał pogrążyć się w mętным kanale, z którego tylko Royce znał drogę wyjścia. Musiał przedstawić własną argumentację.

– Ty zawsze ubierasz się na czarno i szaro. To także wybór i bardzo wiele mówi na twój temat.

– Mówi tylko, że nie chcę być widziany nocą.

– Mówi, że lubisz się chować, a ludzie, którzy się chowają, zwykle nie mają dobrych zamiarów. To coś, co oznajmiasz każdemu, kto cię spotyka, i ludzie traktują cię tak, jak można się spodziewać. A potem, kiedy ludzie ci nie ufają, unikają cię, ranią albo aresztują za nic, umacniasz się w swoich poglądach na świat. Zatem masz rację. Nie możesz zjeść jednorożca w swoim świecie, bo tam nie istnieją, ale w moim owszem, są. I pewnie dlatego, że tu się ich nie zjada.

Royce zmarszczył czoło i otworzył usta, jakby usłyszał coś, czego nie rozumie.

– Serio mówię, powinieneś spróbować ubierać się na fioletowo albo żółto – dodał Hadrian. – Nosić coś wesołego i szczęśliwego, może w rzucik w groszki. I powinieneś częściej się uśmiechać. Ludzie inaczej by cię traktowali. Mógłbyś odkryć, że świat jest przyjaźniejszy.

– Powiedz mi, że nie mówisz poważnie.

Hadrian zarechotał.

– Na temat żółtych groszków? Oczywiście, że nie. Wyglądałbyś idiotycznie i mógłbyś przyciągać dzieci, co byłoby epickich rozmiarów błędem.

– A to o jednorożcach?

– To ty zacząłeś ten temat. Nie mam pojęcia, skąd ci się to wzięło. Jakbyś miał w głowie jakąś obłąkaną książkę kulinarną. Co, jeśli jest prawdą, to proszę, nie mów mi tego.

– Wy dwaj zawsze tak nawijacie? – Strażnik za biurkiem przestał pisać i wpatrywał się w nich z wyrazem najwyższego zdumienia.

– Tylko on – odpowiedzieli zgodnym chórem.

– Jesteście przezabawni. – Strażnik się uśmiechnął. – Naprawdę mam nadzieję, że nie jesteście winni. Nie chciałbym was powiesić.

– To dobrze – odpowiedział Hadrian. – Przynajmniej w jednej kwestii możemy się zgodzić.

– Dla mnie to brzmi jak słowa gościa, który wierzy w jednorożce. – Strażnik wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Osobiście popieram gościa ubranego na czarno. Życie jest cierpieniem, a potem umierasz.

– Rety, jakie to pokrzepiające – odrzekł Hadrian. – Powinieneś założyć własny Kościół.

Strażnik pokręcił głową.

– Nie jestem religijnym człowiekiem.

– A to mi niespodzianka.

– Kłopot ze światem polega na tym – tłumaczył strażnik – że za mało ludzi widzi go takim, jakim jest. Chcą, żeby był czymś, czym nie jest. Moim zdaniem byłoby lepiej, gdyby ludzie przestali wierzyć w mrzonki i zaczęli radzić sobie z rzeczywistością. Wtedy może rzeczywiście udałoby się coś poprawić. Chcę powiedzieć, że nie ma żadnych jednorożców ani wróżek i że z pewnością nie ma żadnego spadkobiercy Novrona, który zjawi się i nas uratuje. To zwykła głupota.

– Sam bym tego lepiej nie wyraził. – Royce wskazał strażnika. – Naprawdę mam nadzieję, że nie będziesz próbował mnie powiesić. Nie chciałbym być zmuszony cię zabić.

Strażnik znowu spojrzał skonsternowany, ale potem roześmiał się, zakładając, że Royce żartował.

Royce też się zaśmiał.

Hadrian zaś nie, za to przypomniał sobie, że nie ma swoich mieczy. Stały przy drzwiach. Widział je i to mu poprawiało samopoczucie, bo, prawdę mówiąc, Royce i strażnik mieli rację. Czasem sprawy nie układały się tak, jak powinny. Z pewnością nie potoczyły się dobrze dla dziewczynki z zaułka.

Drzwi na posterunek otworzyły się i pojawiła się znajoma twarz.

– Blackwater? – zdumiał się Roland. – Rety, robisz prawdziwy obchód po mieście. – Spojrzał na strażnika za biurkiem. – Drake, co oni tu robią?

– Zgarnęliśmy ich z zaułka, gdzie zginął mir – wyjaśnił żołnierz, salutując. – Ten duży miał trzy miecze, a ten drugi wyglądał... cóż... podejrzanie.

– To przez kolor jego ubrań – wyjaśnił pomocnie Hadrian. – Przez

nie wygląda złowieszczo.

– Pan ich zna, kapitanie?

– Tak. To Hadrian Blackwater, mój stary przyjaciel. Nie z tych, którzy mordują dzieci, możesz mi wierzyć. – Roland spojrział na Royce'a, ale zawahał się, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Najwyraźniej powinienem zacząć ubierać się w groszki – powiedział Royce.

– Co robiliście w Małym Gur Em?

– Jedliśmy – odpowiedział Hadrian. – Zapoznawałem Royce'a z caliską kuchnią. Siedzieliśmy w kawiarence pod chmurką, kiedy usłyszeliśmy krzyki. No to poszedłem zobaczyć, co się stało.

– Nadal jesteś żołnierzem, co? – Roland zarechotał. Odwrócił się do strażnika. – To naprawdę wszystko, co na nich masz, Drake? Byli tam i wyglądali podejrzanie?

Strażnik pokiwał głową.

– Właściwie tak.

– W takim razie oddaj im ich rzeczy.

Strażnik podszedł do drzwi i zebrał miecze Hadriana.

– Przepraszam za kłopot – powiedział Roland. Zerknął na biurko i obrócił górną kartkę tak, żeby móc przeczytać. – Wygląda na to, że będziemy musieli dorzucić kolejną sprawę do stosu.

– Co to znaczy? – zapytał Hadrian, biorąc najpierw espadon i zakładając go na plecy.

Roland, który wyglądał, jakby od tygodnia nie miał czasu się ogolić, potarł zarost i westchnął.

– Mówiłem ci o morderstwach w mieście. Najczęściej ofiarami są mirowie i możemy być za to wdzięczni. Gdyby to było dziecko obywatela, członka gildii kupieckiej, rzemieślnika, albo, niech Novron broni, arystokraty, miałbym jeszcze na głowie chmarę konstabli.

– Ale ponieważ to mirowie, możecie ignorować problem? – zapytał Royce.

– Nie, nie ignorujemy go. Tak czy inaczej, nic nie mogę zrobić. Tyle że presja byłaby znacznie większa. – Roland spojrział na strażnika, który wręczał Hadrianowi pozostałe miecze. – Żadnych świadków, zgadza się?

Strażnik pokręcił głową.

– Jak zwykle nikt nic nie wie.

– Zawsze jest tak samo – powiedział Roland. – Nikt ich nie widzi. Nikt nic nie wie. A potem pojawia się następna ofiara, nad rzeką, w jamie albo w zaułku i każda ma rozerwaną pierś i brakuje jej serca.

Roland sprawdził zawartość garnka obok ognia i mruknął, kiedy zobaczył, że jest pusty.

– Nie uważasz, że to trochę dziwne? – zapytał Royce.

– Tego by się człowiek spodziewał, co? Ale nie, już nie. Mogłem wspomnieć, że na wschodnim brzegu życie jest tanie. A jeszcze tańsze jest w Kolonii po sąsiedzku, gdzie najczęściej dochodzi do morderstw.

– Ale żeby wyrywać serca dzieciom? – zdumiał się Hadrian.

To sprawiło, że pomyślał o Roysie piekącym jednorożce, tyle że w rzeczywistości ta metafora przybrała inną formę. Czy może istnieć doskonalszy przykład zła? Dlaczego ktoś zrobiłby coś takiego? I jak? Jak można zabić i rozerwać klatkę piersiową, żeby nikt tego nie zobaczył ani nie usłyszał?

– Pewnie sprzedają je na czarnym rynku – powiedział Roland tak bezdusznie, że Hadrian zaczął się zastanawiać, co się stało z młodzieńcem, którego kiedyś znał. – Niektórzy z Calijczyków robią z nich mikstury albo lecznicze balsamy. Wetrzyj trochę sproszkowanego serca dziecka w twarz, a zawsze będziesz wyglądać młodo. Przynajmniej tak się mówi. Bogate kupcowe są ich klientelą. Staramy się to powstrzymać, ale niewiele możemy zdziałać. Zwykle wykorzystuje się cielęce albo jagnięce serca, ale niektórzy ewidentnie zadają sobie więcej trudu. Kiedy ludzie myślą że dostają autentyk, cena idzie w górę. A kiedy roznoszą się wieści o śmierci, rośnie popyt.

Przez to, że ciągle ma do czynienia z dziećmi, którym wydarto serca, i obojętnością otoczenia, ze świata Rolanda także zniknęły jednorożce, pomyślał Hadrian.

Poglądy Rolanda miały sens i trudno było z nimi dyskutować. W końcu zgroza miała swoje sposoby, żeby zająć centralne miejsce na scenie i umniejszyć wszystko inne. Jak można wierzyć, że ludzie są zasadniczo dobrzy, kiedy natrafiasz na tak ewidentne dowody tego, że jest zupełnie inaczej? Hadrian nie mógł sprawić, żeby Roland, Drake,

a już na pewno Royce zrozumieli, że życie bez jednorożców jest pozbawione sensu. Hadrian zapuścił się kiedyś w te ponure strony. Karmił się bez umiaru egoizmem, wylegiwał się w luksusie oczywistych prawd. Nurzał się w winie i krwi, ale im więcej pochłaniał, tym bardziej pusty się czuł. Jaki ma sens, jak to elokwentnie ujął Drake: żyć w cierpieniu, żeby potem umrzeć? Kiedy słyszał takie słowa, umacniał się w przekonaniu o ważności jednorożców. Nawet jeśli nie istniały, to wiara w ich istnienie była absolutnie konieczna. Co więcej, musiał spróbować je odnaleźć. To nie było wiele. Gonienie za fantazjami to mało, żeby nadać życiu sens, a jednak ile cudów dokonali ludzie, którzy właśnie to robili, którzy wierzyli w szalone marzenia.

– Przepraszam za pomyłkę – powiedział Roland. – Postawiłbym wam drinka, ale mam nocną zmianę przez resztę tygodnia, a księżę krzywo patrzy na pijanych oficerów.

– Ach tak, życie uczciwego żołnierza – zadumał się na głos Hadrian, udając zazdrość.

– A co z wami? Nadal szukacie księżnej? Słyszałem, że zajrzeliście do warsztatu Woffingtona. Coś znaleźliście?

– Na razie nic.

– Dajcie mi znać, gdybyście się czegoś dowiedzieli. Jestem przekonany, że ona nie żyje, ale gdyby jednak...

– To co?

Roland się zawahał, jego twarz się zmieniła. Twarda fasada i żołnierskie spojrzenie osłabły i Hadrian ujrzał w nim przelotnie chłopca, którego kiedyś znał.

– Wszyscy nazywają ją Bimbrowniczką. Nikt nie okazywał jej ani odrobiny szacunku. Ja też. Strażnicy powinni kłaniać się, gdy przechodziła, ale żaden z nas tego nie robił. Wszyscy mówili o tym, że nie jest prawdziwą arystokratką. Że jest oszustką, bo nie ma szlchetnego urodzenia i nawet nie pochodzi z Alburnu. To chyba brało się z zazdrości, jakby coś jej się upiekło i nie zasługiwała na szacunek. A potem dała mi nową parę butów. Moje stare były dziurawe. Przemakały i raz omal nie dostałem odmrożeń. Praktycznie nie miałem z nią nic do czynienia. Nie byłem jej osobistym

strażnikiem ani nic takiego, ale ona coś zauważyła. Dlaczego się przejęła, nie mam pojęcia. Powiedziałem sobie, że nie chciała patrzeć na kapitana straży w wyświechtanych mundurze, tyle że... Strażnicy miejscy powinni nosić czarne buty, cienka skóra ładnie wygląda, ale nic nie daje, gdy patrolujesz miasto podczas mrozów. – Uniósł nogę, żeby pokazać Hadrianowi parę brązowych, podbitych futrem butów. – Najlepsze, jakie w życiu miałem. Naprawdę ciepłe. Prawie nie zauważałem śniegu przez resztę zimy. – Opuścił stopę. – Jeśli ona żyje, chciałbym wiedzieć. A jeżeli nie i dowiecie się, kto ją zabił, to też chcę wiedzieć.

Hadrian skinął głową, sprawdził miecze, poprawił krótki miecz na biodrze, a półtoraka podciągnął wyżej i nieco odsunął do tyłu.

– Dzięki za pomoc.

Zrobił dwa kroki w stronę drzwi, ale zdał sobie sprawę, że Royce nie idzie za nim.

Po drugiej stronie ulicy działała rachuba. Jak wiele ważnych budynków, i ten wzniesiono z kamienia, który był już nieco podniszczony.

Na jego widok Royce odwrócił się i zagadnął Rolanda.

– Możesz odpowiedzieć mi na jedno pytanie? – Wskazał na wyrzeźbione w kamieniu twarze na budynku po drugiej stronie ulicy. – Dlaczego są tu wszędzie? Czają się pod stopniami, przy framugach okien, przysiadają na półkach, podtrzymają wszystko od mostów po balkony. Nawet na niektórych kostkach brukowych pojawiają się te groteskowe twarze. Po co to?

Roland pochylił głowę, żeby wyjrzeć przez drzwi.

– Masz na myśli gargulce?

Royce skinął głową.

– Widywałem je już wcześniej. Robiły za rzygacze przy dachach dużych kościołów, takich jak katedra w Medfordzie. Ale tutaj są wszędzie. Większość nie spełnia nawet żadnej funkcji, tylko kilka odprowadza deszczówkę.

Roland odął dolną wargę.

– To chyba tylko dekoracja.

– Nie stoi za nimi żadna historia?

Roland wzruszył ramionami.

– Pewnie. Całe mnóstwo, ale to same bzdury.

– Zrób mi tę przyjemność.

– Najpopularniejsza opowiada o kapłanie, który zabił smoka z pomocą człowieka skazanego na śmierć. Potem spalili potwora, ale płomienie nie tknęły głowy. No wiesz, bo smok sam zionął ogniem i tak dalej. Dlatego miejscowy biskup postanowił zawiesić głowę na katedrze, żeby odpędzała złe duchy. Wydawało się to dobrym pomysłem, więc od tego czasu zaczęto prosić kamieniarzy, żeby umieszczali takie podobizny w różnych miejscach.

– Aha – mruknął rozczarowany Royce.

– Jest jeszcze opowieść o założeniu miasta. Szalony architekt, który nazywał się Bradford Crumin, został wynajęty, żeby stworzył plany. Wyznaczył miejsce pod Posiadłość, Grom Galimus i większość innych starych budynków. Był genialny, ale też obłąkany. Twierdził, że słyszy głosy, które nazywał duchami, i że jedynym sposobem na to, by ucichły, jest odstraszenie ich. Najwyraźniej bały się okropnych twarzy, kazał więc umieszczać groteskowe podobizny, gdzie się dało.

Royce nic nie powiedział, tylko skrzyżował ręce.

– No dobrze, jest jeszcze inna. Podobno kiedyś ich tu nie było. Miasto rozbudowywało się i wszystkie budynki były proste, ale funkcjonalne. A potem pewnego dnia chmara stworzeń opadła je i opanowała. Zalały miasto i ludzie bali się wychodzić z domów. Nie wiedzieli, skąd stworzenia się wzięły, ale kilka dni po inwazji zjawił się stary czarodziej. Zgodził się uratować miasto za pewną cenę. Miasto się zgodziło, a on zamienił stwory w kamień, ale...

– Miasto nie zapłaciło – dokończył Royce.

– Słyszałeś ją?

Royce pokręcił głową.

– Nie, ale wszystkie historie są takie same, nie?

Roland zastanawiał się chwilę, a potem wzruszył ramionami.

– W każdym razie masz rację, odmówili zapłaty. Ponieważ wszystkie stworzenia umarły, problem był rozwiązany.

– Niech zgadnę: czarodziej zrobił wtedy coś paskudnego.

Roland skinął głową.

– Przeklął miasto. Teraz każdej nocy, zwykle podczas nowiu, kamienne stwory ożywają i się mszczą.

Royce zmarszczył brwi.

– Nieważne. Oczekiwałem czegoś okropnego, ale prawdopodobnego.

– Mówimy tu o potwornych twarzach. W co byś uwierzył?

– Co powiesz na kamieniarzy, którym płaci się od godziny?

* * *

– Skąd to nagle zainteresowanie architekturą? – zapytał Hadrian, kiedy znowu ruszyli z Royce'em do Małego Gur Em.

– Niczego nie zauważyłeś? – Royce znów szedł szybko, prawie biegnąc, kierując się z powrotem na miejsce zbrodni.

– Czego mianowicie?

Doszli do placu, gdzie rozlali herbatę, i Royce wskazał budynek, w pobliżu którego znaleziono ciało dziewczynki.

– Co z nim?

– Widzisz gargulce siedzące rzędem nad tym występem?

Stary budynek był ozdobiony siedzącymi w regularnych odstępach upiornymi, podobnymi do małp posągami na wysokości drugiego piętra. To nie były prawdziwe gargulce w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Nie pełniły funkcji rzygaczy, były jedynie ozdobą.

– No i?

Royce zmarszczył czoło.

– Widzisz przerwę?

Rząd zgarbionych małp z kłami pochylał się, podtrzymując na barkach balkon, ale Royce miał rację – jednego brakowało. Zbuntowana kamienna mała, druga od lewej, porzuciła posterunek, zostawiając pozostałe małe potwory, żeby radziły sobie same.

Gdyby tak ciężki kamienny posąg spadł z podobnej wysokości, narobiłby sporych szkód, nie mówiąc o tym, że zostałyby jakieś kamienne szczątki, ale na ulicy na dole nie było żadnego śladu uderzenia. Hadrian pomyślał, że może zdjęto gargulca, bo na przykład

wymagał naprawy. To jednak wymagałoby rusztowania i dźwigu, a niczego takiego tu nie było. W pustym miejscu nie było śladu odkuwania – po prostu brakowało tam rzeźby. Zupełnie jakby stamtąd odleciała. Najrozsądniejsza odpowiedź, jaką się zadowolił, brzmiała, że gargulca nigdy tam nie było. Może budowniczym zabrakło posągu. Pewnie wiązała się z tym jakaś historia, z rodzaju tych, jakie ludzie opowiadają, żeby popisać się znajomością swojego miasta. „A tak, Grimbold Kamieniarz padł martwy, kiedy nad nią pracował, i na jego cześć zostawiono puste miejsce”. Albo coś w stylu: „Ktoś źle wyliczył ilość figurek na ścianie, a stary Pete zaczął je instalować od prawej, podczas gdy Bradford od lewej. Dopiero gdy skończyli robotę zorientowali się, że jednej im brakuje. Z funduszami było krucho, więc brakującego gargulca nigdy nie dołożono”.

Tym sensownym i prostym wyjaśnieniem przeczyło jednak puste miejsce – jasne i nieskazitelne. Jak wyblakły dywan z kwadratem, na którym zachowały się żywe barwy, bo zawsze stała tam szafka, albo jak ściana, na której pozostał zarys stojącego kiedyś przy niej posągu. Coś tam było, ale teraz tego brakowało.

Royce spojrział na Hadriana i zapytał:

– Dlaczego jednego brakuje?

Rozdział 13

Grom Galimus

Villar Orphe czekał tam gdzie zwykle, na dachu. Miał kilka ulubionych, ale tego wieczoru siedział na szczycie budynku „Trio dla Dżentelmena”, gdzie krawiec, pasamonik i szewc sprzedawali w jednym miejscu odzież i obuwie dla mężczyzn. Villar nigdy nie był w tym sklepie, ale dobrze znał tutejszy dach, na którym ukrywał się jego dom. Jego siedziba schowana w niszy między załomami dachu była właściwie osłoniętym płachtą gniazdem z płótna i znalezionych kawałków drewna, które zaciągnął tam nocą jak ogromna sowa. W jego małym schronieniu znajdowało się kilka drobiazgów, które miały dla niego wartość: salifan rosnący w drewnianym kubku, oderwany kawałek gobelinu i miecz, który zostawił mu po sobie dziadek. Ostatnią rzecz podwiesił pod okapem, więc nawet gdyby ktoś znalazł jego gniazdo, mógłby nie zauważyć broni. Trzymał tam też zapasy jedzenia: korzonki, orzechy, jagody, które zebrał na obrzeżach miasta. Jagody zaczęły się wreszcie pokazywać na ciepłych, słonecznych stokach; znalazł też trochę grzybów. Dodatkowo przywłókł do gniazda parę skarbów znalezionych w śmieciach na Wyspie Gubernatora. Ktoś tam nie lubił solonej ryby.

Słońce nadal było wysoko i dlatego Villar trzymał głowę nisko. Nie lubił poruszać się za dnia. Los pobłogosławił mu wyjątkowo pięknymi rysami typowymi dla jego ludu i nie chciał zasłaniać uszu ani ukrywać oczu przed światem. Był dumny ze swojego dziedzictwa. To reszta świata powinna się wstydić. Lista takich „powinności” według Villara

była długa. Powinien móc wejść do „Trio” i kupić sobie nowe ubranie. Powinien móc publicznie nosić miecz swojego dziadka. Powinien móc mieszkać w domu o czterech ścianach i – na Ferrola! – mieć prawdziwą doniczkę na salifan. Jednakże to, co powinno być, a to, co było, ogromnie się różniło i sprawiało, że siedział w kucki oparty plecami o kopułkę, na której wiatrowskaz w kształcie eleganckiego mężczyzny wskazywał wschodni wiatr.

Często się zastanawiał, co by się stało, gdyby ośmielił się nosić miecz. To nie było niezgodne z prawem. Słyszał, że niektórzy władcy zakazali noszenia broni białej i łuków w miastach wszystkim poza rycerzami, arystokratami i strażą miejską. Rochelle nie miało żadnych praw odnośnie do broni, ale z drugiej strony nie było też edyktu, który zakazywałby mirom wchodzenia do „Trio”. Niektórych zasad nie trzeba zapisywać i niepotrzebna jest straż, żeby wymusić ich przestrzeganie. Gdyby zobaczono go z mieczem bezczelnie przypiętym do biodra, zwróciłby na siebie uwagę. Tłum zaczęłoby zbierać się wokół niego i o ile nie chciałby posłużyć się swoją bronią, zostałyby pobity i ograbiony z miecza. A gdyby się nią posłużył, gdyby zachował się jak dowolna inna szanująca się osoba, zjawiłaby się straż miejska. O ile noszenie miecza nie było niezgodne z prawem, to ranienie i zabijanie ludzi już zdecydowanie tak. Villar wiedział z doświadczenia, że strażnicy nie lubią krasnoludów, ledwie tolerują Calijczyków, a mirów szczerze nienawidzą. Nie miał złudzeń co do tego, czy zdołałby pokonać oddział wytrenowanych żołnierzy. Nie uczył się walki i nigdy nie brał w żadnej udziału. Nie uważał, że pobicie to jest to samo co udział w walce. Zatem chociaż bycie mirem było wystarczającym powodem, żeby zostać pobitym, to bycie mirem z mieczem było niechybnym samobójstwem.

Gdy spojrział w dół, zobaczył rzekę i zachodzące słońce, które przybrało barwę złota. Powozy przejeżdżały odległymi mostami. Dym unosił się z kominów. Ulicami jak kaniony ciągnęły tłumy, przelewając się jak kleisty szlam, który oliwi maszynę miasta. Był dosłownie ponad tym wszystkim, ale wkrótce będzie mógł wzbogacić to stwierdzenie też o bardziej metaforyczny aspekt.

Dzwony Grom Galimus zaczęły wygrywać swoją tęskną melodię,

sygnalizując koniec dnia. Powinien ruszać. Biskup nie będzie zadowolony z jego spóźnienia. Zaczął się podnosić, ale wtedy zamarł. Znowu usłyszał skrobanie. Drobnutkie pazurki na drewnie.

Szczur wrócił, pomyślał.

Spojrzał na stos swoich rzeczy i dostrzegł czarno-białego gryzonia wbiegającego w szparę dachu. Złodziej znowu przeszedł. Tym razem zdążył otworzyć pudełko.

Villar wyłowił drewniany pojemnik ze stosu i w panice przeszukał zawartość, pilnując się jednocześnie, żeby diabelny wiatr nie spróbował spleść mu jakiegoś figla. Wyglądało na to, że wszystko jest bezpieczne. Wyjął najbardziej hołubiony skarb – oddarty kawałek gobelinu, który miał co najmniej tysiąc lat. Według historii, którą opowiedział mu dziadek, gobelin należał do rodziny Orphe i był rozmiarów trzykondygnacyjnej ściany. Zachował się tylko skrawek długi na dwie stopy. Z oczywistych powodów resztę skonfiskował i spalił Kościół. Nawet na tym małym kawałku widoczne były szczegółowe wizerunki bohaterów o szpiczastych uszach, jadących konno i trzymających wzniesione miecze. Gobelin, jak powiedział mu dziadek, przedstawiał Upadek Merredydu. Upamiętniał bitwy z barbarzyńcami, którzy w końcu obalili starożytną i wspaniałą prowincję imperium. Miejsce, w którym niegdyś mirowie władali w imieniu mirów.

Villar rozłożył kawałek gobelinu na udach i z miłością pogładził wspaniałą tkaninę.

Mir władał prowincją, pomyślał.

Patrząc w utkane oczy, przysięgł:

– Jeśli Ferrol pozwoli, kolejny będzie władał królestwem.

Widząc, że słońce dotyka góry w oddali, podniósł materiał do ust i ucałował obraz, a potem odłożył go z powrotem.

Czas uciekał, a on miał dużo do zrobienia.

* * *

Villar udał się do katedry swoją zwyczajową trasą po dachach

i zeskoczył do cienistego zaułka. Skończył się dzień pracy i zmęczeni ludzie masowo wlekli się do domów. Zgarbione ramiona, pochylone głowy, niewielu podnosiło wzrok. Nawet gdyby ktoś podniósł, nawet gdyby ktoś go zobaczył, to nikt nie zwróciłby uwagi, nikt by się nie przejął – ot, jeszcze jeden mir na ulicy.

Słońce zachodziło za Posiadłością, większość tarczy już zniknęła, jego moc malała. Chmara cieni wypełzła z kryjówek i przejmowała władzę nad światem. Moneta losu została rzucona. Wreszcie wypadła reszka.

Jego rodzaj nie mógł bezpiecznie wchodzić do większości sklepów, ale nieliczni właściciele okazywali współczucie i odwracali wzrok, kiedy mir zakradł się do środka. Ci nieliczni kupcy sprzedawali mirom towary, jeśli nikogo więcej nie było w sklepie. Powszechna praktyka kazała poczekać na chwilę zastoju w interesach i dopiero wtedy zakraść się do środka, kupić, co trzeba, a potem wyjść pośpiesznie, zanim ktoś cokolwiek zauważy. Gdyby ktoś coś zauważył, mir zostałby odprawiony. „Karczma pod Wroną” poszła krok dalej. Co wieczór wyrzucano kości i resztki na ulicę dla mirów z okolicznej Gawroniej Kolonii. Tłum gromadził się nabożnie i padał na kolana, zbierając wszystko, co się dało zebrać w ręce i fałdy spódnic. Villar widział to tylko raz, więcej nie był w stanie znieść. Zrobiło mu się niedobrze i postanowił, że „Karczma pod Wroną” to pierwszy budynek, który spłonie. Jego właściciel, Brandon Hingus, zginie jako pierwszy. Może miał dobre chęci, ale skutkowało to publicznym upokorzeniem ludzi Villara. Taka zniewaga musi zostać pieczołowicie zmyta, żeby wymazać ohydne wspomnienie.

Mimo powszechnie znanego zakazu obejmującego większość publicznych miejsc w nielicznych mirowie byli tolerowani, o ile nie sprawiali kłopotów. Place były, ogólnie rzecz biorąc, bezpieczne, podobnie jak mosty. Wielu mirów żyło pod mostami. Pozwalano im nabierać wodę z publicznych studni, chociaż prawo tego zabraniało. Mirom wolno też było wejść do Grom Galimus. Nie mogli wejść dalej niż sięgały okna z teshlorami, pierwsza para oświetlająca nawę z witrażami przedstawiającymi starożytny zakon z czasów imperium, ponurych wojowników, którzy pilnowali, żeby żadna stopa nie

przekroczyła linii.

Mirowie mogli jednak stać zaraz za drzwiami, obserwować nabożeństwa, słuchać chóru, a potem czekać na schodach w nadziei na datki. O ile zachowywali szacunek i nie blokowali przejścia, pozwalano im zebrać w milczeniu. Dlatego nie było niczego dziwnego w tym, że mir wbiegł po marmurowych schodach i wszedł przez ogromne drzwi do Grom Galimus.

I znowu nikt nie patrzył, nikt nie zauważył, nikogo nie obchodziło, kiedy Villar zakradł się do środka na swoje pierwsze spotkanie tej nocy.

Spóźnił się odrobinę, ale biskup spóźnił się jeszcze bardziej, więc Villar czekał między dwoma witrażowymi teshlorami. Nie trwało żadne nabożeństwo i ogromne wnętrze było zasadniczo puste. Tylko kilku chłopców sprzątało i paru wiernych nabożnie klęczało na kamiennej posadzce i modliło się do posągów Novrona i jego kochającego ojca, Maribora. Mimo tajnej misji Villar nie zamierzał pochylać głowy i odwracać oczu. Nie będzie czcił tych bogów ani udawał, że to robi. To byli ludzcy bogowie. Z obu stron wpatrywali się w niego teshlorowie. Villar źle się czuł pod ich baczny, rozświetlonym słońcem spojrzeniem, które sugerowało, że widzieli kogoś więcej niż upartego mira. Kiedy jednak tak czekał, zauważył, że światło słabnie i ich wizerunki bledną.

Rozległo się echo obcasów na posadzce. Postać w szatach przeszła między filarami. Zbliżał się biskup.

Kiedy się wyłonił spomiędzy filarów, bez słowa wskazał Villarowi kąt. Villar nie przekroczył linii wyznaczonej przez rycerzy, ale też nie znajdował się już tuż przy drzwiach.

– Jakiś problem? – szepnął Tynewell. Stał między Villarem i drzwiami, zasłaniając widok na wszystkich z wyjątkiem sprzątających chłopców.

– Nie, wszystko układa się doskonale.

– To co tu robisz?

– Calijczyk, który nazywa się Erasmus Nym, będzie potrzebował dostępu do Grom Galimus rankiem w dniu uczyty.

Tynewell spojrzał zdziwiony.

– Mam poranne nabożeństwo. Ludzie...

– Po nabożeństwie. Może być południe. Nie potrzebuje dużo czasu na przygotowania.

Słowo „przygotowania” sprawiło, że biskup się skrzywił.

– A co właściwie ów Erasmus będzie robił? Nie pozwolę, żeby zbezcześcił kościół. Nie złoży w ofierze kozła na moim ołtarzu. – Tynewell wytrzeszczył oczy. – Ani dziecka.

Villar zamarł na chwilę, zastanawiając się, skąd wziął się ten pomysł. Nie powiedział biskupowi o wszystkim. Nie uważał tego za rozsądne, a biskup nie chciał znać szczegółów. Tynewella interesowało tylko, żeby wszyscy arystokraci z Alburnu zginęli w trakcie uczy.

– Nym nie zrobi niczego, czego sam bym nie zrobił.

Tynewell zastanowił się chwilę, a potem zapytał:

– A gdzie ty będziesz?

– Gdzie indziej. W miejscu, o którym Erasmus nie powinien wiedzieć.

– A co ten Erasmus wie na temat mnie i mojego udziału? Czy skorzystanie z mojego kościoła to taki dobry pomysł? Czy to nie będzie wskazywać na mój udział?

– Nie, katedra jest ogromna i nie można oczekiwać, żeby biskup wiedział, co się dzieje w każdym jej zakamarku. Już pokazałem mu, gdzie ma pójść, a on nie pytał, kto jeszcze bierze w tym udział. Chciałem tylko dać biskupowi znać, że to będzie on, a nie ja, na wypadek gdybyście na siebie wpadli.

– I nikt więcej o niczym nie wie, zgadza się? Nie chwaliłeś się nikomu, co? Nie poszedłeś do jakiejś karczmy opowiadać o tym, jak biskup obiecał ci przysługę w zamian za zorganizowanie krwawych rozruchów?

– Mirowie nie są mile widziani w karczmach.

– Niech i tak będzie, ale wiesz, w czym rzecz. Nie piłeś pod jakimś zapomnianym przez ludzi mostem i nie przechwalałeś się, jak to zostaniesz księciem Rochelle, kiedy biskup ukoronuje cię z braku lepszego kandydata, co? Jeśli ktokolwiek odkryje, że jestem w to zamieszany, żaden z nas nie dostanie tego, czego chce.

– Nie piję.

Tynewell przyjrzał mu się uważnie, a potem się uśmiechnął.

– Dobrze. Wiesz, że miałem wątpliwości co do ciebie. Polegać na mirze... Coś takiego nie przychodzi łatwo, ale ja jestem człowiekiem wiary. Wierzę, że jeśli pokładasz w kimś wiarę, to ta osoba okaże się tego godna. To szansa dla ciebie. Jeśli ci się powiedzie, zdobędziesz moje zaufanie i władzę nad miastem. Wyobraź to sobie. Będiesz bohaterem dla swoich ludzi. Będziesz mieszkał w Posiadłości i władał regionem w moim imieniu. Ja będę królem Alburnu, biskupem-władcą jak Venlin, a ty będziesz pierwszym mirem-arystokratą od upadku Merredydu. Ty i twoi ludzie dostaniecie to, co się wam należy, możesz mi ufać.

Villar mu nie ufał, ale to była jego jedyna szansa, a właściwie ich jedyna szansa. Cała sprawa była potwornie ryzykowna i nie miał pewności, czy biskup dotrzyma słowa i uczyni go księciem. To jednak nie miało znaczenia. Jeśli niczego nie zrobi, nic się nie zmieni. Villar wolał umrzeć niż stawić czoło jeszcze jednemu dniu jedzenia ze śmietnika księcia Rochelle i patrzenia, jak mirowie żebrzą o ochłapy wyrzucane na ulicę. Tak czy inaczej, Villar będzie miał szansę, żeby powalczyć. Możliwość zabicia tych, którzy upokarzali jego ludzi i jego samego od wielu pokoleń, to wystarczająca nagroda. To było coś, czego Mercator nigdy nie zrozumie. Dała się udomowić, a serce Villara pozostało wolne.

Wychodząc z katedry, stanął na schodach, żeby popatrzeć na resztki gasnącego światła dziennego. Miał mnóstwo czasu, żeby dotrzeć na swoje drugie spotkanie. Właściwie to zjawi się sporo przed czasem. Może powinien najpierw coś zjeść. Zastanawiał się, czy nie pogrzebać w śmieciach księcia w poszukiwaniu kolacji. Zrobiłby to po raz ostatni w życiu. Spojrzał w kierunku Posiadłości, miejsca, które niedługo stanie się miejscem zaszczytów, a nie upokorzenia. I wtedy ich zobaczył – dwóch nieznanomych. Obcych przybyszów, którzy wypytywali o księżnę i zaglądali tam, gdzie nie powinni. Jeden przysiadł wysoko na przyczółku na drugim końcu mostu i obserwował Posiadłość, jakby na coś czekał.

Villar zrozumiał, na co tamten czeka, i wiedział już, że tego

wieczoru nie zje żadnej kolacji.

Rozdział 14

Stangret

– Czego właściwie szukamy? – zapytał Hadrian, zmieniając znowu pozycję. Zwieńczenie muru, na którym siedział, było zimne.

– Woźnicy – odpowiedział Royce.

Znajdowali się na zachodnim krańcu Wschodniego Mostu. Royce nie odrywał oczu od frontowej bramy do posiadłości księcia od chwili przyścia. Hadrian siedział na krawędzi mostu, z dala od ruchu, i wyglądał jak zagubiony chłopiec, który był na tyle niemądry, żeby wypuścić rękę matki, i teraz miał nadzieję, że po niego wróci. Royce siedział nad nim, na masywnym przyczółku, który znaczył początek, tudzież koniec mostu, zależy od której strony się szło. Stał za posągiem skrzydlatego potwora, ogromnej, podobnej do nietoperza paskudy z rogami i kłami. Royce i rzeźba stanowili naprawdę diaboliczną parę, kiedy przywarł do jej skrzydła i zerkał ponad jej ramieniem. Czasem brama do Posiadłości się otwierała i wtedy Royce uważnie obserwował. Potem brama się zamykała i Royce rozczarowany obojętniał.

Nie znaleźli nowego lokum. Wszelkie możliwe miejsca były zajęte, nawet skrawki ziemi pod mostami i za stajniami. Royce szukał prawie do zachodu słońca, a potem nalegał, żeby popędzili w kierunku Posiadłości. Siedzieli tam od ponad godziny i jak na razie nic nie usprawiedliwiało wcześniejszego pośpiechu. Poza jednym słowem, które wypowiedział, Royce nie raczył w żaden sposób zareagować na pytania dotyczące ich czuwania.

Dzień nadal był względnie ciepły, potwierdzając wieść, że wiosna znajduje się już kilka kroków od miasta. Poranek był słoneczny, ale popołudnie zaprosiło do zabawy chmury i w miarę upływu czasu przybywało ich coraz więcej. Różne łodzie przepływały pod mostem. Zawodowi rybacy ciągnęli sieci, płynąc w górę rzeki po dniu na Zatoce Blythin. Po rzece pływało też wiele szkut w tę i z powrotem, zabierając ładunek z portu i wracając po następny. Na moście ruch stawał się coraz większy. Zgarbieni i z pochylonymi głowami służący, rzemieślnicy i robotnicy wracali do domów, a drogę oświetlało im gasnące słońce.

– Jest! – zawołał nagle Royce, wychylając się do przodu z tym samym złowrogim wyrazem twarzy co posąg, którego się trzymał.

Mała postać wyszła przez frontową bramę książęcej posiadłości, siwa i lekko łysiejąca. Z mocno wysklepionym czołem i długą brodą krasnolud wyglądał jak typowy przedstawiciel swojej rasy. Rozejrzał się, zanim przeszedł przez ulicę, a potem włączył się do ludzkiego nurtu zmierzającego w ich stronę.

– Krasnolud? – zapytał Hadrian.

– Cii! – zbeształ go Royce, schodząc. – Tak, to jest woźnica.

– Skąd wiesz?

– Nie wiem, ale to jedyny krasnolud, jaki wyszedł z książęcej posiadłości, a wątpię, żeby Jego Książęca Mość wielu ich zatrudniał.

Nie wyglądał jak stangret. Gdyby Hadrian miał zgadywać, uznałby go za ogrodnika, pomocnika stajennego albo – widząc worek przerzucony przez ramię – brodatego dzieciaka, który ucieka z domu. Krasnolud nosił prostą tunikę robotnika, pas, wełniane spodnie i podniszczone buty. Trzymał poplamioną błotem pelerynę i mały, zawiązany sznurkiem worek. Z trudem dołączył do nurtu przepychających się ludzi, którzy go trącali, jakby w ogóle go tam nie było.

– Wiem, że nie lubisz krasnoludów, Royce, ale to nie znaczy, że każdy...

– Podnózek w powozie był podniesiony stosownie dla kogoś jego wzrostu, więc woźnicą było albo dziecko, albo on. Każdy zauważyłby dziecko kierujące powozem, ale sam zobacz, jak ludzie ignorują tego

krasróluda. Jakby w ogóle nie istniał. Ludzie nie dostrzegają tego, czego nie chcą widzieć. Zresztą, powiedz szczerze, kto chciałby zatrzymać wzrok na kimś, kto wygląda jak ten tutaj?

Krasrólud minął ich, a Royce zsunął się z mostu i dołączył do tłumu kilka osób za nim.

– Pracuje w Posiadłości – dodał cicho, gdy szli za krasróludem po moście w kierunku placu. – Myślę, że tylko dorywczo. Pewnie wynajmuje się do jakichś konkretnych zleceń, najpewniej robi coś przy kamieniarce. A kiedy potrzebowali woźnicy dla księżnej, zgadnij, kto się zgłosił na ochotnika?

– Moim zdaniem to same przypuszczenia.

– Jak nie mam racji, to znaczy, że wynajęli ósmiolatka do wożenia księżnej.

Obnośni handlarze wykorzystywali wieczorne tłumy i wykrzykiwali zachęty, machali do mijających ich ludzi. Bijące sześć razy dzwony Grom Galimus utrudniały im zadanie. Kiedy wreszcie ucichły, krasrólud przeszedł przez plac i skręcił w zaułek, który oddzielał katedrę od następnego wielkiego kamiennego budynku. Ten gmach miał schody, które prowadziły do imponującej marmurowej kolumnady, nad którą widniał wycięty napis „Cesarska Galeria”. Na obu budynkach były gargulce, ale żadnego nie brakowało.

Uliczka między katedrą i galerią była szersza od zaułka w Małym Gur Em, ale też bardzo zatłoczona. To pomogło im śledzić krasróluda. Royce trzymał się dwie osoby za ich zwierzyną, więc musieli zwolnić i pozwolić innym ich mijać. Przez krótkie nogi krasrólud nie szedł zbyt szybko. Słońce wisiało nad horyzontem i jego gasnące światło już zamieniło ulice w centrum miasta, gdzie budynki stały tak blisko siebie, że Hadrian mógłby dotknąć ścian po obu stronach końcami swoich mieczy, w kamienne kaniony.

Tłum zaczął się przередzać, kiedy ruszyli ulicą skracającą na północny wschód. Stało tu więcej domów mieszkalnych, niższych i mniej ozdobnych. Hadrian zauważył kobiety na małych balkonach z kutego żelaza trzepiące dywany, liczne dymiące kominy. Kamienne domy ustąpiły drewnianym o szachulcowych ścianach, a liczba pięter malała z każdą kolejną przecznicą. Słońce już zaszło i mglista

poświęta dnia rywalizowała ze światłem ulicznych latarni.

Ulica, którą szli, przeszła w następną, gdzie wzdłuż jednej strony ciągnął się długi mur. Był wysoki na osiem stóp, ceglany i zwieńczony metalowymi szpikulcami. Kiedy krasnolud doszedł do muru, skrzył i szedł wzdłuż niego, aż dotarł do wejścia. Dwuskrzydłowe drzwi stały otwarte i krasnolud wszedł do środka. Royce zatrzymał się, żeby przyjrzeć się zasuwie i zawiasom. To były proste śruby ściągające. Dziwne było jednak to, że zasuwki znajdowały się po obu stronach drzwi. Mogły służyć do zamknięcia ludzi w środku albo odcięcia się od ulicy. Royce zerknął z wahaniem na Hadriana, a potem ruszył za krasnoludem.

Za murami znajdował się całkiem inny świat ciasno upakowanych drewnianych chałup. Tutaj najszersze ulice były rozmiarów najwęższych zaułków na zewnątrz. Tu także stały wózki handlarzy, ale całkowicie blokowały uliczki, więc przechodnie musieli przeciskać się między wozami i beczkami. Royce i Hadrian przeszli jeden kwartał, kiedy złodziej nagle się zatrzymał. Rozejrzał się z niepokojem.

– Co się stało? – zapytał Hadrian.

– Mamy kłopot.

Hadrian również się rozejrzał. Stali na brukowanym odcinku między sfatygowanymi chałupami, gdzie pranie zwieszało się z parapetów otwartych okien. Mieszkańcy zgromadzili się w małych grupkach przed wejściami, inni na skrzyżowaniach przy palących się śmieciach, gdzie się grzali. Rzekomy woźnica księżęcego powozu zatrzymał się przy jednej takiej grupce i rozmawiał ze zgromadzonymi.

– Co się stało? Co masz na myśli?

– Nie widzisz?

Hadrian się rozejrzał, ale nie widział zagrożenia.

– Czego?

– Wyróżniamy się. Dosłownie wystajemy ponad tłum. Wszyscy tutaj są niscy.

Hadrian znowu się rozejrzał. Royce miał rację. Na ulicy nie było ani jednej osoby wyższej niż cztery stopy i niemal wszyscy mężczyźni

mieli długie brody, często zaplecione albo związane wstążką.

– Co teraz? Idziemy na klęczkach?

Royce go uciszył, kierując w stronę cienia ganku. Skupił się na grupce przy ognisku, gdzie zatrzymał się woźnica, żeby pogawędzić z pięcioma innymi krasnoludami. Większość stała z rękami skrzyżowanymi na piersi, ale czasem wyciągali je do ognia.

Z daleka Hadrian nie słyszał, co mówią, ale podejrzewał, że Royce przeciwnie.

– Co mówią?

– Kłócą się na temat pogody.

– Jak można się kłócić na temat pogody?

Royce znowu go uciszył i Hadrian oparł się o poszarzałą ścianę budynku, przy którym się schowali. W oknie wisiał szyld. Może napisano na nim „zatrudnię pomoc” albo „pokój do wynajęcia”, Hadrian nie miał pojęcia. Nie był to żaden znany mu język. Samo okno znajdowało się dziwnie nisko, a dwa fotele na biegunach na werandzie wyglądały jak zrobione dla dzieci.

To jak miniaturowa wersja świata, pomyślał.

– Czuję się jak olbrzym – powiedział do Royce’a.

Odwrócił się z powrotem w stronę krasnoludów przy ogniu, gdzie spór stawał się coraz zacieklejszy, dwa krasnoludy wymachiwały wściekle rękami, potrząsały pięściami. Nawet Hadrian słyszał teraz niektóre okrzyki: „Nie mów mi, co jest, a czego nie ma!”.

– Oni naprawdę poważnie traktują pogodę.

– Nie spierają się już o pogodę – wyjaśnił Royce.

– A o czym teraz rozmawiają?

– Nie wiem. O czymś, co ma związek z Calijczykami, mirami i nadchodzącą wiosną. I nasz gość nie jest szczególnie popularny. On też za nimi nie przepada. I nikt z nich nie lubi księcia. I... – Royce przechylił głowę, nasłuchując. – Wszyscy wybierają się na spotkanie w caliskim dystrykcie. Wygląda na to, że dotyczy sojuszu.

Ulice pustoszały, okna zamykały się, kiedy noc zaczęła wymazywać wcześniejszą obietnicę nadchodzącej wiosny. Powrócił chłód zimy, przypominając wszystkim, że jeszcze nie odeszła. Woźnica zarzucił swój worek na ramię i pożegnał się niezbyt serdecznie z innymi

krasróludami stojącymi przy ognisku. Odszedł ciemniejącą ulicą. Royce machnął na Hadriana i obaj ruszyli.

Krasrólud zatrzymał się przy maleńkiej jatce. Tam targował się w nieznanym języku o jednego z trzech kurczaków, jakie zwieszały się z belek ganku. Rozmowie towarzyszyło tupanie, a także wiele gestów i grymasów. Kurczak, którego dotyczyła dyskusja, był tak mały i chudy, że Hadrian miał wątpliwości, czy to rzeczywiście kurczak. Gdyby nie białe pióra, uznałby, że to wrona. Ostatecznie woźnica niechętnie wręczył monety, złapał kurczaka za nogi i odszedł, kołysząc nim na boki. Potem zatrzymał się przy taczkach, gdzie najwyraźniej starsi małżonkowie sprzedawali drewno na opał. Woźnica wziął trzy szczapki, jakby wybierał warzywa na targu. Objuczony naręczem drewna, workiem i mizernym kurczakiem, który nadal majtał się na boki, krasrólud dotarł do maleńkiej chałupki. Odeskowanie było tak sfatygowane, że stało się ciemnoszare. Piętro było nieco większe od parteru, tworząc nawis ocieniający drzwi. W środku było jasno. Woźnica wszedł, nie pukając.

Chałupina miała dwoje przeszklonych okien. Postrzępiona tkanina zasłaniała oba, ale była tak porwana, że Royce i Hadrian nadal mogli szpiegować podejrzanego przez szpary. Hadrian zaszokowany zobaczył, że w środku jest ponad tuzin ludzi. Dzieci i starsi, mężczyźni i kobiety, wszyscy tłoczyli się w małej przestrzeni jednego pokoju. Światło padało z paleniska, do którego podeszła z wziętym od woźnicy kurczakiem zaskakująco ładna krasróludzka kobieta. Dzieci szarpały ją za fartuch, kiedy uniosła ptaka, skomentowała jego wygląd, a potem pocałowała woźnicę w nos. Oboje się roześmiali.

Hadriana natychmiast ogarnęły wyrzuty sumienia z powodu szpiegowania, zostawił więc Royce'a, żeby go obserwował, a sam usiadł na porzuconej skrzynce obok stosu śmieci. Po komentarzu Royce'a spodziewał się, że krasrólud zmierza do jakiejś nikczemnej kryjówki, upiornej wieży albo starożytnej ruiny, gdzie Genny Winter siedzi przykuta do ściany albo podwieszona nad krokodylami. A zamiast tego przyszło mu podglądać ciężko pracującego ojca serdecznej i kochającej rodziny. Ich ubóstwo czyniło podglądanie jeszcze bardziej niesmacznym. Hadrian nie zakłócał zwykłego

spotkania, ale wydarzenie niemal tak święte jak pogrzeb. Większość śmieci, koło których siedział, składała się z wiórów i kawałków kory, więc zaczął się zastanawiać, czy to w ogóle są śmieci. W domu, gdzie szanuje się opał, wątpił, żeby ktoś wyrzucił cokolwiek, co da się spalić.

Minęło kilka godzin, zanim Royce podszedł do Hadriana. Trzymał coś małego w rękach.

– To nie kamieniarz – powiedział, unosząc drewnianą figurkę stojącego dęba konia, wypolerowaną i polakierowaną na miodowy odcień. Każdy mięsień i pasmo włosów w grzywie i ogonie oddano ze zdumiewającą precyzją.

– Piękny.

Royce skinął głową.

– Po drugiej stronie jest szopa pełna takich rzeczy.

– Dlaczego ich nie sprzedaje? – Hadrian obejrzał się na dom. – Nie wiem, ile mu płacą w Posiadłości, ale myślę, że za tak świetną robotę dostałby sporą sumkę. To lepsze od tego, co widziałem na wystawach.

Royce skinął głową, nadal patrząc na figurkę.

– Zostajemy tu na noc? – zapytał Hadrian.

Royce wzruszył ramionami, a potem nagle obrócił się na pięcie.

Hadrian też to usłyszał – frontowe drzwi chałupy się zatrzasnęły. Snycerz i rzekomy stangret księżnej znowu gdzieś się wybierał.

* * *

W pelerynie i z kapturem na głowie krasnolud prezentował się o wiele bardziej złowieszczo niż wcześniej. Tym razem ścisnął w rękach pudełko wielkości bochenka chleba i wyglądał jak ucieleśnienie czarnego charakteru z setki opowieści dla dzieci: Gronbach, mały brodaty krasnolud o złych zamiarach. Kiedy woźnica przemykał wśród cieni, Hadrian bez kłopotu mógł uwierzyć w opowieści o nikczemnym krasnoludzie. Scena idealnie pasowała do bajki, gdyby pominąć wcześniejsze chwile, gdy zmęczony krasnolud dowlókł się do ubogiej rodziny i przyniósł im nędzną namiastkę kurczaka. Pocałunki kochającej żony nigdy nie stanowiły części mitu o Gronbachu. Nawet

nie miał żony i dzieci. W bajkach był potworem, a jego reputacja rzucała cień na wszystkie krasnoludy.

Mały jegomość poruszał się szybciej, gdy śmigał labiryntem wąskich uliczek. W pewnym momencie ruszył biegiem i Hadrian był przekonany, że ich zauważył. Jednak parę metrów później krasnolud zwolnił do szybkiego kroku. Gdyby się obejrzał, zauważyłby Hadriana, który sam szedł w kapturze na głowie. Krasnolud z pewnością zdziwiłby się, widząc wysokiego mężczyznę z trzema mieczami, który spaceruje późną nocą po krasnoludzkiej enklawie, ale nie zobaczyłby Royce'a. Chociaż złodziej znajdował się znacznie bliżej, to przemykał od cienia do cienia i wyglądał niemal jak drżenie, drobne poruszenie, które mogło być różkiem brezentu na drewnie opałowym poruszającym się na wietrze. Tyle że krasnolud nawet się nie obejrzał przez ramię, cały czas szedł zasadniczo na północny wschód, unikając okien, drzwi i blasku ognia.

Przekonany, że teraz wreszcie idą do złowieszczej, walącej się wieży albo jamy z krokodylami, Hadrian zdziwił się, kiedy krasnolud podszedł do postaci przy wejściu na cmentarz. Był to skromny kawałek ziemi z nagrobkami otoczony ciasno upchanymi kamiennymi budynkami, z których jeden mógł być małym kościołem. Nagrobki jednakże były przepiękne. Nawet z odległości zachwycały maestrią. Krasnoludy słynęły z kamieniarki tak samo jak z porywania młodych kobiet. Hadrian nigdy w życiu nie widział piękniejszych posągów od tych na tym cmentarzu. Większość przedstawiała ludzi, zmarłych, jak zakładał Hadrian. Nie były to drobne, złowrogie potwory w kapturach, z bajek opowiadanych dzieciom ku przestrodze, ale nadzwyczajni bohaterowie własnych historii. Wyprostowane, dumne, uśmiechnięte postaci, które patrzyły w niebo albo w dół, ze współczuciem dla tych, którzy mogą przyjść ich oplakiwać.

Tak siebie widzą, pomyślał. To w połączeniu ze sceną w chacie sprawiło, że Hadrian zaczął się zastanawiać, czy w ogóle będzie jakaś jama z krokodylami.

Krasnolud podszedł prosto do postaci przy wejściu na cmentarz, bez wahania i bez powitania. Czekający na niego mężczyzna był

wysoki, chudy, ciemnoskóry i całkiem siwy.

Royce obejrzał się z lękiem, a jego spojrzenie było studnią informacji. Dawał Hadrianowi do zrozumienia, żeby uważał. Jeden wóz z rzeźni wystarczy. Chociaż drugi taki tutaj im się nie przydarzy – wąska uliczka była pełna okien, drzwi i różnych przeszkód: beczek, daszków, schodów na werandy i stosów śmieci. Royce mówił nie tyle: „Uważaj na kolejny zabójczy wóz”, tylko raczej: „Nie podoba mi się to. Uważaj, to może być pułapka”.

Fakt, że Royce przekazał tyle informacji jednym spojrzeniem, zaniepokoił Hadriana. Nie miał żadnych wątpliwości, że dobrze usłyszał Royce’a, i ta niezachwiana pewność powiększyła jego niepokój, że jego własny umysł zaczyna współgrać z umysłem Royce’a. Chociaż to było dobre dla pracy, Hadrian nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że pod każdym innym względem było to złe, zwłaszcza dla jego zdrowia psychicznego.

Trzymając się blisko murów i z dala od światła księżycowego, Hadrian podkraść się do miejsca, gdzie Royce stał u podnóża dwupiętrowego kościoła, jedyne kamiennego budynku w okolicy, który ewidentnie był starszy od pozostałych.

– ...dziewięćdziesiąt osiem mieczy, o połowę mniej tarcz.

– Dlaczego tak mało tarcz?

– Są mniej ważne i trudniejsze do przechowania – odpowiedział krasnolud. – Nie przestaliśmy. Produkcja zwolniła, rzecz jasna, ale tylko tyle. Nie zapomnij, że to na nas spoczywa brzemię. Wy nie dajcie nawet jednego dina.

– Po prostu się boicie – odpowiedział Calijczyk. – Wszyscy mieliśmy nadzieję, że uda się z okupem, ale uczta jest już pojutrze. Nadchodzi wiosna, przyjacielu, i bez względu na to, czy jestem nasieniem, kamieniem, czy murawą, to boję się pługą.

Krasnolud skinął głową.

– Już czas. Setka mieczy to najwięcej, ile zdołamy zrobić. – Podał pudełko. – Ale dzięki temu setka powinna wystarczyć z górką.

– Bardziej się boję tego, co trzymasz, niż mieczy. – Calijczyk obrzucił pudełko spojrzeniem, jakby krasnolud wymachiwał mu kuszą przed twarzą. – Griswold, jeśli to okaże się konieczne, rzeczywiście się tym

posłużysz?

– To dla ciebie. – Krasnolud podał pudełko Calijczykowi.

Mężczyzna wziął je powoli i trzymał z dala od ciała, jakby w środku siedział rój wściekłych pszczół.

– I teraz mogę zadać ci to samo pytanie. Posłużysz się tym? – zapytał krasnolud.

– Jeśli zajdzie konieczność, jaki będziemy mieli wybór? Sto mieczy nie wystarczy, a Villar się nie zawaha. Oddanie mu monopolu w przypadku takiej mocy byłoby szczytem głupoty. Naszym obowiązkiem jest wzajemnie się zabezpieczać. I trzeba myśleć o ofierze. Nie wspominając już o tym, co wydarzy się potem.

– To coś, o czym zdecydujemy we właściwym czasie, o ile ten czas dla nas nadejdzie. Nie można zacząć budować domu, nie określwszy rozmiarów i kształtu fundamentu.

– Takie komentarze sprawiają, że inni widzą tylko twój wzrost – odpowiedział Calijczyk. – Umacniasz fałszywe wyobrażenia. Na miłość Novrona, jesteś snycerzem!

Krasnolud się roześmiał.

– Jestem snycerzem, ale nie ma to nic wspólnego z miłością Novrona.

Obaj się uśmiechnęli. A potem Calijczyk wyciągnął szyję i spojrzał na drogę. Hadrian i Royce zamarli, ale mężczyzna ich nie zobaczył.

– Gdzie Villar?

Krasnolud sam się rozejrzał.

– Zwykle jest pierwszy, prawda?

– Myślisz...

Royce obrócił się i wypchnął Hadriana na ulicę, a ten stracił równowagę zaskoczony, więc zatoczył się do tyłu, prosto w plamę księżycowego światła, zwracając uwagę krasnoluda i Calijczyka. Obaj spojrzeli na niego zaskoczeni i przerażeni.

– Co, u... – zaczął Hadrian, kiedy złodziej skoczył ku niemu.

Chwilę potem potężny blok kamienia uderzył w ulicę w miejscu, gdzie obaj stali. Roztrzaskał się i uniosła się chmura pyłu.

Hadrian podniósł wzrok i dostrzegł postać zerkającą z dachu kościoła. Cofnęła się, znikając w ciemności.

– Spotkamy się w pensjonacie – rzucił szybko Royce i skoczył na parapet.

Potem wspiął się po kamieniarce na dach kościoła i też zniknął.

Hadrian obejrzał się na cmentarz. Krasnolud i Calijczyk odbiegli w przeciwnych kierunkach.

* * *

Hadrian zawsze uważał się za dobrego biegacza, ale tej nocy utrudniały mu zadanie ciemność i nieznanostwo miasta. Ciężar mieczy podczas pościgu za szczupłym mężczyzną, który miał znaczną przewagę, także nie pomagał. Nie mogąc pobiec za oboma, wybrał Calijczyka, ponieważ już wiedział, gdzie mieszka krasnolud. Dobra wiadomość była taka, że jego cel wyglądał na znacznie starszego i chronił, jak mógł, pudełko od krasnoluda.

Zawartość musi być cenna, bo inaczej upuściłby je przed ucieczką, pomyślał Hadrian.

Calijczyk przeciął zaułek, o którego istnieniu Hadrian nawet nie wiedział, zwalając za sobą stos pustych skrzynek, żeby utrudnić pościg. Zanim Hadrian wynurzył się z zawalonego kawałkami skrzynek zaułka, Calijczyk jeszcze bardziej się oddalił i teraz już pędził środkiem następnej ulicy. Hadrian nie miał pojęcia, która jest godzina, ale domyślał się, że porządni ludzie poszli już spać. Niewielu zostało na brukowanych ulicach i chociaż wszyscy zatrzymali się, żeby popatrzeć na pogoń, to nikt nie próbował się wtrącać. Calijczyk chciał go zgubić, przecinając kolejne zaułki, i w końcu mu się udało. Hadrian stracił cel z oczu. Domyślił się, że mężczyzna pobiegnie ku bramie wyprowadzającej z krasnoludzkiej enklawy, więc sam też popędził ku niej. W nagrodę mignął mu wybiegający na ulicę Calijczyk.

Skierował się na południe, w stronę portu, jego sandały uderzały rytmicznie o kamień. W rosnącej mgłę na cichych ulicach Hadrian słyszał go jeszcze długo po tym, jak stracił go z oczu. To był jedyny hałas, jaki robił Calijczyk. Inaczej niż Hadrian, któremu pobrzękiwały

miecze, łopotała peleryna i który walił o bruk buciorami.

Na szczęście Calijczyk zaczął zwalniać, najpewniej się zmęczył. Przebiegł przez kilka walących się domów, ominął drabinę i kupę gnoju, na której Hadrian się poślizgnął. Nie upadł, ale niewiele brakowało.

Obaj pochylili głowy, żeby nie zaczepić o sznur z ubraniami, które ktoś zapomniał zdjąć. W butach nadal śliskich od gnoju Hadrian przebiegł obok walącej się kaskady połamanych skrzynek, przeskoczył nad rynsztokiem, obiegł przelewającą się beczkę z wodą i wpadł na podwórze otoczone sfatygowanym drewnianym płotem. Calijczykowi udało się wskoczyć na podobne do palisady ogrodzenie i na kilka cennych sekund Hadrian stracił go z oczu.

Zanim pokonał ogrodzenie, znowu zgubił zwierzynę.

Płot oddzielał tylko jedną nieruchomość od drugiej – zaułek pełen połamanych kół od wozów do zaułka wypełnionego wgniecionymi wiadrami. Calijczyk mógł pobiec na prawo albo na lewo. Zamiast biec na oślep, Hadrian stanął, wstrzymał oddech i zaczął nasłuchiwać. Nie miał już pojęcia, gdzie się znajduje. Przebiegli kilkanaście różnych ulic. Budynki znowu miały po trzy piętra z kamiennym parterem i szachulcowymi piętrami. Wilgotne, słone powietrze towarzyszyło coraz gęstszej mgłę, ograniczając widoczność do połowy kwartału. Jedyłą wskazówką był znajomy gryzący zapach, wszechobecne kadzidło palone w wielu caliskich domach.

Stuk, stuk, stuk.

Po lewej.

Hadrian śmignął obok wiader i wypadł na kolejną wąską uliczkę. Znow miał wybór i znow zatrzymał się, żeby posłuchać. Poczekał, ale niczego nie słyszał.

Chowa się? Hadrian był wyczerpany po długim biegu. Stary Calijczyk też musiał się zmęczyć albo dotarło do niego, że doprowadzenie pościgu do domu nie jest najlepszym pomysłem. A może zwyczajnie zdjął sandały. Powoli, ostrożnie, uważając, żeby jak najmniej hałasować, Hadrian zaczął się skradać, uznawszy, że Calijczyk utrzymał z grubsza ten sam południowy kierunek. Dotarł do skrzyżowania i zobaczył, że samotna latarnia uliczna oświetla trzy

możliwe kierunki. Dokładnie przed nim wznosiły się maszty statków, czarne na tle gwiazdzistego nieba. Po prawej ciemny gmach katedry majaczył ponad dachami i białą mgłą. Niższy poziom był oświetlony przez coraz liczniejsze latarnie. Po lewej ciągnęła się tylko ciemność.

Wybrałbym ciemność, pomyślał Hadrian i ruszył mroczną uliczką. Uszedł tylko kilka kroków, kiedy usłyszał wilgotny odgłos towarzyszący rozdieraniu. W świetle dnia, otoczeniu tłumu uśmiechniętych przyjaciół ten odgłos sprawiłby, że Hadrian by się wzdrygnął, ale w tym obcym, ciemnym miejscu z mgłą i krętymi uliczkami przyprawił go o drżenie. To nie był przyjemny dźwięk. Hadrian wyciągnął krótki miecz. Metal zadzwonił cicho, wychodząc z pochwy. Coś się poruszyło. Hadrian widział jedynie poruszenie w cieniach, ale towarzyszył temu nagły dźwięk szarpnięcia, jaki mógłby towarzyszyć podrywającej się, zaskoczonej łani. Rozległ się trzask, coś się przewróciło, a potem zapadła cisza.

Hadrian domyślał się, że zwierzyna znowu ucieka, więc szybko pokonał zakręt. Potknął się i tym razem się przewrócił. Uderzył mocno o ziemię lewym ramieniem i kolaniem, jęknął z bólu, który przeszył mu udo. Uderzył kłykciami o bruk dostatecznie mocno, żeby wypuścić miecz. Instynktownie przeturlał się na bok i przy okazji złapał z powrotem broń. Uniósł ją w obronie, spodziewając się ataku.

Nikogo tam nie było.

Leżał sam na ziemi w ciemnym zaułku i czuł się jak idiota. Z obolałą ręką, kolaniem i ramieniem wstrzymał oddech i znowu zaczął nasłuchiwać. Słyszał tylko odległe dzwony katedry.

Czas na chwilę prawdy: zgubiłem go.

Royce nigdy nie przestanie mu dogadywać z powodu tej porażki. Nie zdołałeś złapać nawet staruszka?

Zły i rozczarowany Hadrian spojrzał w końcu na to, o co się potknął. Potrzebował kilku sekund, żeby zrozumieć, co widzi. Widok nie miał sensu z tak wielu powodów, że Hadrian musiał długo siebie przekonywać, żeby wreszcie się z nim pogodzić.

Trzy kroki dalej na mokrym bruku leżał Calijczyk. Hadrian poznał go po bordowym zawoju, zielonym szaliku i pudełku. To te rzeczy potwierdzały jego tożsamość, a nie twarz, bo jej już nie miał.

Rozdział 15

Polowanie na ptaszka

Royce skoczył z dachu trzypiętrowego budynku i wylądował na dachu z łupka po drugiej stronie ulicy. Podbiegł do kalenicy i ruszył wzdłuż niej. Smukła postać w ciemnej pelerynie z kapturem biegła przed nim co sił w nogach. Biegając cały czas dachami, Royce opuścił ciasną krasnoludzką dzielnicę i skierował się do centrum miasta. W tej samej chwili ze strzelistej dzwonnicy katedry dobiegło złowieszcze dzwonięcie, dostarczając akompaniamentu dla dramatu rozgrywającego się pod gwieździstym nocnym niebem.

Budynki stały tak ciasno, że bieg po dachach nie stanowił poważnego wyzwania. Mimo to Royce był pod wrażeniem swojej zwierzyny. Okazało się, że doskonale się czuje na wysokości. Była szybka, zręczna i cwana w swoich manewrach. W chwili gdy postanowiła uciekać po dachach, Royce'a ogarnęło przyprawiające o zawrót głowy poczucie zwycięstwa. Rzadko kiedy cel był tak życzliwy. Zamiast próbować zniknąć w nieznanym labiryncie ulic miasta, zachował się jak ptak, który próbuje uciec przed rekinem, nurkując w morzu. Wkrótce radość Royce'a została zastąpiona przez podniecenie związane z nieoczekiwanym wyzwaniem, bo ze zdumieniem odkrył, że ptak świetnie pływa.

Przed nimi czekały kłopoty. Kończyły się łatwe skoki. Pojawiła się kolejna przepaść w postaci ulicy, i to tym razem szeroka, a po drugiej stronie ciągnęła się pionowa ściana znacznie wyższego budynku.

Royce spodziewał się, że cel zwolni, zawaha się, zawróci albo

zacznie schodzić. Każda z tych sytuacji dawałaby mu możliwość zbliżyć się na tyle, żeby móc zabić. Zamiast tego mały ptaszek zrobił coś nieoczekiwane. Dobiegł do krawędzi i nie zwolnił ani nie przystanął. Zamiast tego skoczył z rozpędu na ścianę wysokiego budynku. Nie trafił w ścianę, ale uderzył w okno i wpadł przez nie, zrywając zasłonę. Royce był tuż za nim, skoczył przez wąski otwór w stłuczonej szybie. Spodziewał się, że ptaszek będzie leżał na podłodze zaplątany w zasłonę i krwawił z licznych rozcięć, ale zobaczył tylko pełną szklą zasłonę i otwarte, skrzypiące cicho drzwi.

Royce poderwał się, rzucił się do drzwi i zbiegł korytarzem do bardzo dziwnego miejsca. Prawie wpadł na rycerza, zanim odkrył, że to tylko zbroja ustawiona tak, żeby naśladowała żywego człowieka. Trzymała nawet włócznię w jednej z pancernych rękawic. Znajdował się na galerii na piętrze okrążającej ogromną czterokondygnacyjną salę. W budynku nikogo nie było. To musiało być jakieś publiczne miejsce i o tak później porze było tam ciemno, z wyjątkiem światła ulicznych latarni, które wpadało przez okna. W dole znajdowały się liczne wystawy – postumenty z rzeźbami, książkami, instrumentami muzycznymi, narzędziami, a nawet z ubraniami na manekinach. Pośrodku stał wielgachny rydwan z dwoma wypchanymi białymi końmi. Większość jednej ściany zajmował fresk przedstawiający niemożliwie wspaniałe miasto rozświetlone idealnym letnim słońcem. Na drugiej wisiały obrazy we wspaniałych ramach. Z sufitu zwieszały się różne osobliwości. Najbardziej wpadało w oko masywne stworzenie, które wyglądało jak smok zwieszający się pośrodku sali na kilku łańcuchach. Był ogromny, ale nieprawdziwy. Wyglądał na zrobiony z pomalowanego materiału rozpiętego na drewnianym szkielecie.

Royce'a rozproszył przedziwny charakter tego miejsca, które wyglądało jak antykwariat z osobliwościami, co dało kilka sekund przewagi uciekającej ofierze. Odgłos tłuczonego szkła pomógł mu się otrząsnąć. Dostrzegł postać wybijającą okno po drugiej stronie sali, więc pobiegł tam galerią. Z okna można było skoczyć tylko pionowo w dół na ulicę. Jego zwierzyna wspinała się na górę.

Wspinaczka nie była trywialna. Kilka miejsc dawało oparcie ledwie

dla opuszków, ale ptaszek wspinał się po murze szybko. Zanim Royce pokonał połowę odległości, zwierzyna była już na dachu. Chwilę potem kilka dachówek z łupka poleciało w jego kierunku. Pierwsza o mały włos go nie trafiła, roztrzaskując się o kamień na lewo od jego twarzy. Royce uchylił się przed drugą, słysząc, jak koło niego przelatuje. Nadlatywały następne.

Royce skoczył i złapał się jednego z groteskowych rzygaczy. Ten wyglądał jak zły, ostrozęby pies, warczący i wyciągający długi, węzowy ozór. Royce objął posąg za szyję, kiedy następny łupek trafił go w but. Zaboląło. Gdyby dachówka trafiła go w głowę, już by spadł. Nadleciała następna, wycelowana wyżej. Royce zdołał ją złapać, trzymając się jedną ręką psiego łba. Jego wróg odważnie usiadł na kalenicy. Za nim wschodził księżyc, obrysowując srebrem jego łopoczącą na wietrze pelerynę. Przeciwnik miał kaptur na głowie i Royce widział tylko nos, kawałek policzka, podbródek.

Gonię samego siebie, pomyślał.

Począł, aż przeciwnik pochylił się po następną dachówkę, i wtedy rzucił tę, którą wcześniej złapał. Dachówka to nie nóż, więc rzut nie wyszedł najlepiej. Royce celował w kaptur, ale trafił w udo. Mimo to w nagrodę usłyszał jęk.

Podciągnął się na psi łeb, a potem skoczył w stronę okapu i złapał się krawędzi. Jeszcze jedno podciągnięcie i już kucał na dachu. Obrzucił wzrokiem kalenicę. Napastnik zrezygnował z rzucania dachówkami i znowu uciekał. Popędził wzdłuż kalenicy i skręcił w prawo obok długiej mansardy, jak po desce wysuniętej poza burtę statku. Zanim Royce tam dobiegł, zwierzyna skoczyła już nad zaułkiem, który oddzielał antykwariat z osobliwościami do Grom Galimus. To był ten sam zaułek, w którym kilka godzin wcześniej on i Hadrian śledzili krasnoluda. Ptaszek w kapturze wylądował bezpiecznie po drugiej stronie, przysiadając na kolejnym gargulcu, którego brzydki łeb wystawał z jednej z przypór. Royce skoczył tak samo i wylądował na tej samej głowie – ohydneho lwa z kłami, które sięgały poniżej dolnej szczęki.

Uciekinier wspinał się po filarze przyporowym, po praktycznie pionowej powierzchni.

Znajdowali się już na wysokości czwartego piętra. Royce widział przed sobą plac, na którym wielgachny posąg Novrona wydawał się malutki. To, co wziął za sklep z osobliwościami, okazało się Cesarską Galerią, na której dach patrzył teraz z góry. Nadal znajdowali się dopiero w połowie wysokości katedry.

Kamień za kamieniem Royce wspinał się po filarze przyporowym za nieznanym.

Kto to jest? – zachodził w głowę.

Nigdy nie spotkał nikogo, kto dorównywałby mu we wspinaczce, braku lęku wysokości czy zdolności widzenia w słabym świetle. Ten ptaszek w pelerynie z kapturem mógłby być jego zaginionym bratem. Z każdą kolejną stopą zdobywanej wysokości rósł szacunek Royce'a dla przeciwnika. Nawet jeśli ten gość nie miał nic wspólnego z ich robotą, to Royce nie mógłby przerwać pościgu.

Muszę się dowiedzieć, kto to jest.

Kiedy dotarł do końca filaru, rywal Royce'a ominął mały, spiczasty pinakiel i wbiegł po pochyłości łuku przyporowego. Gdyby długie, wznoszące się ramię, które podpierało boczną ścianę, było mostem, sięgałoby do połowy Roche. Wbiegając po nim, zyskali sporo wysokości. Kiedy dobiegli do końca, przeskoczyli nad kamienną balustradą, która osłaniała długi balkon tuż pod okapem głównego dachu. Znajdowali się nad wielkim oculusem i upiornymi posągami starych mężczyzn spowitych w szaty i gromiących wszystkich wzrokiem z surowością i oburzeniem, ale nad nimi nadal znajdowały się kolejne gargulce wystające z krawędzi dachu. Nie było dwóch takich samych.

Przeciwnik Royce'a popędził chodnikiem, który biegł wzdłuż murów kościoła, jakby to były zamkowe mury z blankami. Na jego końcu miał do wyboru tylko dwa kierunki – w górę lub w dół. Stawka była coraz wyższa, można by rzec, że dosłownie. Wiatr na tej wysokości był porywisty, a w przeciwieństwie do poprzednich dachów ten katedralny był tak ostry jak wyjątkowo cieniutki wycinek z krążka sera. Royce podbiegł, patrząc, co jego cel wybierze. Ruszył w górę i to sprawiło Royce'owi dziwną przyjemność. Zabawa w kotka i myszkę będzie miała ciekawy finał.

Dach był zdecydowanie zbyt spadzisty, żeby się po nim wspinać, ale miał pionowe żebra, które dzieliły go na połączone pokryte dachówką z łupka. Przeciwnik Royce'a skorzystał z nich, żeby podciągać się na śliskiej powierzchni. Nie było też kalenicy, którą można by wykorzystać. Wysoki ozdobny metalowy ażur wieńczył dach. Przeciwnik Royce'a wspinał się chybotliwie, strącając dachówki, które tworzyły za nim lawinę. Przesuwane dachówki pękały i kawałki spadały w stronę Royce'a. Przesuwając się to lewo, to w prawo między żebami, uskakiwał przed kaskadą. Z każdym przesunięciem zyskiwał nieco wysokości, aż on też wreszcie dotarł do górnej krawędzi dachu.

– Nie ma już gdzie się wyżej wspiąć! – zawołał Royce, przekrzykując wiatr, który szarpał ich pelerynami. – Co teraz?

Jego przeciwnik spojrział w górę, oceniając dzwonnice. Znajdowali się wysoko, ale dzwonnica Grom Galimus sięgała wyżej o jeszcze połowę wysokości, jaką zdobyli. Chociaż nie była tak wysoka jak Wieża Koronna, nie było to coś, co można by wydrwić.

– Dopadnę cię, zanim tam dotrzesz – powiedział mu Royce, zbliżając się. – Co ci to da?

Nieznajomy odwrócił się do niego i wtedy wiatr zdmuchnął mu z głowy kaptur. Błada twarz z wyrazistymi łukami brwi, podkreślającymi dwoje gniewnych oczu o uniesionych kącikach. Odgarnięte do tyłu włosy zdradzały wysokie czoło i zakończone szpiczasto uszy.

To dużo wyjaśnia, pomyślał Royce. Przynajmniej pod jednym względem rzeczywiście jesteśmy spokrewnieni.

Patrzyli na siebie, a ich peleryny łopotały wokół nich jak kocie ogony – dwa kocury toczące walkę na śmierć i życie o terytorium.

– Kim jesteś? – zapytał mir z silnym, wschodnim akcentem. Wyrzucił z siebie słowa przez zaciśnięte zęby.

– Nie wiesz? – zdumiał się Royce. – Jestem facetem, którego próbowałeś zmiążdżyć. To coś, co często fundujesz przypadkowym nieznajomym?

– Nie powinno was tu być. To nasze sprawy i tylko nasze. Opuśćcie natychmiast Rochelle, a nie będziemy wam robić kłopotów. Jeśli dalej będziecie się wtrącać, to ty i twój przyjaciel traficie na listę.

Mir zerknął na prawo, szukając drogi ucieczki, ale niczego nie znalazł.

– To jest jakaś lista?

Royce rzucił się do przodu, mając nadzieję, że złapie przeciwnika za nadgarstek. Mir jednak zareagował równie szybko, cofając się. Chciał zmienić ręce, ale nie zdołał się złapać drugą i stracił równowagę. Zjechał w dół na plecach na drugą stronę dachu, ślizgając się po dachówkach jak dzieciak na sankach. Zaparł się piętą o żebrowanie, próbując się zatrzymać, ale za bardzo się rozpędził.

Royce wstrzymał oddech, patrząc. Trzymając się kutego żelaza na szczycie, z łatwością wyobrażał sobie taki lot. Dobrze wiedział, czym się skończy.

Mir zjechał do krawędzi dachu, desperacko spróbował złapać się balustrady, ale brakowało mu do tego więcej niż stopy. Był tak rozpędzony, że poleciał daleko od murów katedry. Nie było słychać krzyku. Royce to doceniał. Nie miał pojęcia, kto właśnie zginął, ale w innych okolicznościach mógłby być cennym nabytkiem dla Riyii.

Może i dobrze, pomyślał, bo musielibyśmy zmienić nazwę.

Royce zszedł do balkonu, wybierając zdecydowanie powolniejszą i bardziej przemyślaną trasę, i wyjrzał za balustradę. Poniżej zobaczył przypory. Mir najpewniej nie trafił w żadną, spadając. W dole płynęła rzeka.

Royce zszedł na dół bez pośpiechu, nie tylko z powodu tego, że widział skutki drobnego błędu, ale ponieważ także nic go nie nagliło. Spodziewał się zobaczyć ciało mira na jednym z pysków gargulców albo przynajmniej na brzegu Roche, ale nigdzie go nie dostrzegł. Przeszedł się wzdłuż rzeki i nie znalazł śladu ciała.

Mógł spaść do rzeki? Royce spojrział w górę na połąć dachu Grom Galimus. Teoretycznie to było możliwe. Mimo to upadek byłby bolesny i najpewniej śmiertelny w skutkach.

Rozejrzał się po powierzchni oświetlonej księżycem rzeki, rozglądając się za czymś wielkości ciała, co unosiłby się na powierzchni. Nic.

Zupełnie jakby to był ptak, który odleciał.

* * *

Royce przez ponad godzinę gruntownie przeszukiwał podnóże katedry i brzeg rzeki. Usatysfakcjonowany wrócił do domu Evelyn Hemsworth. Szedł właśnie opustoszałą ulicą Młynarską, kiedy zobaczył idącego z naprzeciwka Hadriana. Tylko ci, którzy mieli złe zamiary albo nie mieli dokąd pójść, kręcili się o tej porze po mieście. Royce musiał upomnieć się w myślach, że nie należy do żadnej z tych grup, przynajmniej nie tej nocy. To było dziwne uczucie, a ostatnimi czasy czuł się tak aż za często. W ciągu ostatnich kilku lat Royce nie łamał prawa. Zarabiali więcej, mniej ryzykując, ale mimo to czuł się z tym źle, jakby pisał lewą ręką albo chodził do tyłu.

Spotkali się przed pensjonatem w kłębie mgły.

– Szczęście ci dopisało? – zapytał Hadrian.

Royce pokręcił głową.

– Zaliczyłem zabawny pościg. Poznałem miasto z perspektywy wiewiórki.

Hadrian spojrzał zaszokowany.

– Wymknął ci się?!

– Spadł. Jestem niemal pewny, że nie żyje.

Rozmawiali szeptem. Wymagała tego mgła. Royce zawsze lubił porządną mgłę. Zmniejszała widoczność, a zwiększała odległość, na jaką niesie się dźwięk. A ponieważ towarzyszyła zwykle zmianom temperatur wieczorem i wczesnym rankiem, była przyjacielem złodzieja i bronią płatnego zabójcy. Wiosna i jesień to najlepsze pory roku dla nizinnych mgieł, a rzeki były dla nich łęgowskim. Tej nocy rzeka pracowała w nadgodzinach i latarenka przy frontowych drzwiach domu Evelyn Hemsworth niczego nie zmieniała, dawała tylko białą poświatę.

– Masz pojęcie, kto to był? – spytał Hadrian.

– Mir – odpowiedział Royce. – Powiedział, że powinniśmy wyjechać albo trafimy na listę.

– To jest jakaś lista?

– To samo powiedziałem.

– I czemu my obaj? Ja go nie ścigałem.

Royce się uśmiechnął.

– Może nie chciał, żebyś się poczuł pominięty.

– Przynajmniej ktoś o mnie myśli.

– A co się stało z krasnoludem i Calijczykiem?

– Uciekli w dwóch różnych kierunkach.

– Pobiegnę za Calijczykiem, zgadza się?

Hadrian skinął głową.

– Gonilem za nim przez miasto prawie do portu.

– No i?

– Zniknął za rogiem. Straciłem go na chwilę. A potem potknąłem się o jego ciało.

– Nie żył? Widziałeś, kto go zabił?

– Nie.

– Miał poderżnięte gardło?

– Nie, gorzej.

– To znaczy?

– Nie miał twarzy. Jakby coś mu ją wyżarło.

Royce miał doskonały słuch. W tamtej chwili słyszał, że kundel biegnie uliczką kwartał dalej, ale nie był pewien, czy dobrze usłyszał Hadriana.

– Powiedziałeś „wyżarło”?

Hadrian poprawił szalik, wsuwając jego końce pod skórzaną kaftan.

– Wygryzło ją praktycznie całą.

Royce się przysunął.

– To coś nowego?

Hadrian uśmiechnął się szeroko i pokazał kciukiem ufarbowaną na niebiesko wełnę w mglistym świetle lampki.

– Podoba ci się? Byłem w caliskiej części miasta. To miejsce nigdy nie śpi. Najróżniejsi kupcy nadal sprzedają wszystko, co przyjdzie ci na myśl. Naprawdę powinieneś tam zajrzeć. Pomogę ci zrobić zakupy. Moglibyśmy ci kupić ładną nową pelerynę, nie widziałem niczego w groszki, ale widziałem prześliczną w cytrynowym odcieniu. Dobrze byś wyglądał. Co o tym myślisz?

– Zatrzymałeś się, żeby kupić szalik w środku nocy?

Hadrian wzruszył ramionami.

– Zakup pod wpływem impulsu. Tak się złożyło, że wypatrzyłem go na czwartym wózku, który oglądałem. Właściwie to miałem nadzieję na całą pelerynę, ale tylko tyle znalazłem. Też możesz sobie taki kupić.

– Po co?

– Bo jest niebieski i dlatego, że myślę, że posiadanie twarzy to dobra rzecz.

Royce przewrócił oczami.

– Postarajmy się skupić, dobrze? Co z pudełkiem? Niech zgadnę: zabrano je i nie miałeś szansy zajrzeć do środka?

– Dlaczego tak zakładasz?

– Po prostu wygląda na to, że zawsze tak to się rozgrywa – burknął Royce. – Albo masz dzień, kiedy wszystko się udaje, albo taki, w którym nic nie wychodzi. Śledząc krasnoluda, dowiedzieliśmy się tylko tyle, że ma rodzinę i lubi rzeźbić w drewnie. Facet, za którym ty pobiegłeś, nic nam nie dał, a duch, który próbował zrobić z nas naleśnika za pomocą kamiennego bloku, sam zginął, odmawiając mi możliwości obszukania jego ciała. Przy tak wspaniałym układzie okoliczności muszę założyć, że pudełko zniknęło, kończąc w ten sposób nasz beznadziejny dzień.

– Wiemy, gdzie krasnolud mieszka. Możemy...

– Zniknie razem z całą rodziną. Widziałeś to miejsce. Wszyscy tam są żywi, wszystko tam tak ciasno się przeplata, jakby to był sweter wydziergany z ludzkich włosów.

Hadrian spojrzał na niego ze zbulwersowaną miną, jaką często miał, kiedy Royce mówił o topieniu głośnych psów albo usuwaniu świadków.

– Jak sweter wydziergany z...

– Mówię tylko. Potrzeba będzie mnóstwo tortur, żeby zmusić tam kogoś do mówienia.

– Nie będziemy nikogo torturować.

Royce przewrócił oczami.

– Z pewnością nie zabrałbym ciebie, gdybym miał takie plany. Ale to nie ma znaczenia, i tak by kłamali. Żeby dotrzeć do prawdy, musiałbym zorganizować skomplikowaną operację, gdzie mógłbym...

– Żadnych tortur, Royce.

Royce zmarszczył brwi.

– Zatem powtórzę raz jeszcze... idealne zakończenie beznadziejnego dnia.

– Ale z ciebie pesymista. – Hadrian pokręcił powoli głową, marszcząc czoło. – A ja właśnie myślałem sobie coś całkiem przeciwnego. Jak udany okazał się ten dzień. – Uniósł ręce rozkładając palce. – Licz ze mną. – Odgiął jeden palec. – Po pierwsze, udało nam się odkryć, gdzie mieszka krasnolud. – Odgiął następny. – Po drugie, znaleźliśmy dwóch kolejnych podejrzanych, którzy z nim współpracują, i wiemy, gdzie się spotykają. – Kolejny palec. – Po trzecie, nie daliśmy się zmiażdżyć granitowym blokiem. – Następny palec. – Po czwarte, gość, którego ścigałeś, spadł i się zabił. Zabił siebie, nie ciebie. Ani ty go nie zabiłeś, więc nie będziemy tego ranka poszukiwani za morderstwo. Ja uważam to za plus, nawet jeśli nie podzielasz mojego zdania. – Odchylił kciuk. – A najlepsze jest to, że nadal mam swoją przystojną twarz. – Hadrian poruszał pięcioma palcami do Royce'a jak dzieciak wymachujący entuzjastycznie ręką na powitanie. – Zatem, jak widzisz, mieliśmy bardzo dobry dzień i dla uzasadnienia tego przedstawię dowód w postaci pudełka. Nie zabrali go, panie Grim. Znalazłem je koło Calijczyka. Najwyraźniej napastnikowi chodziło tylko o twarz.

– A w środku?

Z twarzy Hadriana zniknął wesoły i kpiarski wyraz.

– Kamienie.

– Kamienie?

Hadrian wzruszył ramionami.

– Pudełko żwiru. Tyle tylko było w środku. Przekopałem się przez nie, za co powinienem dostać dodatkową pochwałę. Zwłaszcza że byłem w ciemnym, mglistym zaułku z pozbawionym twarzy trupem, ale niestety, to był zwykły żwir.

– Zatem pudełka nie zabrano, ale okazało się na dobrą sprawę puste i ty twierdzisz, że to dowód tego, że mieliśmy dobry dzień?

– Nadal mam twarz, widzisz? – Hadrian uśmiechnął się do niego szeroko.

– Tak, widzę. Widzę to bardzo dobrze i dlatego właśnie nie zgodzę się z tym, że to prawdziwy dowód na to, że sprawy ułożyły się dla nas jak najlepiej.

Hadrian się skrzywił.

Royce podszedł do drzwi Hemsworth i zgodnie z przewidywaniami okazało się, że są zamknięte.

– Ty nie cierpisz być szczęśliwym, co? – spytał Hadrian.

– Nie mam pojęcia. Jakie to uczucie?

Jeśli Royce potrzebował kolejnego dowodu na to, że Hadrian źle oceniał ich dzień, to otrzymał go, kiedy otworzył wytrychem zamek i wszedł do pensjonatu. Przed nim stała Evelyn Hemsworth. Była ubrana w beżowy szlafrok, włosy miała zawinięte w kwiecistą chustkę, a na piersi skrzyżowała ręce. Patrzyła zaskoczona, ale szybko jej mina stała się kwaśna.

– Jak weszliście? – zapytała oskarżycielsko. – Zamknęłam drzwi na klucz.

– Chyba skorzystałem z klucza, który nam pani dała.

– Niczego takiego wam nie dałam.

– Wynajmujemy tu pokój. Spodziewała się pani, że jak będziemy wchodzić po zamknięciu drzwi, jeśli nie dała nam pani klucza?

– Powiedziałam już, że oczekuję, że będziecie wracać o przyzwoitej godzinie. Nie pochwalam przemykania się o dziwnych porach, jakbyście byli parą włamywaczy. Nie ma dobrego powodu, żeby człowiek przebywał na ulicy o tak późnej porze. Nie ma przyzwoitego powodu. A ponieważ nie dałam wam, jak już powiedziałam, klucza, to jak otworzyliście te drzwi?

– Musiała pani zapomnieć o zamknięciu ich.

Evelyn zrobiła z groźną miną krok naprzód, piorunując Royce'a surowym wzrokiem. Szturchnęła go palcem wskazującym.

– Nie wymądrzaj się, młody człowieku. Doskonale wiesz, że te drzwi były zamknięte, a ja nigdy nie dałam wam klucza. Wytłumacz się.

Royce wskazał Hadriana.

– To jego sprawka.

Hadrian uniósł brwi.

– Nieprawda.

Evelyn zmrużyła oczy, patrząc na Royce'a.

– Tańczysz na krawędzi bardzo urwistej przepaści, chłopcze.

– A co się stało z kruchym lodem? Pytam tylko, bo nie umiem tańczyć.

Udała, że go nie słyszy.

– Nie podoba mi się ta nocna błazenada, którą wy dwaj uprawiacie. Nie lubię też, kiedy się mnie budzi w środku nocy dobijaniem do drzwi!

Royce zerknął na Hadriana, który był równie zaskoczony.

– Nie pukaliśmy.

– Nie wy. – Evelyn machnęła na nich ręką. – Ten drugi. Obudził mnie, grożąc, że wyłamię drzwi. Walił w nie pięściami, co na zdało się na nic. Widzicie, mój mąż był poborcą podatkowym. Zabezpieczył się przed napaścią na dom. Żeby wyłamać te drzwi, potrzebny byłby taran. Więc w końcu zmęczył się i wtedy spróbował mnie przekonać, że jest twoim bratem. – Pociągnęła nosem z oburzeniem. – Jakbym nie dostrzegła różnicy.

– Nie mam brata – powiedział Royce.

– Nawet gdybyś miał, to i tak bym go nie wpuściła. Nie o tej porze. Powiedziałam mu, że nic mnie to nie obchodzi, nawet gdyby był krewnym księcia. Było zdecydowanie za późno na dobijanie się do drzwi. Jeśli ma do ciebie jakiś interes, to musi go załatwić rano, o przyzwoitej porze.

– Co powiedział? – zapytał Hadrian.

– Że wie, że jeszcze nie wróciliście, więc poczeka cicho w waszym pokoju, żebym mogła iść spać.

– Ale nie wpuściła go pani, prawda?

Evelyn przewróciła oczami.

– Za kogo mnie uważacie? Oczywiście, że nie. Był ubrany jak bandyta: w ciemnym kapturze i pelerynie, przemoczony do suchej nitki, jakby dopiero co wykąpał się w ubraniu. I był mirem. – Wyszepiała to ostatnie słowo, jakby to był wstydlivy sekret. – Co dowodziło, że kłamał, mówiąc, że jest bratem. Z pewnością nie otworzyłabym drzwi nieuczciwemu, przemoczonemu rabusiowi. Bieriecie mnie za głupią? Ten mężczyzna nie miał dobrych zamiarów.

Był niebezpieczny i dopóki jesteście pod moim dachem, jesteście też pod moją opieką.

Ten ptaszek nadal żyje? I wie, gdzie mieszkamy, pomyślał Royce.

Evelyn Hemsworth nie wyglądała na ochroniarza, jakiego wybrałyby sobie Royce, ale bez wątpienia obroniła ich przed najbardziej niebezpiecznym przeciwnikiem, z jakim Royce zetknął się w ciągu ostatnich lat.

– I w końcu sobie poszedł. – Pochyliła się do Royce'a, nadal mając skrzyżowane ręce. Spojrzała mu w oczy. – Lepiej, żebyście wy dwaj się poprawili. Widzę, że zadajecie się z niewłaściwymi ludźmi. Obaj robicie wrażenie porządnych chłopców. Owszem, trochę tępych i powolnych, ale skoro kapitan straży za was ręczy i...

Royce i Hadrian unieśli zaskoczeni brwi.

– Nie róbcie takich zdziwionych min. Kiedy usłyszałam, że zgarnęła was straż miejska, zamierzałam wyrzucić was na ulicę. Ale potem zapytałam kapitana Wyberga i powiedział, że to było nieporozumienie. Dodał także, że wy dwaj... – skinęła głową w stronę Hadriana – ...razem służyliście. Mimo wszystko w tym mieście nie brakuje podejrzanego elementu. Jeśli nie będziecie uważać, to wpakujecie się w kłopoty. A tego nie chcemy, co?

– Oczywiście, proszę pani – odpowiedział Hadrian.

– I nie będzie więcej dobijania się do moich drzwi w środku nocy, jasne?

– Oczywiście, proszę pani – powtórzył Hadrian.

– I grzebania przy moim zamku – dodała do Royce'a. – Zgoda?

– Tak – odpowiedział.

– Dobrze. – Skinęła krótko głową. – I nie spóznijcie się na śniadanie. Zrobię gofry.

Rozdział 16

Przymykanie oczu

Genny uzyskała ostrą jak brzytwa krawędź na czterech srebrnych monetach. Klucz był poważniejszą sprawą. Robił więcej hałasu, kiedy nim skrobała, a metal był znacznie twardszy. Nie mogła też drapać nim w dowolnym miejscu, jak to było z monetami. Ostrzyła je o podłogę, a potem zakrywała ślady słomą. Klucz musiała opiłowywać ostrożnie. Powinna spiłować wszystkie zębki z wyjątkiem górnego. To znaczyło, że mogła korzystać tylko z wystających kamieni, mających odpowiednią krawędź. Kamienie w podłodze były gładkie i tworzyły równą powierzchnię. Piłowała więc klucz o jeden z trzech kamieni, które dostatecznie wystawały ze ściany. Na szczęście wszystkie trzy były twarde i szorstkie. Nie mając nic innego do roboty, Genny zredukowała klucz do cylindra z jednym zębem, który wyglądał jak małe motyka dla myszy.

Po prawie dwóch dniach klucz był prawie ukończony, podobnie jak palce Genny. Bolały ją, kostki miała poodcierane, dwie w strupach. Zrobiła sobie przerwę i schowała klucz w szczelinie ściany. Położyła się na słomie i zaczęła ssać opuszki, wpatrując się w sufit. Był otynkowany i częściowo pomalowany. Większość farby wyblakła, w innych miejscach popękała i odpadła. W jednym kącie było stare ptasie gniazdo. Zastanawiała się, jak ptak się tu dostał, i wtedy zdała sobie sprawę, że drzwi muszą być nowe.

Dlaczego nadal tu jestem? Dlaczego Leo nie zgodził się na żądania?

Nawet gdyby jej życiu nic nie groziło, postulaty Mercator miały

sens.

Gdyby role się odwróciły, oddałaby księstwo, by ratować Leo.
Dlaczego więc on nic nie zrobił? – zastanawiała się.

Genny wiedziała dlaczego. Odpowiedź na to pytanie była aż zbyt oczywista – zupełnie jakby stała pośród bujnego pola i zastanawiała się nad kolorem trawy. Wystarczyło spojrzeć w dół. Tyle że Genny nie chciała spojrzeć. Przez całe życie patrzyła, zmuszała się do widzenia tego, czego inni nie chcieli zaakceptować. O ile łatwiej byłoby pogodzić się z rolą posłusznej córki, nie dostrzegać faktów i udawać, że wszystko jest w porządku.

Po śmierci matki jej ojciec się poddał. Ponieważ destylował whisky, wszyscy spodziewali się, że Gabriel Winter zrezygnuje z życia i zostanie pijakiem. Wszyscy myśleli, że wczłoga się do jednej ze swoich beczulek. To jednak tylko pokazywało, jak mało go znali. Jej ojciec nie pił. Nigdy nie pił. Nawet kiedy oceniał smak, wypływał whisky. Istnieje jednak więcej niż jeden sposób na wycofanie się z życia, a mężczyzna nie musi zostać pijakiem, żeby stać się podłym. Ludzie go tłumaczyli. Niektórzy nawet kłamali. I byli też tacy, którzy wprost mówili, że jej życie byłoby łatwiejsze, gdyby udawała, że tego nie widzi.

– Wyjdź za mąż – mówili jej. – Znajdź mężczyznę i załóż nową rodzinę.

Niestety Genny wiedziała, że to nie jest przyszłość dla niej, jeszcze nie wtedy. Nawet jako młoda dziewczyna wiedziała, że staropanieństwo jest w jej wypadku pewne. Zignorowała więc rady. Patrzyła, widziała i akceptowała rzeczy takimi, jakie były. A potem postanowiła je zmienić.

Kiedy jej ojciec na dobrą sprawę abdykował, Genny przejęła interes i go przebudowała. W czasie krótszym niż dziesięć lat Whisky Wintera zamieniła się z taniego czarnorynkowego produktu w towar luksusowy. Kilka ukrytych bimbrowni, które pędziły z kradzionego zboża, przekształciło się w największy magazyn i gorzelnię na świecie, skupującą tysiące funtów żyta, owsa i jęczmienia. Genny posunęła się wręcz do tego, że odkupiła prawa własności do farm od hrabiego Simona, bezprecedensowe posunięcie, ponieważ tylko rody

królewskie kontrolowały ziemię. To było możliwe tylko w Colnorze, która zawsze rządziła się własnymi prawami. Dopóki pieniądze napływają, korona przymyka oczy. Genny nabrała zwyczaju ignorować tradycje, naginać zasady, których inni przestrzegali, ale które sama odbierała jako zbyt ograniczające. Była pyskata i odrzucała wszelkie ograniczenia, miała irytujący zwyczaj: zawsze miała rację i w najmniejszym stopniu nie przejmowała się tym, co inni sobie o niej pomyślą – biegła naga i śmiała się z głupców, którzy gonili za nią w długich szatach. Sukces dowodził, że miała rację, i tylko tyle potrzebowała.

To było to jedyne kłamstwo, które sobie wmówiła. Jedyna rzecz, na którą zdecydowała się przymknąć oko.

Genny wmówiła sobie, że uratowanie ojca wystarczy. To i pokonanie tych wszystkich aroganckich kupców, którzy ją wyzywali. Nienawiść to jeszcze jedna forma podziwu, uznała, a bogactwo jest miarą wartości człowieka. To oszustwo praktycznie nie było kwestią wyboru. Miłość nie była towarem, który mogła kupić. Przymykanie oka było po prostu kwestią szukania zadowolenia w obrębie tego, co było dla niej możliwe.

A potem pewnego dnia mężczyzna, księżę, niski, korpulentny i łysiejący arystokrata ze wschodu uśmiechnął się do niej i nagle nowe rzeczy stały się możliwe.

Sytuacja była nieznośna, ponieważ szczerze go polubiła. Leo nie był przystojny ani szykowny. Był niezręczny i często niemądry. Jednak kiedy znajdowała się w pokoju, nigdy nie odrywał od niej oczu. Wielu sugerowało, że tylko udaje zainteresowanie, żeby dobrać się do jej pieniędzy. Własny ojciec jej to powiedział. Rozbił okno gołą dłonią, rozcinając sobie przy tym palce, żeby mieć pewność, że go usłyszała. Usłyszała. Genny słyszała wszystkich, ale ten jeden raz, po raz pierwszy w życiu, postanowiła przymknąć oko i uwierzyć w swoje marzenie. Racjonalizowała sobie, że jej fortuna, chociaż znaczna, niewiele zmieni w skali skarbu księstwa. Księżę Rochelle zarabiał więcej na podatkach w ciągu miesiąca niż Whisky Wintera przez rok. Nie żeni się ze mną dla pieniędzy, zapewniała siebie. I w pewnym sensie to była prawda, dzięki czemu tak łatwo mogła w to uwierzyć.

Robiąc to, zrozumiała coś, czego nigdy dotąd nie pojmowała – dlaczego ludzie postanawiają samych siebie oszukiwać. Genny chciała być kochana, pożądana, chciana, uwielbiana i nie z powodu tego, co potrafi, ale z powodu tego, kim jest. Nigdy dotąd nie ośmieliła się o tym marzyć, a teraz Leo Hargrave podsuwał to jej i błagał, żeby po to sięgnęła.

Tak rozpaczliwie pragnęła, żeby bajka okazała się prawdą, że wpadła w nawyk przymykania oczu.

Jednakże Leo nie przyszedł do niej w noc poślubną, nie przyszedł następnej nocy ani żadnej później. Spali w osobnych sypialniach. Leo mało się odzywał. Ludzie mówili, że z natury jest małomówny. Pogodziła się z tym. Jednak kiedy zaczęły się szeptki i nawet służba zaczęła ją nazywać Bimbrowniczką, Leo nic nie zrobił. Nadal uśmiechał się do niej, dawał jej wszystko, czego chciała, komplementował, ale rzadko ją obejmował, a jeszcze rzadziej całował. Kocha mnie, ale ludzie okazują uczucia w różny sposób, wmawiała sobie. Musiała wierzyć, że mąż odwzajemnia jej uczucia, bo w przeciwnym wypadku jej serce zostałoby złamane na tyle kawałeczków, że nigdy nie poskładałaby ich z powrotem.

Dlaczego nadal tu jestem? Dlaczego Leo mnie nie znalazł? Czy w ogóle szukał?

Łzy napłynęły jej do oczu. Czuła, jak napływają gorące i bolesne razem z prawdą.

Genny nie była głupia. Na tym polegał po części problem. Rozgryzła to już jakiś czas temu. Leo nie ożenił się z nią dla pieniędzy. W tej kwestii wszyscy się mylili. Ożenił się z nią, ponieważ potrzebował żony. Potrzebował jej szybko i nieważne było, kto nią zostanie.

To nieprawda, nadal protestowała częśćka jej osoby. Jednak ten wewnętrzny głos cichł zduszony przez fakty, których nie można było dłużej nie dostrzegać. Walczyła w przegranej bitwie. Genny płakała najciszej, jak się dało. Nie chciała, żeby Mercator ją usłyszała. Nie udało się.

– Jesteś głodna? – zapytała Mercator.

– To podchwytliwe pytanie? – zapytała Genny, ocierając oczy i pociągając nosem.

– Mam chleb. Chcesz kawałek?

– Przespałabym się z Villarem za kawałek chleba.

– Ten chleb nie jest aż tak dobry. – Mercator zarechotała.

Genny zaśmiała się razem z nią.

Od ich ostatniej prawdziwej rozmowy o jedzeniu złota nastrój w więzieniu się zmienił. Mercator nie była gotowa otworzyć drzwi celi i jej uwolnić, ale ewidentnie czuła, że porwanie było błędem. Chwila, jaką razem przeżyły, była cicha, delikatna, pocieszająca i zabawna. To przedziwne, jak w przydatku łez drugą stroną medalu był śmiech. Zupełnie jakby były odwiedzającymi się przyjaciółkami, które zasiedziały się do późna i kryły przed rodzicami. Chichocząc, dzieliły się sekretami na temat chłopców, ubiorów i wszystkim tym, o czym przyjaciółki powinny rozmawiać. Tylko że Mercator nie była jej przyjaciółką. Nie miała powodu, żeby ją pocieszać.

– Przepraszam, że źle się wyraziłam o twoim mężu – powiedziała Genny.

– O kim? – zdziwiła się Mercator.

– Villar nie jest twoim...?

– Skądże, niech błogosławiony Ferrol broni! Jak mogłaś pomyśleć, że ja i on... – Urwała. – Villar jest tylko przywódcą swojego klanu, Orphe. Ja jestem głową rodu Sikara. Nasze rodziny są najstarsze i najbardziej szanowane. Nie łączą nas uczucia i szczerze mówiąc, myślę, że się mną brzydzi.

– Nie ma powodu, żeby tak cię odbierać. Jesteś bardzo miła.

– Brałam udział w twoim porwaniu, zapomniałaś? W jakim sensie to jest miłe?

– Zaproponowałaś mi chleb, a wiem, że sama masz mało. Nie musiałaś.

Mercator nie odpowiedziała. Zza drzwi nie dobiegał żaden dźwięk.

– Och, rozumiem. Chleb miał być moim ostatnim posiłkiem?

– Nie! – zaprzeczyła gorąco Mercator. – To tylko chleb.

Przez chwilę nic nie mówiły i cisza była dusząca.

– Jest jeszcze czas – pocieszyła ją Mercator.

– A kiedy ten czas upłynie?

Mercator westchnęła.

– Szczerze mówiąc, nie wiem.

– Podejrzewam, że Villar wie. – Genny zacisnęła zęby. Czuła, że oszukiwanie się w tej chwili nie ma sensu, ale z drugiej strony szczerść także go nie miała. Skutki będą takie same i nic nie miało już znaczenia.

– Słuchaj, chcesz tego chleba czy nie?

– Nie. Po co go marnować.

Zapadła cisza, która się przeciągała. Przez długi czas żaden dźwięk nie dobiegał zza drzwi, a potem Genny usłyszała, jak Mercator znowu westchnęła.

– Co się stało? – zapytała.

– Ja też go nie chcę.

– Nie wygłupiaj się. Wydałaś pieniądze. Powinnaś go zjeść.

Znowu cisza. Mercator poruszała się w drugim pomieszczeniu. Genny nie była w pobliżu drzwi, nie widziała jej, ale brzmiało to tak, jakby usiadła albo wręcz ciężko klapnęła.

– Nie podoba mi się to, wiesz? – odezwała się Mercator żalonym głosem. – Sprawiasz wrażenie dobrej osoby. Oto cały Villar: musiał dopaść akurat jedyną porządną arystokratkę. Po prostu... muszę... Musimy... Coś trzeba było zrobić, a porwanie cię z pewnością było lepsze od alternatywy.

– A jak ona się przedstawiała?

– Śmierć. Wielu ludzi by zginęło. – W drugim pomieszczeniu rozległ się głośny dźwięk, coś upadło z brzękiem na podłogę. – Gdyby tylko twój mąż rozważył nasze żądania, już dawno byłoby po całym tym zamieszaniu. Chcemy tylko takich samych praw, jakie inni już mają. A ty próbowałaś nam je przyznać.

– Czyli mi wierzysz?

– Teraz tak. Popytałam trochę. Rzeczywiście brałaś udział w spotkaniu gildii kupieckiej i zaproponowałaś, żeby Calijczycy i krasnoludy mogli do niej należeć.

– Jesteś miła. Wątpię, żeby ktokolwiek, kto brał udział w spotkaniu, ujął to w takich słowach.

– Masz rację. Mówią, że Bimbrowniczka zwariowała. Że ta suka zaszantażowała ich i zrujnowałaby całe miasto.

– Przynajmniej zrobiłam wrażenie.

– Owszem. To dlaczego książe się nie zgodził? Dlaczego nie zażądał od gildii, żeby zmieniły swoje statuty? Nie obchodzi go własny lud? Ty go nie obchodzisz?

Genny nie odpowiedziała. Nie mogła. Naprawdę nie wiedziała, a ta niewiedza bolała tak bardzo, że łzy znowu napłynęły. Schowała twarz w dłoniach, żeby zdusić szloch, dławiała go tak mocno, że wstrząsał całym jej ciałem.

– Przepraszam – powiedziała Mercator. – To były nieczułe słowa.

Klucz obrócił się w zamku i drzwi do celi się otworzyły. Zwykle Mercator stawiała posiłek ostrożnie, nigdy za bardzo się nie zbliżała. Tym razem zrobiła krok w głąb celi i wręczyła jej kawałek chleba.

– Jedz. Nie jedz. Nic mnie to nie obchodzi.

Wyszła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, i przekręciła klucz w zamku.

– Dziękuję – powiedziała Genny.

– Nie mów tak.

– Mówię szczerze.

– Ja też.

Genny odgryzła kawałek. To było pierwsze prawdziwe jedzenie od wielu dni.

– Mimo to dziękuję – mruknęła cicho.

– Nadal cię słyszę!

– Przepraszam.

Mercator jęknęła.

* * *

Mercator podniosła wzrok. Tkanina powieszona nad łukowatym wejściem zamiast drzwi odsunęła się. Villar znowu przyszedł zwracać jej głowę.

Był przemoczony i zatrzymał się tuż za progiem, żeby otrząsnąć wodę z włosów. Zsunął pelerynę i strzepnął ją dwa razy.

– Ona nadal żyje? – zapytał, patrząc na zamknięte drzwi do małej celi.

To się stało swoistym rytuałem, wypowiadał te słowa jako pierwsze zaraz po wejściu.

Każdy Kościół potrzebuje swoich rytuałów, pomyślała Mercator.

– Tak – odpowiedziała księżna. – Nadal żyję. A jak ci idzie szukanie dowodu, że nie jesteś przypadkowym owocem miłości puszczańskiej nietoperzycy i końskiego zadu?

Mercator zarechotała. Przyłożyła niebieską rękę do ust, próbując ukryć śmiech.

Tak jak Villar zawsze zadawał to samo pytanie, tak więzień zawsze odpowiadał w nowy sposób. Niektóre odpowiedzi księżnej były naprawdę pomysłowe. Ta kobieta miała zaskakująco żywy umysł.

Villar spiorunował wzrokiem Mercator. Potem jego spojrzenie przesunęło się na świeżą farbę na jej rękach i malującą się na jego twarzy odraza tylko się pogłębiła. Mercator nienawidziła siebie za to, ale spuściła rękawy.

– Znowu pada?

– Nie – odpowiedział Villar, odrzucając przemoczoną pelerynę na stołek.

Mercator spojrzała na niego zaskoczona, ale on nie zamierzał niczego wyjaśniać.

– Uczta jest za dwa dni, a książę nie podjął żadnych działań ani nie wypowiedział ani jednego słowa publicznie w związku z żądaniami. Nie ustąpi. Ludzi nie obchodzi nic poza tym, żeby uciskać innych i dzięki temu utrzymać własną wysoką pozycję.

Mercator wskazała ich oboje palcem.

– Oboje jesteśmy co najmniej w połowie ludźmi.

– W mniejszej połowie z pewnością. A ty jesteś... – Powstrzymał się i spojrzał na nią.

Niezręczna chwila się przeciągała.

Mercator w żaden sposób mu nie pomogła. Nie odezwała się słowem, tylko patrzyła, prowokując go, żeby powiedział coś jeszcze. Villar był nie tyle księgą do odczytania, ile przezroczystym oknem i człowiek mógł mieć tylko nadzieję, że jego właściciel wreszcie zaciągnie zasłony ze zwykłej przyzwoitości.

Odwrócił się.

– Rzecz w tym, że kompromis nie działa. Nie możesz powiedzieć, że nie próbowałem rozsądnych metod. Dałem mu szansę uniknąć rozlewu krwi. Jednak czas się skończył i teraz musimy zrobić to po mojemu.

– Nie możesz.

– Musimy.

– Proponujesz samobójstwo, i to nie tylko nam w Rochelle, ale nam wszystkim w Alburnie, może nawet w całym Avrynie. Nawet jeśli nam się uda, odpowiedzią będzie pokoleniowa fala nienawiści i prześladowań.

– A nie jesteśmy już prześladowani? Już toniemy. Co zmienia fala dla tych, którzy już są na dnie morza?

Wskazała drzwi do celi księżnej.

– Ona zgadza się, że sytuacja musi się zmienić. Może jeśli ją wypuścimy, mogłaby...

– Ona kłamie i mówi to, co wie, że chcesz usłyszeć. – Villar uniósł rękę. – Jesteś taka głupia! Czy ty w ogóle siebie słyszysz? Wypuścić ją? Porwaliśmy ją, trzymaliśmy tygodniami w brudnej celi. Naprawdę myślisz, że gdy już będzie bezpieczna za murami Posiadłości, ruszy choćby małym palcem, żeby nam pomóc? Nie zapominaj, że zginął człowiek. Myślisz, że zostaniemy ułaskawieni za zabicie księżęcego podskarbiego?

– Nie powinieneś był go zabijać.

– Ona wskaże nas i zażąda zemsty.

– Nie jest taka.

– Może to nie głupota, może tak bardzo uległaś ich indoktrynacji, że zapomniałaś, kim jesteś. Byliśmy kiedyś dumnymi i szanowanymi istotami i możemy znowu nimi być. Zwołałem jutro spotkanie i spodziewam się, że weźmiesz w nim udział... i że poprzysz mój plan. Jesteś głową rodu Sikara. Twoim prapradziadkiem był Mir Sikar, a moim Mir Plymerath. Nadszedł czas, żeby obecnie rządzący pogodzili się z prawdą na temat przeszłości tego regionu i okazali należny nam szacunek.

– Sytuacja się zmieni, ale nie wszystko zmieni się od razu. Nie zdobędziesz szacunku, grożąc mieczem, nie od ludzi, którzy nami

pogardzają. Na szacunek trzeba sobie zapracować. Zaufanie buduje się z czasem, na przestrzeni pokoleń.

Chociaż sprzeczała się z nim, aż za dobrze rozumiała jego nienawiść, a jeszcze lepiej niszczące skutki bycia pośmiewiskiem. Pod wieloma względami chciała dołączyć do niego w jego oburzeniu. Nie zgadzali się jedynie w kwestii metod. Jej oburzenie było równie silne jak jego. Jednak po ponad stu dwudziestu latach nauczyła się, że mądrość ma przewagę nad namiętnością i że łatwe i szybkie metody niewiele zmieniają, a często wręcz pogarszają sytuację. Mając zaledwie sześćdziesiąt lat Villar jeszcze nie przyswoił sobie tej lekcji. Znając go, wątpiła, czy kiedykolwiek to zrozumie.

– Na tym spotkaniu, które zwołałeś, czy Griswold Dinge i Erasmus Nym cię poprą? A jeśli nie, to czy przemyślisz to raz jeszcze?

– Nie ma takiej potrzeby, ich ludzie wycierpieli równie dużo, co nasi. – Zerknął na zamknięte drzwi i zmarszczył czoło. – Możemy uzyskać nasze cele tylko siłą. Zmiana, prawdziwa zmiana, nie zajdzie w inny sposób. Mylisz się. Jedynym sposobem zdobycia szacunku jest miecz, ponieważ siła to jedyna rzecz, którą ludzie szanują.

– Czyli szanujesz księcia, tak? Bo on ma mnóstwo mieczy. A król, kimkolwiek się okaże, będzie ich miał jeszcze więcej. Jeśli przelejesz krew, zaczniesz wojnę, której nie możesz mieć nadziei wygrać. Nie, nie wojnę. Wojna zakłada konflikt między dwiema we względnie równym stopniu zdolnymi do walki stronami. To będzie rzeź. – Wbiła w niego stalowe spojrzenie. – Wiesz, co to jest kozioł ofiarny?

– Znam ten termin.

– Ale czy naprawdę wiesz, co to znaczy, skąd się wziął? Wiele wieków temu, przed czasami Novrona, ludzie mieszkali w małych wioskach. Byli przesądni i łatwo ulegali strachowi. Raz w roku brali kozła i zrzucali na niego wszelkie przewiny i wykroczenia. Wypędzali go z wioski, żeby zdechł w dziczy. Robili to w nadziei, że bogowie ukażą kozła zamiast nich. Okazuje się, że ludzie nie zmienili się zbyt wiele. – Mercator podeszła, złapała suszącą się na sznurze niebieską tkaninę i uniosła pięść. – Nadal są równie przesądni i głupi. Arystokracja Alburnu posłuży się nami jak kozłem ofiarnym. Wskażą nas i powiedzą: „Oto przyczyna naszych nieszczęść, ukażcie ich”. Tyle

że nie będą czekać, aż bogowie ześlą karę. Sami ją wymierzą.

– Czy to będzie się różnić od obecnej sytuacji? Nasi ludzie głodują! Wątpię, żeby Amyle przeżyła kolejny tydzień. Histivar, mijasz go codziennie, mieszka pod mostem! Pod nędznym mostem! Jak możesz stać tam i sugerować, że może być gorzej?

– Bo może. W tej chwili żyjemy, a to lepsze niż śmierć.

– Nieprawda. Nie takie życie.

– Ściągniesz na nas tylko śmierć. I to nie tylko tutaj. Zrób to, a reperkusje ogarną cały świat. Nasi ludzie wszędzie będą cierpieć.

– Nic mnie to nie obchodzi. Lepiej umrzeć niż żyć i cierpieć w biedzie i upokorzeniu. A jeszcze lepiej przy okazji załatwić paru z nich.

Villar podniósł gwałtownie pelerynę, zarzucił na ramiona i ruszył do wyjścia.

– A, i jeszcze jedno. – Przystanął i się obrócił. – Musisz się przygotować. Kiedy do tego dojdzie, masz swoją rolę do odegrania.

– Rolę?

Skinął głową i wskazał drzwi, za którymi siedziała uwięziona księżna.

Mercator pokręciła głową i wypowiedziała słowo „nie”, poruszając tylko ustami.

– Rewolucja zacznie się tutaj.

Obrócił się i wyszedł.

Mercator wpatrywała się w zasłonę, ale jej nie widziała. Zrobiło jej się zimno. Głównie z powodu sukienki, która namokła jej przy pracy. Głównie, ale nie tylko.

– Zabijesz mnie? – zapytała księżna nietypowo dla siebie cichym, pełnym wahania głosem.

Mercator spojrzała na swoje poplamione, niebiesko-czarne ręce. Nawet dla niej wyglądały jak ręce potwora.

Nie odpowiedziała.

Rozdział 17

Wiec

Śniadanie następnego dnia było zaskakująco przyjemnym wydarzeniem. Royce i Hadrian przyszli na czas, a Evelyn okazała aprobatę skinieniem głowy, zanim sama usiadła. Posiłek był pod każdym względem równie wystawny, jak poprzedniego ranka, ale tym razem pojawiły się także gofry w kształcie słoni. Evelyn nie zawracała sobie głowy prośbą, żeby któryś z nich zmówił modlitwę dziękczynną, ale obaj cierpliwie poczekali, aż ona ją odmówi, i okazali szacunek, pochylając głowy.

– Gofry są znakomite – powiedział Hadrian, głównie po to, żeby przerwać milczenie, ale mówił prawdę.

Evelyn była niesamowitą kucharką i Hadrian zastanawiał się, czy rzeczywiście nie zatrudnia armii wrózek.

– Dziękuję – odpowiedziała.

A potem, jakby w uznaniu dla ich dobrego zachowania, przyjrzała się Royce'owi, który nie tylko wstał wcześniej, żeby się umyć i ogolić, ale także zdecydował się zostawić pelerynę w pokoju. – To o wiele lepszy strój do śniadania. Pochwalam wybór.

– Dziękuję – odpowiedział Royce równie grzecznie.

Potem zmrużyła oczy, patrząc na Hadriana.

– To nowy szalik?

Hadrian wyprostował się i uśmiechnął.

– Tak. Podoba się pani?

– Jest niebieski.

– Popularny kolor w Rochelle, jak się przekonałem.

– Tylko wśród idiotów.

To wywołało pełen zaskoczenie uśmiech Royce'a, ale zaszokowało Hadriana.

– Pani frontowe drzwi są niebieskie – wytknął jej.

– Nie ja je pomalowałam. To robota mojego zmarłego męża. Ubzdurał sobie, że to nas ochroni przed potworem.

Hadrian spojrzał z rozczarowaniem na szalik. Spodziewał się, że starsza pani doceni to, że przejął lokalny styl. Dlaczego się tym przejął, pozostawało zagadką, ale może jego pragnienie przypodobania się Evelyn wiązało się z tym, że sam wcześniej stracił matkę. Zostało mu niewiele wspomnień. Umarła, kiedy był mały, ale wyobrażał sobie, że Evelyn była taka, jakie matki są albo powinny być: surowa, poprawna, krytykancka kobieta, a przy tym świetna kucharka. Jej dezaprobata, chociaż to idiotyczne, zabolą go bardziej niż wszystkie kpiny Royce'a. Jednakże fakt, że wspomniała o potworze, otworzył nowe drzwi, zbyt kuszące, żeby zamknąć je, nawet za nie nie zajrzawszy. Przestał się starać o pochwałę swojego gustu i zapytał:

– Nie wierzy pani w Morgana?

Evelyn uniosła brwi, rozrywając delikatnie na pół gofra.

– Wczoraj nie znaliście podstaw historii, a dzisiaj zagłębiacie się w miejscowy, nieprzenikniony folklor, co?

– Próbujemy się rozwijać – wyjaśnił Royce.

Evelyn otarła okruszek z kącika ust, a potem pociągnęła nosem.

– To się wam nie uda, jeśli będziecie słuchać plotek i opowieści o duchach, drodzy panowie. Morgan to jedynie niemądra, stara legenda. Szczerze mówiąc, dwóch dorosłych mężczyzn powinno mieć więcej oleju w głowie. Ale oczywiście nie jesteście jedynymi, którzy dali się ogłupić. Jutro się przekonacie. Jeśli pójdziecie na Ucztę Arystokratów, zobaczycie, że wszyscy będą odziani w zdumiewające spektrum odcieni szafiru, kobaltu, ultramaryny, granatu, turkus, cyjanu, lazuru i błękitu, w nadziei, że to odstraszy potwora żywcem wziętego z bajek dla dzieci. – Skupiła się na szaliku. – Myślę, że mężczyzna, który nosi trzy miecze, nie powinien bać się ducha.

– A co to właściwie za opowieść? – zapytał Royce.

– Nie spodoba wam się. Jest w niej jeszcze więcej tych okropnych faktów historycznych, których tak nie lubicie.

– Proszę opowiedzieć pokrótce, postaram się nie zasnąć.

Pochyliła głowę i zerknęła na niego.

– Umyłeś się dzisiaj, więc ci odpuszczę. – Urwała, żeby nalać sobie znowu herbaty, odstawiła dzbanek z cichym brzękiem i podniosła filiżankę w dwóch rękach. Odchyliła się w krześle, patrząc na unoszącą się parę. – Wczoraj, jak może pamiętacie, wspomniałam jegomościa imieniem Glenmorgan. To był oprych, który w dwa tysiące czterysta pięćdziesiątym roku podbił ziemie wszystkich innych drobnych skundlonych panów i obwołał się nowym imperatorem, który to tytuł Kościół później zamienił na namiestnika. To on ustanowił także stolicę w Ervanonie i zmusił Kościół Nyphrona do tego samego. Miał cywilizowanego syna, ale chłopiec nie pożył zbyt długo. Jego wnuk, Glenmorgan III, był inny. Już w młodości okazał się równie barbarzyński, jak jego dziadek i wyruszył, żeby walczyć z goblinami w Galeannonie. Trzeba mu przyznać, że zwyciężył, a bitwę nazwano później Bitwą na Wzgórzach Vilan. Tak przynajmniej było do niedawna, kiedy stoczono tam kolejną walkę. Teraz bitwa Glenmy'ego III znana jest pod znacznie skromniejszym mianem Pierwszej Bitwy na Wzgórzach Vilan.

– Ja brałem udział w drugiej – wtrącił Hadrian.

Evelyn uniosła podbródek i zerknęła na niego znad filiżanki.

– Pod czyją chorągwią?

– Lorda Belstrada.

– Walczyłeś pod chorągwią Chadwick, pierwszego pułku z Warric w koalicji z siłami, którymi dowodził Lanis Ethelred? To była walka, która powstrzymała drugą poważną próbę inwazji Ba Ran Ghazelów na Avryn. Walka, w której sir Brecktonowi, najstarszemu synowi Belstrada skradł należną mu chwałę Rufus z Lanksteeru. Nierozsądna i zwyczajnie niedorzeczna szarża w jarze dała temu barbarzyńcy z północy tytuł Bohatera Bitwy, chociaż niemal wszyscy jego ludzie przypłacili to życiem. On też by zginął, gdyby porażeni głupotą jego czynu Ba Ran Ghazelowie nie osłupiali tak samo jak pozostali.

Hadrian zamrugał zdumiony i rozdziawił usta.

– Zamknij buzię, mój drogi. To jest Rochelle, przez porty przepływają nie tylko towary. Tutaj kochamy naszą historię. Mój nieżyjący mąż był wielkim znawcą wszelkich staroci i jego pasja stała się moją. – Wypiła łyżeczek herbaty. – Jak już mówiłam, Glenny III wygrał Pierwszą Bitwę na Wzgórzach Vilan. Uczcił to po drugiej stronie zatoki, w Zamku Blythin, niegdyś twierdzy imperium na wygnaniu i Kościoła Nyphrona, a przynajmniej do czasu, kiedy wybudowano Grom Galimus. Glenny spędził tam kilka dni, pijąc i pławiąc się w pochwałach arystokracji. Kiedy nadszedł czas wyjazdu, przygotowano dla niego niespodziankę. Starym rodom nie podobała się idea silnego imperatora, który nie został usankcjonowany przez Kościół. Bali się, że prawdziwy spadkobierca Novrona zostanie zapomniany.

– Zabili go?

Pokręciła głową.

– Dobre nieba, skądże. Tak samo jak obecnie i wtedy arystokracja była znana ze swojego tchórzostwa. Bali się popełnić morderstwo. Zamiast tego zamknęli Glenny’ego III w podziemiach Zamku Blythin. Wieść niesie, że granitowe urwisko, na którym stoi zamek, jest pocięte starożytnymi tunelami, które wydrążyli rycerze Sereta. Zamknięto go, zamurowano wyjście i zostawiono. Jak możecie sobie wyobrazić, zdradzenie imperatora, który właśnie ocalił imperium przed katastrofą, musiało wywołać spore wyrzuty sumienia. Zatem tu, w Rochelle, w mieście leżącym w cieniu Zamku Blythin, krążą straszne opowieści, które wyrażają ten dawny wstyd. Według nich Glenny nie był zadowolony z tego, jak go potraktowano, a że wypełniała go ambicja, której nie zdusiła nawet śmierć, zamienił się w potwora i znalazł wyjście z tuneli. Teraz zakrada się do Rochelle w poszukiwaniu arystokratów, którzy go zdradzili. Oni już od dawna nie żyją, ale Glenny tego nie wie, jak sami rozumiecie, i kiedy widzi kogoś, kto wygląda jak jeden z nich, mści się. To znaczy Morgan się mści. A zemsta jest krwawa. Zawsze jest bardzo krwawa.

Evelyn wypila kolejny łyk, odstawiła filiżankę i sięgnęła po gofra.

– A kolor niebieski? – spytał Hadrian.

Evelyn machnęła nonszalancko ręką.

– Niebieski, rzecz jasna, odpędza zło. To dlatego małych chłopców zawsze okrywa się błękitem, żeby chronić ich przed demonami i złymi duchami. Przesądni głupcy gotowi są zapłacić astronomiczną sumę, żeby chronić swoje ukochane maleństwa.

Hadrian się zastanowił.

– A co z dziewczynkami? O nie rodzice się nie martwią?

– To nie jest kwestia troski. Nie potrzebują ochrony. Złe duchy nie interesują się dziewczynkami. – Evelyn nie próbowała ukryć zgryźliwej, szyderczej nuty. – Kobiety w końcu są zupełnie nieważne. Żaden szanujący się demon nie traciłby czasu na dziewczynkę, więc dla nich wystarczy tani róż.

* * *

– Dokąd wybieramy się dzisiaj, mój wierny ogarze? – zapytał Hadrian Royce’a, który włożył już pelerynę i ruszył szybkim krokiem ulicą Młynarską w kierunku rzeki.

Hadrian znowu z trudem za nim nadązał.

Chociaż nadal uważał, że poprzedniego dnia dopisało im szczęście, to nie mógł zaprzeczyć, że jakiegokolwiek wysiłki nie przybliżyły ich do odnalezienia księżnej. Wiedzieli, gdzie mieszka zatrudniony w Posiadłości krasnolud, który być może kierował powozem księżnej. Wiedzieli też, że wyżej wymieniony krasnolud utrzymywał podejrzane kontakty z Calijczykiem, który teraz nie żyje i był najwyraźniej ofiarą pięciusetletniej reinkarnacji zdradzonego imperatora. Był jeszcze duch, który próbował ich zmiażdżyć kamieniem i który miał zdaniem Royce’a być martwy, ale najwyraźniej żył. Nieuchwytny mir przeżył upadek z katedralnego dachu do rzeki, co wystarczyło, żeby obaj zapragnęli złożyć mu wizytę, ale niestety zapomnieli zostawić im swoje nazwisko i adres.

– Wracamy do krasnoludów? – zapytał Hadrian.

– Nie. Dzisiaj idziemy na pogrzeb.

– Pogrzeb? Czyj?

– Tego właśnie mam nadzieję się dowiedzieć. – Royce zatrzymał się,

kiedy doszli do skrzyżowania. Porywisty wiatr wiał ulicą, pędząc przed sobą koszyk. – Którędy do tej krainy cudownych caliskich okazji, w której tak lubisz robić zakupy?

– W dół w stronę portu, do Małego Gur Em, blisko miejsca, w którym byliśmy wczoraj.

Royce ruszył ulicą i trzymał się chodnika, żeby uniknąć wozów.

– Założę się, że Calijczyk bez twarzy miał rodzinę, a rodziny mają tendencję chować swoich członków, kiedy ci umrą. Jeśli zobaczymy pogrzeb, procesję, zgromadzenie na cmentarzu czy w domu, istnieje szansa, że znajdziemy mężczyznę bez twarzy.

Ruch wzmagał się, kiedy ruszyli na południe w kierunku zatoki, gdzie słone powietrze mieszało się z zapachem ryb. Mężczyźni pchali obciążone wózki pod górę albo puste w dół, w kierunku portu. Inni nieśli kozły do cegieł, pudła z narzędziami albo drabiny. Kilku żeglarzy w luźnych strojach wytoczyło się z za drzwi, mrużąc oczy z powodu jasnego słońca i ruszyło w kierunku statków. Byli też tacy, którzy kręcili jak otumanieni. Szli bez celu, patrząc z dziecięcym zdumieniem na budynki, sklepy i wozy. Hadrian zdał sobie sprawę, że zachowują się tak jak on, i natychmiast zrozumiał, że to ludzie, którzy przybyli do miasta, żeby zobaczyć historyczne wydarzenie: koronację nowego króla.

Hadrian przyglądał się ulicom i kształtom budynków, próbując przypomnieć sobie drogę, którą pokonał w nocy. Szukał czegoś znajomego, ale miasto wyglądało inaczej za dnia. Przypominając sobie okolicę ze zniszczonymi domami, skręcił w wąską uliczkę i znalazł to, czego szukał: lawinę połamanych skrzynek, otwarty rynsztok, znajomy sznur na bieliznę. Ubrania zdjęto i zniknęła drabina, ale nadal była tam sterta łajna, łącznie ze śladem poślizgnięcia się od jego buta.

– Zbliżamy się – powiedział Hadrian.

Raz źle skręcił, więc zawrócił i znalazł sfatygowane drewniane ogrodzenie. Nikt nie patrzył, więc je przeskoczyli. Hadrian znowu znalazł się w krainie wgniecionych wiader, odszukał skrzyżowanie i dostrzegł iglice katedry. Skrzyżowanie – tak złowieszcze minionej nocy – było za dnia tak zwyczajne, że aż śmieszne. Hadrian odwrócił

się plecami do Grom Galimus i przeszedł tylko kilka kroków, zanim ujrzał plamę krwi prowadzącą do zaułka.

Rozległy się dzwony Grom Galimus, kiedy Royce się pochylił, przyglądając się rdzawej plamie. Zebrał kilka kamyków, odłamków skalnych, które niedawno tam rozrzucono. Powąchał je.

– I co? – spytał Hadrian.

– Żwir – odpowiedział Royce.

– Z pudełka – powiedział Hadrian. – Pewnie rozsypałem trochę, kiedy w nim grzebałem w nocy.

Royce skinął głową i wstał. Rozejrzał się i westchnął.

– Nic?

– Poza tym, że ciało zniknęło, nie mam nic.

Potem zaczęli naśladować innych przyjezdnych, którzy wędrowali labiryntem ulic. Royce i Hadrian badali podwórza i tyły – te okolice, gdzie kurczaki biegały swobodnie, zwieszające się dywany oferowały odrobinę intymności w wychodkach, gołe dzieci bawiły się w kałużach, a grupki matek przyglądały się dwóm nieznanym z podejrzliwością i zaciekawieniem. Royce szukał metodycznie, wędrując wzdłuż kolejnych rzędów domów i przyglądając się ubogim siedzibom. Szukali tłumu, grupek ubranych na czarno, płaczących żałobników.

Po kilku godzinach włóczenia się wśród śmieci i gromadzenia nieprzyjaznych spojrzeń Royce się zatrzymał.

– Chyba wygląda na to, że nie miał żadnej rodziny ani przyjaciół.

– Ktoś zabrał jego ciało.

– Może strażnicy albo starszyzna z dzielnicy? Nie mogą pozwolić, żeby dzieci bawiły się obok trupów, bo mogłyby zachorować albo zrozumieć, ile naprawdę są warte dla społeczeństwa. Może powinniśmy pójść do portu. Tam pewnie są wyrzucane ciała. To miasto wygląda na takie, która ma miejsce do spławiania ciał. Nasz caliski spiskowiec pewnie jest już w połowie drogi do Morza Goblinów.

– Musiał mieć kogoś, dla kogo był ważny – powiedział Hadrian.

– Dlaczego?

– Bo każdy ma.

– Nieprawda. – Royce skupił się na wynędzniałym mopsie, który grzebał w stosie gnijących rybich ości i splątanej sieci. – Pomyśl o tych wszystkich bezpańskich psach takich jak ten, wynędzniałych stworzeniach, których nikt nie chce i w które ludzie rzucają kamieniami, żeby je odpędzić. Nie mają nikogo, a ludzie są jak psy, nie? Pies to najlepszy przyjaciel człowieka, tak mówią, prawda? Jest też mnóstwo bezpańskich ludzi.

Royce przyglądał się psu ze współczuciem. Było coś dziwnego w tym szczeniaku. To nie był bezpański psiak. Miał obrozę. Niebieską obrozę, która...

– Ty już nie jesteś bezpański, Royce.

– Co? – Złodziej spojrzał zdumiony.

– Mówię tylko, że gdybyś umarł, ja bym cię pochował. A jeżeli nie ja, to Gwen. – Roześmiał się. – Na Mara, Gwen wybudowałyby grobowiec dla ciebie i pomalowała go na niebiesko.

– Nie mówiłem o sobie.

– Pewnie. Tak tylko mówię.

– Może powinieneś spróbować nic nie mówić.

Kiedy Royce się odwrócił, psa już nie było.

Światło kolejnego dnia zaczęło słabnąć, kiedy ponownie wrócili na rynek targowy w Małym Gur Em. Zaczęły bić dzwony Grom Galimus.

– Nie wiem... – Royce westchnął. – Może powinniśmy poszukać krasnoluda. Może się nie przeniósł. Jeśli przyłożę mu nóż do gardła albo jeszcze lepiej jego żonie, to może... – Royce urwał.

Rozejrzał się po tłumie zdumiony.

– Co jest, wierny ogarze? Coś zwęszyłeś?

Royce spiorunował Hadriana wzrokiem.

– Przepraszam. – Hadrian wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Royce wskazał ludzi poruszających się wokół nich.

Trzy młode dziewczyny niosły przykryte płótnem kosze z pieczywem. Mężczyzna z piłą na ramieniu przeszedł obok, uchylając kapelusza. Starsza para szła, trzymając się za ręce; poruszali się wolno jak leniwe ślimaki, romantyczni i słodcy. Większość to byli Calijczycy, ale zdarzali się także mirowie.

Najpierw Hadrian nie zauważył niczego dziwnego, a potem zaczął

coś dostrzegać. O ile wcześniej ludzie przychodzili, odchodzili i kręcili się, to teraz wszyscy, nawet dzieci, szli na wschód.

– Nie szli tak minutę temu? – spytał Hadrian.

– Dzwony. – Royce skinął głową w stronę katedry. – Dopiero co wybiły.

– Pośpieszcie się, bo się spóźnimy – powiedziała Calijka, popędzając dzieci, żeby wychodziły z domu.

Zauważyła Royce'a i Hadriana, posłała im ostrożny uśmiech, a potem odwróciła wzrok i ponagliła swoich synów.

Jeden po drugim kupcy ze sklepów i uliczni handlarze zamykali kramy i przykrywali towary. Zabezpieczywszy swoje skarby, także ruszali w kierunku przeciwnym niż zachodzące słońce.

– Jak myślisz, dokąd idą?

Stali we dwóch na placu i patrzyli, jak pustoszeje niczym dziurawe wiadro, aż zostało tylko paru maruderów. Kiedy światło przygasło i noc znowu nadpełzła nad miasto, Royce i Hadrian poszli za tłumem.

* * *

Idąc za ludźmi na wschód, Hadrian zauważył, że opuszczają Małe Gru Em i wchodzą do zdecydowanie mniej zachęcającej części miasta. Podczas wszystkich ich wędrówek i nocnych pościgów Hadrian ani razu tam nie trafił. Sądząc po tym, jak Royce się rozglądał, to on także.

Jak skraj starego płaszcza wschodnie obrzeża miasta strzępiły się i niszczały. Rochelle było kiedyś większą metropolią. Teraz las próbował odzyskać skradzione ziemie. Porzucone i niszczone wielkie domy i sklepy były rozsadzane przez drzewa, które wyrastały z ich fundamentów, zrywały dachy i wypuszczały gałęzie oknami, przez co las wyglądał, jakby nosił na sobie budynki. Z ulic zniknął bruk, ziejące dziury przypominały Hadrianowi brakujące trzonowce w starych ustach, podczas gdy kępki żółtawej trawy, które wyrastały z progów, były jak niechciane włosy staruszka. Wiatr przelatywał przez postrzępione zasłony, porwane markizy, między luźnymi deskami, które uderzały z pustym, samotnym dźwiękiem, niosącym

się echem po szczerbatej ulicy.

Procesja szła kilkoma drogami, ale wszystkie odnogi trafiły do kamiennej ruiny, która mogła być kiedyś magazynem. Był dostatecznie duży, żeby budować w nim żaglowce i miał cztery nietknięte ściany oraz pół drewnianego dachu. W żadnym oknie nie zachował się choćby ślad szyb, a na kamieniu od zewnątrz były widoczne jedynie plamki farby z malowidła, które niegdyś zdobiło ścianę. Niewielu ludzi rozmawiało, ale kiedy liczne grupki i pojedyncze osoby stworzyły ciasno upakowany tłum, poniosł się cichy pomruk. Royce i Hadrian założyli kaptury, wchodząc do środka. Słońce zaszło, zrobiło się ciemno. Jedno ognisko jasno płonęło przy froncie budynku, rzucając ogromne cienie na kredowe ściany.

Hadrian nie miał pojęcia, co widzi albo co zobaczy. Pod wieloma względami potok ludzi kojarzył mu się z nabożeństwem w kościele, ale nie rozumiał, dlaczego spotkanie natury religijnej miałoby odbyć się w nocy w równie przerażającym miejscu. Może to coś związanego z porą roku jak zimonia, przypuszczał, kiedy zimny wiatr potrząsnął gałęziami drzewa tak, że zaczęły uderzać o połamany dach. To była ostatnia noc zimy, która miotła się pełna mściwości i gniewu.

Royce poklepał Hadriana po ramieniu i lekkim ruchem głowy wskazał małą postać w pobliżu ognia. Ponieważ miał zdjęty kaptur, Hadrian rozpoznał Griswolda, który stał na drewnianej skrzynce obok wyższej osoby. Ta miała kaptur na głowie i nie było widać jej twarzy.

– Siedemnaście dni – powiedział zakapturzony mężczyzna stojący obok Griswolda. Obrócił się nieco i powtórzył: – Siedemnaście dni temu nasi przywódcy przedsięwzięli ambitny plan w naszym imieniu. Zniknięcie księżnej Rochelle to nasze dzieło. Zabraliśmy ją, żeby wywrzeć nacisk na księcia, wymusić na nim przyznanie praw tym, którzy nie mają żadnych. Nasze żądania były rozsądne, łatwe do zrealizowania, ale zostały całkowicie zignorowane. Przez siedemnaście dni szukaliśmy pokojowego rozwiązania, ale jutro odbędzie się Święto Wiosny i nie możemy już dłużej czekać.

Cichy pomruk ucichł. W zrujnowanym budynku zapadła cisza.

– Wszyscy chcieliśmy pokojowego rozwiązania, ale niesprawiedliwości nie da się pokonać dobrymi intencjami.

Z uprzedzeniami nie można walczyć rozsądkiem. Nie da się ich pokonać, nie płacąc żadnej ceny. Musimy powstać. Krwi! Tego trzeba. Trzeba przelać krew. Szlachetne rody noszą błękit, ale powinny bać się szkarłatu. Szkarłatu własnego życia. Musimy im pokazać, że nie będziemy dłużej znosić w milczeniu poniżenia. Widok koloru obryzgującego ściany, bruk i ich śliczne niebieskie stroje zwróci ich uwagę.

– O, z pewnością! – odezwała się kobieta, mir.

Nosiła ciemnoniebieską sukienkę, miała ciemną skórę i kręcone włosy typowe dla wschodniego Calisu. Stała obok Griswolda i mówcy w kapturze. Była drobna i szczupła, o całą głowę niższa od mężczyzny, któremu weszła w słowo, ale stała wyprostowana, z uniesionym podbródkiem i błyszczącymi oczami.

– A także ich przerazi. I to nie tylko arystokrację z Rochelle czy nawet z trzech wielkich rodów Alburnu. Już rozmawiałam z Villarem o głupocie jego propozycji. Jeśli go posłuchacie, jeśli złapiecie za broń, ogłosicie wojnę, to niewątpliwie zwrócicie na siebie uwagę zarówno arystokracji, jak i Kościoła. I nie mówię tylko o tym miejscu, ale o całym Avrynie. Żaden z królów, książąt, diuków, hrabiów czy markizów nie zamieszka w tak obrzydliwym domu. Wyszorują ulice do czysta za pomocą galonów naszej krwi. Za każdą kroplę ich krwi, jaką upuścimy, zażądają beczki naszej.

– Zgromadzeni, oto Mercator Sikara – powiedział mężczyzna w kapturze, wyciągając ręce i przedstawiając kobietę tłumowi, ale nie mówił tego życzliwym tonem. Hadrian podejrzewał, że wszyscy dobrze ją znają. Villar pokręcił głową. – Co by pomyślał o tobie twój dziadek? O twoich lękach? O tym, jak ochoczo się korzysz? Czy pochwalałby, że dajesz swoim ludziom iluzję bezpieczeństwa, nakłaniając do układności? Nie zaprzeczam, że konieczne będą ofiary, ale wszystko, co ma wartość, też ma swoją cenę. Ukradziono nam nasze dziedzictwo. Nam wszystkich. – Wskazał Griswolda. – Niegdyś dumni Belgriclungreianowie żyją odizolowani w gettach, które zamyka się od zewnątrz na czas świątecznych nocy i które muszą sami zamykać od środka podczas swoich własnych świąt, żeby nie paść ofiarą przemocy. Calijczycy, niegdyś szlachetni obywatele-kupcy

imperialnej prowincji Calynii, których miasto Urlineus jako ostatnie spuściło chorągiew imperium, teraz zmuszeni są zebrać o prawo do handlu na ulicach miasta, które uważa się za ostatnie echo imperium. Miasta, które powinno ich powitać szczególnie serdecznie! A mirowie... – Urwał, kręcąc głową.

Wziął wdech, jakby nie był w stanie kontynuować, ale zdołał się przemóc.

– Mir... To było kiedyś słowo wyrażające szacunek, tytuł mówiący o szlacheckim dziedzictwie. Ci z nas, którzy mogą wywieść swoje pochodzenie z imperialnej prowincji Merredydd, wiedzą, że byliśmy kiedyś dumnymi i podziwianymi członkami imperium novrońskiego. Mir Sikar zasiadał w radzie imperialnej obok Mira Plymeratha; obaj osobiście znali Novrona i walczyli u jego boku. Ale teraz... Teraz... – Głos mu się załamał i Villar wskazał na otaczające ich ściany. – Teraz ledwie istniejemy, odmawia nam się prawa do mieszkania w domach, do swobody prowadzenia jakichkolwiek interesów, możliwości zaspokojenia potrzeb własnych i naszych najbliższych.

– Ten głos brzmi znajomo – szepnął Royce.

– Tego gościa w kapturze?

Royce skinął głową.

– Życie przeszłością nie jest sposobem na stworzenie przyszłości – powiedziała Mercator.

– To w przeszłości znajdziemy naszą przyszłość – odrzekł Villar.

– Chciałbym, żeby podniósł głowę dość wysoko, bym mógł zobaczyć jego twarz – powiedział Royce, zerkając.

Hadrian był boleśnie świadomy faktu, że wszyscy obecni poza nimi są ciemnoskórymi Calijczykami, niskimi krasnoludami i łatwo rozpoznawalnymi mirami. Wystarczyłoby, żeby ktokolwiek zajrzał pod ich kaptury, a zorientowałby się, że to nie miejsce dla nich. Zważywszy, że natknęli się na coś, co wygląda na poprzedzający rewolucję wiec, Hadrian wolał, by ich nie zauważono. Szpiegzy zawsze otrzymywali taką samą nagrodę, bez względu na to, czy wręczali ją królowie, czy powstańcy, a trzy miecze nie wystarczą, żeby pokonać setki rozwścieczonych ludzi.

– Prosisz nas o popełnienie samobójstwa. – Mercator uniosła rękę,

a w jej głosie pobrzmiwała frustracja.

– Proszę, żebyście walczyli o swoje prawa, żebyście byli odważni – sprzeciwił się Villar. – Mamy przewagę liczebną nad ciemężycielami. Możemy ich pokonać. Możemy przejąć kontrolę i ustanowić własne zasady.

– Mamy przewagę jedynie w Rochelle – odrzekła z naciskiem Mercator. – Poza tym miastem żyją tysiące, może nawet dziesiątki tysięcy ludzi, którzy niczego tak nie pragną, jak zobaczyć nas wszystkich martwych, i odpowiedzą na nasz atak. Dobrze wyposażone i wyszkolone armie bez najmniejszych skrupułów zdławią nasze małe powstanie. I myślisz, że to się zakończy tutaj? Nie! Arystokracja w każdym królestwie pozbędzie się ze swoich domów niechcianych. Dzisiaj widzą w nas jedynie uciążliwość, ale jutro staniemy się zagrożeniem. Jeśli to zrobisz, skażesz na koniec nie tylko nas, ale każdego mira, Belgriclungreiana i Calijczyka na powierzchni Elanu. Zapoczątkujesz powszechną wojnę, której nie mamy szansy przetrwać, już nie wspominając o wygranej.

Głos Villara wyrażał odrazę i zniecierpliwienie.

– Wszyscy już słyszeli słowa Mercator. I jak już powiedziałem, próbowaliśmy załatwić to jej sposobem, i to ogromnie się narażając. To ja porwałem księżną. A co zrobił książę? Nic. Zignorował nasze żądania. Tak wielu z was cierpiało, tak wielu pytało, dlaczego nie staniemy we własnej obronie, dlaczego nie walczymy. Jutro staniemy do walki. Pierwszego dnia wiosny arystokraci ze wszystkich krańców Alburnu będą na uczcie. To nasza największa szansa. Nie będą spodziewać się rewolucji, nie będą ich chronić napierśniki, nie będą mieć mieczy. Za to my będziemy mieli! Krasnoludy w tajemnicy przygotowały prawie setkę sztuk broni, która jest gotowa do rozdania. Caliscy wróżbici potwierdzili, że jutrzejszy dzień to punkt zwrotny w dziejach miasta i tak się stanie, jeśli mirowie, Belgriclungreianie i Calijczycy połączą siły i zaatakują Ucztę Arystokracji w południe. Posłuchajcie mnie teraz, a nie będziecie już nigdy więcej musieli słuchać arystokratów. Proszę o wasze wsparcie poprzez okazanie...

Villar uniósł głowę dość wysoko, żeby światło padło na jego twarz. Hadrian i Royce mogli wreszcie dobrze się przyjrzeć mężczyźnie pod

kapturem. Trójkątna twarz, czarne włosy, ostre łuki brwi – mir i to gniewny. Zimna nienawiść kryła się w grymasie jego ust i w blasku ciemnych oczu, kiedy przyglądał się tłumowi, jakby chciał przemówić do każdego ze zgromadzonych. Royce także uniósł głowę, żeby lepiej mu się przyjrzeć, i w tej samej chwili obaj się rozpoznali.

Royce pochylił głowę i szepnął:

– To on. Gość, którego ścigałem zeszłej nocy.

Villar wrzasnął:

– Łapcie go! – Wskazał Royce’a.

– Czas na nas – powiedział Royce.

Chcieli się wycofać, ale wpadli na mur ciał.

Villar nie przestał krzyczeć:

– Łapać go! Ich obu! To szpiedzy księcia!

Fraza „szpiedzy księcia” zadziałała i Hadrian natychmiast poczuł na sobie mnóstwo rąk.

Royce sięgnął pod pelerynę.

– Nie, Royce, nie! – wrzasnął Hadrian.

Jego partner zawahał się i zaraz dopadło go kilkunastu mężczyzn. Wkrótce już trzymali go mocno. Royce patrzył gniewnie.

Tłum był pełen niewinnych ludzi – staruszków, kobiet i dzieci. Tylko zabijając, mogli mieć nadzieję na uwolnienie się, i to zabijając mnóstwo ludzi, a nawet to nie dawało im gwarancji. Ta słodka starsza para, którą Hadrian widział po drodze na wiec, stała cztery rzędy dalej, nadal trzymając się za ręce, i patrzyła ze strachem. Obok nich stała prześliczna blondynka, mir, i patrzyła szeroko otwartymi, pełnymi szoku oczami. Reszta tłumu była równie skonsternowana i przerażona. Ci ludzie nie byli żołnierzami. To był zastęp Griswoldów. Ludzi, którzy wracają do domu po długim dniu pracy z nędzną namiastką kurczaka. A mimo to za ten żalosny dar dostają pocałunek od wdzięcznej żony. Dla Royce’a żadna z tych rzeczy nie miałyby znaczenia.

– Jest ich zbyt wielu – powiedział Hadrian.

– Co ty wygadujesz, Villar? – zapytała Mercator. – Kim są ci ludzie?

– Szukali księżnej. Zadawali pytania i przestawali z kapitanem książęcej straży. Zeszłej nocy przyłapałem ich, jak szpiegowali

Griswolda i Erasmusa. Ścigałem tego mniejszego. A większy zamordował Erasmusa Nyma.

– Nym nie żyje? – zapytał ktoś, ale nikt mu nie odpowiedział.

Hadrian próbował się wyrwać, ale kiedy tylu ludzi napierało ze wszystkich stron, jego wysiłki nic nie dały. Ktoś objął go ramieniem za szyję i wygiął do tyłu, pozbawiając prawie równowagi. Hadrian poczuł, że odbierają mu miecze.

Hadriana i Royce'a odwrócono tak, żeby stanęli twarzami do przodu pomieszczenia. Mercator, której ręce miały dwa odcienie, jakby nosiła czarne rękawiczki do łokci, wyszła naprzód.

– Czy to, co mówi Villar, jest prawdą?

Hadriana zachęciła szczerłość jej pytania. Ona przynajmniej nie podjęła jeszcze decyzji.

Spojrzał na Royce'a, który odmawiał odpowiedzi. Uśmiechnął się czarująco, na ile chwyt za szyję mu na to pozwolił, i odpowiedział:

– Tak i nie.

Mercator nie była ubawiona.

– Nie, nikogo nie zabiłem. I tak, szukaliśmy księżnej. Nie, nie jesteśmy szpiegami księcia, nigdy nawet nie spotkaliśmy tego człowieka. I tak, znam kapitana straży, bo służyliśmy razem wiele lat temu.

– Byłem tam – wtrącił się Griswold. – Widziałem, jak pobiegłeś za Nymem wczorajszej nocy, a teraz mój przyjaciel nie żyje.

– Tak, pobiegłem za nim, ale wymknął mi się i kiedy go znalazłem, już nie żył. Przysięgam, że nie mam nic wspólnego z jego śmiercią.

– To oczywiście, że kłamie – powiedział Villar. – Też bym kłamał na jego miejscu. Próbuje ratować skórę.

– A dlaczego szukacie księżnej? – spytała Mercator.

– Zostaliśmy z przyjacielem wynajęci przez jej ojca, Gabriela Wintera, który martwi się zniknięciem jedynej córki i boi się o jej życie.

– Widzicie! Przyznał się! – powiedział Villar. – Wiedzą, że ją porwaliśmy. Wiedzą, co się jutro stanie. Darujcie im życie, a my zginiemy. Musimy ich zabić, wyrzucić ich ciała do Roche. Niech zabierze ich smród do morza.

– Nie! – krzyknął ktoś z tłumu, blondynka o niebieskich oczach. – Zostawcie go! – Przepchnęła się przez tłum i spojrzała Hadrianowi w twarz. – Znam tego człowieka i nie pozwolę go skrzywdzić.

Royce zerknął na Hadriana, który odwzajemnił spojrzenie z lekko skonsternowaną miną.

– Seton? – zapytała Mercator, przepychając się do dziewczyny. – Co ty mówisz?

– To jest *rasa*! – Blondynka wskazała Hadriana i spojrzała na Mercator wielkimi oczami.

Mercator nadal nie pojmowała.

– *Rasa*? – Wytrzeszczyła nagle oczy. Przyjrzała się dokładnie Hadrianowi. – Jesteś pewna? Jak możesz... Jak on mógłby...

– Jestem pewna – odpowiedziała Seton. – Nigdy nie zapomniałabym jego twarzy, jego trzech mieczy, tych oczu.

Hadrian zaś najwyraźniej o niej zapomniał. Wyglądała znajomo, ale pomyślał, że po prostu przypomina mu trochę Arbor, córkę szewca z Hintindaru, w której się zakochał jako piętnastolatek. Jednak ta dziewczyna była mirem, a Arbor pewnie nadal mieszkała w Hintindarze, już pewnie jako mężatka z dziećmi. Hadrian nie miał pojęcia, dlaczego ta młoda kobieta go broni ani czemu nazwała go „*rasa*”. Jednak w obecnym położeniu nie zamierzał się z nią spierać.

Villar obrócił się gwałtownie.

– Co to wszystko znaczy?

– To Hadrian Blackwater – oznajmiła Seton. – Siedem lat temu ocalił mi życie.

Rozdział 18

Demon

Nic więcej nie powiedziała. Piękna blondynka, która dosłownie i w przenośni stała między śmiercią a Hadrianem i Royce'em, sprawiała wrażenie skrepowanej, kiedy spojrzała błagalnie na Mercator. Villar wiercił się niecierpliwie. Chciał ich śmierci, chciał, żeby ich ciała wylądowały w ściekach, a chociaż Hadrian wolał uniknąć tej przyszłości, to ciekawiło go także, dlaczego ta dziewczyna tak nieugięcie próbuje go ocalić.

– Seton – odezwała się delikatnie Mercator. – Musisz opowiedzieć tę historię. – Poplamiona na niebiesko kobieta rozejrzała się po tłumie. – Wiem, że to nie... Przykro mi, ale musisz to wyjaśnić.

Seton skinęła głową, ale nadal słowa więzły jej w gardle, a kiedy wreszcie je wykrztusiła, zabrzmiały tak cicho i słabo, że Hadrian musiał nadstawić uszu.

– Mieszkałam w wiosce Aleswerth parę mil na północ stąd. Tam się urodziłam. Lord Aleswerth sprzeciwił się królowi Reinholdowi. Nie wiem dlaczego i w jakiej kwestii, ale pewnego dnia zjawili się żołnierze króla.

– Głośniej! – krzyknął ktoś z tyłu.

– Nie słyszymy cię – dodał ktoś inny.

Seton była wyraźnie skrepowana, ale podjęła opowieść głośniej i w miarę jak mówiła, jej głos był coraz mocniejszy.

– Wszystkich wezwano do zamku. Powiedziano nam, że ci, którzy zostaną poza murami, zostaną zabici. Nie sądziłam, że mnie

wpuszczą, ale pewnie nie zauważyli, że jestem mirem, bo włosy zakrywały mi uszy, więc prześlizgnęłam się razem z innymi. – Urwała i z trudem przełknęła ślinę. – Bitwa trwała cały dzień i jeszcze po zachodzie słońca. Schowałam się za stosem drewna opałowego. A potem w środku nocy brama otworzyła się gwałtownie. W wielu miejscach podłożono ogień, mężczyźni w kolczugach i z mieczami przebiegli przez dziedziniec, zabijając wszystkich. Nie... – Zamilkła, szukając słów w ciemnościach. – Nie wyglądali jak ludzie. Wyglądali jak potwory, okrutne i straszne. Jeden był gorszy od wszystkich pozostałych. Wysoki, potężny, cały we krwi. Pośród moich ludzi krążyły legendy o bestialskich stworzeniach zwanych *rasa*, straszliwych demonach, pół elfach, pół zwierzętach, całkowicie opętanych przez zło. Tak dla mnie wyglądał.

Urwała, odzyskała panowanie nad sobą i podjęła opowieść:

– Szarżował, wymachując niewiarygodnie długim mieczem. Ludzie lorda Aleswertha atakowali go ze wszystkich stron, silni ludzie, dobrzy ludzie. Byłam pewna, że zabiją tego dzikusa. Lecz wszyscy zginęli, a ich krew wymieszała się z posoką, która już go oblewała. Zabijał ich, odrąbując ręce i nogi, ścinając głowy, w jednym wypadku rozciął jakiegoś nieszczęśnika prawie na pół od ramienia po biodro. – Kiedy mówiła, patrzyła na Hadriana, mrużąc oczy, jakby spoglądała w boleśnie intensywne światło. – Zabijał też konie, na których nadjechali rycerze lorda. Ten człowiek, ten *rasa*, zabijał konnych rycerzy z taką samą łatwością, z jaką rzeźnik zarzyna jagnię. Wkrótce wokół niego leżały same ciała w sadzawce krwi.

Tłum milczał, gdy opowiadała. Tylko cichy trzask ogniska przerywał ciszę, a ten dźwięk i migoczące płomienie wzmacniały obrazy, jakie przywoływała.

– Kiedy wszyscy żołnierze nie żyli, najeźdźcy zajęli się kobietami. Znalezione mnie. Spodobały im się moje włosy i to, że wyglądałam na młodą. W ciemności wzięli mnie za zwykłego człowieka.

Urwała z pełną napięcia twarzą. Spuściła wzrok na ziemię. Wzięła głęboki wdech.

– Czułam piwo w ich oddechu. Bitwa się skończyła i zaczęło się świętowanie. Wszyscy pili. Trzymałam się nadziei, że może przeżyję,

że jeśli nadal będą myśleć, że jestem człowiekiem, to darują mi życie. Bałam się, że... że mnie... ale nie chcieli mnie dla siebie. Zamiast tego zawlekli mnie do *rasa*. Zlany krwią mężczyzna siedział pośrodku dziedzińca obok beczki z piwem, z ogromnym mieczem nadal w jednej ręce i z kubkiem w drugiej. Był pijany. Żołnierze rzucili mnie i trzy inne dziewczyny do jego stóp. „Dla Hadriana Blackwatera, bohatera bitwy, najlepsze łupy!” – krzyknęli. „Wybierz tę, która ci się najbardziej podoba, Blackwater!”. Wybrał mnie.

Seton zamilkła i zaczęła płakać.

– Byłam przerażona. Po tym, jak zobaczyłam, co zrobił z rycerzami lorda Aleswertha, byłam przekonana, że ten człowiek jest zdolny do rzeczy potwornych. Klęczałam na ziemi, która zamieniła się w błoto od krwi tak wielu poległych, i czekałam, ze wszystkich stron otaczały mnie ogień, dym i wrzaski. Żołądek tak mi się zaciskał, że zwymiotowałam. Nie obchodziło mnie, czy mnie zabije. Chciałam już, żeby było po wszystkim. Nie mogłam... Nie mogłam...

Potrzebowała chwili, żeby znowu odzyskać głos, a kiedy wreszcie jej się udało, spojrzała prosto na Hadriana, jakby mówiła tylko do niego, jakby byli całkiem sami.

– Wtedy zrobił coś nieoczekiwanego, coś tak niezgłębionego, że pomyślałam, że źle go usłyszałam. Powiedział „przepraszam”. Jego głos nie był taki, jakiego się spodziewałam. Był cichy. Cichy i łagodny. I smutny. Myślałam, że mówi do mnie. Myślałam, że mówi mi, że żałuje tego, co robi, ale on nawet nie drgnął. Powtarzał tylko to słowo w kółko. Zdałam sobie sprawę, że wcale nie mówi do mnie. Patrzył na stos ciał. Wpatrywał się w niego pijany i powtarzał przeprosiny. Wreszcie spojrzał w moją stronę. Zachowywał się, jakby dopiero wtedy mnie spostrzegł. Płakałam, a on patrzył. Myślałam, że zaraz skończy się moje życie. A kiedy wyciągnął ręce i mnie złapał, krzyknęłam.

– A potem? – zapytał ktoś z tłumu, kobieta, która wpatrywała się w Hadriana z nienawiścią. – Co potem zrobił?

– On... – Seton wyciągnęła rękę w stronę Hadriana. – Objął mnie. Tulił mnie mocno, ale delikatnie. Nadal byłam przerażona, spodziewałam się w każdej chwili najgorszego. On też płakał. A potem

mnie wypuścił. Podeszło dwóch żołnierzy. Zobaczyli, że nic ze mną nie robi, więc próbowali mnie odciągnąć. Powiedzieli, że nie chcą, żeby się blond suka zmarnowała. Zabronił im. Nie byli z tego powodu zadowoleni, ale powiedział, że nikt mnie nie tknie, absolutnie nikt, że zabije każdego, kto spróbuje, razem z jego koniem.

– Z koniem? – spytał Hadrian. – Naprawdę to powiedziałem?

Seton skinęła głową.

– Tak.

Hadrian zaczynał sobie teraz przypominać. To było siedem lat temu, niedługo po tym, jak wstąpił do armii Reinholda. Większość wspomnień z tamtej nocy miłościwie splukało piwo, ale niektóre wracały do niego w koszmarach albo przebłyskach pod wpływem ognia i krzyków. Ostatni raz zdarzyło mu się to przy okazji śmierci królowej Ann z Medfordu, gdy zamek Essendonów stanął w płomieniach.

– Następnego dnia – ciągnęła Seton, nadal patrząc na Hadriana – byłam sama. Tylko ja i zniszczone zamkowe mury. Armia króla przepadła, tak samo jak *rasa*, który mnie obronił. Szukałam. Szukałam wszędzie. Nie została ani jedna osoba poza mną. Potem słyszałam ludzi, którzy mówili, że król dał lekcję swojej arystokracji. Ja nauczyłam się tylko jednego: że też bym zginęła, gdyby nie ten człowiek. Ten człowiek, który mnie tak przeraził, że zwymiotowałam ze strachu. Ochronił mnie. Jestem jedyną osobą, która przeżyła niesławną Grabież Zamku Aleswerth. Wyszłam z tego z nietkniętym życiem, godnością i cnotą. Wszystko to dzięki niemu. Teraz z jakiegoś powodu los zamienił nas miejscami, więc niech Ferrol mi pomoże, bo będę walczyć z każdym, kto spróbuje go skrzywdzić. – Spojrzała Hadrianowi w oczy i dodała: – I jego konia.

Seton wzięła go za rękę, pocałowała jego dłoń i potarła nią swój policzek.

– Dziękuję – powiedziała, uniosła jego palce do ust i ucałowała każdy delikatnie. – Dziękuję, dziękuję!

Hadrian nie wyobrażał sobie, żeby młoda dziewczyna z mirów, nawet z darem gawędziarskim, była w stanie powstrzymać tłum, który zamierza zabić dwóch obcych zagrażających ich istnieniu,

a jednak nastrój wśród zebranych znacząco się zmienił. Kimkolwiek była ta dziewczyna, miała wystarczająco wysoki status w tej podziemnej społeczności, daleko wyższy, niżby wskazywał jej pozornie młody wiek.

– Mimo to muszą umrzeć – odezwał się Villar. – Seton, musisz się odsunąć.

Blondynka, która do tej pory sprawiała wrażenie nieśmiałej i delikatnej, odwróciła się gwałtownie do niego.

– Chcesz ich śmierci? Dobrze, ale nie każ innym robić tego za ciebie.

– Seton odepchnęła na bok jednego z trzymających Hadriana mężczyzn. – Puść go!

Zaczęła szarpać zaciśnięte palce innego mężczyzny. Pozostali zaczęli puszcząć Hadriana, a ona ich odpychała.

– Proszę! Śmiało, Villar. Sam go zabij, własnymi rękami. Pokaż nam tę swoją krwawą rewolucję. Bądź pierwszym, który przeleje krew. Śmiało. Niech moja mała, głupia historyjka cię nie martwi. Ten człowiek jest nieuzbrojony. Otoczony. Śmiało!

Villar wpatrywał się w nią, nie w Hadriana. Oczy płonęły mu nienawiścią.

– No już! – krzyknęła dziewczyna.

– Nie musimy ich zabijać – odezwała się Mercator. – Wystarczy tylko, że uniemożliwimy im powiadomienie księcia lub jego strażników o naszych zamiarach. Jeśli będziemy głosować za rewolucją, nasze działania sprawią, że to, czego się dowiedzieli, straci na znaczeniu. Jeżeli nie podejmiemy żadnych działań, nie popełnimy żadnego przestępstwa i nikt nie uwierzy w zwariowaną historyjkę dwóch cudzoziemców o krwawej intrydze.

– Wiedzą o księżnej – przypomniał im Villar. – Księżę zabije nas za to.

Mercator skinęła głową.

– Tak. Nas. Ciebie i mnie. Nikogo więcej. To my ją porwaliśmy i my za to ponosimy odpowiedzialność. A poza tym nie mają żadnego dowodu i to będzie nasze słowo przeciwko słowu obcych.

– Ale jeśli ich zabijemy...

– On tu jest, Villar! – znowu krzyknęła Seton. – Nikt cię nie

powstrzymuje. Śmiało. – Zrobiła krok w jego stronę, patrząc na niego z wyższością. – Mówisz nam, że musimy walczyć. Mówisz, że musimy stanąć we własnej obronie, ale tak naprawdę to masz na myśli to, że musimy umrzeć. Musimy umrzeć dla ciebie, dla twojej dumy, dla twojej nienawiści. Chcesz, żebyśmy się poświęcili dla twojej lepszej przyszłości. To nie jest przywództwo, Villar, ale wykorzystywanie. Chcesz, żeby ktokolwiek z nas cię słuchał? Poszedł za tobą do walki? Zaryzykował własne życie dla twojej zemsty? To daj nam coś więcej niż tylko słowa. Zaryzykuj najpierw własne życie. Odbierz mu życie własnymi rękami... albo się zamknij.

Villar cały się trząsał. Pot błyszczał mu na twarzy w świetle pochodni. Hadrian bał się, że rzuci się na dziewczynę, zmusi ją do milczenia. Zamiast tego jednak bez słowa odwrócił się, przepchnął się przez tłum gapiów i zniknął wśród zgromadzonych.

– Griswold, masz jakiś sznur? – zapytała Mercator. – Moglibyśmy...

Podczas rozgrywającego się dramatu wszyscy zapomnieli o Roysie, który nie odezwał się słowem i nic nie zrobił. Ci, którzy go trzymali, trzymali go słabiej, pewnie wierząc, że panują nad cichym cudzoziemcem. Zorientowali się, że popełnili błąd, kiedy jeden z nich krzyknął z bólu, a drugi złożył się wpół, podczas gdy złodziej wyrwał się pozostałym. W okamgnieniu wyłonił się Alverstone. Rozległy się stłumione okrzyki i ci, którzy stali najbliżej niego, nagle się cofnęli.

– Przykro mi, ale nie przepadam za sznurami.

– Royce. – Hadrian odezwał się wyważonym tonem, jakim uspokajał spłoszonego konia. – Nie... Nie rób niczego, czego mógłbyś... to znaczy... czego ja mógłbym pożałować.

– Lepiej by było, gdybyś im to powiedział. – Royce obrócił się ze sztyletem w ręce i wszyscy cofnęli się kolejny krok.

– Nie zamierzaliśmy nikogo skrzywdzić – powiedziała Mercator. Była jedną z tych, którzy się zbliżali, ale poruszała się powoli.

Mądra kobieta, pomyślał Hadrian.

– Związać też się nie dam.

– Nie możemy pozwolić wam odejść. Gdybyście powiedzieli księciu...

– A kto tu coś mówi o odchodzeniu? – Royce wymachiwał sztyletem,

przysuwając się do Hadriana. – Przyszliśmy po księżną, Genny Winter. Oddacie ją nam.

Mercator zatrzymała się, skrzyżowała ręce i spojrzała na Royce'a.

– Bo inaczej co? Zabijesz nas wszystkich swoim sztyletem?

Royce zmarszczył brwi, zerknął na Hadriana i westchnął.

– Dlaczego wszyscy tak szybko wyciągają wnioski na mój temat?

Rzucik w groszki, Royce, pomyślał Hadrian. Rzucik w groszki.

– Słuchaj – zaczął Royce – nie kręci mnie perspektywa zamknięcia albo zabicia. Wielka niespodzianka, co? I domyślam się, że wolałabyś, żebyśmy nie zmniejszyli waszego zgromadzenia nawet o jedną osobę, zgadza się? Zważywszy na jej historię – wskazał Seton – podejrzewam, że domyślasz się, że ponieślibyście co najmniej taką stratę, próbując postawić na swoim. Spróbujmy zatem czegoś innego. Co powiesz na wymianę?

– My mamy księżną, to rozumiem – powiedziała Mercator – ale co wy macie, czego my moglibyśmy chcieć?

Royce się uśmiechnął.

– Księcia.

* * *

Nikt nie zwrócił Hadrianowi mieczy, ale też nie próbowano ich związać. Mercator opuściła tłum zgromadzony w głównej sali z obietnicą poinformowania wszystkich o najnowszych wydarzeniach przed rankiem. Potem wysłała posłańca po kogoś, kto nazywał się Selie, przekonała Griswolda, żeby poszedł z nią, i na próżno próbowała namówić Seton, żeby z nią szła, a na koniec wybrała tuzin większych Calijczyków i mirów do funkcji strażników. Potem cała ta świta poprowadziła Royce'a i Hadriana ulicami.

Weszli do małego, rozpadającego się budynku z fragmentami dachu, powybijanymi oknami i prawie zachowaną drewnianą podłogą. Przez ruiny prowadziła wyraźnie wydeptana ścieżka do schodów piwnicznych. Cztery kamienne ściany bez ani jednego okna, sześć drewnianych krzeseł wokół rozchwierutanego stołu i ogarek

roztopiony na obróconym do góry dnem kubku kazały Hadrianowi podejrzewać, że to kwatery główna rewolucjonistów.

Mercator usiadła i gestem zaprosiła do tego samego Royce'a i Hadriana.

Seton spojrzała na tuzin ludzi i mirów, którzy starali się robić wrażenie twardzieli.

– Nie potrzebujesz ich.

– Nikt z nas nie podziela twojej niezachwianej wiary – odpowiedziała jej Mercator.

– To nie jest wiara. Mówię tylko... – Seton uśmiechnęła się nieśmiało do strażników. – Bez urazy, ale gdyby Hadrian chciał nas pozabijać, to nie zdołaliby go powstrzymać.

– Nie ma swoich mieczy – powiedział Griswold.

– Wiem.

Mercator zdumiała się i kiedy zaczęła się nad tym zastanawiać, starsza ciemnoskóra kobieta weszła pośpiesznie do pomieszczenia.

– Mercator? Powiedziano mi, że mnie potrzebujecie.

– To prawda. – Mercator wskazała jej krzesło. – To Selie Nym, wdowa po Erasmusie. Zastąpi męża w roli reprezentanta Calijczyków, zgoda? – Spojrzała na Griswolda, który skinął głową. – Selie, wybaczone, że narzucam ci tę rolę w taki sposób, ale to kryzysowa sytuacja.

Wdowa pokręciła głową.

– Nie martw się o mnie. To poważniejsza sprawa niż problemy starej wdowy. Erasmus nigdy by mi nie wybaczył, gdybym nie podjęła tego, co zaczął.

Mercator skrzyżowała ręce na stole i wzięła głęboki wdech.

– No dobrze, słuchamy.

Royce wyprostował się i spojrzał na ich trójkę.

– Hadrian mówił prawdę. Wynajęto nas, żebyś odnaleźli i w miarę możliwości uratowali Genevieve Winter, księżnę Rochelle. Jeżeli nadal żyje, możemy pomóc sobie nawzajem.

– Żyje, ale to nie ma znaczenia. Jej męża nie obchodzi, co się z nią stanie. A jeśli nawet obchodzi, to nie dość, żeby spełnił nasze żądania.

– Albo istnieje trzecie wyjaśnienie.

– A mianowicie?

– Że nic nie wie o waszych żądaniach i myśli, że jego żona nie żyje. Mercator ściągnęła brwi i spojrzała w zamyśleniu.

– To niemożliwe... prawda? – Spojrzała na Griswolda, który tylko wzruszył ramionami.

– W jaki sposób przedstawiliście swoje żądania? – zapytał Royce.

– Spisaliśmy je i zostawiliśmy list w powozie tej nocy, gdy księżna została porwana.

Royce pokręcił głową.

– Może list się zapodział w powozie, może wyleciał, w każdym razie księżę nic o nim nie wie.

– Dlaczego tak mówisz?

– Badaliśmy zaginięcie księżnej, zapomniałaś? I Villar mówił prawdę: spotkaliśmy się z Wybergiem, kapitanem straży miejskiej, ale nic nie mówił o liście. Leopold kazał strażnikom przeszukać miasto i żaden z nich nic nie wiedział o żądaniach. Co więcej, Wyberg uważa, że księżna najpewniej została zabita przez któregoś z rywali do korony. – Royce pochylił się. – Gdybyście udowodnili księciu, że jego żona żyje, i przedstawili swoje propozycje reform, to może zgodziłby się w zamian za jej powrót. Wasz początkowy plan nadal może się spełnić, co znaczy, że nie ma powodu do jutrzejszej rewolty. Nie tego chciałaś.

W oczach Mercator zabłysła iskierka nadziei, ale zaraz zgasła.

– Tyle że nie zdołamy dotrzeć do księcia. Nie mogę wejść do sklepu, żeby kupić bochenek chleba w środku dnia, tym bardziej nie ma możliwości, żeby ktokolwiek wpuścił mnie do Posiadłości nocą, zwłaszcza na audiencję u księcia.

Royce spojrzał na partnera.

– Domyślam się, że kapitan mógłby załatwić nam audiencję, co?

Hadrian skinął głową.

– Dałby radę, a jest mi winien znacznie większe przysługi.

– Zatem potrzebujemy tylko dowodu, że jego żona nadal żyje. Jeśli go przedstawimy, to myślę, że księżę zgodzi się cię wysłuchać. A potem, gdybym zdołał go przekonać, żeby się zgodził...

– Royce potrafi być niezwykle przekonujący – wyjaśnił Hadrian.

Złodziej skinął głową.

– Z tą robotą są związane ogromne pieniądze, więc możecie mi wierzyć, że jestem zmotywowany.

– Chcesz, żebym ja porozmawiała twarzą w twarz z księciem? – Mercator zaśmiała się. – To niewiarygodnie ryzykowne. Dlaczego nie mielibyście oddać mnie w jego ręce ze słowami „Oto porywaczka!”.

Royce pokręcił głową.

– Jeśli to zrobimy, księżna zostanie zabita, zgadza się? Księżę straciłby żonę, a mnie ominęłaby fortuna. Gdzie w tym korzyść?

Teoretycznie Royce zarobiłby jeszcze więcej, gdyby pozwolił na śmierć księżnej, a potem zebrał głowy odpowiedzialnych i zaniósł Gabrielowi Winterowi, ale Hadrian uznał, że taka rozmowa jest na inny dzień i w innym towarzystwie.

Przyglądał się Mercator. Nie była głupia. Nie była też jednym z typowych potulnych elfów, które tak często widywał na ulicach Medfordu. Chociaż wyglądała na nie więcej niż kobietę w średnim wieku, jej zachowanie wskazywało na coś innego. Przyglądała im się, nie śpiesząc się z oceną, jak ktoś, kogo lata rozczarowań nauczyły nie ulegać pobożnym życzeniom.

Mercator spojrzała na wdowę Nym i Griswolda. Oboje pokręcili głowami.

– Ci chłopcy nie ryzykują własnej skóry w rozgrywce, którą proponują – powiedziała Selie. – My stawiamy cały dom, a oni rzucają miedzianego dina.

Mercator skinęła głową.

– Selie ma rację. Twoja fortuna to mało w porównaniu z kosztem, jaki my możemy ponieść. Potrzebuję większego zabezpieczenia. Stawką jest życie wielu, moje własne jest tu dla mnie najmniejszym zmartwieniem. Jednak wy dwaj, architekci tego wspaniałego planu, nie ponosicie żadnego większego ryzyka.

Royce oklapł, szukając pomysłu.

Hadrian zauważył, że Seton nadal mu się przygląda. Pragnęła rozwiązania niemal tak mocno jak on sam. Czas, który spędził na wschodzie, zawsze był paskudną plamą na jego życiorysie, ale ona pokazała mu, że kryła się tam też odrobinka światła.

– Zostanę – zaproponował Hadrian.

– Co? – zdumieli się jednocześnie Royce i Mercator.

– Zostanę tu na noc, pod strażą, jako zabezpieczenie. Royce może odprowadzić cię do księcia. Jeśli cię zdradzi, doprowadzi do twojej śmierci, czy cokolwiek takiego, twoi ludzie będą mogli zabić mnie i Genny Winter.

Griswold wskazał Seton.

– Według niej to nie będzie takie łatwe.

– Ale w przeciwieństwie do Royce’a dam się związać.

Mercator sprawiała wrażenie zaskoczonej propozycją. Skinęła głową.

– Na to mogę się zgodzić.

Griswold pokiwał głową.

– To uczciwy układ.

– Nie, nieprawda. To bardzo głupi układ – zaprotestował Royce.

– Dlaczego? – zapytał Hadrian. – Zamierzasz kogoś zdradzić?

– Nie, ale...

– Ale co?

– Nie lubię pracować pod presją, w porządku? Jaką mamy gwarancję, że oni nie...

– Że oni co? – spytał Hadrian.

– Mimo to cię nie zabiją?

Hadrian spojrzał na Seton.

– Mam swoją obrończynię.

Blondynka się uśmiechnęła.

– Owszem.

– Byłbym szczęśliwszy, gdyby to był ktoś wyższy – odpowiedział Royce.

– W takim razie wszyscy się zgadzają? – spytał Hadrian.

Griswold pokiwał głową.

– Selie? – zapytała Calijkę Mercator. – Co ty na to?

– Staremu Erasowi nigdy nie podobał się pomysł walki. Nie był nawet w stanie zmusić się do kłótni ze mną. Mówił tylko „Selie, nie ma powodu, żeby tak to załatwiać” i zwykle miał rację. – Usta jej zadrżały, a po policzkach popłynęły łzy. – Ludzie zwykle odnosili niewłaściwe wrażenie, bo zawsze się targował, ale on po prostu to lubił. Nie

pojmował, dlaczego ludzie nie potrafią się dogadać. Chciałby, żebyśmy znaleźli pokojowe rozwiązanie. – Rozejrzała się po zebranych, którzy kiwali głowami. – Zgadzą się na to.

Mercator skinęła raz głową.

– Zatem to postanowione. Módlmy się do swoich bogów, żeby to się udało. Będziemy potrzebować tyle szczęścia, ile zdołamy znaleźć.

Rozdział 19

Żywy dowód

Klucz był zrobiony.

Genny dokończyła go bardziej z przyzwyczajenia i dla poczucia spełnienia niż z innych powodów. Nie miała pojęcia, czy zadziała, i nieszczęśliwie pragnęła to sprawdzić. Ciekawość była teraz jedyną siłą, jaka ją napędzała. Ucieczka sprawiała wrażenie praktycznie pozbawionej sensu. Lepiej dać się zabić i zachować resztkę nadziei niż przeżyć i odkryć prawdę. Mając wybór między śmiercią ciała a śmiercią ducha, podejrzewała, że lepiej wybrać to pierwsze. Przynajmniej nie będzie zmuszona cierpieć niepotrzebnie. Poza tym, gdyby to zadziałało, klucz otworzyłby jedynie obrożę, którą spinała prosta kłódka zastawkowa. W drzwiach był zamek bębinkowy, a na nich nic a nic się nie znała.

Potarła klucz kciukiem.

– Dobra robota – powiedziała, ale nie mówiła do klucza.

Znowu była sama. Mercator i Villar wyszli na spotkanie, co znaczyło, że Genny zostało już niewiele życia. Jeśli wybiorą sposób Villara, Mercator wróci, żeby wykonać swoje ostatnie zadanie. Genny zastanawiała się, czy Mercator to robi. Chociaż sama nigdy w życiu nikogo nie zabiła, wyobrażała sobie, że to nie jest proste. Z drugiej strony życie Mercator ewidentnie pod żadnym względem nie było łatwe. Mir nie odezwała się słowem, ale jej ostatnia kłótnia z Villarem i sposób, w jaki na nią patrzył, i to, czego nie powiedział, zdradziło Genny wszystko, co potrzebowała wiedzieć.

Mercator ją zabije. Nie będzie jej się to podobało, nie będzie chciała tego zrobić, pewnie będzie przepraszać, możliwe, że będzie płakać, przesuwając nożem po jej gardle, ale to robi. Mercator wiele przeszła w swoim życiu, a tacy ludzie robią to, co muszą.

Genny spojrzała na klucz. Przesunęła po nim kciukiem, macając miejsce, w którym kiedyś były pozostałe ząbki, a teraz została gładka powierzchnia. Z klucza do starego kufra uzyskała teraz klucz uniwersalny. Kłopot z kłódkami zastawkowymi, takimi jak ta, która spinała jej obrożę, polegał na tym, że istniało tylko kilka konfiguracji „przeszkód”, czyli zastawek, uniemożliwiających obrócenie w niej innego niż tylko właściwy klucz. Kiedy było tak mało miejsca na mechanizm, a trzeba wykonać wiele różnych kłódek, niektóre musiały być identyczne, co znaczyło, że klucz do jednej z nich mógł otworzyć też inne, o tej samej budowie. Co gorsza, w większości tego typu kłódek zostawiono pierwszy ząbek bez zastawek, żeby można było otworzyć je uniwersalnym kluczem. To było wygodne w sytuacjach, kiedy ktoś zgubił klucz albo miał setki kłódek i nie miał ochoty nosić setki kluczy.

Genny dowiedziała się tego, kiedy wykryła stałą rozbieżność podczas inwentaryzacji towaru. Jej magazyn w Colnorze miał pięknie wyglądającą kłódkę, dużą i nową, ale ślusarz wyjaśnił jej, jak bezużyteczna to rzecz w przypadku kogoś, kto ma jakiegokolwiek pojęcie o zamkach i kłódkach. To była zła wiadomość w mieście, które stanowiło bazę dla gildii złodziejskiej Czarny Diament. Wymieniła kłódkę na zdecydowanie droższą i bardziej wyrafinowaną i kradzieże ustały. Genny nie myślała więcej o tej sprawie, dopóki nie obudziła się z obrożą na szyi i starym kluczem do kufra w sakiewce.

Skąd szlachetnie urodzona księżna wiedziałaby, jak otworzyć zamek bez klucza? Ile potencjalnych kluczy uniwersalnych miałaby w swojej podręcznej portmonetce? I jaka istniała szansa, że Mercator i Villar wykorzystają nietypową kłódkę? Genny czuła, że ma spore szanse, ale zdjęcie okowów z szyi to tylko połowa wygranej. Pozostawały jeszcze drzwi.

Mercator otwierała je przy każdym posiłku. Nie była roslą kobietą, ale Genny nigdy z nikim się nie biła. Nie miała pojęcia, jak sobie

poradzi, i, szczerze mówiąc, nie chciała tego sprawdzać. Tu na scenę wkraczały zaostrzone monety. Gdyby tylko zdołała...

Ale po co zawracać sobie głowę? Ofiarowałam temu człowiekowi całą miłość, a otrzymałam tylko kłamstwa. Co mi teraz pozostało?

Genny postanowiła przestać przymykać oko i stawić czoło nieprzyjemnej prawdzie, że pewni ludzie, bez względu na to, jak bardzo się postarają, nie dostają tego, czego najbardziej pragną.

Rzuciła klucz, który, podskakując na kamieniu, wpadł do kąta.

* * *

Genny usłyszała szybkie kroki, zbliżające się i kierujące do pomieszczenia za zamkniętymi drzwiami. Wstrzymała oddech. To teraz. Ktokolwiek przyszedł, zjawił się, żeby zakończyć jej życie. Drzwi otworzą się, ona zobaczy nóż, miecz albo...

– Potrafisz pisać? – zapytała Mercator.

Genny zdębiała.

– Słyszysz mnie? Potrafisz pisać?

– Mówisz do mnie? – spytała Genny.

Mercator kręciła się za drzwiami, głośno szurając. Sprawiała wrażenie, że się śpieszy.

– Oczywiście, że tak!

– Nie mów do mnie takim tonem! Skąd miałam wiedzieć? Siedzę zamknięta w celi.

Mercator zatrzymała się, odetchnęła i zaczęła ponownie:

– Wybacz, trochę się śpieszę. I ty też powinnaś, jeśli chcesz się stąd wydostać.

Wydostać? To podstęp? To nie ma sensu. Po co mnie oszukiwać?

– Tak, potrafię pisać.

– Cudownie! To musisz coś dla mnie zrobić. I dla siebie samej.

Genny podkraśniała się do drzwi i wyjrzała przez środkową dziurę po sęku. Na zewnątrz Mercator grzebała w stosie wełny. Szukała czegoś i bardzo się śpieszyła.

– Musisz napisać list do męża.

– Mówisz poważnie?

– Tak. – Mercator znalazła pióro i odcięła jego koniuszek nożykiem.

– Ależ oczywiście, z radością, moja droga. Mam mu napisać, gdzie przebywam, i serdecznie pozdrowić?

– A wiesz, gdzie przebywasz? – Mercator odłożyła nóż, przemyślała sprawę i wsunęła go za pasek.

– Nie.

Mercator znalazła kawałek pergaminu i pośpiesznie go chwyciła.

– Więc raczej nie będziesz o tym pisać.

– To co mam napisać?

– O tym, o czym rozmawialiśmy. Poproś go, żeby zrobił to, co powinien. Wspomnij o czymś, o czym tylko wy dwoje wiecie, żeby wiedział, że to wiadomość od ciebie.

– Czekał. Co? Leo nie wie, że żyję?

– Krążą takie wieści.

– Wieści? Nie masz pewności? Dlaczego nie masz? Na Mara, mówisz poważnie?

Mercator otworzyła drzwi i położyła przed Genny pióro i pergamin.

– Myślimy, że książę nigdy nie otrzymał pierwszego listu i dlatego niczego nie zrobił. Jeśli jednak zdołasz go przekonać...

Jeśli to prawda... czy to znaczy... że Leo może mnie jednak kochać?

Serce Genny zabiło mocniej, kiedy wzięła arkusz i pióro. A potem się zawahała.

Nie, pomyślała. To nie wyjaśnia niczego więcej: jego dystansu, osobnych łóżek, dlaczego nigdy nie stanął w mojej obronie.

– Leo mnie nie kocha – powiedziała do Mercator i wyznanie to wywołało łzy. – Ożenił się ze mną, żeby zostać królem. To niczego nie zmieni.

– Nie masz pewności.

Genny pochyliła głowę i pociągnęła nosem.

– Mam. Udawałam przed sobą, że mu zależy, ale to nieprawda.

Odłożyła pióro i otarła twarz grzbietem dłoni.

Mercator usiadła naprzeciwko niej.

– Może masz rację. Może cię nie kocha i poślubił cię tylko po to, żeby mieć szansę na koronę. To ma sens. Jednak nadal cię potrzebuje,

jeśli ma zostać królem. Jeżeli zostanie koronowany, to ty zostaniesz królową.

– Nie dbam o to. Nigdy nie dbałam.

– A powinnaś.

– Dlaczego? Dlaczego mam się tym przejmować? Jeśli mnie nie kocha, jeśli to był tylko podstęp, jeżeli pragnął tylko korony...

– To może ocalić ci życie.

– Nie jestem pewna, czy tego chcę. Jeżeli jedyna osoba, która kiedykolwiek powiedziała, że mnie kocha, tak naprawdę... Nie jestem pewna, czy warto żyć.

Mercator zmieniła ton, spojrzała surowo, niemal gniewnie.

– Tu nie chodzi tylko o twoje życie. – Zmieniła się z rozgorączkowanej strażniczki w nauczycielkę besztającą marudną uczennicę. – Jeśli księżę nie zgodzi się na reformy, dojdzie do powstania, a potem do odwetu. Zginą setki, może tysiące. – Mercator podniosła pióro. – Nie obchodzi mnie, czy księżę cię kocha, i w tej chwili ciebie też nie powinno. Masz moc ocalić życie wielu istotom. Wasza Książęca Mość, czy to nie jest warte udawania przez jeden dzień dłużej, że on cię kocha?

Genny spojrzała na pergamin i pociągnęła nosem.

– Chociaż to zabrzmiało żałośnie, nie mam w tym mieście nikogo, kto byłby mi przyjacielem w takim stopniu jak ty. Mów mi Genny. – Pociągnęła nosem i sięgnęła po pióro. – Potrzebuję atramentu.

– Nie mam atramentu – odpowiedziała Mercator, ale potem uśmiechnęła się i spojrzała na swoje dłonie i przedramiona. – Ale myślę, Genny, że da się coś na to zaradzić.

Rozdział 20

Szemrane sprawy

Royce czekał w cieniach między dwoma kamiennymi olbrzymami i się zadreślał.

Stał w ciemnej, wąskiej uliczce oddzielającej imponującą Cesarską Galerię od ogromnej Grom Galimus i patrzył, jak ludzie z latarniami poruszają się po rozległym nadrzecznym placu, obchodząc święto odrodzenia. Tańczyli i śpiewali radośnie, żegnając się z zimą, tak jak wiewiórka macha na pożegnanie sfrustrowanemu psu z wysokich gałęzi. Byli barwnie ubrani i wymachiwali zielonymi, niebieskimi i żółtymi wstążkami. Rozbrykani jak dzieci nie zważali na niebezpieczeństwa czające się wokół. Byli zwierzyną. Royce dorastał w takim mieście jak to: starym, ciemnym i popadającym w ruinę. Był jak pantera wśród traw, wyglądająca na wodopój po suszy, ale nie przyszedł, żeby polować. Czekał na Mercator.

Chociaż nieprzyjemnie było ignorować pokusę w postaci proszących się o oskubanie hulaków, to nie oni byli powodem mąk Royce'a. Drażniło go to, jak wzrosło ryzyko związane z ich zadaniem, podczas gdy zarobek się nie zmienił. Royce cierpiał z powodu chodzącej sprzeczności, jaką był Hadrian Blackwater.

Co prawda miał nadzieję, że przyjaciel przeżyje tę noc, ale na czysto teoretycznym poziomie czuł, że zasłużył sobie na śmierć. Ten głupiec z własnej woli oddał się w ręce tłumy rewolucjonistów. Grupie, która wierzyła, że zabił jednego z nich. To była głupota kuriozalnych rozmiarów, jak porzucenie pozycji, która daje przewagę, albo

zostawienie wroga przy życiu. A jednak to był tylko symptom większej i bardziej zagadkowej kwestii, która drażniła Royce'a jak zaropiała drzazga pod skórą. Nie mógł zignorować faktu, że przypadkowy akt łaski, jaką Hadrian okazał kiedyś całkiem obcej osobie, uratował im teraz życie.

Z perspektywy Royce'a najlepszym gwarantem długiego życia było morderstwo. Potencjalne zagrożenia, nawet odległe i niebezpośrednie, należało eliminować. Nie łamać, uwodzić, ale bezwzględnie usuwać. Royce nie zostawiał nienawiści, która mogła się jątrzyć, nigdy nie zostawiał zemście szansy na dojrzenie i zaowocowanie. Nie zgwałciłby też blondynki, już sama myśl o tym była mu wstrętna, ale w danych okolicznościach pewnie dopilnowałaby, żeby zginęła. Kiedy należysz do oddziału, który wybił całe miasto, to nie zostawiasz nikogo przy życiu. Nawet młodej dziewczyny.

W czasach Czarnego Diamentu, kiedy Royce należał do niesławnej gildii złodziejskiej, był jednym z trzech zatrudnianych przez nią zabójców. Pozostali dwaj byli jego najlepszymi przyjaciółmi: Merrick i Nefryt, kochanka Merricka. Nefryt też była młodą dziewczyną, równie słodką jak Seton, ale stała się jednym z najbardziej przerażających zabójców w znanym świecie. Nie pomimo swoje płci, ale właśnie dlatego, że była kobietą. Mężczyźni jej nie doceniali.

Czy Nefryt też była mirem? Nie mógł nie zadać sobie teraz tego pytania. Nie wszyscy mirowie mają elfie rysy.

Odkąd poznał Hadriana, zorientował się, że temu człowiekowi sprzyja szczęście w stopniu, który wydaje się wręcz nienaturalny, ale ta myśl, ta wymówka, powtarzała się zbyt często. To już była mniej racjonalizacja, a bardziej truizm, co drażniło Royce'a.

Gdybym to był ja, gdybym to ja jej darował życie, Seton spędziłaby ostatnie siedem lat życia, trenując zabijanie, i dopilnowałaby, żeby jeden po drugim wszyscy żołnierze księcia, którzy wzięli udział w grabieży, zginęli straszliwą śmiercią. A potem, kiedy ja bym się pojawił, nie posiadałaby się z radości, że znalazła gościa, który jej się wymknął. W nagrodę czekałaby mnie wiwisekcja.

Jednakże tu chodziło o Hadriana, a on otrzymał wyciskającą łzy pochwalną przemowę i adwokatkę, która stanęła w jego obronie.

Na tym polega problem z życiem – zbyt często nie jest konsekwentne. Na niczym nie można polegać. Royce był przekonany, że gdyby upuścił kamień dostatecznie wiele razy, to w końcu zobaczyłby, jak jeden leci w górę. Był także przekonany, że wydarzyłoby się to akurat w najgorszej możliwej do tego chwili. To, co dla innych było cudem, dla Royce'a było ślepym fuksem. To jednak stanowiło problem, a problem ten nazywał się Hadrian Blackwater.

Na dobrą sprawę ten człowiek nie powinien przeżyć dzieciństwa. Może miał czułych rodziców, którzy dbali o syna, kolejny przykład tego, że wszechświat niektórych faworyzuje. Mimo to po opuszczeniu domu powinien był zginąć w ciągu tygodnia, w najlepszym razie miesiąca. Nawet jego wręcz nedorzeczna maestria w walce mieczem nie mogła wystarczyć na zbyt długo.

Dzisiejszy wieczór jest tego dobrym przykładem. Obaj powinniśmy byli zginąć, a żyjemy. Dlaczego?

To była zagadka, która frustrowała Royce'a, ucieleśnienie zadry. Podważała jego bardzo klarowny i uzasadniony pogląd na świat.

Jeśli pominąć okres, kiedy Hadrian był zawodowym żołnierzem i najwyraźniej wybił tyłu ludzi, ilu mogłoby mieszkać w małym hrabstwie, to był nadzwyczaj życzliwym, wrażliwym i wielkodusznym człowiekiem. Życie nauczyło Royce'a, że te trzy dziwactwa równają się przełknięciu naparu z arseniku, cyjanku i cykuty jednym haustem. Nawet jeśli efektem nie było samobójstwo, to takie cechy powinny skończyć się przynajmniej potężną czkawką, gdy człowiek próbuje przeżyć w świecie, który rzekomo ceni sobie takie cechy, ale w rzeczywistości karze je na każdym kroku.

Tyle że w przypadku Hadriana tak się nie działo i ponieważ Royce trzymał się z nim, jego także spotykały nagrody. Najgorsze było to, że Royce nie potrafił tego zignorować tak, jakby to był kamień, który upada w górę. To nie był pojedynczy przedziwny wypadek. Cztery lata temu ten idiota popełnił najgorszy błąd w życiu, zostając, żeby ocalić Royce'a, kiedy byli na szczycie Wieży Koronnej. Hadrian mógł uciec, ale został i przeprowadził iście samobójczą obronę dla człowieka, którego nienawidził. Każdy inny zapłaciłby za taki błąd własnym życiem. Jednak nie Hadrian Blackwater. I znowu, dzięki temu, że

Royce mu towarzyszył, także przeżył. A potem ta sprawa ze Scarlett Dodge. Była kolejną osobą, którą Royce zabiłby, gdyby nie Hadrian, i kolejnym przykładem nagrodzonego dobrego uczynku. Royce i Scarlett śmiali się kiedyś z naiwności Hadriana, jego idiotycznej prawości. Jednak po tym, jak ułożyły się sprawy w Dulgath, Royce'owi już nie było do śmiechu.

Jeden przypadek można uznać za fuks. Dwa za zbieg okoliczności. Ale trzy? Trzy to już wzorzec, prawda? A jeśli to wzorzec, to co on ujawnia?

Royce odepchnął tę myśl. To o niczym nie świadczyło. Dziwne rzeczy wciąż się przytrafiają i niczego nie dowodzą ani niczemu nie zaprzeczają. Nawet kamień kiedyś w końcu upadnie do góry, prawda?

Robił z igły widły. Sam krytykował ludzi z tego powodu. Ludzie zobaczą jedną gęś lecącą na południe wczesną jesienią i już twierdzą, że trzeba się spodziewać wczesnej zimy. Widzą wiewiórkę zbierającą orzechy i wmawiają sobie, że spadną duże śniegi. Wszystko to na podstawie nadgorliwej gęsi i chciwej wiewiórki. Jedna rzecz nie świadczy o drugiej. Hadrian miał szczęście i to wszystko. Tyle że...

Ja nie wierzę w szczęście.

Szczęście, jak to rozumiała większość ludzi, to nadnaturalna siła, która sprzyja jednym bardziej niż innym. Niepojęta, impulsywna siła, błogosławiąca niektórym bez żadnego powodu, a innych z równie niezrozumiałych powodów porzucająca. Co za bzdura, pomyślał. „Szczęście” to słowo, którym niepewni siebie i zazdrośni ludzie posługiwali się, żeby wyjaśnić wydarzenia, których nie rozumieją. Nie zdawali sobie sprawy, że wszystko może się wydarzyć z pewnym prawdopodobieństwem. Ludzie, opisywani jako „szczęściarze” to tylko jednostki, które zwiększyły swoje szanse na sukces dzięki swoim działaniom lub ich brakowi. Człowiek, który mieszka na szczycie góry i nie zostanie trafiony przez piorun, nie jest szczęściarzem, po prostu nie wychodzi z domu podczas burzy. Ludzie sami tworzą swoje szczęście. To był kolejny aksjomat, w który Royce wierzył. A teraz te dwie ustalone zasady zderzały się, a jemu nie podobał się nowy krajobraz, jaki wyłaniał się po tym zderzeniu. Nowy wzorzec był mu całkiem obcy i podważał wszystko, co Royce uważał za prawdę,

wszystko, czego się nauczył. Gdyby nie wiedział lepiej, mógłby wręcz pomyśleć, że...

Pojawiła się Mercator, szła przez zatłoczony plac. Narzuciła niebieski szal i zasłoniła nim częściowo głowę. Czy ona ma coś, co nie jest niebieskie? – zastanawiał się Royce.

Nadeszła od strony Alei Winnej, ale to nie musiało nic znaczyć. Royce znał Mercator od raptem godziny, ale już wiedział, że nie jest na tyle głupia, by przyjść prostą drogą z miejsca, w którym przetrzymywano Genny Winter. Jedyne, co mógł stwierdzić, to że księżna Rochelle znajduje się gdzieś w mieście lub na jego obrzeżach, gdzie Mercator zdążyłaby dojść i wrócić w czasie krótszym, niż dzwony Grom Galimus potrzebowały, żeby dwukrotnie rozbrzmieć.

Potrzebowała kilku minut, żeby pokonać plac. Ponieważ trwała noc przed wielkim świętem, miało się wrażenie, że wszyscy ludzie wyszli z domów. Royce patrzył, jak Mercator kluczy przez tłum, przyglądając się, czy nikt jej nie śledzi. Wyglądało na to, że nie, więc wyszedł jej naprzeciw przed katedrą.

– Nie potrzebowałaś dużo czasu. Jesteś pewna, że masz odpowiednio przekonujący dowód? Zdajesz sobie sprawę, że nie będzie drugiej szansy. Jeśli nie przekonamy księcia, że jego żona żyje, cały plan się zawali.

Mercator posłała mu wyrozumiały uśmiech, jaki dorosły mógłby posłać dziecku, które powiedziało coś głupiego.

– To wystarczy. – Mercator wyjęła złożony pergamin.

– List? – Royce był rozczarowany.

– A spodziewałeś się palca?

Za plecami Mercator niedaleko fontanny Calijczyk zonglował płonącymi pochodniami, które huczały przy każdym obrocie.

– Szczerze mówiąc, tak. Świeżo obcięty palec dowodzi, że ofiara niedawno żyła. Ponadto podkreśla powagę zamiarów porywacza.

Mercator nadal uśmiechała się cierpliwie.

– Robiłeś już takie rzeczy, co?

– Nie zostaliśmy z Hadrianem zatrudnieni dla naszej urody.

– Ani z powodu inteligencji. – Obrażliwe słowa wypowiedziała bez złości, dzięki czemu zabrzmiały jak konstruktywna krytyka.

Royce nie przepadał za krytyką, konstruktywną czy nie, a już na pewno, gdy dotyczyła jego specjalności. Bezcelność tej kobiety przechodziła wszelkie pojęcie, jeśli myślała, że może go pouczać w dziedzinie szantażu i wymuszeń. Wyglądała na taką, która większość czasu spędza, szukając jedzenia na śmietnikach albo żebrząc na ulicy.

Korowód ludzi w kolorowych ubraniach trzymał się za ręce i tańczył w kółku, a w środku kręgu grało trzech skrzypków. Wszyscy tancerze mieli czerwone twarze z wysiłku albo od alkoholu. Najpewniej z obu powodów. Royce uznał, że trudno mu uwierzyć, że on i ci ludzie należą do tego samego gatunku.

– Księżna chce, żeby nam się udało – powiedziała Mercator. – Zważywszy, że chodzi też o jej życie i zna swojego męża lepiej niż ktokolwiek z nas, można spokojnie założyć, że dostarczy nam znacznie lepszą rzecz, która zachęci go do działania. Nie uważasz?

Royce nie odpowiedział. Idea sprawiała wrażenie prostej, ale przemyślał ją dwukrotnie, szukając błędu. Nie znalazł żadnego, poza możliwością, że księżna mogła zakodować w liście wiadomość, którą tylko Leo zrozumie i która zdradzi jej miejsce pobytu. To jednakże wydawało się mało prawdopodobne.

– Co? – spytała Mercator.

– Nic. – Royce pokręcił głową.

– Jesteś zaszokowany. Widzę to na twojej twarzy. Nie wierzyłeś, że mir potrafi myśleć.

Royce wzruszył ramionami i rzucił spojrzenie mieszczanom, którzy śmiali się i tańczyli, jakby ogarnęła ich gorączka.

– Nie bierz tego do siebie, zwykle jestem zaszokowany, kiedy okazuje się, że ktoś potrafi myśleć.

– Ale to o wiele bardziej zaskakujące w moim przypadku. Nie dość, że mir, to jeszcze kobieta. Zakładałeś, że jestem głupia, prawda?

Miała rację i jeszcze rok temu bez wahania by to przyznał, ale rok temu myślał, że sam jest człowiekiem. Odkrycie, że także jest mirem, utrudniało mu myślenie o innych mieszkańcach jak o czymś gorszym. Utrudniało, ale nie uniemożliwiało. Fakt, że nie miał żadnych elfickich rysów, pozwalał mu wierzyć, że jego krew ma tylko trochę elfickiej

domieszki. To był słaby, nieprzekonujący argument, ale uprzedzenia biorą się ze strachu, a strach jest często bezsensowny. Pozbawione podstaw obawy pozwalały zaistnieć absurdalnym racjonalizacjom. A przynajmniej udawało im się zaistnieć w cichych, odizolowanych zakamarkach jego umysłu. Takie troskliwie skonstruowane wytwory zwykle rozpadały się w kontakcie z rzeczywistością, na przykład poplamioną błękitem kobietą-mirem, która pod żadnym względem nie sprawiała wrażenie gorszej.

– Tak – przyznał.

Jej twarz nie zdradzała ani urazy, ani gniewu. Mercator tylko skinęła głową, nadal uśmiechając się ze zrozumieniem.

– Zatem co teraz?

– Czekamy na Rolanda Wyberga. Kapitan straży miejskiej ma się tu z nami spotkać. Nie było go w strażnicy, ale powiedziałem jednemu z jego ludzi, że znalazłem księżną. Chłopak aż się rwał, żeby natychmiast po niego pobiec. Mam nadzieję, że nie kłamał ani nie przesadzał.

– Nie wspomniałeś o mnie, co?

– Nie, ale to byłby jakiś problem?

Mercator westchnęła.

– Pewnie tak. Ludzie mają wiele uprzedzeń wobec mojego rodzaju. Nie jesteśmy tym, za co nas bierzecie, wiesz? Nie spowodowaliśmy zniszczenia imperium. Nie jesteśmy leniwi, głupi ani nie jesteśmy ohydni. Nie roznosimy chorób, nie jesteśmy kanibalami, nie kradniemy małych dzieci i nie czcimy Uberlina. Jesteśmy tacy jak inni, tyle że ubożsi, ponieważ reszta społeczeństwa nas nienawidzi. To przez ludzi jesteśmy brudni i zdesperowani, a oni potępiają nas za to, jakbyśmy sami wybrali sobie takie życie. Jak na ironię dawno temu uważano nas za lepszych od ludzi. Pewnie o tym nie wiedziałeś. Termin „mir” wywodzi się od słowa *myr* w Starej Mowie, co oryginalnie oznaczało „syn”. To był także zaszczytny tytuł, jak „sir” przed imieniem rycerza. Jeśli złożysz te dwie rzeczy w całość, to musisz dojść do wniosku, że jesteśmy potomkami znaczących rodów. Dopiero po upadku Merredydu, prowincji w starym imperium, w której żyli i którą władali mirowie, ten termin stał się obraźliwy.

– Nie obraż się, ale to zaprzecza wszystkiemu, co wiem na temat historii.

– Ponieważ historia, którą znasz, nie jest prawdziwa. Historia to nie to samo co prawda. Nie jesteś tak głupi, żeby tego nie spostrzec, co?

Tancerze odsunęli się, kiedy akrobaci wypadli na środek placu zachęceni poklaskami. Mężczyźni w obcisłych strojach podskakiwali, robili fikołki i wspinali się na siebie nawzajem, tworząc przeróżne drabiny z ludzi.

– A skąd wiesz, że twoja historia nie jest kłamstwem? – spytał Royce.

Mercator uśmiechnęła się szeroko.

– Jestem starsza, niż na to wyglądam. Dużo starsza. To jedna z cech mirów. Żyjemy bardzo długo. Pewnie nie tyle, co elfy, ale znacznie dłużej niż ludzie. Moja matka dożyła czterystu pięćdziesięciu lat. Pamiętała Glenmorgana i jego drugie imperium. Wiek dał jej mądrość, dzięki której zrozumiała, że nasza długowieczność to dar, który stał się przekleństwem w świecie wypełnionym ignorancją i nienawiścią. Mój dziadek Sadarshakar Sikara urodził się w dwa tysiące pięćdziesiątym pierwszym roku i przeżył pięćset sześćdziesiąt siedem lat. Wyobrażasz to sobie? Pamiętał narodziny Nevrika, spadkobiercy Novrona i wyznaczenie Venlina na arcybiskupa Percepliquis, był także świadkiem upadku tego wspaniałego miasta. Przebywał wtedy w Merredyddzie, prowincji, którą założono dla *myrów*, którzy nie chcieli mieszkać z ludźmi.

Pochyliła się ku niemu, przyłożyła dłonie do policzków i szepnęła:

– Podobno *myrowie* byli strasznymi bigotami.

Roześmiała się, jakby to był żart, ale Royce nie wiedział, czy to wyraz ironii, czy tylko się wygłupiała.

– Skoro jesteś potomkinią tak szanowanej rodziny, to czemu wyglądasz tak... – Royce się zawahał.

– Jak Calijka? – Zerknęła na ręce i skinęła głową, jakby spodziewała się tego pytania. – Kiedy Merredydd uległ barbarzyńcom, Sadarshakar sprowadził swoją rodzinę tutaj, do miejsca zwanego Alburnią. Niewielu przetrwało, więc Sadarshakar wziął sobie za żonę Calijkę. Sytuacja nie uległa poprawie, więc moja matka wyszła za Calijczyka. –

Mercator zsunęła szal i skubnęła swoje skręcone włosy. – Dlatego bardziej jestem Calijką niż mirem. Muszę przyznać, że to wielce szanowana kombinacja. – Znowu się zaśmiała, potrafiąc znaleźć humor w obliczu tragedii.

Przynajmniej to Royce rozumiał.

– Rzecz w tym, że uczyłam się historii od kogoś, komu ufam... Od dziadka, który widział na własne oczy te wydarzenia. Dzięki temu wiem. Powiedz mi... Royce, zgadza się? Skąd znasz historię swoich ludzi?

– W gruncie rzeczy ta historia mnie nie obchodzi – odpowiedział Royce. – Dla ciebie ewidentnie to ma duże znaczenie, ale dla mnie nic nie znaczy. Nieważne, czyja wersja jest prawdziwa. Przyjechałem tu, żeby wykonać robotę, a nie debatować nad starożytnymi dziejami. A skoro koniecznie chcesz o czymś porozmawiać, to z chęcią posłucham, gdzie przebywa księżna.

Mercator pokręciła głową.

– Przykro mi. To jedyna dobra karta, jaką jeszcze mam. Jest bezpieczna i zdrowa, jak potwierdza ten list. Chciałabym, żeby tak pozostało. Polubiłam ją. Jest... inna.

– Warto było zapytać – odrzekł Royce.

Zerknął znowu na plac, próbując orzec, czy liczba świętujących ludzi cieszy go, czy irytuje. Wszystko komplikowali, co było zarówno dobre, jak i złe.

– Pewnie powinniśmy...

Royce dostrzegł ruch tam, gdzie nic nie powinno się ruszać.

Na placu dużo się działo – tancerze wirowali, akrobaci wywijali salta, zonglerzy podrzucali przedmioty, gapie klaskali, dzieci biegały, ale w górze nic nie powinno się ruszać. Było już za ciemno dla ptaków. I poruszyło się coś większego od nietoperza. Royce spojrzał na front Grom Galimus. Wielgachne drzwi były ogromne, ale wydawały się małe w porównaniu z dzwonniami po obu stronach. Nad drzwiami stał rząd posągów mężczyzn w szatach. Potem wznosiła się ogromna rozeta, nad nią ciąg kolumnienek z łukami, a dalej, w połowie wysokości katedry, znajdował się fronton, na którym przysiadł rząd gargulców.

– Coś się stało? – spytała Mercator, wyciągając szyję i próbując zobaczyć, co spostrzegł Royce.

– Wydawało mi się, że coś się ru...

Wtedy oboje to spostrzegli. Trzeci gargulec od lewej poruszył skrzydłami.

– Nie jestem tutejszy – powiedział Royce. – To normalne?

– Oczywiście, że nie. To... O, nie!

Gargulec obrócił głowę. Jak wiele innych i ta postać przypominała małą o potężnych, zgarbionych ramionach ze skrzydłami i pyskiem nietoperza i wielkimi jak szable kłami. Stwór spojrział na nich z góry, a Royce zauważył, że oczy wyrzeźbiono tak, by spoglądały złowrogo. Domyślał się jednak, że odebrały to spojrzenie w taki sposób niezależnie od intencji rzeźbiarza, ponieważ gargulec patrzył wprost na niego.

Royce spodziewał się, że gargulec odepchnie się od katedry, rozłoży skrzydła i zapikuje. Zamiast tego stwór zaczął złazić po froncie, początkowo poruszając się niezręcznie, ale stopniowo nabierał wprawy i łapał równowagę, aż zaczął poruszać się ze zręcznością małpy, zeskakując z frontonu na kolumnę.

– W nogi! – krzyknęła Mercator do Royce’a.

* * *

– Dlaczego zabiłeś Nyma? – spytał Hadriana Griswold Dinge.

Krasnolud siedział naprzeciwko niego w małym pokoju.

Nym nie żył, Selie organizowała jego pogrzeb, Villar przepadł, a Mercator poszła na spotkanie z księciem, więc to krasnoludowi, ostatniemu z obywatelskich przywódców, przypadła rola strażnika. Hadrian cieszył się, że nie ma tu wdowy po Erasmusie Nymie, bo był przekonany, że opowieść Seton nie oczyściła go z zarzutu zamordowania Calijczyka. Jeśli już to wywołała wątpliwości. Wolał mieć do czynienia z rozgniewanym krasnoludem niż rozpaczającą wdową.

– On nie zabił Erasmusa – zapewniła go z wiarą Seton.

Cała trójka siedziała razem w kamiennej piwnicy pełnej szcurzych bobków. Griswold związał Hadrianowi ręce na plecach. Dodatkowo trzymał w rękach sztylet. Nie sprawiał wrażenia, jakby otwarcie mu groził, ale w jego postawie kryła się pewna groźba.

– Ona ma rację. Nie zabiłem Calijczyka. – Hadrian się uśmiechnął, ale jego urok nie działał na krasnoluda.

– Jasne, chociaż deptałeś mu piętach przez cały pościg, ktoś inny zjawił się znikąd i odebrał mu życie. Oczekujesz, że w to uwierzę?

– Naprawdę nie mam pojęcia, co go zabiło.

– Chciałeś chyba powiedzieć „kto go zabił”.

– Mnie to bardziej wyglądało na coś. Wiem tylko, że nie żył i nie miał twarzy. Jakby coś mu ją odgryzło. Poznałem go tylko dzięki ubraniu i pudełku, które niósł. Nie wyglądało to dla mnie jak typowe morderstwo.

– On nie zabił Nyma – powtórzyła Seton.

– Na przekłete imiona wszystkiego co święte, skąd to wiesz?! Ocalił ci życie i co z tego? Zabił też mnóstwo ludzi. Sama tak powiedziałaś. Twoje własne słowa świadczą o tym, że jest zabójcą, a nie niewinną owieczką. To jego historia o Nymie bez twarzy jest nieprawdopodobna.

– Nie, nieprawda – powiedziała Seton. – I wierzę mu nie dlatego, że ocalił mi życie.

To zwróciło uwagę krasnoluda. Odwrócił się do niej. W lewym uchu miał mały, złoty kolczyk. Ozdoba? Oznaka, że był żeglarzem? Podarek ślubny? Hadrian zastanawiał się; tak niewiele wiedział na temat tych małych ludzi, że czuł się nie tylko głupcem, ale też nie dość przygotowanym, żeby pomóc sobie samemu.

– To dlaczego uważasz, że nie zabił Erasmusa?

– Zabójstwa, w którym ofiary były podobnie okaleczone, zdarzały się już wcześniej – odpowiedziała Seton. – To dlatego arystokraci ubierają się na niebiesko.

Krasnolud pokręcił głową.

– Nonsens! Arystokraci to tchórze. Ulice są niebezpieczne. Nie każdy, kto ginie w zaułku, jest ofiarą...

– Nie mówię o niedawnych morderstwach. – Seton zniżyła głos

i spoważniała. Jej spojrzenie współgrało ze zmianą tonu. Hadrian uznał, że taki mrok na młodej twarzy wygląda dziwnie. – Mówię o Thromie Hodinelu.

Griswold zmrużył oczy.

– A to kto?

– Throm Hodinel. Był kuratorem w Cesarskiej Galerii. Niektórzy mówią, że był spokrewniony z Killianami, daleki kuzyn czy ktoś taki. Widziałam jego ciało, kiedy znaleziono go kilka stóp od posągu Glenmorgana. Jego twarz była w strasznym stanie. Musiano go zidentyfikować po ubraniach, ponieważ... – Seton się zawahała, patrząc na Hadriana, jakby on znał odpowiedź.

– Bo jego twarz została odgryziona – powiedział.

Seton skinęła głową.

– Właściwie to nie tylko twarz. Znaczna część jego ciała została pożarta. Ale owszem, twarz przepadła. Podobnie jak sporo kości.

– To mi wygląda na wilki – powiedział Griswold.

– W galerii?

Krasnolud spojrział niedowierzająco.

– Nigdy nie słyszałem tej historii.

– To się stało przed twoim czasem.

Krasnolud przechylił głowę i przyjrzał jej się uważnie.

– Ile ty właściwie masz lat?

Uśmiechnęła się do niego szeroko.

– Throm Hodinel zginął piętnaście lat przed twoim urodzeniem.

Krasnolud uniósł krzaczaste brwi. Wyglądał na mężczyznę po czterdziestce, może starszego. Seton nie była nastolatką, ale jeśli mówiła prawdę, to była o kilkadziesiąt lat starsza od Hadriana. Biorąc pod uwagę wstydlivy fakt, że początkowo jej nie poznawał, zdał sobie sprawę, że już wcześniej źle ją ocenił, co ujawniało całkiem nowy poziom jego głupoty.

– Throm Hodinel nie był jedyny – ciągnęła Seton. – Co kilka lat ktoś ginął w podobny sposób. To zawsze był arystokrata albo ktoś podejrzewany o bycie dzieckiem z nieprawego łoża jakiegoś dawnego księcia, zwykle mężczyzna. I zawsze ofiara znajdowała się kilka mil od Zamku Blythin. Morderstw dokonywano nocą albo o zmierzchu

podczas gęstej mgły i za każdym razem ofiary były pogryzione. Niektóre tylko trochę, inne były niemal całkowicie pożarte, ale tak czy inaczej, zawsze były pozbawione twarzy.

– Mówisz o Morganie. Villar opowiedział mi ten mit – powiedział krasnolud.

– Villar nie wie wszystkiego.

– A gdzie właściwie jest Villar? – zapytał Hadrian.

– Nie wiem.

Krasnolud wypowiedział te słowa powoli, nie patrząc na nich. Zmarszczył przy tym krzaczaste brwi.

– Coś nie tak?

Griswold podniósł wzrok, ale nie odpowiedział.

– Griswold, czego nam nie mówisz? – zapytała Seton.

– Rozruchy to krwawa rzecz. Na wypadek gdyby coś poszło nie tak, gdyby naszym ludziom coś groziło, chcieliśmy mieć zabezpieczenie. Potrzebowaliśmy planu awaryjnego. Żebyśmy w razie potrzeby mogli interweniować. Ale tylko w razie potrzeby.

– To w tej sprawie spotkaliście się we trójkę? – spytał Hadrian.

– Tak, w głównej mierze. A także, żeby dać Erasmusowi jego część.

Hadrian pokiwał głową.

– Pudełko. Znalazłem je przy ciele Erasmusa, ale były w nim tylko kamienie, zwykły żwir. A niósł je tak, jakby to było coś niebezpiecznego.

– W rękach wprawnego krasnoluda ziemia, kamień, metal i drewno są niebezpieczne.

Hadrian pomyślał, że do tej listy powinno dodać się linę, bo zaczynały go boleć nadgarstki i dłonie. Wiążąc go, krasnolud wykazał się poziomem umiejętności, z jakiego jego lud słynie, jeśli idzie o kamieniarkę i wszelkie mechanizmy.

– Nie rozumiem – powiedziała Seton.

– Oczywiście, że nie rozumiesz. Jak mogłabyś? To stara magia. Starsza nawet od ciebie. Starsza niż Rochelle, starsza niż Novron.

– O czym ty mówisz? – zdumiała się Seton.

– Myślisz, że tylko mirowie mają starodawne sekrety? Bez względu na twój wiek, nasza wspólna, krasnoludzka historia sięga daleko dalej.

Przed Novronem i jego imperium, przed mirami i przed ludźmi Belgriclungreianowie żyli, a ich kultura rozkwitała. Mówię o czasach, kiedy tylko prawdziwe elfy i krasnoludy chodziły po ziemi, kiedy Drumindor był największą kuźnią na świecie. Były to czasy, kiedy mieliśmy króla, epoka wielkości, epoka cudów. Mówi się, że to dzieło Andvariego Berlinga i króla Mideona, ale ta magia poprzedza nawet ich. Sięga czasów bogów i starodawnych olbrzymów zwanych Typhinami. Według legendy zakazano im posiadania własnych dzieci, znaleźli jednak sposób, żeby tworzyć życie z ziemi i kamienia. Magię, za pomocą której sami tworzyli olbrzymów. Moi ludzie odkryli ten sekret, ale ponieważ był wyjęty spod prawa przez bogów, pozostał zakazany. Tylko raz spróbowano się nim posłużyć, podczas wojny zwanej Elficką Napaścią, kiedy król Mideon ocalił nasz lud. Elfy posłużyły się magią, żeby zniszczyć dziesiąty i dwunasty legion na Równinach Madoru, a potem Mideon wezwał legendarnego Andvariego Berlinga i kazał mu sięgnąć po zakazane zwoje i stworzyć broń, która zdoła pokonać elfy. Niektórzy mówią, że Andvariemu nigdy się nie udało. Inni, że owszem, ale wydarzyło się przy tym coś strasznego. Twierdzą, że to jego porażka, a nie atak elfów, ostatecznie doprowadziła do upadku królestwa Mideona i zniszczenia Linden Lottu.

– Co król Mideon kazał zrobić Andvariemu? – spytała Seton.

– Sięgnąć po jedyną prawdziwą magię, jaką kiedykolwiek dysponował nasz lud.

– A mianowicie?

Griswold zawahał się. A potem oczy mu zabłysły, pochylił się i szepnął:

– Zrobił golema, obrońcę z kamienia.

* * *

Nikt na placu nie zauważył, że gargulec ożył. Wszyscy patrzyli na akrobatów, tancerzy albo żonglera. Mercator zręcznie śmignęła przez niczego nieświadomy tłum. Jak na kogoś, kto twierdził, że jest stary, to

radziła sobie równie dobrze, jak omijani przez nią akrobaci. Ona i Royce przebiegli przez krąg tancerzy, rozrywając łańcuch złączonych rąk i wywołując zamieszanie. Jak hałaśliwe dzieci przebiegające przez przyjęcie dla dorosłych, sprawiali, że ludzie odwracali za nimi głowy i prowokowali krzyki. Royce przypomniał sobie młodość. Ucieczka była codziennością, kiedy żył dzięki okradaniu kieszeni na placach Ratiboru. Tak jak wiatr był sprzymierzeńcem ptaka, tak jego – tłum. Stanowił osłonę i dostarczał okazji, ale tak, jak zbyt silny wiatr mógł zabić ptaka, zbyt gęsty tłum mógł go zablokować, zatrzymać, umożliwić złapanie przez tego, kto go ścigał. Umiejętności czytania ludzkich mas, dostrzegania wzorów i wyczuwania właściwej chwili sprowadzały się do różnicy między ucieczką a utratą ręki.

Royce był teraz starszy i wyszedł z wprawy, ale nie potrzebował wiele czasu, żeby odkryć ponownie stare umiejętności i przypomnieć sobie zapomniane sztuczki. Mercator też świetnie sobie radziła, wypatrując dziur i je wykorzystując. Wyczuwała, kiedy się jakaś pojawi, dzięki czemu stale zachowywała przewagę. Okrążyła fontannę, zmierzając ku schodom galerii. Royce nie bardzo wiedział, jaki Mercator ma plan, ale też nie do końca rozumiał, jak duże niebezpieczeństwo im grozi. Widok ożywającego gargulca był niepokojący, ale fakt, że Mercator odczuwała potrzebę natychmiastowej ucieczki, budził prawdziwy strach. „Dlaczego” to było pytanie, które mógł zadać jej później. Jak się okazało, „dlaczego” uzyskało odpowiedź wcześniej, niż się spodziewał.

Ludzie wskazywali coś za Royce'em, a potem rozległy się krzyki i wreszcie zrozumiał, dlaczego Mercator biegnie do schodów galerii. Plac zamienił się w rzekę po przerwaniu tamy. Royce musiał dotrzeć na bezpieczny brzeg, zanim dopadnie go spieniony nurt. Cokolwiek gargulec robił, spowodowało to panikę i jeszcze chwilę temu szczęśliwy tłum zamienił się w bezrozumną ciżbę, gdy ludzie zaczęli przepychać się i próbować ucieczki.

Mężczyzna wpadł na kobietę z córką, przewrócił się na ziemię i sam został stratowany. Żonglera i akrobatów pochłonęła fala powodziowa. Royce i Mercator dotarli do marmurowych schodów galerii w tej

samej chwili, w której fala buchnęła. Mercator natychmiast podbiegła do wielkich spiżowych drzwi. Royce wreszcie zrozumiał jej plan i znowu był pod wrażeniem strategiczności jej myślenia. A przecież była mirem.

Gdyby wiedziała, to samo mogłaby powiedzieć na mój temat, prawda?

Galeria nie była tak ogromna jak Grom Galimus, ale nadal był to wielgachny budynek i w całości zbudowany z kamienia. Nie miała żadnych okien na poziomie parteru, a drzwi otwierały się na zewnątrz, mieli więc tylko kilka sekund, żeby dostać się do środka. Tłum uciekający przed chaosem, który zapoczątkował wybuch paniki, zda sobie sprawę z tego, o czym pomyślała Mercator – że galeria stanowi osłonę przed tą grozą. Gdyby Royce i Mercator znaleźli się w środku, kiedy do tego dojdzie, ścisk w wąskim przesmyku zatrzymałby gargulca... Genialne.

– Zamknięte. – Mercator ze złością pociągnęła za drzwi. – Potrafisz je otworzyć, prawda?

– Skąd wiesz? – Royce przyklęknął przy drzwiach i szybko przyjrzał się prostemu mechanizmowi zamka.

– Każdy, kto oczekuje obciętego palca, wygląda na kogoś, kto zna podstawy sztuki złodziejskiej.

Royce włożył do dziurki od klucza wytrych. Uniósł dźwigienkę i przesunął zatrzask. Chociaż trwało to tylko kilka sekund, tłum poruszał się szybciej, niż Royce się spodziewał. Masa hulaków, która zamieniła się w tratujące wszystko stado, już na nich napierała. Nie mogąc otworzyć szeroko drzwi, ledwie zdołali wślizgnąć się do środka, zanim napór bezmyślnego tłumu znowu je zatrzaskał. Drzwi przycięły pelerynę Royce'a. Wyrwał się, rozdzierając ją na pół.

Spojrzeli oboje na dwuskrzydłowe spiżowe drzwi, cofając się powoli i słuchając zduszonych okrzyków przerażonego tłumu, które z każdą sekundą narastały. Wnętrze galerii było ciche i ciemne jak grobowiec, ale Royce znał już ten budynek i pamiętał salę. Był tu raptem poprzedniej nocy. To była rotunda z freskami i obrazami, starymi przedmiotami na podwyższeniach i z wielkim rydwanem zaprzężonym w wypchane konie. Dziwną bestię, którą widział

z wysoka, teraz ujrzał z poziomu parteru. To była właściwa perspektywa i tym razem wiszący w górze smok prezentował się stosownie przerażająco.

– Co to jest to na zewnątrz? – zapytał Royce.

– Golem. – Mercator wbijała wzrok w drzwi, kiedy oboje się cofali. Strach na jej twarzy nie przekonał Royce'a, że są już bezpieczni. – Krasnoludzkie czary, stara, mroczna i zła magia.

– To coś było chwilę temu posągiem. A czym jest teraz?

– W pewnym sensie nadal jest posągiem.

– To polowało na nas.

– I nadal poluje.

– Może się tu dostać?

Mercator spojrzała w górę na wybite okno przy kolumnadzie, przez które Royce wpadł poprzedniej nocy za Villarem.

– Myślę, że tak.

– To może lepiej wytłumacz mi dokładnie, czym jest golem. Nie cierpię wizyt całkiem obcych mi istot.

* * *

Siedzenie na krześle pogłębiało ból w rękach, więc Hadrian przesiadł się na podłogę, dzięki czemu mógł chociaż rozprostować nogi. Seton mu pomogła, odgarniając na bok stos szcurzych bobków.

– A co ma starodawna krasnoludzka magia wspólnego z tobą, Erasmusem Nymem i Villarem?

Griswold przeczesał palcami brodę i wysunął dolną wargę. Zamarł tak i Hadrian myślał już, że nic więcej nie powie.

– Wątpiliśmy w to, że nasze siły wystarczą w starciu z księciem i strażą miejską. Potrzebowaliśmy czegoś więcej. Potrzebowaliśmy tego, co Andvari zaproponował królowi Mideonowi.

– Domyślam się, że nie jest to wiedza, którą można znaleźć gdziekolwiek – powiedział Hadrian.

Griswold skinął głową i zwrócił się do Seton.

– Słyszałaś o Nocy Grozy?

– To miało miejsce wiele wieków temu.

Griswold się skrzywił.

– I pewnie już tam byłeś?

– To się wydarzyło przede mną. Myślę, że nawet przed Mercator.

– Pewnej zimnej nocy tłumy przyszły do Małego Miasta, tak wtedy nazywano nasze getto, i podpaliły domy. Wszystkich wywleczono na ulice i pobito. Niemal setka moich ludzi zginęła tej samej nocy, którą reszta nazywa zimonaliami. Dziwny sposób obchodzenia święta odrodzenia słońca, nie uważacie? Po tym wydarzeniu starszyzna znalazła sposób, żeby nas chronić. W tym czasie miasto jeszcze się budowało i Grom Galimus powstała dopiero w połowie. Moi ludzie zajmowali się kamieniarką. Tania, wykwalifikowana siła robocza, oto czym byliśmy. Arcybiskup zamówił wiele rzeźb, a my z radością się tym zajęliśmy. Tuż pod jego nosem i z jego błogosławieństwem stworzyliśmy broń, którą mogliśmy się posłużyć, gdy nadejdzie potrzeba.

Griswold się uśmiechnął.

– Pewnie widziałeś te wszystkie dziwaczne rzygacze i rzeźby, złowrogie twarze, z których wypływa deszczówka na ulice?

Hadrian skinął głową.

– To nasze dzieło. Każdy jeden został wyrzeźbiony przez kogoś z moich ludzi. Sprawiliśmy, że wyglądają zaciekle i groteskowo, żeby stały się ucieleśnieniem tego, czym naprawdę są: potworami. Arcybiskup uznał je za kuriozalne; „zabawne”, mówił o nich. Nie wiedział jednak, że każda rzeźba powstała zgodnie z rytuałem i że zachowano odłamki powstałe przy ich tworzeniu, żeby można było w razie potrzeby się nimi posłużyć. Jeśli nadejdzie dzień, że znowu będziemy zagrożeni, możemy ożywić dekoracje i wysłać je do walki. – Griswold spojrzał twardo. – Arystokraci mają swoich żołnierzy, a my mamy swoich. Nasi siedzą na półkach nad miastem i czekają na dzień, kiedy spłacimy do końca wszystkie nasze długi.

– Potrafisz być naprawdę upiorny, wiesz? – podsumował go Hadrian.

* * *

– A co to właściwie jest „golem”? – zapytał Royce. – To jest żywe? Można to zabić?

– Nie jestem ekspertem od krasnoludzkiej magii – odpowiedziała Mercator – ale wiem, że golem to ożywione rzeźby. Stworzenia, które powinny zachować cechy typowe dla materiału, z którego je stworzono.

– Ten jest zrobiony z kamienia. – Royce zerknął na spiżowe drzwi ze skomplikowanymi reliefami, dziewięcioma obrazami, które przedstawiały historię wspaniałego miasta. – Jak skrzywdzić kamień?

Bum! Bum! Bum!

W galerii poniosło się echo bębnienia w drzwi, jakby ktoś walił w nie ogromnym młotem. Oboje patrzyli, jak obrazy zniekształcają się, gdy w drzwiach pojawiły się wgniecenia, metal wykrzywił się w miejscach uderzeń.

Mercator i Royce cofnęli się bardziej.

– Nie można go spalić. Nie ma krwi, więc podejrzenie mu gardła na nic się nie zda. Praktycznie żadna klinga nic nie da... – Royce myślał na głos, rozglądając się w sali za bronią. – Co to właściwie za miejsce?!

– Cesarska Galeria – odpowiedziała Mercator, wpadając na popiersie łysiejącego mężczyzny. Rzeźba przewróciła się, upadła i roztrzaskała na marmurowej posadzce. Mercator spojrzała z przerażeniem na zniszczone dzieło sztuki. – Arystokratyczne rody przywiozły ze sobą mnóstwo rzeczy po upadku Percepliquis. Najlepsze rzeczy zostawili w domach, a resztę wystawiono tutaj.

– Pewnie nie ma tu żadnej starożytnej broni, która zabija kamienne gargulce?

Mercator spojrzała na niego z grymasem, który chyba miał więcej wspólnego z dobijaniem się do drzwi niż jego kiepskim żartem.

Hadrian doceniłby mój żart, pomyślał.

Znalazł dwa młoty na wystawie, mały i duży, oba stare i grubo ciosane. Zważył w ręku ciężki, myśląc, że może się przydać.

– Dlaczego zależy mu na nas?

Mercator spojrzała na drzwi.

– Villar go kontroluje.

– Skąd wiesz?

– Jest jedną z nielicznych osób, które to potrafią. Erasmus Nym nie żyje, a Griswold pilnuje twojego przyjaciela. To musi być Villar.

– Czego od nas chce?

– Nie wiem. – Rozglądała się w zamyśleniu i nagle otworzyła szeroko oczy. – Czekał, powiedziałeś, że nie znaleziono w powozie listu z żądaniem?

– Nikt poza wami najwyraźniej nie wiedział o jego istnieniu.

Mercator zakryła usta w geście pełnym niedowierzania.

– Nie przeoczono listu ani nie zgubił się sam z siebie. Villar wcale go nie zostawił. Teraz wszystko nabiera sensu. Villar nie porwał księżnej po to, żeby wywalczyć ustępstwa. Nigdy nie chciał pokojowego rozwiązania. Próbował mnie tylko ugłaskać, udawał. A teraz...

Spizowe drzwi pękły. Przedarła się przez nie kamienna pięść. Szpony zaczęły rozrywać metal, poszerzając dziurę. Towarzyszył temu metaliczny zgrzyt.

Mercator wcisnęła w dłoń Royce'a list od Genny.

– Zanieś to do księcia.

– Co zamierzasz?

Spojrzała znowu na drzwi, ale Royce nie potrafił powiedzieć, czy jest przestraszona, czy wściekła. Może jedno i drugie, pomyślał.

– Powstrzymam go. Mam nadzieję. Kieruje tą istotą jak marionetką. Widzi i słyszy poprzez nią, więc mogę z nim porozmawiać, przemówić mu do rozsądku.

Golem przedzierał się przez drzwi. Royce upuścił młot i pobiegł ku schodom. Dodatkowy ciężar tylko by go spowalniał, a teraz potrzebował całej szybkości. Przeskakiwał po trzy stopnie. Pokonawszy cztery biegi schodów, obejrzał się.

Mercator nadal stała pośrodku głównej sali obok posągu z tabliczką „Glenmorgan Wielki”. Gargulec wyrwał dziurę wielkości okna i teraz przeciskał się przez nią, wyglądając jak ohydny owad wyrywający się z kokonu poczwarki.

– Villar! – krzyknęła Mercator. Uniosła obie ręce. – Przestań! Nie

musisz tego robić. Porozmawiam z księżną. Stoi po naszej stronie i chce nam pomóc.

Stwór sprawiał wrażenie, jakby słuchał, a może tylko miał kłopot z przeciśnięciem się przez dziurę o poszarpanych brzegach. Spiż zostawiał głębokie zadrapania na kamiennej skórze.

– Wiem, że chcesz wojny. Myślisz, że to jedyny sposób, ale to nieprawda. Genny może skłonić księcia do zmiany praw, a to zmusi gildie do zmiany zasad. Księżna już nad tym pracowała. Tej samej nocy, kiedy ją porwałeś, wracała właśnie z... – Mercator przerwała. – O mój dobry Ferrolu. – Zatoczyła się, jakby otrzymała cios. – Wiedziałeś, prawda? Wiedziałeś od początku, że księżna pracuje nad rozwiązaniem. Dlatego ją porwałeś. Chciałeś ją powstrzymać. Musiałeś ją powstrzymać.

Gargulec przeszedł przez drzwi. Opierając się na stopach i kostkach rąk, szedł przez salę jak mała. Zwolnił, kiedy się do niej zbliżył.

Mercator pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Villar, jak mogłeś?

Golem wahał się chwilę i Royce pomyślała, że mir ma szansę. Wtedy jednak potwór zatopił w jej ciele szpony. Royce widywał już przemoc. Widział potworności i sam dokonywał straszliwych rzeczy, które wielu ludzi określiłoby jako czyny makabryczne, wręcz chore. Przywykł do krwi jak rzeźnik, a jednak to, co zobaczył w sali z pamiątkami, wstrząsnęło nim. Stwór nie tyle wypatroszył Mercator, ile rozerwał ją jak źle zszyty worek. Royce usłyszał, jak pękają jej mięśnie i kości z trzaskiem podobnym do łamania zielonej gałązki. Mir o caliskiej krwi, którą dopiero co zaczął poznawać i o której myślał, że mógłby ją polubić, zginęła w eksplozji krwi, która obryzgała posąg Glenmorgana i poplamiała nieskazitelną marmurową posadzkę.

Gargulec odsłonił kły i szpiczaste zęby, uśmiechając się z zachwytem. A kiedy krew spływała po jego kamiennej skórze jak łzy, uniósł groteskowy, mały pysk. Royce nie potrzebował dalszej zachęty. Podjął błyskawiczną wspinaczkę.

Jego celem było okno na ostatnim piętrze, które wybił poprzedniej nocy Villar.

Royce dotarł na ostatnie piętro i znowu zauważył zbroję stojącą pod

ścianą z długą włócznią w rękawicy. Za jego plecami gargulec wspinał się po schodach. Royce słyszał trzask kamienia na marmurze, jakby uderzały o siebie kawałki skały.

Szkło z okna nadal leżało na podłodze. Za nim wznosiła się ściana, skok dzielący go od katedry, bieg przez dachy, który Royce już raz zaliczył. Tyle że tym razem to on będzie zwierzyną, osobą, która ześlizguje się po dachówkach i spada do rzeki. Może on też to przeżyje.

Nie... Takie rzeczy przydarzają się innym ludziom, nie mnie, pomyślał.

Nie był Villarem i nie ścigał się z mirem. Znając swoje szczęście, przypuszczał, że stwór złapie go w niedźwiedzi uścisk i razem wpadną do rzeki, gdzie Royce zostanie ściągnięty na samo dno.

„...powinny zachować cechy typowe dla materiału, z którego je stworzono”.

Przypominając sobie, co się stało z popiersiem, które Mercator rzuciła z piedestału, złapał włócznię. Wyrwał ją z uścisku zbroi i ustawił się przy balustradzie galerii.

Mam nadzieję, że to zadziała, pomyślał, podejrzewając jednak, że nic z tego nie wyjdzie. Nadal mam okno, pocieszył się. O ile pożyję dostatecznie długo.

Royce trzymał włócznię nisko, ale nie przed sobą. Nie opierał jej o siebie, ale trzymał przy boku. Nie chciał uderzyć frontalnie w potwora. Był przekonany, że gdyby tego spróbował, gargulec roztrzaskałby włócznię albo wyrwał mu ją z rąk. Nie zamierzał go dźgać. Chciał uzyskać to, co Hadrian uzyskał raz, walcząc z niezniszczalnym wrogiem. Skoro udało się raz, to może uda się znowu. Jednak teoria i praktyka często okazują się dalekimi krewnymi. Zobaczywszy, co gargulec zrobił z Mercator, Royce stracił pewność siebie. Widok rozrywanego człowieka potrafi tak zadziałać.

Nie mam szczęścia Hadriana.

Potwór się wspinał i wkrótce głowa gargulca pojawiła się nad schodami. Jego skrzydła były szeroko rozłożone jak kaptur kobry przed atakiem. Dostrzegł Royce'a, wytrzeszczył ślepią i wyszczerzył zęby. Kamienne zęby w kamiennym pysku. Każdy cal był poszarpany,

szorstki i pokryty strugami krwi. Stwór rzucił się do ataku.

Włócznia nie zrobiła najmniejszego wrażenia na stworze. Nie próbował zrobić uniku, przesunąć się albo zwolnić. Sprawiał wrażenie rozbawionego, wręcz rozradowanego. Royce nie mógł trafić na bardziej przychylnego wroga i podejrzewał, że golem odczuwał to podobnie. Kiedy znaleźli się blisko siebie, Royce zaparł się mocno na nodze z tyłu i chwycił z całej siły włócznię, a kiedy się zderzyli, odsunął się, żeby gargulec nie wybił mu włóczni z rąk. Mimo to uderzenie było potężne i koniec włóczni się złamał. Royce cofnął się, uskoczył w bok, odepchnął się od kamiennego potwora, traktując go jak dźwignię, a nie przeszkodę. Golem zmienił kurs, zboczył tylko na dwa kroki, ale to wystarczyło.

Pozbawiony równowagi uderzył całym ciężarem w balustradę. Gdyby człowiek tak o nią uderzył, ześlizgnąłby się po niej albo od niej odbił.

„...powinny zachować cechy typowe dla materiału, z którego je stworzono”.

Może i ma skrzydła, ale kamień nie lata, pomyślał Royce.

Ciężkie cielsko szarżującego gargulca roztrzaskało balustradę i stwór spadł z galerii, przelatując przez podwieszane ciało smoka, całkowicie je niszcząc i zrzucając resztki na podłogę cztery kondygnacje niżej.

Dźwięczny i donośny huk odbił się echem od ścian po dwakroć.

Roztrzaskaj się, ty nędzna figurko! – na poły myślał, na poły życzył sobie Royce, gdy zerknął z galeryjki. Miał nadzieję zobaczyć roztrzaskujący się kamień, jak kiedy Mercator przewróciła popiersie. Cztery piętra niżej leżały szczątki połamanego smoka i rozerwane ciało Mercator; jej krew wsiąkała w szeroką szparę w marmurowej posadzce, która pojawiła się w miejscu, gdzie uderzył w nią golem.

Gargulec nie rozpadł się w pył. Klęczał pośrodku popękanej podłogi.

Nie, zdecydowanie nie mam takiego szczęścia jak Hadrian. Royce zauważył jednak, że golem nie wyszedł z upadku bez szwanku. Stracił kilka kawałków. Jego lewa ręka leżała na podłodze kilka stóp dalej. Gargulec spojrział na nią z żalem. A potem małpi pysk znowu skupił się na Roysie. Tym razem syknął.

Cudownie, teraz go rozgniewałem. Jeszcze bardziej.

Golem pobiegł do schodów, a Royce popędził do okna. Znajomość drogi stanowiła pewną pociechę. Trasa wryła mu się w pamięć, dzięki czemu mógł poruszać się szybciej i z większą pewnością. Wystawił głowę i zobaczył ulicę w dole. Była wypełniona ludźmi. Niektórzy mieli mundury i trzymali pochodnie. Ciała leżały w linii, znacząc drogę golema do galerii.

Omijając odłamki szyby, wyszedł przez okno i zaczął wspinać się po ścianie. Żałował, że nie wziął pazurów do wspinaczki, ale ostatnim razem też ich nie miał i jakoś sobie poradził.

Tyle że wtedy byłem myśliwym. Bycie zwierzyną to co innego.

Royce bywał już ścigany. Nigdy za tym nie przepadał i zwykle pościg kończył się, gdy udawało mu się oddalić dostatecznie, żeby zawrócić w sposób niezauważony i ponownie podjąć rolę myśliwego. Tym razem do tego nie dojdzie.

Jak skrzywdzić kamień?

Odłamał mu rękę, zrzucając go.

Może powinien spaść z większej wysokości?

Dotarł na dach galerii. Obejrzał się. Nie zobaczył niczego poza trzepoczącą firanką, poruszaną przez wiatr wpadający przez stłuczoną szybę. Czy to możliwe, że stwór stracił mną zainteresowanie?

Odpowiedź nadeszła, kiedy pozostałości okna wyleciały na zewnątrz razem ze sporą częścią framugi i kilkoma kamieniami ze ściany. W dole rozległy się nowe okrzyki. Ludzie podnosili ręce. Wskazywali palcami. Jacyś mężczyźni wołali:

– Na górze! Tam jest!

Gargulec nie poruszał się tak zręcznie, jak przy zejściu z katedry. Wspinaczka była ewidentnie trudniejsza, gdy została mu jedna ręka. Brutalna siła zastąpiła teraz zwinność. Stwór bez najmniejszego lęku rzucił się z parapetu, wbił szpony w mur, wydłubując zaprawę jak miękkie błoto. Szponami w tylnych łapach zrobił to samo, a potem znowu uderzył w ścianę. Kamienne mięśnie pozwalały mu pokonywać niesamowite odległości przy każdym zamachu.

Royce'owi nie podobała się łatwość, z jaką gargulec go ścigał, ani

siłą, jaką dysponował. Śmierć Mercator nadal była żywym obrazem w jego umyśle i nie zamierzał znaleźć się w pobliżu tych szponów. Pamiętając wydarzenia poprzedniej nocy, wyrwał kilka dachówek i rzucił je. Liczył na to, że trafiony nimi golem spadnie. Celował lepiej niż Villar i trafił w stwora trzy razy – raz w głowę i dwa razy w ciało. Dachówki się roztrzaskały. Gargulec nawet tego nie zauważył.

Jak mam sprawić, że znowu spadnie? Odepchnął to pytanie na bok, gdy zdał sobie sprawę, że to nie ma znaczenia. Na razie. Musiał wspiąć się wyżej. Znowu zaczął uciekać.

Przebiegł po dachu i pokonał susem odległość między galerią i Grom Galimus, lądując na głowie kamiennego lwa. Słyszał, jak tłum pod nim pokrzykuje z podniecenia. Kiedy wspiął się po filarze przyporowym, zdał sobie sprawę, że jego wysiłki pójdą na marne. Nawet gdyby uciekł golemowi, dotarł do księcia, przekonał go jakimś cudem, że jego żona żyje i skłonił do zgody na żądania Mercator, Hadrian nadal może umrzeć. Nie zajęto się jeszcze kwestią śmierci Nyma. Nawet jeśli Hadrian dzięki swojemu szczęściu uniknął stryczka, to Royce i tak może doprowadzić do jego śmierci.

Znajdował się teraz na wysokości sześciu kondygnacji.

Tyle wystarczy? Nie, muszę wspiąć się wyżej.

Kiedy dotarł do łuku przyporowego, zdobycie wysokości przestało być problemem. Wbiegał po pochyłości, a świat w dole oddalał się szybko, podczas gdy Royce zdobywał wysokość, jakby wspinał się po schodach. Dotarł do wysoko położonego balkonu tuż pod okapem dachu katedry i zrozumiał, że to śmiertelna pułapka. Balkon był za wąski, żeby powtórzyć manewr z włócznieą, nawet gdyby takową miał. Tu na górze golem będzie miał wszelką przewagę. Stawienie mu czoła na stromym dachu Grom Galimus też nie podobało się Royce'owi. Szczyt był równie niebezpieczny dla nich obu. Szanse były równe – obaj mogli spaść. Royce'owi nigdy nie odpowiadała uczciwa walka, ale lepsza taka od pewnej śmierci. Znajdowali się jakieś dwieście pięćdziesiąt stóp nad ziemią i domyślał się, że szanse przeżycia – o ile uderzy w wodę – są jak jeden do stu.

Villarowi się udało. Hadrian pewnie też zdołałby przeżyć, ale ja nie mam takiego szczęścia.

Royce uznał to za ostatnią deskę ratunku.

Wyciągnął rękę, złapał się okapu i skrzywił się, widząc rząd piorunujących go wzrokiem gargulców. Zdał sobie teraz sprawę, że wszystkie szczerzą zęby. Naprawdę nienawidzę tych stworów, pomyślał.

Dyszał ciężko, ubrania kleiły mu się do skóry, a kiedy podciągnął się, zdał sobie sprawę, że jego mięśnie słabną. Kamień, jak się domyślał, nie odczuwał zmęczenia. Dotarł na dach i wiatr powitał go znajomym podmuchem zimnego powietrza. Royce stęknął i skrzywił się, kiedy zmuszono go do przypomnienia sobie, że wiosna, choć się zbliżała, to jeszcze nie nadeszła. Przeszedł go dreszcz, wiatr szarpnął resztkami peleryny.

W dole golem pędził po przyporze, wyciągając skrzydła jak akrobata, który balansuje za pomocą tyczki. Kiedy kucał na ścianie budynku i patrzył na niego z daleka, wydawał się mały. Z bliska okazało się, że ma całe osiem stóp wzrostu.

To się źle skończy, pomyślał Royce.

Wspiął się po ożebrowaniu na podobny do ogrodzenia grzebień na kalenicy, gdzie zamierzał stawić bestii czoło. Miał niewielki wybór. Mógł spróbować wspiąć się na dzwonnice, co wcześniej rozważał Villar, ale tak samo jak wtedy, i teraz niewiele by to dało. Mógł zejść po drugiej stronie katedry i mieć nadzieję, że golem pójdzie za nim i spadnie jak wcześniej Villar. Royce był jednak zmęczony i wiedział, że jeśli ktoś spadnie, to najpewniej on. Każdy krok zbliżał go do wyczerpania, podczas gdy gargulec nie zdradzał najmniejszego zmęczenia.

Ten stwór stracił rękę! Gdybym ja stracił rękę po upadku z czterech pięt, tobym sobie odpuścił. A on nawet nie zwolnił!

Royce musiał ruszyć, póki miał jeszcze siły. Golem miał teraz jedną rękę i potrzebował dwóch stóp, żeby stać na dachu, więc nie rozerwie Royce'a, jak to zrobił z Mercator, ale będzie musiał uciec się do cięcia szponami, gryzienia lub miażdżenia. Jednak bez włóczni, bez broni, walka z golemem byłaby samobójstwem, chyba że...

Royce wyjął Alverstone'a z fałd peleryny. W świetle księżyca ostrze zabłysło stosownie upiornie. Royce miał na własność tylko kilka

rzeczy, a sztylet był z nich najcenniejszy z dwóch powodów. Po pierwsze, był to prezent od człowieka, który okazał mu serce i uratował życie. Jedyny taki człowiek, dopóki Hadrian nie zachował się jak idiota na Wieży Koronnej. Po drugie, sztylet był niezwykle. Royce nie miał pojęcia, jak go zrobiono. Jakimś cudem wykonano go w tajemnicy w piekielnej jamie, jaką były więzienie i kopalnia soli Manzant. Jedyna dobra rzecz, jaka stamtąd wyszła. Nie, poprawił się Royce, nie jedyna. Sztylet nie był jedynym darem, jaki otrzymał, to był tylko symbol, ucieleśnienie czegoś więcej. Radosny złodziej i zabójca, który wszedł do kopalni soli, nie był tym samym człowiekiem, który stamtąd wypuł. Kiedy Royce usiadł na kalenicy Grom Galimus i czekał na nadejście golema, nie trzymał jedynie sztyletu, ale także to, czym zawsze był – nadzieję.

Nie czekał długo. Gargulec wskoczył na dach i znowu wyszczerzył zęby z zachwytem, widząc, że zwierzyna czeka.

Trzymając się drugą ręką żelaznych ozdób ciągnących się wzdłuż kalenicy, Royce przykucnął i spojrzał w stronę wyjącego wiatru.

Czy to najbardziej szalona, najgłupsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem? Fakt, że to zdanie w ogóle przybrało formę pytania, kazało mu uznać głupotę swoich poprzednich życiowych wyborów.

Gargulec wspinał się po stromym dachu katedry, wbijając szpony u nóg w dachówki. Podmuch wiatru uderzył w jego skrzydła. Bestia zatoczyła się i omal nie spadła, ale w ostatniej chwili złożyła je i znowu ruszyła.

Oto co widział zeszłej nocy Villar, myślał Royce. Niepowstrzymanego drapieżnika. O ironio, jak ja cię nienawidzę.

Royce nie ruszył się ze swojego miejsca. Kiedy nadeszło pierwsze uderzenie – szeroki zamach jedyną ręką – przesunął się do tyłu wzdłuż dachu. Gargulec wtedy ustawił się tak samo jak Royce – wzdłuż kalenicy. Miał tylko jedną rękę, więc nie mógł jednocześnie atakować i trzymać się metalowego grzebienia. Zostały mu jednak jeszcze szpony u nóg i kły. Royce nie mógł zapomnieć o kłach. Krew Mercator już zasychała na porywistym wietrze. Wiecznie obecny złowieszczy uśmiech ukazywał nierówną linię zębów podobnych do zaostzonych koniuszków włóczni, wymysł artysty o chorej

wyobraźni, który nie przejmował się realizmem. Gargulec ruszył do przodu z pewnością, której brakowało Royce'owi.

Stawiając czoło potworowi i osłaniając się przed atakami, Royce cofał się na oślep, wiedząc, że w końcu zabraknie mu dachu i że nie będzie wcześniej żadnego ostrzeżenia. Był żeglarzem, który idzie tyłem po wysuniętej za burtę desce.

Zrobił unik przed stopą golema. Przy okazji cofnął się za bardzo i wylądował na krańcu dachu. Spadając, złapał się w ostatniej chwili metalowej ozdoby.

Golem wykorzystał przewagę i rzucił się do przodu. Kiedy Royce wisiał praktycznie bezradny, rozsądek kazałby golemowi zmiażdżyć mu rękę, żeby spadł. On jednak złapał Royce'a za rękę i uniósł szarpnięciem. Uścisk był dokładnie taki, jak złodziej się spodziewał – silny jak imadło i zimny. To był koniec walki, ale o ile golemowi została jedna ręka, Royce nadal miał dwie. Kiedy golem uniósł Royce'a, nie mógł się bronić. Pewnie nie odczuwał takiej potrzeby.

Jak zranić kamień?

Golem nie miał powodu, żeby się bać delikatnego sztyletu. Royce sam miał ledwie odrobinę nadziei, chociaż wiedział, że nadzwyczajne ostrze Alverstone'a przecina drewno tak, jak gorące żelazo przechodzi przez wosk. Raz nawet przecięło żelazne ogniwo łańcucha. Alverstone był nadzieją w obliczu rozpacz i Royce chwycił się nadziei, kiedy dźgnął gargulca w pierś.

Zamiast odbić się, pęknąć albo prześlizgnąć ostrze sztyletu wbiło się w kamień. Niezbyt głęboko, bo nie miało szansy. Golem krzyknął, wzdrygnął się i ta chwila zaskoczenia wystarczyła, żeby stracił równowagę. Spadając z wysokości, wypuścił Royce'a, mając nadzieję, że się czegoś złapie.

Royce spadł. Uderzył o powierzchnię dachu, zaczął się zsuwać i odruchowo posłużył się Alverstone'em w taki sposób, w jaki często korzystał z pazurów do wspinaczki. Wbił go w dachówkę. Ostrze przeszło przez łupek i utknęło mocno, a Royce zawisł na sztylcie, podczas gdy obok niego golem pokoziołkował w dół.

Ciężar gargulca działał przeciwko niemu. Stwór zdołał się złapać krawędzi dachu, ta się oderwała. Ożywiony posąg spadł,

przekoziołkował w powietrzu i rozpędził się tak, jak można się spodziewać po kamieniu, który turla się po spadzistym dachu. Odbił się, podskoczył i wreszcie poleciał na plac. Rozłożył jeszcze skrzydła, ale ciężki kamień nie mógł spowolnić upadku.

Royce nie widział uderzenia o ziemię. Krawędź dachu przesłoniła mu finał. Usłyszał je jednak – głośny huk i trzask. Ktoś wrzasnął, zaraz rozległy się kolejne okrzyki. Szybko zgasły, jak przystało na krzyki zaskoczenia, gdy spadnie kamień, a nie wrzaski strachu z powodu żywego golema.

Rozdział 21

Księżę

Spізowe drzwi do Cesarskiej Galerii – te z ogromną wydartą w nich dziurą – stały otwarte, kiedy Royce dotarł na ulicę. Płochliwa gawieź została na placu i sądząc po sposobie, w jaki się rozpięzchła na widok Royce’a, musiała obserwować jego machlojki na dachu. Bo na pewno tak podsumowałyby tę walkę Evelyn, gdyby znajdowała się w tłumie na dole. Royce zastanawiał się przez chwilę, czy mogłaby być jedną z osób, które golem zranił w trakcie morderczej pogoni przez plac. Nikt nie poradziłby sobie za dobrze w konfrontacji z golemem, a starsza kobieta nie miałaby szansy uciec mu z drogi. Zacisnął zęby z gniewu. Nie wiedział czemu. Nienawidził tej staruchy.

Odetchnął, zanim wszedł do galerii, raz, a potem drugi. Właśnie przeżył pojedynek z golemem i zasługiwał na chwilę odpoczynku. Plecy go bolały, podobnie nadgarstek, za który złapał go kamienny potwór, ale przynajmniej nie miał żadnych złamań. Nie miał wprawdzie takiego szczęścia, jak Hadrian, ale miał go więcej niż zwykle.

Kilku gapiów odważyło się wejść do środka. Stali pod ścianą najbliższej wyjścia. Garstka mężczyzn w mundurach księżęcej straży miejskiej stała w półkolu wokół krwawej jatki pośrodku sali. Większość stała zakłopotana, przenosząc ciężar z nogi na nogę, nie bardzo wiedząc, gdzie patrzeć i co robić. Trzech innych odsuwało połamane szczątki smoka, odsłaniając rozmiar krwawej plamy. Wszystko w odległości dwudziestu stóp od Mercator ociekało krwią.

Szczątki nie przypominały niegdyś żywej osoby, tak samo jak nie przypominałby jej kawał bekonu. Młody mężczyzna w wykrochmalonym czystym ubraniu zasłonił usta obiema rękami, a kiedy to nie podziałało, przebiegł obok Royce'a do drzwi i na ulicę.

Z zasady Royce nikogo nie lubił. Nieznajomi zaczynali u niego z niskiej pozycji i musieli się wykazać, żeby zaczął ich traktować neutralnie. Mercator przeskokczyła tę poprzeczkę w rekordowym tempie.

A na dodatek była mirem, pomyślał. Czy to nie jest naprawdę niezwykle?

Royce nie mógł pozbyć się uczucia, że otarł się nieświadomie o wspaniałą osobę. Okazja przepadła, skarb został roztrwoniony. Tak to zapisał w swojej głowie – jako abstrakcyjną stratę. Kiedy jednak patrzył na krew Mercator i poplamione na niebiesko kawałki mięsa, które kiedyś tworzyły najbardziej niezwykłego mira, jakiego poznał, zaciskał pięści.

Zasuszona staruszka, a teraz mir. Mięknę. To вина Hadriana.

– Jesteś! – zawołał jeden ze strażników. – Łapać go!

Nie dwa razy tej samej nocy, pomyślał Royce, i cofnął się krok, opadając nisko.

Strażnik nie był głupi. Rozpoznał tę postawę – Royce musiał wyglądać jak borsuk ze zjeżonym futrem i wyszczerzonymi kłami. Nie rzucił się na złodzieja. Ani on, ani nikt inny. Zamiast tego strażnicy się rozproszyli.

Royce usłyszał kroki za sobą. Obrócił się i stanął twarzą w twarz z Rolandem Wybergiem, który właśnie wszedł przez spiżowe drzwi.

– Najwyższy czas – powiedział Royce. – Chodź, musimy iść.

– Iść? O czym ty mówisz? Gdzie jest Hadrian? – zapytał zdumiony Roland. Spojrzał na dziurę w drzwiach i krwawy bałagan pośrodku sali. – Na Novrona, co tu się stało?

– Widziałem, jak ten człowiek uciekał po dachach ścigany przez... – Strażnik urwał.

– Ścigany przez kogo? – zapytał Roland. Spojrzał po wszystkich w sali i wreszcie zatrzymał wzrok na Roysie.

– Nie przez kogo, a przez co – odpowiedział Royce. – Jednego z tych

kamiennych gargulców z Grom Galimus.

– Gargulca?! – zapytał Roland, wymawiając to słowo z nietajonym niedowierzaniem.

Royce skinął głową.

– Kamienny posąg, któremu zwykle wystarczy, że siedzi wysoko na katedrze i który tym razem postanowił z niej zejść. W szczególności nie spodobałem mu się ja i... – Spojrzał na krwawą kałużę. – Mir, która nazywała się Mercator Sikara.

Roland popatrzył. Otworzył usta. Stał tak przez chwilę, aż zamknął usta z powrotem i rozejrzał się bezradnie.

– Nie... Nie wiem, co o tym myśleć.

– Na szczęście ja mam pewne pojęcie – odpowiedział Royce. Wyjął dwa pergaminy. – To dla ciebie. Od Hadriana, list z wyjaśnieniem, dlaczego musisz zaprowadzić mnie i Mercator do księcia i nalegać na audiencję. Chociaż teraz będziemy musieli zadowolić się tylko moją osobą.

– A drugi? – Roland wskazał na pergamin, ale po niego nie sięgnął.

Facet jest o wiele bystrzejszy, niż myślałem. To dobrze, bo czy to nam się podoba, czy też nie, musimy współpracować.

– To? – Royce uniósł list od Genny Winter. – Jeśli będziemy mieli szczęście, to broń, która może zapobiec jutrzejszej rzezi.

Roland nadal patrzył skonsternowany. A potem coś zrozumiał.

– Podczas Uczty Arystokracji?

– Właśnie. Musimy zobaczyć się z księciem. Natychmiast.

* * *

Wyspa Gubernatora to dziwna nazwa dla starodawnej rezydencji książęcej, ale Royce domyślał się, że ma to coś wspólnego z tymi bzdurami, o których rozprawiała Evelyn. Miejsce w żaden sposób nie wyglądało jak książęcy zamek. Typowy brzydki mur otaczał Posiadłość, ale nie pasował do reszty wyspy – był nowy i niedbale wybudowany w porównaniu ze wszystkim, co znajdowało się w jego obrębie, a co wzniesiono z nadzwyczajną precyzją. Ceglane ścieżki

prowadziły przez trawniki i wzdłuż przyciętych żywopłotów. Jedna wiodła przez mały sad i ogród do stajni, powozowni, koszar i kuchni zbudowanej poza główną rezydencją. Wszystko zbudowano z gładkiego kamienia bez odrobiny widocznej zaprawy.

Sama Posiadłość była rozległą wiejską rezydencją wzniesioną z takiego samego, precyzyjnie przyciętego kamienia. Elita z Colnory mogłaby uznać ją za willę. Miała dwa piętra, liczne mansardy oraz portyk z kamiennymi kolumnami. Royce zliczył pięć kominów i dwadzieścia dziewięć przeszklonych okien od frontu, w tym okrągłe w zwieńczeniu portyku. Na samym szczycie powiewała książęca flaga poniżej barw Alburnu. Ścieżka zataczała koło przed frontowymi drzwiami, delikatny żwir sąsiadował ze schludnym brzegiem trawnika, przystrzyżonymi żywopłotami i wczesnymi fioletowymi kwiatami, których Royce nie potrafił rozpoznać. Styl całości był swobodny, wykwintny, w niczym nie przypominał domów arystokracji z zachodu, skłaniających się ku nudzie i solidności, z naciskiem na solidność. W takich miejscach jak Warric i Melengar rezydencja księcia była prawie nie do odróżnienia od fortecy. Nawet co znaczniejsi rycerze mieszkali w szarych, kamiennych cytadelach o wąskich, pozbawionych szyb oknach. Za to ta rezydencja...

Jeśli mur był względnie nowym dodatkiem, Royce z trudem wyobrażał sobie, jak książę Rochelle mógł żyć w otwartym, pozbawionym obrony domu. Sam pomysł był niewiarygodny i niezgłębiony. Brak murów sugeruje brak wrogów, ale żaden władca nie pasuje do tego opisu, pomyślał. Czy starodawni władcy byli tak okrutni, że czysty strach zastępował mury? Może zamiast kamiennymi umocnieniami otaczali wyspę posterunkami pełnymi trupów... albo... Dziwna, obca myśl pojawiła się w głowie Royce'a, równie nieprawdopodobna jak wejście w towarzystwie kapitana do posiadłości księcia. Czy mury mogłyby być niepotrzebne, bo były to szlachetniejsze czasy? Takie, do których Hadrian doskonale by pasował? Royce rozmyślał nad tym, kiedy mijali kwitnące na żółto krzewy forsycji. Pod nogami chrząścił im żwir. Hadrian należy do grupy ludzi, którzy urodzili się za późno, a ja? Czy urodziłem się za wcześniej?

Royce nie zdziwił się, gdy okazało się, że otrzymanie audiencji w środku nocy to trudna rzecz nawet dla kapitana straży. Wyberg musiał zastraszyć wartowników przy bramie, którzy marudzili, że nie jest umówiony. Przy frontowych drzwiach musiał przypomnieć dwóm mężczyznom o swojej randze, żeby w ogóle wejść do foyer.

Royce podniósł wzrok i zobaczył otwarte okno na drugim piętrze. Mógłby już dawno wejść do sypialni księcia, ale wtedy spotkanie nie zaczęłoby się w serdecznej atmosferze.

Wewnątrz posiadłość robiła jeszcze większe wrażenie. Foyer było wielkości sali balowej i zostało ozdobione rzeźbami i obrazami, zamiast mieczy i tarcz, typowych dekoracji każdego poważnego lorda, który chciał podkreślić swoją siłę. Royce był pod dużym wrażeniem wielu dzieł sztuki. Kiedy odwiedzał podobne miejsca w przeszłości, zawsze tonęły w ciemności, a on za bardzo się śpieszył, żeby przyrzeć się wyposażeniu. To miejsce było eleganckie, ale nie chciałby tu mieszkać. Rezydencje bogaczy zawsze wydawały się zimne.

– Książę Leopold nie spotyka się ze swoimi żołnierzami w środku nocy – oznajmił książęcy szambelan, zażywny, łysiejący mężczyzna o twarzy ze zmarszczkami od stałego grymasu i ze schludnie przystrzyżonymi wąsami. Chociaż był nieuzbrojony i nie robił dużego wrażenia, to okazał się trudniejszym przeciwnikiem od wartowników i bramy. Z kciukami zaczepionymi o fałdę szlafroka na piersi stał i blokował im przejście. – Istnieje stosowna hierarchia, żeby zajmować się różnymi kłopotami.

– Właśnie, a ja jestem kapitanem straży – oznajmił Wyberg.

– Czy Jego Książęca Mość życzył sobie spotkania?

– Nie, ale sprawa jest nagła.

Szambelan jeszcze mocniej zmarszczył brwi.

– A czy to nie ty powinienes zajmować się takimi sytuacjami? Po co książę postawił cię na czele straży, jeśli nie po to, żeby spokojnie spać nocą? Jak widzisz, słońce już zaszło. Nie zwracamy księciu głowy drobiazgami, kiedy śpi.

– Drobiazgami! – wykrzyknął Roland. – Powiedziałem przecież...

– Sza! – Szambelan złożył dłonie i przechylił palce w stronę Rolanda. – Oto co zrobisz. Jutro rano, ale nie za wcześnie, możesz

przyjść i umówić się na spotkanie z książęcym urzędnikiem. Zważywszy na ucztę, jestem pewien, że będzie zbyt zajęty, żeby cię przyjąć, ale jeśli to naprawdę sytuacja kryzysowa... – spojrzał na Wyberga z powątpiewaniem – ...to zaprowadzi cię na spotkanie z książęcym sekretarzem, który oceni twoją prośbę i zdecyduje, czy wymaga audiencji. Jeśli tak, to twoja prośba zostanie przekazana książęcej radzie audiencyjnej, która przejrzy plany Jego Książęcej Mości i spróbuje znaleźć czas na spotkanie z tobą. Prawda, że to brzmi rozsądniej? Jestem pewien, że bez względu na problem poradzisz sobie przez chwilę.

– To nie może czekać! – krzyknął Roland.

Royce nie mieszał się do rozmowy. Wszedł za kapitanem i zachowywał się jak jego cień, poruszając się bezgłośnie po foyer i udając zainteresowanie dziełami sztuki. Przy wybuchach Wyberga szambelan rzucił tylko raz okiem na Royce'a, a potem już go ignorował. Royce przesuwiał się za szambelana, aż wyszedł poza jego pole widzenia. Dostrzegł obraz jelenia w dolinie rzeki, więc do niego podszedł. Chociaż nie było to najlepsze dzieło sztuki w sali, znajdowało się najbliżej korytarza. Royce podszedł do niego, a potem pochylił się, żeby lepiej się przyjrzeć.

– Muszę zobaczyć się z księciem tej nocy! – Wyberg krzyknął i uniósł ręce rozgniewany. – Nie masz pojęcia, co się dzieje! Jeśli nie...

– Uspokój się! – warknął szambelan, samemu unosząc ręce i wzdragając się, jakby Wyberg zamierzał się na niego rzucić.

Royce wykorzystał ten moment i wymknął się do niestrzeżonego korytarza.

Boazerie, płytki na podłogach i łukowate sklepienie pomalowane we wzory w książęcych barwach powitały Royce'a, kiedy pobiegł korytarzem. Poruszał się szybko, szybciej nawet, niż kiedy się włamywał. To było dziwne uczucie. Nigdy w życiu nie znalazł się w podobnej sytuacji i nie bardzo wiedział, jak postąpić. Co mam zrobić, jeśli przyjdzie mi rozmawiać ze służącym, albo, co gorsza, wartownikiem? Domyślał się, że zwyczajowe rozwiązanie może nie być najlepszym wyborem w zaistniałych okolicznościach. Przyszedł, żeby porozmawiać z księciem, a nie żeby go zabić. Albo kogoś z jego

służących. Działał na oślep. Szedł odważnie przez oświetlony dom, niezaproszony i niechciany. To było dziwne robić to bez zwykłych narzędzi, jakimi posługiwał się w takiej sytuacji.

To jest manewr bardziej w stylu Hadriana. Ten człowiek staje się naprawdę poważnym ciężarem.

Kiedy przeszukiwał rozległą rezydencję, szukając wskazówek, gdzie może przebywać książę, rozważał za i przeciw dalszej współpracy z człowiekiem, który najwyraźniej żył w innym świecie niż Royce. Szczerze lubił Hadriana, chociaż w tej chwili nie potrafił powiedzieć, dlaczego. Ale czy sympatia to wystarczający powód, żeby zrównoważyć ryzyko? Lubię wino montemorcey, ale za dużo wina może mnie zabić. Im dłużej o tym myślał, tym więcej podobieństw dostrzegał między Hadrianem i winem.

Jedno i drugie osłabia moją zdolność do rozsądnego myślenia, skłania do pochopnych osądów i w zbyt dużych ilościach przyprawia o ból głowy.

Mimo to najlepszy argument okazał się też najgorszy. Hadrian się mylił, pomyślał. Jednorożec istnieje w moim świecie i to cholerstwo nazywa się Hadrian Blackwater. Mityczne stworzenie, w którego istnienie nie sposób uwierzyć, nawet kiedy stoi przed moimi oczami.

Royce nigdy dotąd nie musiał w nic wierzyć, ale tak działają na śmiertelnika jednorożce. Sprawiają, że człowiek zaczyna rozważać rzeczy, jakie uważał za niemożliwe. Ponieważ, jeśli jednorożce okazywały się możliwe... to co jeszcze? W pewnym sensie Hadrian był mniej podobny do montemorceya, a bardziej do Alverstone'a. Może to dlatego Royce nie potrafił pozbyć się żadnego z nich.

Znalazł następne schody i wszedł po nich, domyślając się, że książę śpi wyżej. Doszedł na ostatnie piętro i odkrył, że tu rezydencja wygląda bardziej przytulnie. Zabarwione na ciemno drewno i gobeliny łagodziły ostre kanty. Stoliki z wazonami z bukietami wiosennych kwiatów dodawały miejscu charakteru. Drogie okna z grubymi zielonymi zasłonami zapraszały księżycowe światło i sprawiały, że rezydencja bardziej przypominała dom – dwupiętrowy dom rozmiarów małej wyspy i wypełniony bezcennymi dziełami sztuki, ale jednak dom. Royce minął otwarte drzwi i dostrzegł

pokojówkę, która szykowała łóżko przed snem. Nie zauważyła go, więc przemknął szybko obok drzwi.

Za to zauważył go chłopiec w białej tunice, który niósł tacę z porcelanowymi filiżankami i talerzami, ale nie odezwał się słowem. Po prostu przeszedł obok niego.

Całe życie źle to robiłem, pomyślał Royce. Najwyraźniej można po prostu wejść do rezydencji, zabrać, co się chce, i wyjść.

Spojrzał w korytarz z zamkniętymi drzwiami i rozważył następny ruch. Powinienem zapukać? Sama myśl wydała mu się absurdalna.

Usłyszał za plecami hałas i odwrócił się gwałtownie. Zobaczył, że pokojówka wyszła z sypialni, niosąc stos pościeli. Ona też go zobaczyła. Był tego pewien, ale pokojówka, tak samo jak chłopiec, nie podniosła wzroku, żeby spojrzeć mu w twarz. Odwróciła się gotowa odejść, a wtedy Royce wpadł na szaleńczy pomysł. To było coś, co mógłby zaproponować Hadrian.

– Przepraszam – odezwał się, czując się jak idiota – gdzie mogę znaleźć księcia?

I kiedy tylko to zrobił, zorientował się, że popełnił błąd. Nie był Hadrianem, a takie rzeczy tylko jemu się udawały. Może gdybym nosił coś w groszki...

– Myślę, że Jego Książęca Mość jest w bibliotece, proszę pana – odpowiedziała pokojówka. – Znowu ma kłopoty ze snem.

Royce spojrzał na kobietę oniemiały.

Najwyraźniej wzięła jego zdumienie za wyraz nieznamości rezydencji, bo dodała:

– Za rogiem. Pierwsze drzwi na lewo, proszę pana.

– Ach... Dziękuję – odpowiedział.

Skinęła głową i odeszła z naręczem pościeli.

Co to za miejsce? Tak, proszę. Tędy, proszę pana. Książę jest tutaj. Proszę go sobie wziąć, proszę pana. Może mu pan poderznąć gardło. Chce pan do tego herbatkę?

Royce pokręcił głową, patrząc, jak pokojówka odchodzi po schodach, a potem przypomniał sobie, po co tu przyszedł.

Drzwi do biblioteki były otwarte, więc Royce wszedł. Tutaj to, co nie było oknem, było regałem, chociaż książek było tam w gruncie rzeczy

niezbyt wiele. Na większości półek stały malowane talerze, rośliny w doniczkach, wymyślne rzeźbione szkatułki, modele żaglowców, a nawet szkielety i wypchane małe zwierzątka w różnych pozach. Wielka mapa zwieszała się z sufitu nad kominkiem, na którym płonął słaby ogienek. Książę stał przy jednym z okien i wyglądał na nocne niebo. Był łysiejącym, pulchnym człowiekiem z rodzaju tych, którzy w młodości byli silni i krępi, ale lata w bogactwie ich zmieniły. Stał bosy i miał na sobie długą koszulę nocną, spod której wystawały łydki z siwymi włoskami.

– Mój panie? – odezwał się Royce, starając się nie zabrzmieć jak złodziej. Książę nie zareagował i nadal wyglądał przez okno. Royce zbliżył się, jakby się zakradał do płochliwego królika, który w każdej chwili może czmychnąć. – Książę Leopoldzie?

Mężczyzna się obrócił.

– Och. Rozumiem. – Skinął głową, pojmując coś, co całkowicie umknęło Royce'owi. Może pomyślał, że zjawił się po naczynia albo przygotować łóżko przed snem.

Książę podniósł karafkę z bursztynowym płynem i nalał sobie trochę do kryształowej szklanki. Podsunął karafkę zachęcająco.

Royce pokręcił głową.

– Pozwoli pan, że ja jednak... – Nie czekał na zgodę i wypił, a potem wziął głęboki wdech. – Jestem gotowy.

– Na co? – zapytał Royce.

– Przyszedł mnie pan zabić, prawda?

Royce oniemiał.

– Wygląda pan na zaskoczonego.

– Ja... ehm...

– A co innego może pan robić w mojej rezydencji niezapowiedziany o tak później porze, w noc przed koronacją? Pańska peleryna i kaptur... Cóż, one dosłownie krzyczą „zabójca”.

Przynajmniej ktoś tu jest przytomny, pomyślał Royce. Oto co różni księcia od pokojówki – paranoja.

– Nie zamierzam narzekać – powiedział Leo. – Szczerze mówiąc, wyświadczy mi pan przysługę.

– Nie przyszedłem pana zabić.

Książę spojrział na niego z wyrazem twarzy, który wyrażał irytację.

– Nie?

– Nie.

– To prawdziwe rozczarowanie. – Książę się odwrócił. – To kim pan jesteś, u diabła? I co tu pan robi?

Rozległy się pośpiesznie kroki.

Royce wyjął pergamin zza pasa i podał arystokracie. Chwilę potem do biblioteki wpadli żołnierze. Będą musieli poczekać.

– Żeby panu to oddać.

Książę spojrział zdumiony na pergamin.

– Co to takiego?

– List – wyjaśnił Royce, kiedy strażnicy do niego podeszli. – Od pańskiej żony.

* * *

Czekał w miejscu, które nazywano salonikiem, ale dla Royce'a to był po prostu zbyt błyszczący średniej wielkości pokój, w którym ustawiono za dużo dzieł sztuki i za mało krzeseł. Zostawiono go samego. Nie obserwowały go żadne strażę, drzwi pozostały otwarte, nie skuto go ani nie związano. Nikt tego nawet nie próbował. To dobrze dla wszystkich zainteresowanych. Po przeczytaniu listu książę kazał swoim oprychom wypuścić Royce'a. A potem Leo Hargrave poprosił go tylko, żeby zaczekał. Royce doceniał fakt, że nie był to rozkaz. Więcej nawet, książę rzeczywiście powiedział „proszę”. Niemniej Royce nie przepadał za czekaniem, zwłaszcza gdy noc jest tak krótka i tyle zostało do zrobienia, jeśli Hadrian miał zostać wyciągnięty z szamba, w które sam wskoczył. Rolandowi także rozkazano czekać, ale potem wezwano go na przesłuchanie i Royce został sam. To miało miejsce jakiś czas temu.

W Posiadłości wisiało wiele obrazów. W samym tym pokoju było ich osiem. Jeden zwrócił uwagę Royce'a – portret mężczyzny, który niewątpliwie był Leopoldem. Dzieło było doskonałe i Royce czuł niepokój, jakby obraz był prawdziwą osobą siedzącą z nim

w saloniku. Wrażenie było tak silne, że podszedł przyjrzeć się portretowi. Jego wzrok przyciągnął podpis: „Sherwood Stow”. Powinienem być się domyślić, pomyślał.

Royce nie miał pojęcia, co Wyberg mówił księciu, i to go niepokoiło. Już sam fakt, że przebywał w kosztownie urządzonej sypialni pełnej rzeźb słoni i lani, nie wspominając o srebrnej zastawie do herbaty, sprawiał, że robił się nerwowy. Nie przebywał zwykle dłużej w takich miejscach, ale często je odwiedzał i nie mógł nie zauważyć tego, z jaką łatwością ukryłyby posążki pod peleryną, ani nie porachować, jaką fortunę dostałby za nie na czarnym rynku. W sypialni było chłodno mimo kominka, bo nikt nie zaprzął sobie głowy, żeby w nim rozpalić. Dlatego Royce siedział na drewnianym krześle obitym aksamitem, czuł, jak ogarnia go chłód, i zastanawiał się, co jeszcze tu robi.

Pomyślał, że przyszedłem go zabić. Gdyby ta robota potoczyła się zgodnie z moimi oczekiwaniami, tak właśnie by było.

Royce wyobraził sobie dwie różne ścieżki biegnące równolegle, tak blisko siebie, a tak różne. Przyjechał do Rochelle, żeby zabić Leopolda. Tego właśnie chciał Gabriel Winter. „Niech ten przeklęty książę i wszyscy, którzy z nim współpracowali, zapłacą krwią. Niech rzeka Roche spłynie czerwienią dla mnie i mojej Genny”. Royce przyjechał tą drogą, a jednak jakimś sposobem ją opuścił. Teraz znajdował się na innej, ale książę zakładał, że on wciąż jest na pierwszej. Royce czuł się tak, jakby wykonał zręczną sztuczkę, tak subtelną, że sam świat dał się nabrać.

A ja razem ze światem, pomyślał.

Kiedy tak siedział w zimnym i pustym pokoju, widział siebie na tej drugiej ścieżce.

Podkradłbym się do księcia, gdy patrzył na gwiazdy, i poderznął mu gardło, uważając, żeby złapać jego szklanekę i nie dać jej się rozbić. Ta rzeczywistość wydaje mi się prawdziwsza od tej. To powinienem był zrobić. Tak to powinno wyglądać.

Dla Royce’a to było abstrakcyjne – fakt, że stoi obok tamtej ścieżki i widzi historię, która się nie rozegrała. Jego trajektoria uległa zmianie, ledwie odrobinę, odchyliła się minimalnie, ale to

wystarczyło, żeby zamienić krwawą jatkę w dostarczenie listu.

„Spodziewałeś się palca?”

Royce spodziewał się mnóstwa palców, a nawet głów. Zamiast tego siedział w luksusowym pokoju i czekał na władcę miasta, żeby... Nie miał pojęcia na co czeka. Na tym polegał kłopot z tą nową ścieżką. Royce nie miał pojęcia, dokąd prowadziła. Nigdy dotąd nią nie szedł. Już zaczął myśleć, że czekanie na księcia jest równie mądre, jak słuchanie Hadriana, kiedy wszedł Leopold.

Był ubrany, ale nie w wykwintne łasзки, jakich Royce spodziewałby się po władcy. Włożył wykrochmaloną koszulę, kamizelkę i zwykłe spodnie. Wyglądał jak skromny kupiec. Za nim przyszło pół tuzina mężczyzn, którzy byli lepiej ubrani, ale wyglądali na bardziej zmęczonych. O ile oni wyglądali jak dopiero co obudzeni, to Leo Hargrave promieniał jak nowo narodzony. Pogodny i uśmiechnięty podszedł do Royce'a i skinął mu głową.

– Zatem stary Winter pana wynajął – powiedział Leopold i przyjrzał się Royce'owi, wypatrując reakcji.

Royce w żaden sposób nie zareagował.

– Widzi pan, on mnie nienawidzi. Jest pan z Czarnego Diamentu, zgadza się?

Royce nadal milczał i tylko przeniósł przelotnie spojrzenie na Rolanda, kiedy ten wszedł do saloniku. Tak czy inaczej, Wyberg był jego adwokatem, jego liną ratunkową, która mogła wyciągnąć go z obecnej sytuacji, i dobrze było widzieć, że nadal tu jest. Dzięki temu, jeśli ten łajdak go zdradzi, Royce nie będzie musiał go szukać, żeby poderżnąć mu gardło.

– To nieistotne – powiedział książę ze śmiechem. – Może się pan uspokoić. W tej chwili jest pan moim najlepszym przyjacielem, a ja jestem pańskim dłużnikiem. – Leo zadrżał. – Dlaczego tak tu zimno? Zostawili pana w takich warunkach? Idioci. – Skrzywił się, a potem uniósł pergamin delikatnie, jakby to był noworodek. – Moja Genny żyje.

– Długo nie pożyje, jeśli...

– Wiem. Wszystko było w liście. Dać krasnoludom prawo do pracy, a Calijczykowi prawo do handlu. Przyznać mirom prawo do życia. To

nie jest coś, co mogę po prostu zmienić w ciągu jednej nocy. Gildie to potężne organizacje, ale Genny... – Potrząsnął znowu listem. – Przy niej nie ma chwili nudy i chwili spokoju. Ta kobieta już nad tym wszystkim pracowała. Naprawiała problem, jakim jest Rochelle. To kobieta interesów, sam pan rozumie. A Rochelle to straszliwy mętlak. To miasto dusi się od przepisów i procedur, kolejnych warstw protokołów i całych stuleci ciasnoty umysłowej i nietolerancji. Ona nie ma pojęcia na temat tych rzeczy. Nie zdawała sobie sprawy z niewykonalności zadania, którego się podjęła. Taka już jest. Nigdy nie mów tej kobiecie, że czegoś nie zdoła zrobić. Uzna to za wyzwanie. W tym wypadku wpadła na plan, zgodnie z którym członkowie obecnych gildii kupieckich i rzemieślniczych będą otrzymywać procent od zarobków Calijczyków i krasnoludów. Dała także do zrozumienia, że w przypadku odmowy podwyższy podatki od handlu wszelkimi towarami. Nic tak nie przemawia do biznesmenów jak pieniądze albo ktoś, kto im zagrozi. Okazuje się, że córka potentata handlowego z Colnory mówi biegle tym językiem. Prawie uzyskała zgodę, zanim zniknęła.

– Muszę wracać – powiedział Royce. – Potrzebuję dowodu, że ksiązę zamierza coś zrobić.

– Tak, wiem, Genny wspomniała o powstaniu. Cudny charakter pisma. – Ksiązę wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ma takie drobne, pulchne rączki, ale przepięknie pisze. Lata prowadzenia ksiąg rachunkowych, tak mi powiedziała.

– Jaki dowód może ksiązę przedstawić?

Hargrave wskazał swoich towarzyszy.

– Ci panowie to głowy gildii kupieckich i rzemieślniczych w tym mieście, z którymi Genny się spotkała. Są gotowi pomóc, zwłaszcza kiedy wyjaśniłem, że jeśli moja żona umrze, oskarżę ich o współudział w morderstwie i każę stracić ich wszystkich, co do jednego. – Leo spiorunował wzrokiem zaspanych mężczyzn.

– Król potępi egzekucję czołowych kupców – odezwał się jeden z nich.

– Jaki król?

Mężczyzna wyraźnie się speszył.

– Nie martwcie się. – Leo się uśmiechnął. – Bez wątpienia urządę proces zaraz po waszej śmierci, żeby rozwikłać szczegóły spisku. A skoro już o tym mowa, to możecie poskarżyć się nieżyjącemu królowi Reinholdowi, kiedy już go spotkacie.

Podoba mi się ten facet, pomyślał Royce.

– Lepiej będę już się zbierał.

– Kapitan Wyberg pójdzie z panem. Powodzenia, panie... Royce, zgadza się?

Złodziej westchnął i skinął głową.

– Royce – powtórzył książę z zaciekawioną, zamyśloną miną. – Słyszałem już kiedyś to imię.

– Chodźmy – powiedział Royce do Rolanda i szybkim krokiem ruszył do drzwi.

Nie chciał wiedzieć, jakie ciekawostki na jego temat odkrył książę.

Rozdział 22

Poranek nazajutrz

Nie mając nic innego do roboty, Hadrian zasnął. Obudził się z pierwszymi promieniami świtu wlewającymi się po drewnianych schodach z chałupy nad nimi. Wszyscy troje nadal przebywali w kamiennej piwnicy. Griswold siedział cały czas w tym samym miejscu, demonstrując cierpliwość i niewzruszoność skały. Nadal trzymał sztylet w gotowości. Seton zwinęła się obok Hadriana, wykorzystując go jak poduszkę, a jej włosy rozlały się jasną kałużą na jego podółku. Domyślał się, że chciała się przede wszystkim ogrzać, a może mieć pewność, że nic złego nie stanie się podczas jej snu.

Nikt mnie nie wykradnie, nie budząc mojej obrończyni, pomyślał.

Dla Hadriana, który zmarzł, chwyciły go kurcze i nie czuł rąk, ta piękna dziewczyna-mir była cudownym pocieszeniem. W blasku jutrzeńki, która sprawiała, że wszystko wydawało się nieskalane, była czymś więcej niż piękną osobą, czymś więcej niż kobietą. Podobnie jak pierwszy śnieg w roku jest czymś więcej niż śniegiem. Oboje wydawali się transcendentalni.

Jest taka lekka, zupełnie jakby spał na mnie kot, pomyślał.

Hadrian zawsze uważał, że koty są wybredne i nieufne. Musiały, będąc tak bardzo kruchymi stworzeniami. Kiedykolwiek kot siadał mu na kolanach, Hadrian czuł się wyróżniony, jakby kot wyrażał swoją aprobatę, która była swoistym darem.

Kiedy kot tak ci zaufa, własne ciało wydaje ci się więcej warte, myślał sobie.

A Hadrian nie czuł, że jest coś wart.

Zrobiłem jedną dobrą rzecz. Jak szybko czysta kropla deszczu znika w błotnistym jeziorze? Ilu ludzi zabiłem tamtej nocy? Nawet nie pamiętam.

W opowieści Seton był potworem, który zjawił się, żeby zabijać i okaleczać. Hadrian nie miał wiele złudzeń co do tamtych czasów. Jego wspomnienia stawały się coraz gorsze w miarę, jak podróżował na wschód, gdzie cywilizacja sprowadzała się praktycznie do niewygodnej filozofii. Mimo to nigdy nie myślał o sobie jak o kimś złym.

Ale przecież byłem. Może nadal jestem.

Spojrzał w dół. Seton miała zamknięte oczy, jej pierś unosiła się i opadała delikatnie i bezgłośnie. Może miała sto lat i była świadkiem różnych okropieństw, kto wie, może nawet w jakichś uczestniczyła. Może miała mnóstwo skrywanych potwornych wyrzutów sumienia. Kto ich nie ma? Jednak w tym wybaczącym świetle była równie niewinna jak świeży pączek kwiatu i była jego wybawczynią.

Koty nie śpią na potworach, prawda? – pomyślał.

Hałasy sprawiły, że Griswold obrócił głowę, a Seton się obudziła. Wszyscy troje nasłuchiwali. Głosy dochodziły z zewnątrz. Dźwięk przesączał się przez ściany chaty nad nimi i skapywał przez szpary w deskach podłogi, ale nie dało się zrozumieć słów. Tożsamość rozmówców była równie mglista. Mężczyźni i kobiety, tylko tyle potrafił rozpoznać Hadrian. Niezbyt wiele osób, ale się zbliżały.

Krasnolud wstał.

– Albo wrócił twój przyjaciel, albo skończył się twój czas. Jeśli nas zdradził...

Wskazał Hadriana sztyletem, starym, matowym ostrzem. Tym samym rzeźbi figurki? – zastanawiał się Hadrian. Po tym, jak widział go z rodziną i zobaczył piękno, jakie wykrzesał z drewna, Hadrian nie potrafił uwierzyć, że Griswold potrafiłby zabić. Jednak zdarzało mu się już mylić.

Może w społeczności kamieniarzy rzeźbienie w drewnie jest oznaką szaleństwa, pomyślał. Griswold może być szalonym mordercą, którego nikt o to nie podejrzewa. Hadrian poznał paru takich. Młodzi

żołnierze, na ogół cisi, o których zwykle się martwił, że nie poradzą sobie z zadaniem, ukazywali inne oblicze podczas walki. Normalnie powściągnięci przez normy społeczne odnajdywali swoistą wolność w walce, której nigdy nie zaznali w codziennym życiu. Zabijanie, ostateczne tabu, stało się niezbędne, żeby obniżyć napięcie narastające w związku z potrzebą dostosowania się. Po walce wracali do swojego życia cieni, ale smak krwi działał jak zakażenie. To oni zgłaszali się na ochotnika do misji, ale po wojnie wpadali w kłopoty. Zabójcy kryjący się na widoku, szczelnie zamknięte gotujące się garnki. Griswold mógł być kimś takim.

Hadrian poczuł, że Seton zeszywniała, jakby naszła ją ta sama myśl. A potem ona także poderwała się na równe nogi, wpatrując się w sztylet.

– Taką mieliśmy umowę – powiedział jej Griswold.

Hałasy narastały. Rozległy się kroki na podłodze chaty, dudnienie nad ich głowami.

– Hadrian?! – wrzasnął Royce.

Griswold przesunął się od schodów w stronę Hadriana.

– Nie! – Seton poruszała się z zadziwiającą szybkością. Rzuciła się pomiędzy nich, unosząc ręce i broniąc Hadriana, który sam nic nie mógł zrobić.

Griswold miał ponurą minę. A Hadrian się z tego ucieszył. Przynajmniej nie chce mnie zabić. Albo może żałuje, że będzie musiał zabić Seton.

– Stój! – padł rozkaz ze schodów, po których schodziła Selie Nym. – Griswoldzie Dingie, odłóż sztylet! W tej chwili, słyszysz?

– Dlaczego? Co się stało? Gdzie Mercator i Villar?

– Mercator Sikara nie żyje – odpowiedziała Calijka.

To nie wpłynęło dobrze na krasnoluda, a jego twarz z ponurej zamieniła się w rozgniewaną.

– To ten mały ją zabił?

Royce dołączył do Selie, a Griswold mocniej zacisnął rękę na sztylcie. Hadrian się podniósł.

Krasnolud warknął wściekle.

– Co się stało z Mercator? Nie widzę...

– Właśnie, Griswold, ty niczego nie widzisz! – Wdowa była wściekła.
– Mercator Sikara została zamordowana. I to twoja wina!

– Moja? Nie bądź śmieszna! Całą noc siedziałem tu z nimi.

– Mercator została rozerwana na strzępy przez golema!

Równie dobrze mogłaby wylać na krasnoluda kubeł zimnej wody i otrzymałaby tę samą reakcję. Zamarł – nie tylko nie zbliżał się już do Hadriana, ale przestał nawet oddychać. Szczęśliwie dla Griswolda, bo Royce wyminął wdowę i trzymał już Alverstone’a gotowego powiedzieć „dzień dobry”.

– Wypuść sztylet albo stracisz rękę – rozkazał mu Royce głosem, który nie pozwalał na wahanie i sprzeczeki.

Griswold wypuścił ostrze i cofnął się, nadal wpatrując się ze zgrozą we wdowę po Erasmusie.

– Do diabła – zaklął Royce, odkopując sztylet z dala od krasnoluda. – Nigdy nie wybiorą tego, co ja wolę.

Krasnolud cofnął się aż pod ścianę, odsuwając się coraz bardziej od Royce’a.

– Nie rozumiem. Jak golem mógł zabić Mercator?

– Ty mi powiedz, ty mała brodata namiastko szczura! – Wdowa gotowała się z wściekłości. – Erasmus zawsze był przeciwny tym stworom, tym złym, obrzydliwym potworom, a teraz... Teraz... – Odetchnęła głęboko, żeby zapanować nad sobą. – Kogo nauczyłeś tej złej magii? Widzisz, jaką cenę ponieśliśmy? Mercator nie żyje, tak samo jak mój Erasmus!

– To on zabił twojego męża! – Griswold wskazał Hadriana.

– Nieprawda. – Seton spojrzała z rozpaczą na Selie.

Wdowa poklepała ją po policzku.

– Skarbie, myślisz, że uwierzyłabym w cokolwiek, co padnie z jego ust? Twarz Erasmusa została praktycznie odgryziona. To, co przydarzyło się mojemu... mojemu... To nie było dzieło człowieka.

– Ja... – zaczęła Seton.

Wdowa już się nią nie zajmowała, ale skupiła się na Griswoldzie.

– Tylko ty wiesz... tylko ty... – Oparła ręce na biodrach i zmrużyła oczy w taki sposób, w jaki patrzą łucznicy celujący w drobną zwierzynę. – Setki ludzi widziały golema tej nocy na placu! Kamienny

potwór zląkł po ścianie katedry, wdarł się do galerii i rozerwał tę biedną kobietę na strzępy. Najpierw mój Erasmus, a teraz Mercator. A wszystko to z powodu...

– To nie ja. Ja byłem tu z nimi. – Wskazał Hadriana i Seton.

– Ale pokazałeś innym. Tylko ty wiesz, jak to działa. Kogo jeszcze nauczyłeś tej plugawej czarnej magii? Kto jeszcze potrafi obudzić golema?

Griswold pochylił głowę.

– Tylko nasza trójka. Musiałem, rozumiesz, na wszelki wypadek. Żeby żadna osoba, żadne stronnictwo nie miało przewagi nad pozostałymi, żeby każda rasa dysponowała taką samą siłą. Umiałem ja, twój mąż...

Spiorunowała go wzrokiem.

– I kto jeszcze?

– Villar – powiedział Royce, przecinając więzy Hadriana.

Spojrzenie krasnoluda potwierdzało jego słowa.

– Mercator się domyśliła – powiedział Royce. – Villar nie zostawił listu z żądaniami. Posłużył się brakiem działań ze strony Leopolda, żeby szerzyć niezadowolenie i rozpalić swoją krwawą wojenkę. Próbował uniemożliwić nam dotarcie do księcia. Mercator próbowała przemówić mu do rozsądku, ale nie skończyło się to najlepiej.

– Dotarliście do Posiadłości? Zdołaliście zobaczyć się z księciem? – zapytał Hadrian.

Royce pokiwał głową.

– Właśnie urządził spotkanie z Wybergiem i przywódcami gildii w ratuszu. Dyskutują o planach księcia i nadchodzących zmianach. Wygląda na to, że przynajmniej tyle Mercator osiągnęła. Nie będzie żadnej rewolucji. – Spojrzał na Hadriana. – Powiedziałem Rolandowi, że zajmiemy się odstawieniem księżnej z powrotem do Posiadłości.

Hadrian poczuł straszliwe szpilki w palcach, kiedy krew z powrotem do nich napłynęła. Ku jego zaskoczeniu zapłakana Seton wzięła je w dłonie i zaczęła rozcierać. Kiedy odzyskał normalne czucie w rękach, klasnął w nie i je zatarł.

– Weźmy moje miecze i ruszamy. To gdzie jest księżna? – zapytał Royce'a.

– Nie wiem.

Spojrzał na Griswolda.

Krasnolud zaczął kręcić głową, chociaż Hadrian wątpił, żeby robił to świadomie. Miał ten zagubiony, przerażony wyraz twarzy, jakby właśnie obudził się z krwią na rękach.

– Nie wiem. Nikt nie wie.

– Jak to nikt?! – zapytał Hadrian.

– Za księżną odpowiadali mirowie i tylko Villar i Mercator wiedzą, dokąd ją zabrali. Jednak to nie księżna jest prawdziwym problemem.

– A co nim jest? – spytał Hadrian.

– Jeśli Villar nie chce reform, a tylko rozlewu krwi i walki, to...

– To nic z tego. Nie ma już tłumu, który pójdzie za nim...

– Nie potrzebuje niczyjej pomocy. Nie rozumiesz – przerwał mu blady Griswold. – Potrafi stworzyć golema. Nie masz pojęcia, jakich szkód mogą narobić.

– Myślę, że ja mam całkiem niezłe pojęcie na ten temat – odezwał się Royce. – Jeden ścigał mnie przez większość nocy.

– Zaufaj mi, może być znacznie gorzej.

– Ale dlaczego? – dopytywał się Hadrian. – Dlaczego Villarowi tak bardzo zależy na walce?

Royce wzruszył ramionami.

– Z powodu frustracji, dla zemsty, z nienawiści. Bo obwinia innych za swój los. Bo ojciec nigdy go nie doceniał. Bo pogoda była ostatnio brzydka. Sam wybierz. Ludzie mają niewyczerpane źródło powodów, żeby siać spustoszenie.

– Jednakże w tym wypadku Villar ma jedyną w swoim życiu okazję – powiedział Griswold. – Potrafi stworzyć potwora, a później tego dnia wszyscy arystokraci z Alburnu, ludzie, których Villar obwinia za swoje nieszczęścia, zbiorą się w jednym miejscu. Wystarczy mu chwila, żeby przedrzeć się przez ten tłum.

Hadrian pokręcił głową.

– Ostatni golem Villara musiał zrobić spore wrażenie. Ludzie będą się trzymać z dala. Pewnie właśnie uciekają z miasta.

– Mówimy tu o arystokratach, którzy rywalizują o koronę – powiedział Royce. – Nikt się stąd nie ruszy.

Selie Nym skinęła głową.

– To Villara musimy znaleźć. – Odwróciła się do krasnoluda. – Może nie wiesz dokładnie, gdzie jest, ale coś wiesz. Coś, co zawęzi poszukiwania.

Griswold pokiwał głową.

– Żeby stworzyć golema, trzeba znajdować się na poświęconej ziemi.

– Co to znaczy? – spytał Royce.

– Musiała zostać pobłogosławiona, uświęcona. W przeciwnym wypadku to samobójstwo.

– Dlaczego?

– Stworzenie golema wymaga uwięzienia demona i zmuszenia go, żeby wszedł do posągu. One tego nie lubią i pierwsza osoba, jaką zabiją, to stwórca golema. Golemy nie mogą wejść na poświęconą ziemię, więc to jedyne bezpieczne miejsce dla stwórcy. Jeśli nie mogą dopaść jego, muszą stać się jego marionetkami.

– Czy to ma coś wspólnego z pudełkami, które rozdawałeś? Trzeba to rozrzucić wokół siebie, czy co? – zapytał Hadrian.

– Nie. W pudełkach były pozostałości, odpadki i odłamki, które powstały przy rzeźbieniu posągów. Za ich pomocą stwórca golema może ożywić posąg związany z tymi kawałkami. Plan był taki, że Erasmus, ja sam i Villar stworzymy golemy, żeby pomogły podczas powstania. Ja miałem posłużyć się kościołem koło cmentarza. Tam, gdzie mnie widzieliście, jak dawałem pudło ze zwirem Erasmusowi.

– To gdzie jeszcze można to załatwić? – spytał Hadrian. – Dowolny cmentarz wystarczy? Jakiś kościół?

– W tym rzecz. W Rochelle nie ma zbyt wielu miejsc, które spełniają wymogi. Nie wystarczy rozrzucić wokół siebie soli i wypowiedzieć kilku magicznych słów. Miejsce musi znajdować się w ognisku mocy. – Griswold popatrzył na nich i znowu westchnął. – Trudno to wytłumaczyć komuś, kto nie jest krasnoludem. Nawet niektórym z nas trudno to zrozumieć. Tak wiele starych tradycji przepadło, odkąd rozproszyliśmy się po upadku imperium. – Złożył dłonie razem, jakby chciał nabrać wody. – Rzecz w tym. Istnieją miejsca na świecie, naturalne miejsca, w których zbiera się moc. Słyszeliście o takim

miejscu jak Avempartha, prawda? To jeden przykład, Drumindor to drugi. Moc wznosi się do powierzchni i ludzie budują tam różne rzeczy, żeby wykorzystać tę siłę, często nawet nie wiedząc, czemu to robią.

– Grom Galimus? – podsunął Royce.

Griswold skinął głową.

– Tam Erasmus... – spojrzał na wdowę i się skrzywił – ...miał stworzyć golema. Villar miał działać w jakimś innym miejscu.

– Gdzie?

– Nie wiem. Nikomu nie chciał powiedzieć.

– Jak długo stwórca może kontrolować golema? – zapytał Royce.

– To kwestia siły woli. Stwórca musi sterować działaniami golema. Widzi jego oczami i kieruje jego ruchami. Golem jednak nienawidzi tego, więc przez cały czas trzeba być skoncentrowanym i uważać na to, jak długo utrzymuje się połączenie. Zbyt długie kontrolowanie golema może być niebezpieczne.

– W jakim sensie?

– Trzymaj się go za długo, a stracisz duszę i na zawsze zostaniesz uwięziony w golemie. Wtedy staje się nieśmiertelny i jest prawie niezniszczalny.

– Aha, w porządku – zgodził się Royce – to rzeczywiście kiepsko. Ile potrzeba na to czasu?

– Zwykle staramy się nie utrzymywać połączenia dłużej niż przez kilka godzin, ale w tym czasie golem może narobić ogromnych szkód. Najlepszy sposób, żeby powstrzymać stwórcę golema, to przerwać połączenie.

– A jak tego dokonać? – spytał Royce.

– Odwrócić jego uwagę, zagrozić mu, zabić go.

– Czyli połączenie znika, kiedy stwórca ginie?

– Tak.

– Dla mnie to brzmi jak gotowy plan. – Uśmiech wypłynął na usta Royce'a.

– Myślę, że wolałbym powstrzymać go, zanim stworzy następnego golema – dodał Hadrian, ruszając w kierunku schodów.

– Co zamierzacie? – zapytał Griswold.

Hadrian wzruszył ramionami.

– Zwykle improwizujemy.

* * *

Mir czekała u szczytu schodów. Bez słowa wręczyła Hadrianowi broń. Kiedy przypasał miecze, pobiegł, żeby dogonić Royce'a.

– Jaki mamy plan? – spytał, gdy szli ulicą.

Wiedział, że nazywa się Centralna tylko dzięki temu, że nazwa została schludnie namalowana na drewnianym znaku drogowym, który bardziej kochały ptaki niż mieszkańcy – dowodziły tego białe smugi na tabliczce i słupku. Ulica, na ile Hadrian się orientował, prowadziła na zachód w stronę placu. Wiedział to nie dzięki coraz lepszej orientacji w mieście, ale ponieważ widział iglice Grom Galimus dokładnie przed sobą. Jako zdecydowanie najwyższy budynek w mieście zawsze majaczyła ponad dachami domów.

– Nie bardzo wiem. Zastanawiam się.

Byli sami tak, jak to tylko możliwe rankiem w tłoczonym mieście, które ożywa już o świcie. Griswold, Seton i Selie Nym zostali, żeby pomóc Rolandowi powstrzymać wybuch rebelii.

– Szczęśliwego pierwszego dnia wiosny – powiedział Hadrian, ziewając, kiedy mijali sklep, gdzie właściciel obracał tabliczkę, pewnie pierwszy raz w tym roku. Wcześniej widniał na niej napis „Suszone zioła”, ale teraz oznajmiała: „Świeże kwiaty”.

Royce rzucił mu spojrzenie z ukosa.

– Nie rób tego więcej.

– Masz coś przeciwko wiosnie? Od kiedy to?

– Nie proponuj, że zostaniesz zakładnikiem.

– A, o to ci chodzi. – Hadrian znowu ziewnął. Niewiele spał i zaczynał odczuwać tego skutki.

– Nie żadne „o to ci chodzi” – zbeształ go Royce, w upiorny sposób przypominając Evelyn Hemsworth. – Tu nie ma nic do śmiechu. Postawiłeś mnie w trudnej sytuacji.

– Ja ciebie postawiłem w trudnej sytuacji?! Sam siebie w niej

postawiłem.

– Zrobiłeś jedno i drugie. W naszym zawodzie związki są ciężarem, a lojalność to słabość. Przez to się ginie. Gdyby cię złapali i zamknęli, to byłoby w porządku, ale ty...

– Jakim cudem to byłoby w porządku?

– Wtedy po prostu bym ich zabił – odrzekł Royce tonem tak rzeczowym, że Hadrian nawet nie próbował podważać tego jako przechwałki.

W przypadku kogoś innego Hadrian uznałby to za napuszoną przechwałkę, ale Royce się nie popisywał, nie przesadzał, żeby dać mu coś do zrozumienia. Mówił poważnie i dla niego to była po prostu kwestia praktyczna. Podstawowa zasada w pracy. Tak samo jak to, że nie przerzucasz gnoju, stojąc pod wiatr.

– Ale wtedy ty na ochotnika zgłosiłeś się do roli zabezpieczenia – ciągnął Royce – i postawiłeś mnie w niezręcznej sytuacji. Stawka wzrasta, a ja nie mogę wycofać się, kiedy sprawy przybiorą parszywy obrót, jak to było w tym wypadku.

– Czy w ten sposób próbujesz mi powiedzieć, że się o mnie troszczysz?

Royce nadal odgrywał Evelyn Hemsworth, robiąc minę, która mówiła „nie mogę uwierzyć, że naprawdę istniejesz”.

– W ten sposób próbuję ci powiedzieć, że jesteś idiotą i że jeśli następnym razem zrobisz coś równie głupiego, to po prostu pozwolę, żeby cię zabili.

Hadrian się uśmiechnął.

– Naprawdę mnie lubisz, co?

– Zamknij się.

– Teraz jest mi głupio. Nic ci nie kupiłem z okazji pierwszego dnia wiosny.

Royce przyśpieszył kroku, kręcąc głową.

Słońce ledwie co wstało, ale dzień już zdradzał, że będzie piękny. Niebo było niebieskie, słońce świeciło jasno, było cieplej niż przez ostatnie dni. Ptaki budowały gniazda pod okapami sklepów, których właściciele otwierali szerzej zimowe okiennice, żeby wpuścić do środka ptasie trele. Jak rzadko zdarza się, że pierwszy dzień wiosny

spełnia wszelkie oczekiwania. Ta myśl malowała się na twarzach wszystkich ludzi, którzy wynurzali się z ciemnych domów, żeby świętować odrodzenie. Matki ubierały dzieci w odświętne ubrania, wypowiadając surowe ultimatum i przekazując srogie zasady, które zabraniały im wszystkiego poza staniem nieruchomo. Młode kobiety wybiegały na ulice podobne do rozkwitających kwiatów, kiedy okręcały się w jasnożółtych, różowych i zielonych sukienkach, podekscytowane tym, że mogą zwrócić uwagę jednej albo dwóch przystojnych pszczoł.

Nie było zwyczajowych handlarzy na placu. Nawet oni mieli wolny dzień. Na ich miejscu rozstawiały się orkiestry, podczas gdy mężczyźni w kamizelkach, pelerynach i błyszczących butach z klamerkami poruszali się niezdarnie, rozstawiając bankietowe stoły albo odgradzając sznurami place do tańców. W jednym miejscu musiano ominąć fragment strzaskanego bruku, który tworzył paskudny krater. Hadrian zauważył, że chociaż wyczyszczono schody galerii, nadal miały rdzawe zabarwienie, a jedno skrzydło pięknych drzwi było poobijane i rozerwane. Poranne światło i nowa pora roku zatarły niemal całkowicie ślady tragedii minionej nocy, ale tak jak o zimie, nie zapomniano całkiem o tym nieszczęściu. Ludzie na placu obchodzili krater i unikali schodów galerii. Mimo to konsekwentnie przygotowywali się do świętowania początku wiosny. Przetrwanie często sprowadzało się do tego, żeby iść naprzód. To była kwestia pozostawienia wczorajszego dnia w przeszłości, a zaczynało się to od postawienia jednej stopy przed drugą, przypomnienia sobie, jak się uśmiechać, jak tańczyć, a zwłaszcza tego, że śmiech nie oznacza braku szacunku, lecz jest czymś niezbędnym.

Uwagę Hadriana przyciągnęła wielka procesja – dziesięciu mężczyzn szło mostem, niosąc potężny, przybrany girlandami słupek. Niesiono go na plac, gdzie zostanie ustawiony. Ciągnęły się za nim różnobarwne wstążki. W rodzinnej wiosce Hadriana, Hintindarze, też ustawiano podobny słupek, ale nie aż tak wysoki. Wyobrażał sobie, że robiono to w każdym mieście. W Rochelle planowano obchody na skalę, której Hadrian nie potrafił sobie wyobrazić. Wyczuwał energię i niecierpliwość ludzi, chciał do nich dołączyć, pomóc ustawiać słupek,

przetaczać beczki, znaleźć partnera do Króliczego Biegu i Kwietnej Piłki. Wciąż jednak mieli robotę.

Jakby dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, że idzie, Royce się zatrzymał. Wziął głęboki wdech i westchnął sfrustrowany.

– Co się stało?

– Nie mam pomysłu. Tylko Villar wie, gdzie przebywa księżna. – Royce się rozejrzył po ciasno stojących budynkach. – A to może być gdziekolwiek!

– Nie – odpowiedział Hadrian. – To musi być specjalne miejsce, święte miejsce.

– Jasne, w porządku, ale co uważa się za święte albo specjalne w Rochelle? Wiesz? Bo ja nie. Na tym polega problem z przyjmowaniem zleceń poza naszą okolicą. Nawet Griswold, który pewnie mieszkał tu całe życie, zna tylko dwa takie miejsca. A skoro Erasmus miał skorzystać z katedry, a krasnolud ze starego kościoła, to gdzie wybierał się Villar? Griswold wspomniałby o innych miejscach, gdyby je znał.

– Najwyraźniej Villar zna jeszcze co najmniej jedno więcej – powiedział Hadrian. – Jest mirem, a mirowie długo żyją, prawda? Zatem to może być jakieś stare miejsce. O którym wszyscy inni zapomnieli.

– I w jaki sposób to nam pomaga?

– Może potrzebujemy kogoś, kto dobrze zna historię Rochelle. – Hadrian się uśmiechnął. – Przychodzi ci do głowy ktoś taki?

Royce wytrzeszczył oczy.

– O, nie, nie możesz mówić tego poważnie.

Rozdział 23

Modlitwa do Novrona

Podobnie jak reszta miasta ulica Młynarska uległa przemianie. Cicha okolica z szacownymi kamiennymi domami została ozdobiona fantazyjnymi dekoracjami. Niemal na każdym domu pod oknem wisiała girlanda z wiosennych kwiatów i pastelowych wstążek. Niektórzy właściciele domu rozciągnęli girlandy pod dwoma oknami, więc wyglądały jak uśmiechnięte twarze o kwietnych ustach i sproszowanych oczach. Tu także zebrały się grupki mieszkańców, gawędzących na ulicy, na której nie było takiego ruchu jak zwykle. Większa grupa kobiet w krynolinach stanęła przy latarni, którą ozdobiono zieloną wstążką. Jedna pochyliła się, żeby pogłaskać małego mopsa.

– Gdzie żeście się podziewali?! – wykrzyknęła Evelyn, kiedy tylko weszli do domu. Miała ciasno skrzyżowane ręce i stała obok stołu z nietkniętym jedzeniem. – Już myślałam, że was oswoiłam, udowodniłam, że da się udomowić dzikie zwierzęta. – Spojrzała na wspaniałą bankiet, jaki przygotowała, jakby miała się rozpłakać. – Ale nawet dzikie zwierzę... – Machnęła na stół. – To w końcu jedzenie. Nawet zwierzę z jaskini potrafi zjawić się na czas, żeby zjeść.

– Ogromnie przepraszamy – powiedział Hadrian. – Zatrzymało nas coś, na co nie mieliśmy wpływu.

– W czym więzieniu?

Royce wytarł nogi na wycieraczkę i zdjął pelerynę. Hadrian zdjął pas z mieczami. Potrzebowali jej pomocy i nie mogli zirytować Evelyn

jeszcze bardziej.

– Książę was złapał czy to jakiś zbir was zamknął?

– Dlaczego uważa pani...

– Och, doprawdy! – Nachmurzyła się i podkasła suknię, idąc do szczytu stołu. Royce podszedł szybko i odsunął dla niej krzesło. Zmarszczyła brwi. – Jeśli wyglądam dla was na kogoś głupiego, to proponuję, żebyście kupili sobie laski, które pomogą wam chodzić jak wszystkim innym, których Novron pokarał ślepotą. Dziwi mnie tylko to, że srebra mi nie poginęły, co, nawiasem mówiąc, jest jedynym powodem, dla którego nadal tu jesteście. Mam przyjaciół na dworze księcia. Mój mąż był tam bardzo lubiany, wiecie? W pewnym sensie bardziej on niż książę wypłacał im pensje. Dopilnowałabym, żebyście wylądowali w łańcuchach, gdyby zginęła z tego domu choćby wykałaczką.

– Nawet nie widziałem tu wykałaczek. – Royce zerknął na Hadriana. Hadrian pokręcił głową.

Evelyn przekrzywiła głowę i zerknęła na obu surowo.

– W tej chwili nic, co powiecie, nie usprawiedliwi was w moich oczach. Powiedziałam: żadnych szachrajstw, prawda? Żadnych szemranych interesów. A tu proszę. Od razu bym was wyrzuciła, ale nie mogę znieść myśli, że zmarnuje się tyle jedzenia. Dlatego siadajcie i zjedzcie swój ostatni posiłek pod moim dachem. Zaraz potem proszę zabrać swoje rzeczy i opuścić ten dom. Nie chcę mieć z wami nic więcej do czynienia.

– Ale... – zaczął Hadrian.

Uciszyła go uniesieniem ręki.

– Nie! Nie chcę słuchać waszych wymówek! Jedzcie, a potem się wynoście. Jajka się zmarnowały, wypieki pewnie stwardniały, ale to wasza wina.

Usiedli więc na krzesłach. Hadrian wyciągnął rękę, żeby zdjąć pokrywki z talerzy z jedzeniem, ale Royce go powstrzymał.

– Na co czekacie? – zapytała poirytowana Evelyn.

– Nie podziękowaliśmy. – I zanim Evelyn zdążyła odpowiedzieć, Royce pochylił głowę. – Dziękujemy ci, Panie Nasz Novronie, za jedzenie, które przygotowała dla nas pani Hemsworth,

i przepraszamy za spóźnienie. Nie siedzieliśmy w więzieniu. Hadrian w pewnym sensie tak, ale tylko dlatego, bo na ochotnika narażał własne życie, żeby uratować księżną Rochelle. Ona nadal żyje, nawiasem mówiąc, ale więzi ją niebezpieczny mir, ten sam, który ożywił gargulca i poranił tych wszystkich ludzi na placu. Ach, i zabił Mercator Sikarę, kobietę, która tylko próbowała zaprowadzić pokój między biedotą i arystokratami. Zginęłoby jeszcze więcej ludzi, gdybym nie zdołał zwabić gargulca na dach Grom Galimus i sprawić, że z niego spadł i roztrzaskał się na placu. Mimo to nadal moglibyśmy zdążyć, ale nie znaleźliśmy mira, który więzi księżną, i trochę się śpieszymy, bo w każdej chwili może ją zabić. I w dodatku on zamierza doprowadzić dzisiaj do rozlewu krwi. Zatem, Panie Novronie, byliśmy ciupkę zajęci. Mamy nadzieję, że zrozumiesz i wybaczysz nam opieszałość.

Royce spojrział na Evelyn, która patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Obyśmy okazali się warci twojej dobroci – podsumowała modlitwę, patrząc szeroko otwartymi ze zdumienia oczami na Royce’a.

Hadrian uśmiechnął się do niej szeroko, odsłonił jedzenie i nałożył sobie kilka łyżek na talerz, a potem podał je Royce’owi.

– Czy to... To prawda? – zapytała.

– Nie okłamałbym Novrona – odpowiedział Royce’a z ustami pełnymi jajeczniczy, która nadal był pyszna.

– Kim jesteście?

Royce zerknął na Hadriana. Zwykle to właśnie w takiej chwili jego mniej doświadczony partner narażał ich na niebezpieczeństwo, otwarcie przyznając się do wszystkiego, ponieważ ktoś zadał sobie dość trudu, żeby zapytać. Hadrian jednakże zajął się śniadaniem. Żaden z nich nie jadł kolacji poprzedniego wieczoru, a Hadrian lubił powtarzać wojskową zasadę: „Nigdy nie rezygnuj z okazji do jedzenia lub spania, bo nie wiadomo, kiedy nadarzy się następna okazja”.

Royce odwrócił się z powrotem do Evelyn Hemsworth, która czekała z grymasem wyrażającym po części zgrozę, a po części zaciekawienie. Chciała wiedzieć i jednocześnie nie chciała. Royce

wykorzystał chwilę, jakiej potrzebował na przeżucie i przełknięcie kęsa, żeby rozważyć najbardziej rozsądne odpowiedzi. Żadna nie pasowała. Po swoich wyczynach i wyznaniu, że szukali księżnej, nie mógł udawać, że są wędrownymi kupcami albo że pracują dla jakiegoś kupca. Bawił się pomysłem, żeby powiedzieć jej, że są tajnymi rycerzami Sereta, ale był przekonany, że Evelyn wie więcej o seretach niż on. Rozważał również odmowę odpowiedzi, ale to by nie zadziało. Potrzebowali jej pomocy i o ile jego modlitwa przygasła gniew, to nadal daleko jej było do zaufania mu.

Skoro inne opcje nie wchodziły w grę, a sytuacja przybrała absurdalny obrót, Royce spróbował czegoś całkowicie idiotycznego. Znowu wziął przykład z Hadriana.

– Zostaliśmy wynajęci przez Gabriela Wintera z Colnory. Mieliśmy przyjechać do Rochelle i odnaleźć Genny Winter, jego zaginioną córkę. Pan Winter myślał, że została zamordowana. My odkryliśmy, że nie zabito jej, tylko ją porwano. Odpowiadała za to luźna koalicja najbiedniejszych grup społecznych w mieście, które miały nadzieję wpłynąć na politykę księcia i uniknąć prawdziwej rewolty. Jednakże okazało się, że nie wszyscy chcieli uniknąć powstania. Pewien mir imieniem Villar zamierza wykorzystać krasnoludzką magię, żeby stworzyć następnego kamiennego golema i zabić wszystkich uczestników dzisiejszej Uczy Arystokratów.

Royce czekał na wybuch. Spodziewał się, że Evelyn zażąda, żeby opuścili jej dom, albo wezwie miejskie straże, żeby ich aresztowały. A przynajmniej głośno zaprzeczy jego słowom. Ponadto spodziewał się solidnej dawki niedowierzania w związku z tworzeniem golemów. Royce miał już gotowe argumenty, niestety nie najlepsze. Prawda była nędznym narzędziem w walce z wiarą, ale mimo to był gotowy do walki.

– O mój błogosławiony Novronie! – wykrzyknęła wstrząśnięta. Opuściła ręce, uderzając pomarszczonymi pięściami w stół, aż zadzwoniły porcelanowe talerze. – To dlaczego tu jeszcze siedzicie?

Royce i Hadrian spojrzeli po sobie zaskoczeni.

– Pani... Pani mi wierzy? – zapytał Royce.

– Twoje słowa brzmią zupełnie sensownie, prawda?

– Tak? – Royce spojrzała na Hadriana, który miał usta pełne ciastka, więc tylko wzruszył ramionami.

– Oczywiście – odpowiedziała Evelyn. – A poza tym wszyscy widzieli, jak ty i golem sialiście spustoszenie w galerii, a potem na katedrze. Trudno się z tym sprzeczać. Nie powinniście więc teraz szukać tego Villara? Jeśli mówicie prawdę, to zamierza zamordować wszystkich znaczących arystokratów z Alburnu.

– Szukamy – odpowiedział Hadrian. – Nie przyszliśmy tu na śniadanie.

Popatrzyła, jak Hadrian przeżuwa spory kęs.

– Nie?

– Musimy zapytać panią o Rochelle – wyjaśnił Royce. – Szukamy wszelkich specjalnych miejsc, starodawnych kościołów czy czegoś takiego, co można uznać za miejsce święte.

– Grom Galimus – odpowiedziała natychmiast.

– Poza katedrą – zdołał wykrztusić Hadrian, gdy już przełknął.

Evelyn zastanawiała się chwilę.

– Podobno jest starodawny cmentarz w Littleton. Istnieje od początków epoki imperialnej. Nigdy tam nie byłam. Littleton, czyli Małe Miasto, jak kiedyś nazywano to miejsce, to krasnoludzkie getto. Niezbyt bezpieczne okolica, jak sami rozumiecie.

– Byliśmy tam – powiedział Royce. – Ale to nie to. Musi być jeszcze jakiejś miejsce, może związane z mirami?

Evelyn zastanawiała się, nalewając sobie herbatę. Royce i Hadrian patrzyli, jak wrzuca do filiżanki dwie kostki cukru i miesza.

– Przykro mi, nic takiego nie przychodzi mi do głowy. Oczywiście możecie zajrzeć do galerii. Tak ja bym zrobiła na waszym miejscu.

– Już tam byłem. Dwa razy – odpowiedział Royce.

– I z tego, co słyszałam, nie powinnam cię wysyłać tam po raz trzeci, jeśli to miejsce ma nie zostać całkiem zniszczone, ale są tam stare mapy. W szczególności istotna jest ta, która wisi na ścianie na drugim piętrze. Jest bardzo duża i uważa się, że wykreślili ją pierwsi geodeci, którzy zakładali Rochelle. Może tam znajdziecie to, czego szukacie.

Royce i Hadrian wstali od stołu.

– Powodzenia, panowie – powiedziała Evelyn.

Royce przystanął i obejrzał się przez ramię. Upomniał się w myślach, że nie cierpi tej surowej, autokratycznej erudytki, ale nic mu to nie dało. Gdyby życie dało mu matkę, Royce podejrzewał, że naprawdę przypominałaby Evelyn. Nikt inny nie zdałby egzaminu.

– Może lepiej, żeby pani wyjechała – powiedział.

– Wyjechała?

– Opuściła miasto.

– Sugerujesz, że mam uciekać? – Uniesieniem brwi wyraziła swoje oburzenie.

– Proszę posłuchać, Villar ma ogromny żal do tych, którzy jego zdaniem uciskali jego lud. A pani praktycznie stanowi ich symbol. Wszyscy wiedzą, że nienawidzi pani mirów i jeśli...

– Nieprawda! – warknęła. – Skąd takie przypuszczenie?

– Bo dowiedzieliśmy się o pani pokoju od jednego z nich.

Hadrian pokiwał głową.

– Od młodej matki, która razem z dzieckiem mieszka na ulicy jeden kwartał stąd. Powiedziała, że mogłaby pukać do pani drzwi cały dzień i nigdy by jej pani nie przyjęła.

– Zapewniam was, że nigdy tu nie przyszła. Nie rozumiem, jak mogła dojść do takiego wniosku, skoro nigdy nawet nie zadała sobie trudu, żeby zapukać.

– Kiedy w „Brudnym Kuflu” odmawiają ci pokoju – odpowiedział Royce – nie wydaje się prawdopodobne, że zamożna wdowa z ulicy Młynarskiej przyjmie cię w swoim saloniku.

Evelyn wbiła wzrok w dywan i się zamyśliła.

– Wynajęłaby jej pani pokój? – zapytał Hadrian. – Mirowi z dzieckiem na rękach?

Evelyn się zawahała.

– Wpuściłam was dwóch, prawda?

Royce skinął głową.

– I co pani to mówi, kiedy porównuje pani dwóch podejrzanych nieznanym z bezdomną matką z dzieckiem? Mówię tylko, że jeśli nie powstrzymamy Villara, istnieje ryzyko, że będzie chciał zemścić się na ludziach z takich miejsc jak ulica Młynarska. Może pani wyjechać. Może zostać. To pani wybór, ale na pani miejscu

zniknąłbym na pewien czas.

Evelyn skrzyżowała ręce na piersi z typowym dla siebie przekonaniem o własnej racji i oburzeniem.

– No to powinniśmy się cieszyć, że nie jestem tobą. Nigdzie się stąd nie ruszam.

Royce wziął pelerynę i ciastko. Hadrian sięgnął po pas z mieczami i zapiął go przed wyjściem z domu.

– Czekaście! – zawołała, kiedy zaczęli schodzić ulicą w kierunku galerii.

– Co? – spytał Royce.

Evelyn zawahała się na ganku, a potem powiedziała:

– Nie spóźnijcie się więcej na śniadanie, bo naprawdę was wyrzucę. A potem wróciła do domu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

* * *

Nikt nie utrudniał Royce'owi i Hadrianowi wejścia do Cesarskiej Galerii. Nie zwrócili na siebie uwagi nawet, kiedy weszli po schodach i przeszli przez wyrwaną dziurę w spiżowych drzwiach. Wewnątrz panował potworny nieład. To, co dla Hadriana wyglądało jak ogromne rusztowanie, leżało porozrzucone po podłodze. Połamane belki walały się potrzaskane i owinięte w porozdzierane płótno. Był tam też łeb z papier-mâché przypominający głowę aligatora i wielkie, skórzaste skrzydła jak u nietoperza. Cienki materiał rozciągnięty na wygiętych patykach kojarzył się Hadrianowi z zabawkami, które widywał u dzieci w Mandalinie. Biegały z tymi ustrojstwami na sznurkach, a wiatr unosił zabawki w niebo. Może to właśnie to, pomyślał. Wielka zabawka do puszczania na wietrze.

Pod podartym materiałem i połamanym drewnem leżały odłamki potłuczonych waz, szczątki kredowych, białych popiersi szacownych ludzi i poprzewracane podwyższenia. Strugami i kroplami zaschniętej krwi na posągach i obrazach jeszcze nikt się nie zajął. Domyślał się, że tutaj została zabita Mercator, rozerwana na strzępy, jak powiedziała wdowa po Erasmusie Nymie. Na twarzy Royce'a malował się

nietypowy dla niego wyraz odrazy, ale dla Hadriana to nie było nic nowego. W Calisie ludzie byli rozrywani przez byki albo lwy, jedno i drugie w ramach rozrywki; areny zawsze były pokryte piaskiem, który można zagrabic, a ściany pomalowane na rudobrazowo od licznych warstw rozbryzgów. Ogromne ilości posoki to jeszcze jeden list miłosny do Hadriana od niechcianej przeszłości. Listy te składały się już na spory stosik.

W galerii unosił się odór. Hadrian wiedział, jak pachnie śmierć, i to nie było to. W każdym razie nie był to smród rozkładających się ciał ani nawet krwi, ale coś podobnego. Zapach przypominał mu gnijącą trawę albo stojący staw, zatechły, niemal ostry zapach zgnilizny.

Hadrian czuł, że musi się rozejrzeć. Galeria była wypełniona wieloma dziwnymi i cudownymi przedmiotami. Była tam broń wyrafinowana i okrutna zarazem. Wielki łuk wisiał na ścianie obok włóczni i kilku mieczy, z których dwa przypominały ten, który Hadrian nosił na plecach. Zgromadzono tam tarcze, kubki z malowanej ceramiki, rzeźby w drewnie, zbroje, instrumenty muzyczne, meble, peleryny, kapelusze, lampy, grabie i nadal zakorkowane butelki; wisiało tam nawet na ścianie kompletne okno we framudze. Zdążył tylko zerknąć, kiedy Royce pogonił go schodami na drugie piętro.

Marmurowe schody były popękane, liczne odłamki odprysły i pojawiły się w nich zagłębienia w kształcie i o rozmiarach dużej stopy. Golem? – zastanawiał się Hadrian. Spojrzał w dół i umieścił własną stopę w takim śladzie. Byłby mały przy golemie. Ogromna kamienna bestia to nie było coś, z czym chciałby walczyć.

Mapa nie była tak łatwa do znalezienia, jak powinna. Była ogromna i zajmowała całą ścianę, ale nie wyglądała jak mapa. Mapy, które Hadrian widywał, składały się z delikatnych linii narysowanych atramentem na pergaminie. To był gobelin. Na wielkiej ścianie wisiała tkanina tak pięknej roboty, że praca nad nią musiała zająć wiele lat. Było to dzieło barwne, wypełnione odcieniami zieleni lasów i błękitów morza i rzek; pola były olśniewającymi plamami żółci, różu i fioletu dzikich kwiatów.

Obraz wykonano z perspektywy lecącego ptaka pod niedużym

kątem, więc gdy patrzyło się na budynki i wzgórza, nadal widziało się pewną głębię. Wybrzeże można było łatwo rozpoznać, podobnie jak rzekę Roche i Wyspę Gubernatora, ale poza tym było tam niewiele znajomych miejsc. Na mapie widniał most łączący brzegi i wyspę, ale na niej samej nie było żadnego budynku. Zamiast tego krowy pasły się na czymś, co wyglądało jak pastwisko. Placu też nie było na mapie, ani Grom Galimus. Na ich miejscu rósł mały zagajnik. Były tam drogi, ale niewiele biegło w tym samym miejscu co obecnie. Ulica Młynarska była zaledwie ścieżką, która prowadziła – to żadne zaskoczenie – do młyna. Centrum miasta znajdowało się dalej na wschód, nad małym strumieniem, który teraz biegł przez Małe Gur Em i Gawronią Kolonię. Był tam port, niedaleko od obecnego, a na stoku stało kilka małych domów. Miasto było niewielkie, prowincjonalne, bardziej przypominało dużą wioskę niż miasto. Centralnym punktem znajdującym się dokładnie pośrodku gobelinu był okrągły budynek na wschód od Kolonii. Tak jak Grom Galimus miał kopułę, ale znacznie mniejszą. Kopuła opierała się na kolumnach ustawionych w kręgu na podwyższeniu.

– Co to? – zapytał Royce, wskazując ten sam budynek, nad którym zastanawiał się Hadrian.

– Kościół?

– Nie wygląda jak jakikolwiek znany mi kościół.

– Świątynia?

– Czyja?

Hadrian zerknął na mapę, ale nie było tam żadnych podpisów. Wzruszył ramionami.

– Jak stara jest twoim zdaniem ta mapa?

– Ewidentnie poprzedza miasto, może ukazuje jego początki. Nie ma tu cmentarza i Grom Galimus, więc...

– To co? Czasy imperium?

– Co najmniej. Może nawet wcześniejsze.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że powinniśmy byli zaciągnąć tu Evelyn, bo ja nie mam zielonego pojęcia.

– Ale to... – Hadrian wskazał świątynię – ...wygląda na szczególne

miejsce, nie? Jak coś...

– Świętego – skończył za niego Royce.

Hadrian skinął głową.

– Wiesz, gdzie to jest?

Royce pokręcił głową.

– Na wzgórzu. Wygląda na to, że musimy iść do Kolonii, na wschód, i szukać wyżej położonego terenu. Może na coś natrafimy.

– Jak myślisz, ile mamy czasu do uderzenia Villara?

– Uczta Arystokratów zacznie się w południe, prawda? Tak to wygląda w Colnorze i Ratiborze.

– Tak samo w Hintindarze i Medfordzie.

Royce wyjrzał przez okno.

– Zatem nadal mamy kilka godzin, jeśli Villar będzie trzymał się planu i zaatakuje arystokratów podczas uczty.

– Jakie są na to szanse?

– W tej chwili? – Royce się skrzywił. – Powinniśmy się pośpieszyć.

Hadrian zgodził się, ale był rozczarowany.

– Powinniśmy tu wrócić. Chciałbym obejrzeć to miejsce.

– W żadnym razie – zaprotestował Royce. – Nigdy tu nie wrócimy.

– Uważaj – przestrzegł go Hadrian. – Mój ojciec zwykł mawiać: „Nigdy nie mów nigdy. To brzmi jak wyzwanie rzucone bogom, którym jesteśmy obojętni. Nie ma dla nich znaczenia, czy nam się powodzi, czy ponosimy klęskę albo się zmagamy, oni tylko tarzają się ze śmiechu na ołtarzu, patrząc na nasze nędzne, smutne życie”.

Royce spojrział z uśmiechem.

– Myślę, że polubiłbym twojego ojca.

Rozdział 24

Opętany

Oswal Tynewell zakończył to, o czym wiedział, że było jego ostatnim nabożeństwem w roli biskupa Alburnu. Przed końcem dnia jego tytuł się zmieni, a z pewnością zmieni się jego świat. Stojąc na podwyższeniu z ołtarzem, patrzył na wychodzących ludzi. Wylewali się jak woda spływająca lejkiem. Stłoczyli się przy wielkich drzwiach. Exodus trwał dłużej niż zwykle, bo uroczyste nabożeństwo przyciąga większe tłumy. Zwykle katedra nie była pełna. Grom Galimus to monstrualnie wielki kościół, jego ogromny okręt flagowy, który żeglował po wzburzonych morzach niegodziwości. W mieście zwyczajnie nie było dość wiary, żeby wypełnić katedrę. Zwykle ta myśl go niepokoiła, sprawiała, że czuł się, jakby nie spełniał swojej roli duchowego przywódcy. Tego ranka nic go nie obchodziła ta rola i żałował, że nie ma mniej licznej trzódki. Albo przynajmniej szybciej się poruszającej, dodał w myślach.

Chciał pozbyć się ludzi, czekał, aż wszyscy znikną, żeby móc zamknąć i zaryglować drzwi. Nadszedł czas i Oswal z niepokojem patrzył na owieczki idące na rzeź. Oczywiście nie na tyle zaniepokojony, żeby je ostrzec. Czuł tylko lekkie napięcie, jakie człowiek odczuwa, kłamiąc. Bo tym to właśnie było, coś pozytywnego pod płaszczykiem negatywnego, dobry zamiar w wilczej skórze. Początkowo on najwięcej na tym skorzysta, ale na dłuższą metę wszystkim wyjdzie to na dobre. Z czasem ludzie to dostrzegą.

Oswal wiedział, że to prawda. Akceptował to bez oporów, ale nie

zawsze tak było. Początkowo ignorował powołanie. Grom Galimus ma swój głos, mówiono. Katedra przemawia do ludzi, którzy otworzą przed nią serce i posłuchają. Zaraz po zostaniu biskupem Rochelle Oswal wierzył, że to tylko metafora, która ładnie współgra z dziwnym i niewyjaśnionym skrzypieniem i jękami rozlegającymi się w starej katedrze. Teraz już wiedział lepiej.

Zastanawiając się nad tym teraz, dziwił się, że zajęło mu to cały rok.

Pracował w gabinecie i zostawił pióro w butelce. Podmuch wiatru wpadł przez otwarte okno i przewrócił kałamarz, przekreślając wiele godzin pracy nad precyzyjnie ułożonymi listami do innych biskupów – kierat, niezbyt twórcza harówka, którą trzeba było odpracować. Cały stos durnych, bezsensownych raportów nasiąkł atramentem i nie dało się niczego odczytać. Rozplakał się. Szlochał jak dziecko, nie tylko z powodu utraty listów, ale ponieważ w ogóle musiał je pisać.

Czym się stało moje życie? – pomyślał wtedy.

Nie chodziło tylko o listy, ale o wszystko. Był biskupem Alburnu, kuratorem Grom Galimus, ale widział, jak jego przyszłość krystalizuje się, wynurzając się z mgły. Jego życie będzie zaledwie garścią ksiąg i raportów, tak samo jak żywoty jego poprzedników. Jak to możliwe? – zastanawiał się, płacząc nad poplamionym atramentem biurkiem. Zawsze myślałem, że zostałem wybrany, że jest mi pisane coś więcej. Jak mogłem zostać wyniesiony na to stanowisko po to tylko, żeby utrzymywać je w czystości i porządku? Coś musi się wydarzyć.

I coś się wydarzyło. Tej nocy po raz pierwszy usłyszał szepty, głos Grom Galimus. To nie był jeden głos, ale dwa i wołały go po imieniu.

Ostatni z wiernych wypłynęli, w tym chłopcy i pomocnicy, którzy rwali się, żeby dołączyć do świątecznych tłumów. Oswal osobiście zamknął ogromne drzwi. Został wtedy sam w kościele. Nie, pomyślał, nie sam. Calijczyk musiał gdzieś tam być, ale biskup nie chciał wiedzieć, gdzie dokładnie ani co właściwie robi. Odmawiał angażowania się w szczegóły wydarzeń dzisiejszego dnia. Najlepiej przymknąć na to oczy.

Moja część została wykonana.

Poszedł z powrotem do gabinetu, wszedł do środka i zamknął drzwi na klucz. Nie życzył sobie żadnych gości. A dokładniej nie życzył sobie

żadnych więcej gości. Tynewell nigdy nie był sam w gabinecie.

Zdjął mitrę z głowy i odłożył do gabloty, ostrożnie odsunął tylne wstęgi, zanim ją zamknął. Zdjął ciężkie szaty i odwiesił do szafy, a potem nalał sobie wino do srebrnego kielicha i usiadł w samym podkoszulku. Zrzucił pantofle, oparł owłosione nogi na biurku i napił się. Przełknął i wzniosł kielich.

– Za lepszą przyszłość, panowie – powiedział, mając nadzieję, że nie zauważą, jak drży mu ręka.

Ale oczywiście, że zauważą, pomyślał. Widzą wszystko, prawda? Nie ma sensu temu zaprzeczać. Wiedzą, czym jestem.

– Pewnie wy dwaj nigdy nie mieliście wątpliwości, gdy nawigowaliście po wodach swoich żywotów, co? Nigdy nie znaliście...

– O mały włos nie powiedział „obaw”, ale ugryzł się w język. – Trosk. Cóż, nie jestem taki jak wy.

Odwrócił się do Novrona, który zawsze wznosił dokładnie ten sam srebrny kielich, jaki trzymał teraz Oswal. Biskup machnął pucharem tak, że wino się rozlało.

– W końcu nie jestem synem boga jak ty. Musisz przyznać, że to daje całkiem sporą przewagę. To nie w porządku, kiedy się nad tym zastanowić. Jestem przekonany, że za twoich czasów żyło się łatwiej. Przynajmniej miało się do czynienia z mniejszą liczbą ludzi, z mniejszą biurokracją. I miałeś Rhelacana. Ja nie dysponuję magiczną bronią, żeby pokonać swoich wrogów.

Wypowiadał słowa z siłą i pewnością, głośno; pokorne, skromne biadolenie było zabronione. Tak właśnie musiał przemawiać do Novrona. W przeciwnym wypadku imperator go nie słyszał. A potem Oswal wskazał Venlina, nieco wolniej, ale i tak wino popłynęło mu po kostkach ręki.

– I ty! Czym tak się przechwalasz? Jaką miałeś konkurencję? Szanowano cię i już byłeś niekwestionowaną głową Kościoła, dysponowałeś żołnierzami, którzy... – urwał, żeby oblizać wino z palców – ...na zmianę czyściliby ci sandały językami, gdybyś im kazał. Więc nie patrz tak na mnie. Ja mam ciężko. Ciężej niż którykolwiek z was. – Przełknął nieco wina. Było lepsze od tego rozwodnionego, którego używano podczas nabożeństw. – Musiałem

wywalczyć sobie wszystko. – Wyciągnął pustą rękę. – Widzicie te palce? Zdarte tak, że ich nie czuję. Wszystkie. A te stopy! – Rozparł się i pokazał podeszwy obrazowi. – Zdarte od wiecznego balansowania, które uprawiam. Jestem poskramiaczem lwów uwięzionym w klatce z tuzinem wygłodniałych bestii. „Skacz! Skacz!”, wrzeszczę, ale czy mnie słuchają?

Oswal usiadł prosto i odetchnął, opierając kielich na podłokietniku krzesła. Zza okna dobiegały śmiechy, okrzyki, strojenie instrumentów muzycznych. Co za dzieci, pomyślał. Nie mają pojęcia, co się zaraz wydarzy.

Nie martwił się zbyt o swoją trzódkę. To były uległe stworzenia. Jednak arystokracja Alburnu, bogaci kupcy, urzędnicy i wojskowi to co innego. Nie mógł kierować królestwem bez nich. Jeśli nie uznają go za władcę, do czego by doszło, gdyby odkryli, że maczał palce w masakrze, albo gdyby znaleźli stosownego kandydata wśród arystokratów, którzy przeżyli, groziłaby mu wojna domowa. Wojna, a sam nie miał wojska. Miał tylko wiarę. I to także można odebrać.

– Co robi patriarcha? Uzna mnie za prawowitego władcę Alburnu?

– *Oczywiście!* – odpowiedział Venlin głosem gładkim jak aksamit i whisky, która odpowiednio długo leżakowała w beczce, głosem stosownym dla genialnego powiernika i doradcy, przenikliwego polityka. – *Ten stary samotnik dał ci całkowitą swobodę w wyborze najlepszego następcy Reinholda. Zrobił tak, ponieważ znasz osobiście każdego kandydata. Kto lepiej wybierze najbardziej oddaną, najbardziej ulegającą wpływom osobę, najlepszego sojusznika? To właśnie robisz. Nie może się rozgniewać, bo zrobiłeś to, o co cię poproszono.*

– Jednak nie tego się po mnie spodziewa.

Novron parsknął szyderczo.

– *Mówisz poważnie? Robienie tego, czego inni się po tobie spodziewają, do niczego i donikąd cię nie doprowadzi. Mówię poważnie, człowieku! Jak awansowałeś, mając takie podejście?*

– Powinienem był poprosić o pozwolenie, prawda? Bo mam wrażenie, że dopuszczam się oszustwa.

Novron pokręcił głową i zwrócił się do Venlina:

– *Przemów mu do rozumu, zanim wyrzucę go przez okno, dobrze?*

Venlin westchnął.

– *Nie ma znaczenia, czy to kłamstwo, czy nie. Jeśli to pomoże ci spać, to otulaj się nim co noc i się uśmiechaj. Gdybyś poprosił o zgodę, czy choćby przedstawił ten pomysł Saldurowi, kiedy tu był, wiesz, że to by mu się nie spodobało. Lepiej prosić o przebaczenie niż o pozwolenie. Polegaj na tym, że świat w swoim czasie dostrzeże prawdę. Początkowo to brzmi jak szaleństwo, gorzej nawet: jak szczyt zarozumiałości i egocentryzmu. Otrzymałeś jednak pozwolenie, żeby namaścić tego, kogo uznasz za odpowiedniego, i dokładnie to zrobisz. Nie ma kandydata, który nie byłby krótkowzrocznym, egocentrycznym idiotą. Ponadto, rzecz jasna, wszyscy kandydaci będą martwi.*

Novron powtórzył słowa Saldura:

– *Kogokolwiek wybierzesz, powinieneś pamiętać, że to ktoś, kto rzeczywiście będzie musiał władać królestwem, prawda?*

Dlatego właśnie musiał wybrać siebie, ale Saldur nie spostrzegłby tego w ten sposób, a był typowym przedstawicielem Kościoła. Oswal był biskupem Alburnu, ale jakimś cudem Maurice Saldur miał większe wpływy. Jak to było możliwe, trudno orzec. Może to kwestia lokalizacji. Był biskupem Medfordu, a to raptem kawałek drogi powozem do Ervanonu.

„Nie rozmawiałem tak naprawdę z patriarchą. Nigdy w życiu go nie widziałem”.

Oswal był przekonany, że to musi być kłamstwo. Kiedy on był zajęty pisaniami listów, Saldur zajmował się takimi rzeczami jak zniknięcie *Wiecznego Imperium*. Nawet kiedy zaważył sprawę zastąpienia rodu władającego Melengarem, otrzymał od Nilneva następną szansę. Patriarcha nie ufał Oswalowi na tyle, żeby powierzyć mu sprawę jego własnego króla.

– *Oni wszyscy mają lepiej niż ty – powiedział mu Novron. – A Saldur to nie twój kłopot. Garrick Gervaise, pan na Zamku Blythin, to wół, którego musisz zaprząć albo zabić.*

Oswal skinął głową. Zamierzał sprzeciwić się intencjom stojącym za rozkazem patriarchy, nawet jeśli nie dokładnie słowom, w jakich go wyrażono, żyjąc w cieniu bazy i domostwa seretów. Zamek Blythin znajdował się niecały dzień drogi wzdłuż wybrzeża, na wschód od

Rochelle, a dowódca zamku nie był filozofem. Rozum i logika były dla Garricka Gervaise rzeczą grzeszną. Oswal wiedział, że przekonanie czarnego rycerza, żeby go poparł, nie będzie łatwe. Garrick nie uzna inicjatywy Oswala za ruch w dobrą stronę. W końcu Garrick uważał, że jego zadaniem jest kontrolowanie poczynań duchowieństwa, a koronowanie siebie na króla z pewnością zwróci jego uwagę. Zajęcie się Garrickiem będzie najniebezpieczniejszym zadaniem.

Gdyby tylko wziął udział w uczcie, westchnął w duchu Oswal.

Zapadł się głębiej w krzesło i opróżnił kielich. Był wyczerpany. To był ten rodzaj zmęczenia, jaki atakuje już po zakończeniu całej pracy.

– To koniec? – zapytał.

– *Na razie, a przynajmniej twoja część* – odpowiedział Novron. – *Wszystkie fragmenty układanki są w ruchu.*

Oswal wstał i poszukał butelki, żeby nalać znowu wina do kielicha.

– Nie chcę ich zabić, to znaczy arystokratów, ale najlepiej usunąć konkurencję.

Odsunął kielich od biurka, gdy nalewał sobie wino, żeby nie poplamzić żadnych ważnych dokumentów. Chociaż ręce przestały mu już drżeć, w głowie mu się lekko kręciło i miał wrażenie, że unosi się jak bańka mydlana. Wypił tylko jeden kielich, ale prawie nie tknął śniadania. Rano nie był w stanie jeść, ale pomyślał, że teraz coś by przekąsił. Lepiej coś zjeść, bo przy tym tempie picia stracę przytomność przed ucztą, pomyślał.

– *A to byłoby takie złe?* – zapytał Novron.

– *Potrzebujesz wymówki, dla której się nie zjawisz* – dodał Venlin. – *Nie możesz zaufać Villarowi, że przemoc dotknie tylko tych, którzy ubierają się na niebiesko.*

Rozdział 25

Klucze i monety

Zanim Villar się obudził, słońce stało już wysoko. Światło wlewało się przez zasłonę, którą Mercator zawiesiła w miejsce drzwi. Stara pewnie zmurszała wieki temu. Nowa zaś była – jak wszystko, czego tknęła się Mercator – niebieska. Długa, farbowana tkanina łopotała leniwie, wpuszczając co rusz nieco słońca i sprawiając, że cienie w pomieszczeniu zmieniały położenie. Przez długą chwilę Villar leżał na podłodze, czując przyjemny, pachnący kwiatami wietrzyk, i patrzył na walkę światła z ciemnością. Promienie odbijały się od ścian, oświetlając poplamione kadzie i drobinki kurzu. A potem wietrzyk ustał, zasłona opadła i pomieszczenie napełniło się przyćmionym mrokiem. Na zewnątrz śpiewały ptaki i brzęczały pszczoły. Idealny wiosenny dzień, pomyślał z obojętnością, jakby nie był jego częścią, ale oderwanym obserwatorem.

Te pełne dystansu obserwacje snuł nie dłużej niż minutę, bo tyle potrzebował ból, żeby dopaść jego otumanionego snem umysłu. A wtedy obserwator zaczął cierpieć. Villar czuł się potwornie. Zawsze na drugi dzień czuł się potwornie. Głowa mu pękała, całe ciało bolało, mięśnie były wyczerpane. Leżał więc, oddychał powoli, a krew uderzała mu o skronie. Po pewnym czasie ból nieco osłabnie; zawsze tak było. Wtedy Villar zdał sobie sprawę, że jest inaczej niż zwykle. Został z golemem dłużej niż zwykle, bo ten mały obcy w kapturze był szybki, zręczny i spodziewał się ataku. To było dziwne. Nikt wcześniej nie spodziewał się ataku. Jednak różnice nie wynikały tylko z tego.

Villar czuł ból w piersi. Tam także czuł bolesne pulsowanie i pieczenie, a to nie miało najmniejszego sensu.

Postękiwał, gdy poruszył sztywnymi mięśniami i przeturlał się na bok. Łokieć i biodro zaboląły go w zetknięciu z podłogą. Leżał na kocu, jednym z tych ufarbowanych na niebiesko, które Mercator wszędzie układała w stosach. Powiniennem był wziąć więcej niż jeden, pomyślał. Trzeba było wziąć wszystkie, owinąć się nimi i tkwić tak jak w grubym, wygodnym kokonie. Nauczył się, żeby nigdy nie prowadzić golema, kiedy stoi albo nawet siedzi. Zbyt łatwo stracić orientację i upaść. Kiedy kierował golemem, doświadczenie było tak żywe, że łatwo mógł zapomnieć, że to nie on biegnie, skacze i walczy we własnym ciele. Wszystko było niezwykle rzeczywiste.

Villar nie wiedział, gdzie jest bezpieczna granica, jak długo może utrzymać połączenie, nie zapędzając się za daleko. Griswold ostrzegł go, żeby nigdy nie pozostawał w golemie na dłużej niż dwukrotne bicie dzwonów Grom Galimus, ale to była tylko przybliżona ocena. Villar wątpił, żeby krasnolud naprawdę wiedział. Podejrzewał, że to będzie różnie wyglądało dla różnych osób. Nie każdy ma taką samą siłę woli. Rozsądek podpowiadał, że jednostka o większej sile woli utrzyma golema dłużej. Prawdziwy problem zdaniem Villara polegał na tym – i być może to wiązało się z niebezpieczeństwem utraty duszy – że w ogniu walki łatwo było stracić poczucie czasu i świata poza nią. Mimo to Villar był pewien, że połączenie nie trwało nawet w przybliżeniu tak długo, jak potrzeba, żeby dzwony zabiły dwukrotnie. I po raz pierwszy to nie on przerwał połączenie. Zerwało się samo z siebie.

Nie, nie samo z siebie, pomyślał. Golem został zniszczony, a ja omal nie zginąłem. To się właśnie wydarzyło, ale jakim cudem?

Kiedy kierował golemem, nie było go tam tak naprawdę. Golem wykonywał jego rozkazy, ale bez względu na to, co się mogło stać ze stworem, Villar był bezpieczny, bo znajdował się wiele mil dalej. To wszystko działało jak sen. Sny, nawet najstraszniejsze, były bezpieczne. Nie mogły przebić się do prawdziwego świata. Villar zastanawiał się gorączkowo. Próbował sobie przypomnieć. I wtedy coś do niego dotarło. Gargulec spadł z katedry i uderzył o plac. W chwili

gdy uderzył o ziemię, połączenie pękło, uwalniając demona, którego uwięził w kamieniu, ale ponieważ to gargulec spadł, a nie Villar, na tym powinno się to zakończyć.

To dlaczego czuję ból w piersi?

Myśląc, że może wyobraża sobie ten ból, że to tylko żywe, zalegające wspomnienie, Villar wyciągnął dłoń i dotknął obolałego miejsca. Przesunął delikatnie opuszkami i poczuł, że koszula jest w tym miejscu sztywna i przykleiła się boleśnie do jego skóry. Zacisnął zęby i jęknął z bólu, gdy zerwał z siebie tunikę. Oderwał materiał od skóry i zerwał strup. Dzięki Ferrolowi, że nie mam włosów na torsie, pomyślał. Na koszuli duża, rdzawoczerwona plama rozlewała się kręgiem wokół małego rozcięcia. Dotknął odkrytej piersi i wymacał prawdziwą ranę.

Dźgnięto mnie. Dźgnięto mnie? Jak mogło do tego dojść?

Rana nie była głęboka. Przecinała skórę, ale zatrzymywała się przed mostkiem. Sądząc jednak po koszuli, spowodowała więcej krwawienia, niż powinna.

Po tym, jak dwóch nieznajomych zakłóciło zebranie, Villar odszedł i poczekał na zewnątrz. Widział, jak cudzoziemiec w kapturze odchodzi z Mercator. Zamierzali skontaktować się z księciem. Gdyby im się udało, wszystko mogło się rozsypać. Gdyby przekonali Leo do ustępstw, nikt nie poparłby rewolucji. Villar nie mógł na to pozwolić. Kiedy tamta dwójka się rozdzieliła, zastanawiał się, czy nie zabić obcego, ale nie był pewien, czy zdoła. Wcześniejszy pościg po dachach sprawił, że zaczął powątpiewać w swoje szanse. Zamiast tego więc Villar wymyślił coś lepszego, łatwiejszy i zdecydowanie zabawniejszy plan. Posłuży się golemem.

Poszedł za Mercator do świątyni i poczekał, aż kobieta z niej wyjdzie. Starożytna ruina była idealnym miejscem do przetrzymywania księżnej. Stała na przecięciu trzech dróg: odległej, ustronnej i niedostępnej. Nikt tam nigdy nie chodził – za dużo zawracania głowy, za dużo kolczastych jeżyn po drodze. To od dawna był tajny warsztat Mercator. Trzymała tam swoje wszystkie farbowane tkaniny warte małą fortunę. To była jej bezpieczna przystań i rozsądnie nikomu nigdy o niej nie powiedziała.

Ruiny stanowiły również dla niego doskonałe miejsce do przechowywania zapasów. W ciągu minionych miesięcy Griswold dostarczył mu kilka pudeł żwiru, klucze do różnych posągów rozmieszczonych w mieście. Miał z czego wybierać. I oczywiście trzymał tu swoje serca, składnik, który sam zdobywał. Nie miał ich nawet w przybliżeniu tyle, co odłamków skalnych. Zostały mu już tylko dwa, ale ten problem łatwo można było naprawić. Każę golemowi zebrać kilka nowych przed zerwaniem połączenia. Warto było zaryzykować, żeby uniemożliwić obcemu i Mercator dotarcie do Posiadłości.

Kiedy Mercator wyszła, on wszedł. Śpieszył się, więc nie zawracał sobie głowy normalnymi zabezpieczeniami. To nie było główne wydarzenie, a jedynie krótki przerywnik. Będzie dostatecznie bezpieczny. Tylko on i Mercator wiedzieli o tych ruinach, a ona nie wróci. Przygotował sobie posłanie i rozpoczął rytuał.

Początkowo zamierzał jedynie zatrzymać Mercator. Owszem, cudzoziemiec miał zginąć, ale nie Sikara. Ważne było, żeby nie dotarli do księcia. Wtedy jednak zorientowała się, że Villar od samego początku działał przeciwko pokojowemu rozwiązaniu. Gdyby powiedziała pozostałym, zwróciliby się przeciwko niemu i cała jego ciężka praca poszłaby na marne. Poza tym mirowie nie potrzebowali dwóch przywódców; mógł być i księciem, i reprezentantem mirów. Poza tym jej caliska krew sprawiała, że była plugastwem.

Zapozyczył to kreślenie od biskupa, ale pasowało. Mieszanie elfickiej i ludzkiej krwi było już wystarczająco złe. Gdzieś w odległej przeszłości przodkowie Villara popełnili ten błąd, ale rodzina Sikara nie uległa jedynie konieczności, oni pławili się w niej po uszy. Pradziadek Villara, Hanis Orphe, powędrował do Alburnii razem z Sadarshakarem Sikarą po upadku Merredydu. Poróżnili się, kiedy Sadarshakar postanowił ożenić się z ciemnoskórą Calijką. Plemiona rozdzieliły się wtedy, Orphe byli bardziej nieugięci, a Sikara bardziej skłonni do ustępstw. Dalsze stosunki z Calijczykami doprowadziły do rozrzedzenia krwi Sikarów i Mercator była ewidentnie owocem tego osłabienia. Była bardziej Calijką niż cymkolwiek innym. Nie miała w sobie godności, zaangażowania, prawie nie wyglądała jak mir.

Villar podniósł się i podszedł do jednego z naczyń z czystą wodą. Dla pewności pociągnął nosem. Złapał za róg koca, namoczył go i ostrożnie obmył ranę, zaciskając zęby. Większość krwi zeszła łatwo, ale tuż przy ranie stwardniała, a on nie miał ochoty jej ruszać.

Odwrócił się i spojrzał na drzwi do małej celi.

Całkiem zapomniał o księżnej. Siedziała cicho. Nie powitała go jak zwykle jakimś nędznym dowcipem. Na ogół nie potrafiła trzymać gęby na kłódkę, a miała naprawdę niewyparzoną gębę. Była ich więźniem, ale nie zachowywała się stosownie do swojej roli. Bezbronna porwana kobieta powinna siedzieć cicho i płakać w kącie albo błagać o życie i modlić się do swojego boga. Jednak nie ta.

Chciał ją zabić poprzedniej nocy. Rytuał wymagał skupienia i nie mógł pozwolić sobie na to, żeby mu przeszkadzała albo zdradziła jego sekret, gdyby ktoś przyszedł jej szukać.

Planował zamordowanie jej od miesiący. Teraz, kiedy Mercator nie żyła i zbliżała się uczta, wreszcie będzie miał okazję. Nie mógł polegać na tym, że znowu będzie siedziała cicho. Rozejrzał się za nożem, wywracał skrzynki z wełną i odrzucał na bok stosy płótna. Przeszukał beczki cuchnące octem i przetrząsnął szmaty. Nic.

Mercator, naprawdę? Jak ty pracowałaś bez noża?

A wtedy Villar przypomniał sobie, że miała go przy sobie w galerii, kiedy golem...

Nie, nie golem. To byłem ja i żałuję tego, co się stało.

Jej śmierć była stratą. Mirowie musieli odzyskać swoją dawną wielkość i po uczcie pozostanie wiele nieobsadzonych stanowisk. Jako księżę obstawaliby przy tym, żeby wyznaczono ją księżną Rise. Może i była kundlem, ale nadal pozostawała potomkinią słynnego rodu Sikara. Villarowi podobała się myśl, żeby uczynić Alburn królestwem mirów, jakim kiedyś był Merredydd. Mercator miałaby swoją rolę do odegrania w odnowieniu ich dziedzictwa. Jej śmierć to marnotrawstwo.

Villar po raz ostatni się rozejrzał. Nie widząc nigdzie noża, opuścił z rezygnacją ręce.

Będę musiał sukę udusić, pomyślał.

Jako golem zabił dziesiątki ludzi. W ten sposób zdobywał serca, ten

trudny do zdobycia składnik. Początkowo próbował wykorzystywać zwierzęce, ale bez skutku.

A potem Ferrol uśmiechnął się do niego i interweniował, zmieniając jego los.

To się wydarzyło ostatniego gorącego dnia lata. Villar obserwował sześcioro dzieci bawiących się przy kanale burzowym, gdzie Gawronia Kolonia i Małe Gur Em sąsiadowało z miejskim portem. Poszedł tam, żeby obserwować załadunek statków, a przynajmniej tak sobie wmawiał. Tak naprawdę to szukał ofiary, jakiegoś nowego imigranta bez rodziny albo przyjaciół. Kogoś małego, słabego, oszołomionego wielkim miastem. Młodzika, którego łatwo można pokonać.

Było pochmurno, bo wieczorny żar skłaniał do nadejścia wieczorne chmury burzowe. Dzieciaki ściągnęły metalową pokrywę z cysterny i wskakiwały na zmianę do kamiennego zbiornika, z którego wychodziły po linie. Ewidentnie bawiły się tak całe lato. Lina była pobieląca, strzępiła się na brzegach, gdzie ocierała się o ostrą krawędź ściany cysterny. Dzieci nie zauważyły albo nie przejmowały się deszczowymi chmurami zakrywającymi niebo. Villar zastanawiał się, czy nie pogonić ich dla ich własnego dobra, ale jedna rzecz go powstrzymała. To była mieszana grupa dzieci: dwójka Calijczyków, krasnolud, mir i dwoje ludzi. Gdyby to była po prostu grupka mirów, kazałby im przestać. Nawet gdyby bawiły się z nimi krasnoludy albo Calijczycy, mógłby coś powiedzieć. Jednak obecność ludzkich dzieci go rozgniewała. Nie mógł się zmusić do tego, żeby je ostrzec.

Niebo pociemniało i jedno z ludzkich dzieci odeszło, a wraz z nim krasnolud i dwójka Calijczyków. Drugie dziecko i ku jego zaniepokojeniu mir, zostali. Dzieci bawiły się, jakby nie było nic złego w ich chorej przyjaźni. Obrzydzenie kazało Villarowi odejść. Już odchodził, kiedy lina pękła. Rozległy się krzyki, a potem echem poniosło się wołanie o pomoc.

Nikt inny nie usłyszał.

– Na Mara! Dzięki Novronowi! – powiedziało ludzkie dziecko, kiedy Villar zerknął do cysterny. – Możesz spuścić kawałek liny?

„Możesz spuścić kawałek liny?”. Villar nadal słyszał ten głos

w głowie. Dziecko nie powiedziało „proszę pana” ani „proszę”, a tylko „możesz spuścić kawałek liny?”. Zwyczajne ludzkie dziecko rozkazywało mu z takim samym poczuciem uprzywilejowania i z brakiem szacunku jak arystokrata. Mały bachor oczekiwał, że Villar zrobi to, co mu kazano. Dlaczego by nie? Ile razy dzieciak widział, jak dorośli robili to samo? Ile razy widziało, jak mir się uśmiecha i kłania, porzucając swoją godność osobistą.

Dwójka dzieci dreptała w wodzie w cysternie. Bez liny wewnętrzne ściany, pionowe i śliskie od glonów, stanowiły śmiertelną pułapkę.

– Naprawdę nie powinniście się tu bawić – powiedział Villar. – To niebezpieczne. Po to jest właśnie pokrywa. Zaraz zaczną padać. Cysterna błyskawicznie napełni się podczas ulewy.

– Nic nie szkodzi. – Ludzki dzieciak uśmiechnął się do niego. Miał pulchne, czerwone policzki, jakich mirowie nigdy nie mają, efekt opływania w dostatki. W tym uśmiechu rozkwitała przyprawiająca o mdłości pewność siebie, całkowite przekonanie, że świat się nim zaopiekuje. Nie okazał najmniejszego lęku, najdrobniejszej wątpliwości co do tego, że Villar ich uratuje. – Jeśli zaczną padać, woda nas uniesie i po prostu wyjdziemy.

Miał rację. Nawet bez liny mogli przeżyć. O ile będzie dostatecznie mocno padać.

Dzieci myślały, że żartuje, kiedy zamknął pokrywę. Śmiechy umilkły, kiedy wsunął metalowy pręt, który dzieci wcześniej wyjęły. Po zamknięciu cysterny, gdy ryk deszczu narastał, nikt nie mógł ich usłyszeć. Villar żałował, że jedno było mirem, ale taka jest kara za zadawanie się z niewłaściwym towarzystwem.

Villar wrócił przed świtem, żeby zebrać łup i ani Dinge, ani Nym nie zapytali, skąd miał serca.

Okazało się, że serce mira działało lepiej. Przynajmniej dla Villara. Ludzkie serce dawało mgliste, rozmyte, rwane połączenie. Organy mirów dawały idealne połączenie. Świeżo upieczeni stwórcy golemów domyślali się, że im bardziej serce jest podobne do osoby przeprowadzającej rytuał, tym lepsze jest połączenie. Villar stał się odpowiedzialny za zdobywanie serc także dla Erasmusa i Griswolda. Zużywał jedno serce, żeby zdobyć dwa, trzy lub cztery, jeśli miał

szczęście. Ciemne, kręte uliczki Kolonii idealnie nadawały się do dyskretnego zabijania. Nie dość, że serca biedaków lepiej działały, to jeszcze polowanie na nich miało dodatkową zaletę: niewielu ludzi przejmowało się śmiercią młodego mira, Calijczyka albo krasnoluda. To było coraz bardziej widoczne, im więcej dzieci ginęło, a straż miejska nic nie robiła. Kiepsko prowadzone dochodzenie pomagało Villarowi w jego wysiłkach podżegania ludzi do buntu. Świadkowie, jeśli jacyś się pojawiali, byli ignorowani albo opowiadali historie związane z mitem o Morganie.

Villar zerknął na niebieską zasłonę w drzwiach starej ruiny. Widział po słońcu na tkaninie, że już prawie nadeszło południe. Niedługo zacznie się uczta. Erasmus nie żył. Jeśli cudzoziemiec zdołał dostarczyć list od krowy jej mężowi i ten zgodził się na zmiany, to Griswold się wycofa. Podobnie jak pozostali. Nie mieli tak silnych przekonań jak on. Miasta nie ogarnie powstanie, na które miał nadzieję, ale jeden golem, odpowiedni golem, wypuszczony we właściwym miejscu i czasie nadal może wypełnić swoje zadanie.

A zanim otworzy następne pudełko z odpadkami i zacznie rytuał, musiał zająć się jeszcze jedną rzeczą. Nadszedł czas, by zabić księżną Rochelle.

* * *

Genny nie podobał się wygląd Villara. Nigdy jej się nie podobał, ale teraz prezentował się gorzej. Coś się stało, coś złego. Miał krew na piersi i zimny wyraz twarzy, który świadczył o tym, że przeżył coś gorszego niż koszmar senny. A kiedy potem zaczął przeszukiwać pomieszczenie, już wiedziała.

Domyśliła się, że coś poszło nie tak, kiedy poprzedniej nocy wrócił sam. Villar nigdy nie przychodził pod nieobecność Mercator, więc to ją przeraziło. Ani razu nie zawołał Mercator. Wiedział, że jej tam nie ma. Genny o mało nie zapytała o list, ale ugryzła się w język. Przeczucie, że coś jest nie tak, że coś poszło źle, sprawiło, że serce podeszło jej do gardła. Zamiast tego patrzyła, jak Villar otwiera pudełko i sprawdza

zawartość: miał tam coś wielkości zaszuszonego jabłka, żwir i parę liści. Do tego dodał pasmo własnych włosów. A potem zamknął pudełko i postawił całość na ogniu kuchennym.

Usiadł na podłodze i rozłożył koc, jakby zamierzał uciąć sobie drzemkę. Poczekał, aż pudełko spłonie. Kiedy z drewna został tylko białawy popiół, położył się i zaczął mówić, recytować słowa, których Genny nie rozumiała. Chmura buchnęła z żarzącego się pudełka.

Villar miał zamknięte oczy, gdy mówił dalej, a ona patrzyła, jak biały dym wypływa z pudełka i wylewa się drzwiami, jakby miał własny umysł i dokądś zmierzał. Villar przestał mruzczyć i sprawiał wrażenie, że śpi. Pięć minut później zauważyła, że szarpnął się i drgnął. Oczy nadal miał zamknięte, więc wyglądało to, jakby miał zły sen. Leżał tak przez jakiś czas, a kiedy nagle otworzył oczy, wyrwał mu się zduszony okrzyk. Leżał, dysząc.

– Jak? – zapytał, a potem zasnął.

Czekała długi czas. Potem ciekawość w niej zwyciężyła, zaryzykowała i zagadnęła Villara, ale jej nie usłyszał.

Wtedy Genny zrozumiała, że musi się wziąć do pracy. Wyjęła monety i klucz. Nie wiedziała, ile ma czasu, więc działała w pośpiechu. Sprawdziła monety na pojedynczych włosach. Cięży doskonale, ale kiedy trzeba było ściąć pukiel, okazały się o wiele bardziej tępe, niżby chciała. Przy wtórze głębokich oddechów Villara za drzwiami wyrwała równie dużo włosów, co ścieła.

Chciała wierzyć, że Mercator żyje, ale fakt, że Villar przyszedł, a Mercator nie, świadczył o czymś innym. Dopóki jej strażniczką była Mercator, Genny wierzyła, że ma szansę przeżyć. Teraz, kiedy strażnicy się zmienili, nadszedł czas, żeby zrealizowała swój plan. Jak w przypadku każdej ucieczki z więzienia, była to rozgrywka z rodzaju „wszystko albo nic”. Albo ucieknie, albo zginie. Przy takiej presji trudno jej było utrzymać w drżących palcach monety.

To nie zadziała! – panikowała w myślach. To szaleństwo. Co ja wyprawiam?

Robię, co się da. Robię coś, cokolwiek, a cokolwiek jest lepsze niż nic. Może umrę, ale nie będę tu siedzieć, nie poddam się. Jest szansa, niech to diabli! Przestań więc myśleć i tnij!

Okazało się, że nie było pośpiechu. Villar spał do rana.

Kiedy w końcu się obudził, był w złym humorze. Umył się, a potem zaczął szukać, przeglądać rzeczy Mercator, a Genny miała złe przeczucie, że wie, czego Villar szuka.

* * *

Villar podszedł do drzwi celi. Złapał za zasuwkę, ale ta nie drgnęła. Mercator poprosiła Griswolda, żeby zrobił zamek do drzwi celi i do łańcucha. Potrzebne były do nich klucze. Klucze, których nie miał.

Nie ma noża. Nie ma klucza. Mercator nie żyje i nadal rzuca mi kłody pod nogi.

Villar znowu zaczął przetrząsać skrzynki i odrzucać na bok fałdy płótna i wełny. Frustracja zamieniła się w gniew, więc, szukając, zaczął niszczyć rzeczy. Kopnął nawet powieszony gar, przewracał metalowe trójnogi, które dzwoniły i zgrzytały o kamień.

Przeszukał beczki i przetrząsnął szmaty.

Dlaczego to jest takie trudne? Klucz też zabrała ze sobą? Dlaczego? Dlaczego nie zostawiała go pod ręką? Dlaczego nie powiesiła na ścianie...

Wtedy go zobaczył. Błyszczący klucz wisiał na haku tuż obok drzwi. Nie miał pojęcia, dlaczego nie zauważył go wcześniej, poza tym, że nie spodziewał się po Mercator równie racjonalnego zachowania. Kiedy odkrył brak noża, zakładał, że zachowa się nierozsądnie także w kwestii klucza. Zanim zdjął go z haczyka, krew już się w nim gotowała. Był gotów zabić. Mimo to myśl o uduszeniu arystokratycznej suki, dotknięciu jej, była mu wstrętne. A potem przypomniał sobie o metalowych prętach. Można ją nimi zatłuc na śmierć. Dam radę!

Wrócił do garnka i zobaczył ostrze na dnie pustego naczynia. Małe, nie większe od nożyka do jarzyn. Mercator zostawiła go tam, gdzie najczęściej z niego korzystała. Villar wziął go z szerokim uśmiechem. Trzymając nożyk w jednej ręce i klucz w drugiej, odwrócił się do zamkniętych drzwi. Był tak wściekły, że ręka mu drżała i z trudem

włożył klucz do zamka. Musiał wsunąć nóż pod pachę i chwycić klucz obiema rękami.

Na pewno nie zadziała.

Obrócił klucz i poczuł, jak przesuwają się zapadki. Zasuwka odskoczyła.

Ha! Wreszcie coś zadziało!

Otworzył drzwi i spostrzegł księżną. Leniwa suka nadal spała na podłodze. Owinęła się jednym z koców Mercator tak, że było widać tylko głowę, sam czubek. Widział łańcuch opadający od ściany do obroży, która ginęła pod długimi, jasnymi puklami. To był pomysł Mercator. Musiała mieć możliwość karmienia tej krowy, a to oznaczało otwieranie drzwi. Bez łańcucha, wielka baba mogłaby obezwładnić Mercator zaraz po otwarciu zamka. Dzięki łańcuchowi była bezradna.

Wszedł do celi i stanął.

Coś tu nie pasowało. Właściwie to mnóstwo rzeczy.

Postać po kocem była za mała. Widział włosy wystające w miejscu, gdzie powinna być głowa, dokąd prowadził łańcuch, ale nie było wybrzuszenia, nie było głowy, tylko włosy. Przez chwilę myślał, że długie dni głodzenia w magiczny sposób skurczyły kobietę do rozmiarów chudego krasnoluda, ale to było niemożliwe.

Kopnięcie w koc wszystko wyjaśniło: jeden koc leżał na słomie, a drugi ułożono tak, żeby przypominał ciało. Leżał tam też stos obciętych włosów i obroża. Pusta obroża.

Odwrócił się i zdążył zobaczyć, jak księżna zamyka drzwi. Czekala tuż przy nich, aż Villar wejdzie do środka. Wybiegła i chciała zatrzaskać drzwi za sobą, chciała go zamknąć w celi! Ale stara krowa nie miała szansy z mirem. Villar otworzył drzwi kopniakiem, a kobieta padła na plecy.

Wrzasnęła i wyciągnęła ręce w obronie.

– Czas umierać, gruba krowo!

Rozdział 26

Targi

– Wyjaśnij mi coś, Royce – powiedział Hadrian, kiedy we dwóch wspinali się na wzgórze. – Dlaczego Maribor stworzył kolczaste zarośla?

– A stworzył? – zapytał Royce, przedzierając się przez gęstwinę obumarłych gałęzi, wysokiej trawy i straszliwej plątaniny kolczastych krzewów, na które narzekał Hadrian. – Myślałem, że bóg to ludzi, nie flory.

– Och, możesz mieć rację. Założę się, że Evelyn by wiedziała.

– Przy odrobinie szczęścia już dawno jest po niej. Wątpię, żebyśmy znaleźli to miejsce.

Royce przystanął, by otrzeć twarz rękawem.

Wtedy Hadrian zorientował się, że jest gorąco. On, rzecz jasna, był zlany potem. Koszula kleiła mu się nieprzyjemnie do pleców. Gorzej, że materiał spodni przywarł do ud, krępując ruchy. Royce rzadko się pocił, ale tego dnia zrzucił kaptur, czoło miał gładkie i lśniące, a włosy nastroszone. Dwa dni temu odnosili wrażenie, że może spaść śnieg, ale teraz wydawało się, że lato przeskoczyło wiosnę. Gramolenie się przez wilgotną trawę i jeżyny równie nieprzystępne jak zamkowe mury nie pomagało.

– Mam silne przeczucie, że marnujemy czas – powiedział Royce, machając ręką przed twarzą, żeby pozbyć się miniaturowej chmurki burzowej z maleńkich, czarnych owadów. Odwrócił się i spojrzał na rozciągające się za nimi Rochelle. – To nie było aż tak daleko, co?

Hadrian wzruszył ramionami.

– Wchodzimy teraz do lasu.

Skinął głową w stronę nierównej linii sosen i świerków, które rosły na stoku. Drzewa zebrały się w małych grupkach, jakby gawędziły z sąsiadami, ale dalej wznosiły się masą, tworząc gęstwinę, jaka porastała podnóże nadmorskich gór.

– Na mapie był las? Pamiętasz może?

Royce pokręcił głową.

– Nie, ale te drzewa mają... Ile? Trzydzieści, czterdzieści lat? Pewnie od pokoleń były ścinane na opał. Tamta mapa jest sprzed kilkuset lat. Nie sposób zgadnąć, jak to wtedy wyglądało. Jedyna dobra rzecz to fakt, że obecność Villara tutaj ma sens. Idealne ustronie. Nie wyobrażam sobie, żeby wielu ludzi tu przychodziło bez potrzeby.

Hadrian wykorzystał to, że Royce przystanął, i sam padł na trawę. Przynajmniej kałuże po deszczach w poprzednich dniach były chłodne. Nabrał deszczówki w dłoń i zwilżył kark. Potem położył się i spojrzał na niebieskie niebo i białe obłoczki.

– Piękny dzień. To nie w porządku.

– Co takiego? – zapytał Royce, przyglądając się drodze przed nimi z niezadowoleniem.

– Żeby takie okropne rzeczy działy się w takie piękne dni.

– Wolałbyś wylądować tu w deszczu?

– Myślałem raczej o ludziach na dole. Widziałeś ich rano, wystrojonych w najlepsze ubrania. To była długa, mroczna zima. Chcą tylko odrobiny radości. I pierwszego ładnego dnia w miesiącu co się stanie? To nie w porządku.

Royce spojrzał na Hadriana zdumiony.

– To strasznie dziwne.

– Co takiego?

– My tu przedzieramy się przez kolczaste pnącza i pokonujemy śliski, błotnisty stok, próbując odnaleźć szaleńca, zanim doprowadzi do masakry setek ludzi, a ty myślisz o tym, jakie to niesprawiedliwe, że ludzie doskonale bawią się na festynie?

– Dlaczego to dziwne?

– Dlaczego nie pomyślisz o tym, jak siłujemy się w gorącu

z kolczastymi krzakami, wdychając te czarne muszki? Czy to jest w porządku? Dlaczego nie możemy zajadać wieprzowiny i tańczyć z dziewczynami w taki piękny dzień?

Hadrian zarechotał.

– Co? Co cię tak śmieszy?

– Nic. Właśnie wyobraziłem sobie ciebie, jak tańczysz. Nie mogę tego przełknąć.

Royce się nachmurzył.

– Mówię tylko, że to dziwne, że współczujesz im, a nie nam.

– No wiesz, współczuję tobie, jeśli to ci poprawi samopoczucie.

Royce klasnął w dłonie przed twarzą, próbując zabić część dręczących go muszek.

– Dlaczego?

– Bo nie potrafisz zrozumieć, dlaczego współczuję ludziom. To każe mi myśleć, że twój świat jest bardzo mały.

– Aha. – Royce był rozczarowany. – Myślałem, że powiesz coś innego.

– Serio? Co takiego?

Royce prychnął i splunął, kiedy muszki wleciały mu do ust. Odsunął się od jeżyn, wymachując ręką przed twarzą.

– Nędzne małe koszmaki. Dlaczego to robią? Wlatują prosto do ust, oczu, nosa. To nie ma sensu. To nie może im się podobać. Z pewnością mi się nie podoba. Nie ma z tego żadnej korzyści, a jednak wlatują mi do ust.

– Co takiego myślałeś, że powiem?

– Och. – Royce przesunął ręką po twarzy. – Myślałem, że może chcesz przeprosić za to, że zgłosiłeś się do roli męczennika minionej nocy.

– Przeprosić? Żartujesz sobie? Uratowałem nas.

– Tak to widzisz?

– A można inaczej?

– Zostawiłeś mnie w bardzo nieprzyjemnym położeniu.

Hadrian usiadł i spojrzał na niego.

– O, to przepraszam. To ty siedziałeś związany przez całą noc z krasnoludem bawiącym się nożem i przypominającym o swoim

zamiarze podejrzenia ci gardła? Bo myślałem, że to byłem ja.

Royce męczył się, próbując zdjąć coś z języka dwoma palcami, bez wątpienia muszkę. Złapał to coś, zerknął z niesmakiem i pozbył się pstryknięciem.

– Miałeś się uczyć ode mnie. Nie możesz, jeżeli mnie nie słuchasz.

– Uczyć od ciebie?! Brachu, coś ci się pokręciło. Arcadius zrobił z nas partnerów, żebym ja mógł cię uczyć.

Royce, który wziął się za czyszczenie oczu, zamarł.

– Czyś ty mnie nazwał „brachem”?

– Aha. To znaczy przyjaciel. Dosłownie brat.

– Wiem, co to znaczy.

– Zaczynasz tracić słuch? Jeśli chcesz porozmawiać o dziwnych rzeczach, to ten fakt z pewnością się kwalifikuje. Masz najbardziej niepokojąco ostry słuch ze wszystkich ludzi, jakich poznałem. Mówię serio, nie wiem, jak śpisz nocą. Świerszcze muszą doprowadzać cię do szału.

– Nie świerszcze... Zdecydowanie nie świerszcze.

Hadrian uśmiechnął się kpiąco.

– Myślałem, że ta robota przekona cię do zalet bycia przyzwoitym człowiekiem. Spójrz na Rolanda. Moja przyjaźń z nim pomogła nam, i to nie raz, ale dwa razy. Okazywanie szacunku Evelyn dało nam bardzo wiele. I przeżyliśmy ostatnią noc, ponieważ dawno temu zachowałem się honorowo.

– To była ta sama noc, podczas której wybiłeś całe miasteczko? – zapytał Royce. – I to nie było aż tak dawno temu, co? Nie jesteś aż tak stary.

– Z powodu takich nocy jak tamta czuję się staro.

– Więc jak to było? Uratowało cię to, że okazałeś dziewczynie dobroć? Czy też znalazłeś się w niebezpieczeństwie, bo ty i twoi kompani wymordowaliście większość, ale nie wszystkich mieszkańców podczas bitwy?

– Ponieważ obroniłem Seton.

– Jesteś pewny? Przed czym broniłbyś ją, gdyby nie napadnięto na miasteczko? Gdybyś nie władał mieczem tak dobrze, inni żołnierze nie ofiarowaliby cię jej. Dlatego zastanawiam się, co właściwie miało

tu znaczenie: twoja dobroć czy okrucieństwo?

– Dlaczego ty zawsze wolisz widzieć we wszystkim ciemność?

– Bo ona tam jest. Ignorowanie tego faktu grozi niebezpieczeństwem.

– Ale światło też tam jest i dostrzeżenie tego czyni szczęśliwym.

– Jaka korzyść ze szczęścia, kiedy jest się martwym?

– Jaka korzyść z życia, kiedy jest się nieszczęśliwym?

Royce urwał i przez chwilę Hadrian był przekonany, że wygrał. Royce odszedł jednak, głośno tupiąc. Nagle przechylił głowę.

– Co jest, wierny ogarze? Coś usłyszałeś?

– To nie było śmieszne już za pierwszym razem – odrzekł Royce.

Chwilę potem ze wzgórza dobiegł krzyk kobiety.

* * *

Nie zabiję jej tak po prostu, zdał sobie sprawę Villar z całkowitą jasnością, z jaką widział teraz każdy swój błąd. Arystokratyczna krowa schowała się koło drzwi. Knuła przeciwko niemu. Dosłownie widział w niej łaciata, czarno-białą krowę. Oczami wyobraźni widział, jak stoi na tylnych nogach, potężnym ozorem oblizuje szerokie, różowe nozdrza i czeka z uniesionymi złożonymi razem kopytami, błagając jak pies i mając nadzieję, że Villar się na to nabierze. Gdy tylko otworzył drzwi, ta sekunda, podczas której podbiegł niemal na oślep do kukły z koca i słomy, była tą samą sekundą, kiedy ona się wymknęła.

Omal się nie nabrał.

Włosy i łańcuch, pomyślał.

Jego umysł odczytał te dwa fakty jako niepodważalny dowód tego, że kobieta leży na podłodze pod ścianą w głębi celi. Jak mogłyby znaczyć cokolwiek innego? Skoro przymocowana łańcuchem do ściany obroża znajdowała się na szyi, to istniało spore prawdopodobieństwo, że reszta ciała też będzie się tam znajdowała. Oczy i umysł razem spiskowały przeciwko niemu. Gdyby pomieszczenie było większe albo krowa byłaby mniejsza, to podstęp

mógłby się udać. Świadomość, jak niewiele brakowało, żeby popełnił fatalny w skutkach błąd, była przerażająca.

Kiedy krowa leżała na podłodze i krzyczała, Villarowi serce waliło w piersi z powodu tego, jak niewiele brakowało. Potrzebował sekundy, żeby odetchnąć, uspokoić się. A potem chwycił mocniej nożyk.

Księżna odsunęła się, wierzgając nogami jak krab. Kiedy przeturlała się na kolana i próbowała wstać, Villar ją złapał. Księżna nie była filigranową kobietą, smukłym kwiatuszkiem. Była równie wysoka jak on i ważyła dwadzieścia funtów więcej niż on. Szarpnęła się mocno i uderzyła całym ciałem o niego, waląc nim o ścianę tak, że prawie się przewrócił. Atak pozbawił także ją równowagi, więc upadła na kolano.

Zaraz potem znowu spróbował ją dopaść, ale stara krowa rzucała wszystkim, co znalazła, cisnęła nawet dwiema ciężkimi urnami. Jedną trafiła go w rękę, wybijając z niej nóż. Złapał go akurat na czas, żeby zobaczyć, jak księżna biegnie do drzwi.

Złapał ją w połowie sali. Jedną ręką chwycił za obcięte włosy i odchylił jej głowę do tyłu, a drugą przysunął nóż. Księżna wyginała się i kopała, dopóki nóż nie dotarł do szyi.

– Stój!

Villar uniósł głowę i zobaczył dwóch cudzoziemców wbiegających do świątyni.

Mniejszy miał biały nóż, którym dźgnął w pierś golema i jakimś cudem także jego. Drugi – ten wielki, którego Seton nazywała *rasa* – trzymał dwie klingi, po jednej w każdej ręce.

* * *

– Zabij ją, a umrzesz! – krzyknął Royce.

Krępa kobieta, księżna Rochelle, jak domyślał się Hadrian, klęczała, dyszała i spływała potem. Miała odchyloną głowę. Villar stał za nią, w lewej ręce trzymając garść jej włosów, a prawą przyciskając sztylet do jej gardła.

– Pomocy! – krzyknęła Genny Winter.

Poirytowany tym Villar jeszcze mocniej odchylił jej głowę, a księżna znowu krzyknęła.

– Rzućcie broń – zażądał Villar.

Royce parsknął, jakby czyścił nos.

– Dlaczego?

– Rzućcie albo ją zabiję!

Royce zerknął na Hadriana.

– Nie powiedziałem już, że jeśli ją zabije, ja zabiję jego?

– Powiedziałeś.

– To co ten idiota robi? Grozi nam swoim samobójstwem? – zdumiał się Royce.

– Chyba odniósł wrażenie, że zależy nam na jej życiu.

– Serio? – Royce zarechotał.

– Łatwo się pomylić. W końcu rozkazałeś mu jej nie zabijać, a poza tym cię nie zna.

– Pewnie, jasne, ale nawet gdybym był kimś innym, serio pytam, dlaczego ktokolwiek miałby się poddać? Ty byś się poddał? Nawet gdyby tej osobie zależało na życiu tej kobiety, Villar nadal jest w gorszym położeniu. To jak wymiana pionków na szachownicy. Pewnie, że ją stracimy, ale on przegra całą rozgrywkę. Z drugiej strony, jeśli się poddamy, on zabije nas i nic nie zyskamy. Nikt nie poszedłby na taki układ. To głupie. Nie wspominając już o tym, że dostaniemy zapłatę bez względu na to, czy ona przeżyje, czy nie.

Hadrian spojrzał na Villara.

– W ten sposób mówi ci, że nie zamierzamy rzucić broni, ale jeśli ją zabijesz... Ach, jestem pewien, że resztę zrozumiałeś.

Villar zawahał się, nóż niepewnie opierał się o gardło kobiety.

– Musicie zawrzeć umowę, chłopcy – odezwała się Genny spokojnym głosem. – Villar złożył wam propozycję, a wy musicie przedstawić kontrofertę. Na tym polega targowanie się. Zatem teraz wasza kolej. Co proponujecie?

Royce pokręcił głową.

– Nie mam kontroferty.

– Pewnie, że masz! – krzyknęła księżna. – Chcecie, żebym żyła,

inaczej nie byłoby całej tej rozmowy, prawda? Oczywiście, że to prawda. Ale jesteście w impasie. Zatem potrzebna jest umowa. Jasne?

– Po której stronie jesteś? – zapytał Royce.

Wytrzeszczyła oczy.

– Po swojej, rzecz jasna. Chcę żyć. A teraz słuchajcie. – Przełknęła odważnie ślinę. W małym pomieszczeniu dało się to wyraźnie usłyszeć. – Nie chcę umrzeć, ale to nie ma znaczenia, bo chociaż to dziwne, nie mam tu nic do gadania. Ta sprawa dotyczy waszej trójki. Nie chcecie, żeby mnie zabił, a Villar nie chce, żebyście wy go zabili. To dobrze, bo obie strony mają coś, czego chce druga. Wszyscy mogą wygrać. Nawet ja.

Nikt nic nie powiedział, cała trójka czekała.

– W porządku, świetnie. Co powiecie na to: Villar mnie puści, a wy pozwolicie mu odejść? Jak to brzmi?

Royce się uśmiechnął.

– Mnie to pasuje. Śmiało. Puść ją.

– No i proszę, zadowoleni? – zapytała Genny.

Villar pokręcił głową.

– Myślisz, że jestem idiotą? Kiedy tylko cię puszcze, oni się na mnie rzucą. To nie zadziała! To głupie. Nie zawrzemy umowy. Jeśli ja mam umrzeć, to zabiorę...

– To wcale nie jest głupie! – zaprotestowała Genny, kiedy ostrze przycisnęło się do jej skóry. – Możemy obmyślić umowę, która się sprawdzi. Tym się zajmuję. A teraz zamknijcie się i słuchajcie.

– Nie wypuszczę cię, dopóki oni mogą rzucić się za mną, kiedy tylko to zrobię.

– W porządku, w porządku. To żaden kłopot. To się da załatwić.

– Naprawdę? – zapytał Hadrian.

– Jasne – zapewniła go księżna. – Villar? A co ty na to, gdyby ci mili panowie weszli ze mną do celi, w której byś nas zamknął? W ten sposób ty byłbyś wolny i nikt nie mógłby cię skrzywdzić.

– A co go powstrzyma przed... – zaczął Royce.

– Cicho! – krzyknęła Genny. – Kimkolwiek jesteście, milczcie, proszę.

– On nazywa się Royce, a ja jestem Hadrian Blackwater.

– Bardzo mi miło. A teraz Royce, Hadrian, zamknijcie się, proszę, i dajcie mi się wszystkim zająć, dobrze? – Zmusiła się do uśmiechu. – Wy dwaj zachowacie broń, dzięki temu nie będziecie na łasce Villara. Będziecie zamknięci, owszem, ale bezpieczni.

– To niezbyt... – zaczął Royce.

– Cii! Nie chcę słyszeć sprzeciwów ani kontrpropozycji. Mamy umowę na stole. Zgadza się?

Royce spojrział na drzwi, prychnął i w końcu powiedział:

– W porządku.

– Hadrianie?

– Pewnie, jasne, czemu nie.

– Villar? Chcę żyć i ty też. To uczciwa wymiana, więcej niż godziwa. Moje życie należy do ciebie. Zgadzasz się?

Villar nie odpowiedział.

– Opuść nóż i pozwól mi się odsunąć, podczas gdy ci dwaj wejdą do celi. Potem wejdę ja. Możesz zamknąć drzwi i odejść.

Nadal nie odpowiadał, ale powoli nóż odsunął się od jej gardła. Machnęła na Royce'a i Hadriana, żeby weszli do celi.

– Panowie, gdybyście byli tak uprzejmi.

Royce sprawiał wrażenie zdegustowanego, ale wszedł. Hadrian schował miecze do pochew przed wejściem. A potem Genny ruszyła w ich ślady. Villar pchnął ją do celi, zatrzasnął drzwi i obrócił klucz, który nadal tkwił w zamku.

Kiedy tylko drzwi się zamknęły, Genny rzuciła się Hadrianowi na szyję i go ucałowała.

– Kocham cię!

Potem ruszyła do Royce'a, który nadal trzymał sztylet.

Hadrian ją odciągnął.

– Nie robiłbym tego na pani miejscu. Royce nie przepada za przytulankami.

– Ach, panowie, macie moją dozgonną wdzięczność, ale, na Maribora, kim jesteście? I co tu robicie?

– Pani ojciec przysłał nas na ratunek – wyjaśnił Hadrian.

– Wynajął nas, żebyśmy się dowiedzieli, co się z panią stało – sprostował Royce, podchodząc do drzwi. Przyklęknął przy zamku.

– I dokonaliście obu rzeczy! Moi bohaterowie! Pasuję was na rycerzy albo uczynię hrabiami czy kimś takim.

Hadrian uśmiechnął się do niej.

– Tylko królowie mogą to robić.

– Królowie! – wykrzyknęła Genny. – Leo! Muszę odnaleźć męża. Muszę pokazać biskupowi, że nadal żyję, żeby Leo mógł zostać koronowany na króla.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim doprowadziła pani do zamknięcia nas w kamiennej celi – odrzekł Hadrian.

– I pomyślałam.

Wskazała jego partnera, który już otworzył zamek i drzwi.

Royce natychmiast wybiegł jak pies wypuszczony z klatki, z którym droczyła się arogancka wiewiórka.

– Wiedziała pani, że potrafi otwierać zamki? – zapytał księżnę Hadrian.

– Wiedziałam, że nie należy do tego rodzaju ludzi, którzy dadzą zamknąć się w celi, jeśli nie są pewni, że z niej wyjdą. Interesy są jak gra w karty: trzeba szybko oceniać ludzi i szacować szanse.

Hadrian spojrział na otwarte drzwi. Royce już znajdował się tak daleko, że nie było go nawet słychać. W tej chwili dolatywały do nich tylko brzęczenie pszczoł i ptasi śpiew.

– Proszę posłuchać, muszę pomóc Royce'owi znaleźć Villara – powiedział Hadrian. – Pani musi tu zostać. To tak naprawdę najbezpieczniejsze miejsce. Wiem, że chce pani pobiec na ucztę, ale to nie jest najlepszy pomysł. Wrócimy, gdy już znajdziemy Villara. A potem odeskortujemy panią do miasta.

– A jeśli nie wrócicie, to mam zostać tu i umrzeć z głodu? A może powinnam powędrować w dzicz i umrzeć z zimna?

– Niech pani posłucha, wrócimy, obiecuję, ale jeśli to poprawi pani samopoczucie, to miasto leży tam. – Wskazał kierunek. – Proszę schodzić na dół, a wpadnie pani prosto do Rochelle. Proszę tylko nie iść tam, dopóki nie wrócimy.

– Dlaczego?

– Bo to może być niebezpieczne.

Księżna prychnęła.

– Nie jestem delikatną panienką. Na pewno poradzę sobie z zejściem do miasta.

Hadrian wyjrzał. W życiu nie dogonię Royce’a, pomyślał. Nawet nie widziałem, w którą stronę pobiegł.

– Marnujemy cenny czas. Musi mi pani zaufać. Jeżeli nie znajdziemy Villara, jeśli nam się wymknie, istnieje ryzyko, że przywoła potwora i zaatakuje uczestników uczyty.

Genny Winter oniemiała.

Hadrian spostrzegł jej zdumienie.

– Potwór nazywa się golem i jest z kamienia. – Wyjaśnienie brzmiało idiotycznie nawet dla niego. – Villar już raz takiego stworzył. Zrobi to znowu i zamorduje wszystkich na uczcie. Więc woli pani tam nie iść, jasne?

Uniosła rękę do ust.

– Leo! – szepnęła i spojrzała na drzwi.

– Wiem, że się pani martwi, ale nic pani nie poradzi. Naprawdę musi tu pani zostać. Niech pani nigdzie nie idzie. Niech pani zostanie tu, gdzie jest pani bezpieczna.

I to powiedziawszy, pogonił za Villarem i Royce’em.

Rozdział 27

Święto Wiosny

Genny nigdy w życiu nie była w dobrej formie, a ponad dwa tygodnie uwięzienia w małej celi, kiedy prawie nic nie jadła, tylko pogorszyły jej stan. Gdy tylko Hadrian zniknął, pobiegła w stronę miasta i wkrótce spływała potem i ciężko dyszała. Krew dudniła jej w głowie. W piersi ją paliło. Przebiegła raptem pięćdziesiąt stóp.

Trzy razy się potknęła. Dwa razy prawie upadła.

Biegnijcie, stopy! Biegnijcie!

Skupiła się całkowicie na ziemi pod nogami.

Nie upadnij. Nie upadnij. Nie upadnij. Kamień! Nie upadnij. Nie upadnij. Drzewo!

Parła przed siebie, ledwie spostrzegając rozmazane zielone i brązowe plamy, ciepło słońca prażącego jej skórę, jakiego nie czuła od wielu dni. Żar był miły, ale przez niego się pocila. Zanim natrafiła na chodnik, miała przeupocone ubranie i ledwie widziała przez zalane potem oczy.

Wybiegła spomiędzy drzew i pól, wkroczyła między ruiny Gawroniej Kolonii. Widziała już to miejsce, ale tylko z okna powozu i tylko tę część zniszczonej dzielnicy, która sąsiadowała z Małym Gur Em w okolicy portu. Kiedy wynurzyła się z lasu, znalazła się w zniszczonym sercu tej zaniedbanej krainy. Trawa rosła między kostką brukową i przy wejściach do budynków. Zeszłoroczne liście nadal leżały w kątach, gdzie zagnał je wiatr. Stare budynki z pustymi oknami i bez drzwi wyglądały jak wymizerowane. Niektórym

brakowało ścian. Gnijące pługi i obręcze od połamanych kół rdzewiały na ulicach i podwórkach. Mimo zaniedbania Genny zauważyła żółte i fioletowe polne kwiaty, które wszędzie wyrastały, nawet na dachach niektórych domów. Uwielbiała kwiaty i ich widok wywołał tak radosny uśmiech, że prawie się popłakała.

Żyję! Genny odkryła, że nie może złapać dostatecznie dużo powietrza, jakby go nagle zabrakło w świecie. W piersi ją paliło przy każdej próbie wdechu. Krew napłynęła jej do twarzy. Było jej gorąco, a serce waliło młotem. Od kiedy to bieganie stało się aż tak trudne? Kiedy była młodsza i o wiele chudsza, wszędzie biegała. Nigdy wtedy jej głowa nie przypominała korka w butelce z musującym winem, którą solidnie potrząsnęto.

Kiedy to się zmieniło?

Odpowiedź nadeszła szybko i to w formie następnego pytania. Kiedy ostatni raz biegałam? Kiedy byłam dzieckiem. Kiedy byłam szczupłą. A teraz jestem... Nic dziwnego, że Leo mnie nie kocha. Kto mógłby pokochać to coś.

Łzy pogłębiły jej cierpienie. Powinna nienawidzić Leo, ale w tej chwili najbardziej na świecie pragnęła ujrzeć jego twarz i wiedzieć, że nic mu nie grozi. Pamiętała tylko chwile, kiedy razem się śmiali. Tak dobrze się przy nim czuła, nigdy nie myślała o sobie jak o brzydkiej albo niezgrabnej, nigdy jej nie ranił ani nie lekceważył. Nawet ojciec Genny był skłonny traktować ją protekcyjnie, trywializować jej uczucia. Leo naprawdę jej słuchał, a przynajmniej diabelnie świetnie to odgrywał. Nigdy jej nie odmawiał. Nigdy nie próbował jej ograniczać, nigdy nie upominał, żeby zachowywała się, jak należy. Jak się nad tym zastanowiła, to zaczęła podejrzewać, że jego odmowa bronienia jej przed drwinami była nie tyle dowodem tego, że mu nie zależy, ile szacunku i przekonania, że sama sobie z tym poradzi. I w tak wielu kwestiach się zgadzali. Czasem miała wrażenie, że są jedną osobą.

Genny zwolniła. Znajdowała się w Kolonii, gdzieś pomiędzy Littleton a Małym Gur Em. To była dzielnica handlowa, pełna magazynów i warsztatów. A widziała tu dziwnie mało ludzi...

Wszyscy są na festynie, pomyślała.

Leo z pewnością tam był, siedział najbliżej, jak się dało, biskupa, próbując zaimponować Tynewellowi i zdobyć jego przychylność. Czy jeśli mnie tam nie ma, nie zostanie zdyskwalifikowany? Czy ktoś inny nie zostanie wybrany?

Na miłość Maribora, ależ ja jestem żałosna. Jakie to ma znaczenie, czy będzie nosił koronę? O mały włos nie umarłam, a jednak żyję! I jestem wolna! Do diabła, jestem żoną księcia i mieszkam we wspaniałej rezydencji! Na co tu narzekać? I co z tego, że mnie nie kocha? Kogo to obchodzi? Ja go kocham i nie przestanę.

* * *

Biskup Oswal Tynewell stał za szybami tworzącymi ogromną rozetę nad frontowym wejściem do Grom Galimus. Z wysokości ośmiu kondygnacji miał idealny, otwarty widok na plac w dole. Skończyły się tańce i dzielące przestrzeń sznury usunięto. Wszyscy podchodzili, żeby zająć miejsce przy jednym z dwudziestu stołów ustawionych w rzędach wokół posągu Novrona. Oswala zdumiewała dokładność, z jaką je ustawiono. Nikt tam na dole nie mógł widzieć tego tak dobrze, jak on z góry. Czwarty rząd po prawej był odrobinę przekrzywiony i z niewiadomego powodu ogromnie go to irytowało. Stoły bankietowe z tej wysokości wydawały się maleńkie, ale wiedział, że przy każdym zasiadzie dwanaście osób, a to oznaczało, że zbierze się ponad dwustu arystokratów. Z miejsca, w którym stał Oswal, wyglądali jak małe kolorowe kropki. Jasnoniebieskie plamki.

Reszta mieszkańców miasta, podobnie jak tłumy przybyszów, była zmuszona stać za sznurami, które obwodziły plac. Ci, którzy jeszcze do niedawna tańczyli i śpiewali na bruku przed katedrą, zamienili się w spoconych widzów doniosłej chwili, jakiej spodziewali się już wkrótce.

Wydarzenie będzie z pewnością doniosłe i warte obejrzenia, tyle że lepiej nie oglądać go ze zbyt bliska, pomyślał biskup.

Nie wszyscy przybyli do Rochelle. Niektórzy z pomniejszych arystokratów, tacy jak ci, którzy wstąpili do klasztorów, nie

przyjechali. Ponadto nieobecne były zbyt stare i niezamężne kobiety. Zaproszenie ich wydawałoby się dziwne, jeśli nie wprost podejrzane. Mnisi i stare panny nie były kimś, kim Oswal musiał się przejmować. Nie można było ich poważnie traktować jako kandydatów do tronu.

Najbardziej martwiło Oswala to, że jedzenie już przyniesiono, a jeszcze nic nie zaczęło się dziać. Jeśli słudzy zdejmą pokrywki z talerzy, jeżeli zaczną podawać jedzenie, a on się nie zjawi, zgromadzeni zaczną się niepokoić. Ludzie już co rusz oglądali się na drzwi Grom Galimus. Wszyscy czekali na jego nadejście. Na jego mowę i ogłoszenie, kto zostanie nowym królem Alburnu lub chociaż wyjaśnienie, w jaki sposób zostanie on wybrany.

Oswal nie zamierzał wychodzić z katedry. To było jedno z nielicznych bezpiecznych miejsc w mieście. Przynajmniej tak powiedział mu Villar, a on swoje wiedział. Mir parał się sztukami, których lepiej się nie tykać, jeżeli jednak przy okazji zrobi to, co należy, kimże biskup był, żeby spierać się z efektami? Jednakże magia bywa nieprzewidywalna, a Tynewell nie chciał zostawiać swojego życia w rękach kogoś, kto być może nie zdoła zapanować nad wyzwolonym przez siebie złem.

Chociaż w imperium novrońskim korzystano z usług czarodziejów, to magia okazała się także przyczyną jego upadku. I dlatego po upadku wielkiej stolicy magię wykorzeniono za pomocą kościelnego edyktu. Tylko naprawdę źli ludzie praktykowali zakazane sztuki. Posługiwanie się nimi było podstawą do ekskomuniki i kary śmierci. To, że Villar zamierzał posłużyć się mroczną sztuką, było kolejnym dowodem jego nikczemności. Oswal zadrżał na myśl o swojej współpracy z mirem, ale co innego mógł zrobić? Żeby uzyskać to, czego chciał, musiał nagiąć parę zasad i przekroczyć kilka granic. Czuł, że dopóki zamyka wcześniej oczy, to może przekroczyć owe granice i mimo to rozgrzeszyć się z winy, twierdząc, że o niczym nie wiedział. Poza tym nikt mu nie wmówi, że zatopienie *Wiecznego Imperium* było czynem cnotliwym. Grzech często był mostem prowadzącym do zbawienia.

Czas mijał i nadal nic się nie działo. Nie zaczął się żaden bunt, nie atakowały żadne magiczne stwory. Oswal zastanawiał się, jaką

przedstawi wymówkę, kiedy wreszcie będzie zmuszony wyjść z katedry. Może zdoła zyskać na czasie, mówiąc, że nadal nie podjął decyzji. Nie, to się nie uda. Królestwo już od pięciu miesięcy obywatło się bez króla. Zawody. Będzie musiał zdecydować się na zawody, ale jakie? Najlepiej takie, których nie da się wygrać. To mu zapewni czas potrzebny do...

Przez okno, przez szyby w rozecie, dobiegły go krzyki. Początkowo były to jedynie okrzyki zaskoczenia. A potem zamieniły się w okrzyki przerażenia.

W dole twarze unosiły się i palce wskazywały wielki marmurowy posąg Novrona, który stał pośrodku placu. Rzeźba miała jakieś siedemnaście stóp wysokości i była zdumiewającym dziełem sztuki, źródłem inspiracji tak wielkim, że otaczanym wręcz czcią, ale nigdy dotąd nie wywołała okrzyków zgrozy. Oswal nie rozumiał powodu paniki, dopóki nie zdał sobie sprawy, że Novron, który od pokoleń patrzył ponad palcem na katedrę, teraz patrzy pod nogi.

Chwilę potem posąg poruszył się, skręcił ciało i wyciągnął przed siebie miecz.

Cud! Oswal patrzył zdumiony. Boski Novron ożył!

Wielu arystokratów także w to wierzyło i pozostało na placu, odsuwając się, ale nie uciekając. Niektórzy wręcz podeszli do ogromnej postaci. Floret Killian, na przykład, który miał na sobie długą aksamitną szatę w niebieskim kolorze i pasującą do tego pelerynę, podeszedł jako pierwszy. Jego strój był zupełnie nieodpowiedni przy dzisiejszej pogodzie, ale doskonale pasował do osoby, która ma dziś zostać koronowana. Może Floret uznał ożywienie posągu Novrona za sprawkę Kościoła, że to próba, którą zaaranżował biskup, żeby znaleźć następnego króla Alburnu – ucieczka mogła zostać uznana za przejaw braku wiary. Z pewnością biskup wiedział, że Novron zjawi się osobiście na uczcie i sam namaści następnego władcę. Z jakiego innego powodu biskup nalegałby, żeby przybyli wszyscy arystokraci z królestwa? Z jakiego innego powodu tak długo zwlekałby z ogłoszeniem nowego władcy? Tak, oczywiście, Maribor powiedział, że jego syn pojawi się na Święcie Wiosny, i chciał mieć pewność, że wszyscy będą mogli zobaczyć ten cud.

A potem marmurowy Novron zaczął zabijać ludzi.

Jeden z ogromnych sandałów Novrona opadł na Floreta i zmiażdżył go na bruku. Od tej chwili posąg zostawiał czerwone ślady, gdziekolwiek postawił stopę. Drugą nogą kopnął dwóch synów Killiana, aż polecili przez plac. Oswal był pewien, widząc plamę na marmurowej goleni, że zginęli w chwili, gdy noga w nich trafiła. To był zaledwie wstęp. Kiedy już Novron zszedł z piedestału i stanął pewnie, zaczął wymachiwać mieczem. Mająca bite osiem stóp długości ogromna marmurowa klinga ścinała łany ludzi, którzy ułatwiali zadanie, zbierając się w wygodne garstki. Z każdym udanym ciosem, niegdyś nieskalany posąg pokrywał się szkarłatem od rozbryzgów krwi.

Ogarnięty zgrozą Oswal złapał się za gardło. Stał jak zahipnotyzowany szybkością, z jaką rozgrywała się masakra. Był przerażony. Fakt, że mir postanowił sprofanować najświętszy symbol Kościoła, wykorzystując go jako narzędzie mordy, sprawił, że biskup uderzył pięściami w szyby rozety.

Jak on śmie?!

Jego przerażenie spowodowane wrzaskami umierających i wkrótce mających umrzeć ludzi zostało przewyciężone przez wściekłość z powodu upokorzenia jego religii, kiedy mir posłużył się wizerunkiem Novrona w charakterze narzędzia zniszczenia.

To nie do przyjęcia, wściekał się.

Rewolucja to jedno. Mroczna magia to co innego. Ale to?! To była perwersja nie do pomyślenia. Musiał coś zrobić. Pobiegł do schodów i popędził na dół. Nie miał pojęcia, co robi, kiedy zbiegnie na dół, ale poniosło go święte oburzenie. Potknął się o własne szaty i spadł z ostatnich trzech stopni, lecz nie pozwolił sobie na odczuwanie bólu.

Złapał świecznik z kutego żelaza i wybiegł z gabinetu ku potężnym frontowym drzwiom. Tam stanął, dysząc z wysiłku, opierając się o żelazny stojak i rozglądając się po pustej katedrze, podczas gdy na zewnątrz nadal rozbrzmiewały krzyki. Nie śmiał otworzyć drzwi. Zamiast tego zerknął przez okno na ogromny ożywiony posąg, który nadal siał spustoszenie na placu. Kiedy już myślał, że gorzej być nie może, pojawiła się kolejna ogromna rzeźba.

* * *

Villar nie zauważył pojawienia się Glenmorgana, co było dziwne, zważywszy, że dawny władca imperium namiestnika miał bite dwanaście stóp wysokości, a jego buty miażdżyły bruk na żwirek. Villara pochłonęła przyjemność pozbawiania życia władców Alburnu przy pomocy ich własnego boga, przyjemność, od której kręciło mu się w głowie.

Posąg Novrona był ogromny i tak inny od mniejszych gargulców, których wcześniej używał. Poruszał się powoli, reagował z opóźnieniem, ale jego moc przechodziła wszelkie pojęcie. I podobał mu się widok. Posąg był tak wysoki, że widział wszystko – wszystko z wyjątkiem Glenmorgana. To objawienie dotarło do niego w postaci potężnego ciosu.

Villar nie znajdował się na placu; kierował golemem zdalnie, jak to robił wiele razy z gargulcami. Dlatego kiedy Novron Wielki i posąg Glenmorgana – który zwykle stał na piedestale pośrodku Cesarskiej Galerii – uderzyli o kamienny pylon, upamiętniający bohaterów wojennych z Pierwszej Bitwy na Wzgórzach Vilan, Villar niczego nie poczuł. Nie odczuwał też kolejnych ciosów, które Glenmorgan w niego wymierzał. Widział jednakże odłamki marmuru odpadające od jego piersi spod pięści Glenmorgana.

To Griswold, zrozumiał.

Skoro Erasmus Nym nie żył, tylko krasnolud miał niezbędną wiedzę i składniki potrzebne do ożywienia golema.

Próbuje mnie powstrzymać, pomyślał.

Villar przeturlał się i podniósł.

Glenmorgan nie zamierzał mu odpuścić i teraz znowu złapał go od tyłu. Skoczył na plecy Novrona, objął go za szyję i ścisnął.

Griswold co prawda był krasnoludem, przedstawicielem rasy, która odkryła sekrety golemów, ale brakowało mu doświadczenia w posługiwaniu się nimi. On i Erasmus pozwalali Villarowi odwalać całą robotę, wszystkie poprzednie morderstwa, których dokonał w kamiennej postaci. Byli leniwi i teraz krasnolud za to zapłaci.

Griswold walczył jak człowiek – oczywisty błąd. Villar sam popełnił go kilka razy. Tyle że żaden z nich nie był z ciała, a kamień nie oddycha. Duszenie nie miało sensu. Za to miażdżenie i upadki – wręcz przeciwnie – miały niszczycielskie skutki.

* * *

Zanim dotarła na miejsce, Genny wpadła na ludzi pędzących w popłochu. Setki wesoło odzianych obywateli uciekały z placu. Damy w wiosennych sukniach i mężczyźni w rajtuzach i ze sprzączkami przy butach uciekali, jakby gonił ich sam Uberlin.

Kobieta w jasnoniebieskiej sukni z białymi, koronkowymi rękawami zamachała do niej gwałtownie.

– Uciekaj! – krzyknęła. – Novron wszystkich zabija!

Równie dobrze mogła powiedzieć, że Grom Galimus tańczy oberka, i miałoby to tyle samo sensu, więc Genny nawet nie zwolniła. Oczywiście nie poruszała się znowu tak bardzo szybko. Z jednym miała szczęście tego dnia – dokądkolwiek biegła, miała z górki.

– Nie! Nie! Wracaj! – Mężczyzna trzymający w rękach fantazyjny kapelusz, zamachał do niej. – Tam wszyscy umierają!

Genny zwolniła. To nie słowa na nią wpłynęły, tylko krwawa smuga na jego twarzy. Ten rozbryzg krwi kazał potraktować ostrzeżenie poważnie, ale jej nie zatrzymał. Nadal biegła ulicą Centralną aż do miejsca, gdzie łączyła się z Aleją Winną. Stamtąd miała otwarty widok na plac. Dwa ogromne posągi walczyły ze sobą, jeden wskoczył drugiemu na plecy i złapał go za szyję. Pod nimi rozciągała się straszliwa feeria barw. Jak jagody w dzemie truskawkowym ciała leżały na zlanym krwią bruku.

Genny szła przed siebie.

Leo?

Rozglądała się wśród ciał. Były w straszliwym stanie i zaczęła wątpić, czy zdołałaby go rozpoznać w tej makabrycznej masie, ale pomyślała, że może wypatrzy kamizelkę. Była tak bardzo kolorowa. I wtedy przypomniała sobie, że wcale jej nie kupiła. Nawet gdyby to

zrobiła, nie miałyby szansy mu jej dać. Porwano ją, zanim wróciła do domu.

Szkoda, że mu czegoś nie dałam.

Znowu się rozpłakała.

Jeśli jakieś wątpliwości dotyczące miłości Leo do niej kryły się jeszcze w zakamarkach jej serca, to te łyzy je zmyły.

Nawet jeśli Leo mnie nie kocha, to jest dobrym człowiekiem, życzliwym. Nie mogłabym tak mocno pokochać kogoś, kto taki nie jest.

Coś niebieskiego się poruszyło.

Mężczyzna blisko obrzeża placu próbował się odczołgać. Jedną nogę miał wykręconą pod nienaturalnym kątem. Przesuwał się tylko dzięki sile rąk i zostawiał za sobą czerwony ślad. Nad nim dwa olbrzymie siłowały się, ich masywne nogi waliły w bruk z taką mocą, że z murów spadały świąteczne dekoracje. Posąg Novrona próbował zrzucić z siebie posąg Glenmorgana, cztery stopy cały czas waliły w plac i w każdej chwili mogły zmiażdżyć mężczyznę rozpaczliwie walczącego o życie.

Genny serce zabiło mocniej na myśl, że to może być Leo. Podbiegła przez morze szkarłatu pod gradem kamiennych odłamków. Szybko zdała sobie sprawę, że to nie jej mąż. Ten mężczyzna był młodszy, chudszy. Nie zatrzymała się. Nawet jeśli to nie był Leo, to przecież mógłby być. Chciała pomóc nieszczęśnikowi, tak jak miała nadzieję, że ktoś pomoże mężczyźnie, którego ona kocha. Nie patrząc nawet na posągi, walcząc o każdą odrobinę powietrza mimo zadyszki, Genny złapała mężczyznę za kaftan i pociągnęła.

W młodości księżna Rochelle ciągnęła, przetaczała i ustawiała beczułki z whisky razem z mężczyznami. Kaleka na placu ważył mniej od każdej beczułki, jaką wlekła w swoim życiu. Odciągnęła go od masakry szybko, choć może niezbyt delikatnie. Nie miała pojęcia, skąd znalazła w sobie zapasy sił. To nie miało znaczenia. Znalazła w sobie nowe pokłady sił i zamierzała je wykorzystać. Odciągnęła ocalałego w bezpieczne miejsce.

I wtedy ziemia zadrżała i rozległ się huk.

Novron zdołał dźwignąć Glenmorgana, przerzucić go przez ramię i cisnąć nim o plac. O ile boskiego cesarza wyrzeźbiono z marmuru,

o tyle Glenmorgana stworzono z gorszego materiału. Ogromny władca imperium namiestnika, który kiedyś stał pośrodku Cesarskiej Galerii, roztrzaskał się. Dla pewności Novron zmiażdżył stopą przeciwnika, rozrzucając jego szczątki po całym placu.

Genny odciągnęła rannego kawałek w górę Alei Winnej. Jednakże nie dość daleko. Marmurowy olbrzym dobijał rannych, miażdżąc ich ogromnymi stopami. Niedługo ich zauważy.

Ranny też to wiedział. Poczula, jak się wzdryga.

Aleja Winna była jedną z piękniejszych ulic w mieście i wyposażono ją w kanały burzowe. Wielkie rury biegły pod ulicą, odprowadzając deszczówkę do pobliskiej rzeki. Ich ujścia były jak wielkie beczki. Normalnych rozmiarów człowiek mógł się do nich wcisnąć i zniknąć.

– Wczołgaj się do odpływu najdalej, jak zdołasz, ale nie wpadnij do kanału – powiedziała mu. – Będę tuż za...

Usłyszała huk kamienia walącego w kamień. Obejrzała się na plac i zdała sobie sprawę, że golem ich zobaczył. Ogromny posąg zaczął biec pod górę.

– Do diabła! – zaklęła.

Nie zdążą oboje wcisnąć się do kanału.

– Powiedz Leo, że go kocham – powiedziała i odbiegła od rannego, a potem pomachała rękami i wrzasnęła: – Villar! Ty synu puszczalskiej nietoperzycy! Nadal żyję, a ty nadal jesteś paskudny!

Nie zamierzała popełnić samobójstwa, chociaż zdawała sobie sprawę, że to może tak wyglądać. Ranny arystokrata pewnie pomyślał, że poświęca się dla niego. W rzeczywistości miała plan. Zamierzała zwrócić uwagę Villara i odciągnąć golema, umożliwiając arystokracie ucieczkę. To była prosta decyzja i łatwy wybór, zważywszy, że Genny nie wcisnęłyby się do odpływu. Dalszej części planu nie obmyśliła za dokładnie. Miała nadzieję dobiec do warsztatu z powozami po drugiej stronie ulicy i znaleźć sobie schronienie. Ten ostatni punkt planu był mało prawdopodobny, wręcz niewykonalny.

Może więc jednak to nie był najmądrzejszy pomysł, pomyślała.

Rzeczywistość do niej dotarła, kiedy w końcu ugięły się pod nią umęczone nogi. Mięśnie poddawały się ze zmęczenia, Genny potykała się na nierównym bruku. W końcu przewróciła się i padła na twarz,

a ogromny posąg Novrona nadchodził.

Rozdział 28

Zabawa w chowanego

Royce pobiegł wydeptaną ścieżką prowadzącą z ruin, szukając wskazówek. Nie bardzo wiedział, co ma nadzieję znaleźć. Upuszczona notka spisana ręką Villara o treści „poszedłem tędy” byłaby bardzo pomocna. Hadrian wybiegł w końcu z ruin i okrążył je dwa razy, nim zaczął brnąć przez gęste krzewy głogu. Royce nie miał pojęcia, gdzie podziewała się księżna. Może nadal siedziała w celi, jeśli miała dość oleju w głowie.

Villar mógł wrócić do miasta albo zagłębić się dalej w las. Obie możliwości miały swoje zalety i wady. Miasto znajdowało się niżej, ale teren był zasadniczo odkryty. Las znajdował się bliżej i oferował osłonę. Dokąd więc pobiegł?

Hadrian wynurzył się z kolczastych krzewów.

– Znalazłeś coś?

– Nie – odpowiedział Royce.

Spotkali się ponownie koło ruin.

Poszukiwania były dodatkową robotą, za którą nikt im nie zapłacił. Royce szukał Villara tylko dlatego, że omal go nie zabił, i to nie przy jednej, ale przy dwóch okazjach. Nie lubił niedomkniętych spraw i z zasady nie zostawiał przy życiu tych, którzy mu stanęli na drodze.

Rozejrzał się po budynku z kopułą. Co za dziwne miejsce, pomyślał.

Kopuła była najbardziej charakterystyczną cechą budowli, wysoka na czterdzieści stóp i potężna. Royce nie był inżynierem, ale nie wyobrażał sobie, żeby wybudowanie tak potężnej kopuły z kamienia

było łatwym zadaniem. Jedyna druga taka kopuła, jaką widział, przykrywała Grom Galimus, a nie był pewien, z czego ją wykonano. Wyglądała na złotą, ale pewnie tylko tak ją pomalowano. Tę zbudowano z konkretnej, ręcznie pociętej skały, bez zaprawy. Każdy kamień idealnie pasował do sąsiedniego.

Co to za miejsce? Za małe na katedrę, klasztor albo kościół, zbyt ozdobne jak na dom. To musiała być jakaś świątynia, może przerośnięta kaplica.

– Chcesz się poddać, co? – zapytał Hadrian.

– Nie poddać. Znaleźliśmy Genny Winter, uratowaliśmy jej nawet życie. Założę się, że Gabriel zapłaci nam za to dodatkowo. Robota zrobiona. Poza tym Villar może być wszędzie.

– Założę się, że pobiegł do Grom Galimus – powiedział Hadrian, kiedy obaj weszli do świątyni. – Nie robi wrażenia gościa, który łatwo się podda.

– To nie nasz problem, my już...

Zatrzymali się gwałtownie kilka stóp od wejścia do zniszczonej świątyni.

Pierwsze, co Royce zauważył, to zapach. W środku dziwnie pachniało, jakby...

– Cuchnie, jakby ktoś upiekł tu psa – szepnął Hadrian.

Ten szept wyraził więcej niż słowa. Hadrian doszedł do tego samego wniosku, co Royce.

Royce zrobił kolejny krok i zajrzał do celi. Pomieszczenie i cała świątynia wyglądały na opuszczone, ale jeśli to była prawda...

– Gdzie księżna? – szepnął w odpowiedzi.

– Pewnie właśnie wraca do Rochelle.

Hadrian położył dłoń na rękojeści miecza i jak najostrożniej podszedł do ognia.

To, co było wcześniej niemal wygasłą kupką popiołu, teraz ożyło. Płomienie lizały niemal spalony stosik drewna. Royce obejrzał się na wejście. Potem spojrzął na podłogę pod ścianą i zauważył, że czegoś tam brakuje.

– Tam stało pudło – powiedział. – Zauważyłem je, kiedy wychodziłem z celi.

Hadrian skinął głową.

– Takie samo jak to, które Griswold dał Erasmusowi. Myślę, że właśnie ono się pali.

Royce spojrział na ogień.

– Villar nie uciekł. On zawrócił.

– To szaleństwo. Byliśmy tuż obok na zewnątrz. To ogromne ryzyko.

– Wszystkie jego rzeczy tu były. Musiał wrócić. Począł, aż wyjdziemy. Pewnie uznał, że wrócimy do Rochelle i poszukamy go w katedrze, jak zaproponowałeś. Kiedy odbiegliśmy, wpadł tu z powrotem. Nie najgorszy pomysł, zważywszy, że to ostatnie miejsce, w którym byśmy go szukali.

Royce i Hadrian zaczęli systematycznie przeszukiwać ruiny, ale niczego nie znaleźli.

– To gdzie teraz się podziewa?

* * *

Genny spodziewała się, że zaraz zostanie zmiażdżona.

Myślała, że Novron zdepcze ją jak torbę winogron, ale on przekrzywił głowę, jakby nasłuchiwał, a potem obrócił się gwałtownie i popędził na wschód między galerię i katedrę. Tak naprawdę to nie pobiegł – Genny nie była pewna, czy coś tak wielkiego i ciężkiego może biegać – ale dzięki długim nogom poruszał się równie szybko jak koń. Oniemiała patrzyła za nim, jak odchodzi.

Dokąd on idzie?

– Genevieve?! – zawołał z kanału mężczyzna, którego odciągnęła. Wyglądał jak świstak wyglądający z nory.

Genny przeturlała się na bok. Nie wstawała. To byłby za duży wysiłek. Zamiast tego przeczołgała się po bruku. Rozpoznała umazaną krwią twarz Armanda Caldera, hrabiego Czegoś Tam. Nie znała go za dobrze, widziała go tylko raz, podczas ślubu. Przypominała sobie, że chyba pocałował ją w rękę. Był mało ważnym arystokratą, nie liczył się zbyt w wielkim świecie polityki Alburnu.

– Cześć, Army, jak się masz? – odpowiedziała z idiotycznym

uśmiechem na twarzy. – Trzymasz się jakoś, co? Nic ci nie będzie. Może nie będziesz przez jakiś czas tańczyć, ale ani się obejrzysz, jak znów staniesz na nogi. Zaufaj mi, osobiście tego dopilnuję.

Armand pokręcił głową. Albo to wpływ bólu – który musiał być okropny, zważywszy na stan jego nogi, wykręconej w całkiem niewłaściwym kierunku – albo w końcu dotarła do niego cała zgroza, ale dostrzegła łzy w oczach hrabiego Czegoś Tam.

– Po prostu ożył i zaczął wszystkich zabijać... Wszystkich. – Zadrżał, mówiąc.

Wszystkich. To słowo ją zraniło, ale wciąż miała nadzieję, ulotną jak smużka dymu w chwilowo stojącym powietrzu.

– A co z... – Genny urwała. Musiała jednak wiedzieć. – Widziałeś mojego...

– Leo tam nie było – odpowiedział Armand.

Na szczęście Genny już znajdowała się na czworakach, ale mimo to omal nie padła na ziemię. – Chcesz powiedzieć... Mam na myśli... Jesteś pewien?

Wiadomość była zbyt piękna, żeby w nią uwierzyć. Genny tak desperacko chciała uwierzyć Armandowi, że aż się zawahała. Może tylko słyszę to, co chcę usłyszeć.

– Jego miejsce obok krzesła Floreta było przez cały ranek puste – odpowiedział jej hrabia.

– Na pewno? – powtórzyła Genny. – Mówimy o Leopoldzie Hargravie, księciu Rochelle?

– Tak. – Armand skinął głową. – Twoim mężu.

– Ale Leo... On...

– Nie pojawił się. Chyba nie chciał zostać królem tak bardzo jak my. Szczęściarz.

Umęczone ciało Genny nadal błagało o powietrze, ale w tej chwili wstrzymała oddech.

– Wiesz, gdzie jest Leo?

– Szukał ciebie. Wszyscy o tym mówili.

Genny odetchnęła.

– Army – powiedziała, podczołgując się do hrabiego Czegoś Tam. – Army, kochany, kochany człowieku. – Pomogła mu wydostać się na

bruk i okryła go porzuconą peleryną, opatulając mu szyję. – Trzymaj się, zajmę się tobą. Dopilnuję, żebyś z tego wyszedł. Przysięgam na każdego boga, jaki istnieje.

Mówiła szczerze. Genny postanowiła sobie w tamtej chwili, że będzie broniła Armanda Caldera do ostatniego tchu, ponieważ podarował jej coś niepomiaralnie cennego, niewyobrażalnie cennego, co wykraczało poza jej najśmielsze marzenia.

Leo nie tylko żył. Leo ją kochał.

* * *

Znajdowali się pod kopułą w zasadniczo okrągłym pomieszczeniu z paleniskiem pośrodku. Panował tu bałagan – poprzewracane skrzynki, urny, porozrzucone stosy wełny, której było tu zaskakująco dużo. Royce i Hadrian przekopali się przez rupiecie: kilka wysokich, glinianych garów poplamionych na niebiesko, przewrócona drewniana balia, całe stosy surowej wełny. Ale nigdzie nie było Villara.

Royce usłyszał coś na zewnątrz, odległe uderzenia stóp, jakby ktoś biegł. Wybiegł, przekonany, że Villar wyskoczył z kryjówki i ucieka, ale odgłos był głośniejszy od tętentu końskich kopyt. To brzmiało jak...

– Royce? – Hadrian wysunął głowę z wejścia i zaraz stanął obok niego. – Royce, co to takiego?

Zerkając pomiędzy dębem i świerkiem, Royce dostrzegł słońce odbijające się od czegoś olśniewająco białego, co zbliżało się do nich z prędkością galopującego konia. Kiedy wyszło ze żlebu, Royce wreszcie zobaczył to wyraźnie.

– Royce, czy to...

– Posąg Novrona z placu – dokończył za niego Royce.

Teraz obaj widzieli go dobrze, jak kroczy przez otwartą przestrzeń, a jego długie nogi z łatwością pokonują pola i gęstwiny, z którymi oni się zmagali. Pierś boga była oszpecona – odłupano od niej kawałki marmuru. Poza tym wyglądał tak doskonale, jak tylko artysta mógł go stworzyć – szerokie ramiona, wąskie biodra, smukłe mięśnie.

Dokładnie tak, jak Royce spodziewał się, że powinien wyglądać Novron. Nic dziwnego, zważywszy, że wyobrażenia Royce'a ukształtowały się w oparciu o różne posągi widywane w kościołach. Ten posąg był jednak najlepszy ze wszystkich, najbardziej realistyczny, pod wieloma względami aż zbyt realistyczny. Widok, jak się rusza, był mniej dziwny niż świadomość, że ta wyglądająca jak żywa postać to tylko kamień. Kiedy posąg się zbliżył, Royce zobaczył ciemne plamy na jego nogach, jakby Syn Maribora udeptywał winogrona na wino.

– Pewnie nie wyszedł po prostu na spacer, co? – zapytał Hadrian, wyciągając dwa miecze.

– Na co ci one? To kamień. Bardziej ci się przyda młotek i dłuto.

– Ale ich nie mam.

Posąg przewalił się przez młodnik, a z drzewek została tylko chmura drzazg. Konar, którego Royce nie zdołałby udźwignąć, wylądował dwadzieścia stóp dalej. Novron znajdował się dość blisko, żeby widać było jego wyraz twarzy. Zwykle stoickie, dumne i szlachetne rysy teraz wykrzywiały się w straszliwym gniewie.

Royce wyciągnął Alverstone'a z fałd peleryny.

– O, jasne – zachnął się Hadrian – bo sztylet jest o wiele lepszy od mieczy.

– To bardzo ostry sztylet – odpowiedział Royce. – Kiedy byłem na Grom Galimus...

– Grom Galimus! Poświęcona ziemia! – wyrwało się Hadrianowi. – Wracajmy do środka!

Pobiegli do wejścia.

Po walce z gargulcem Royce aż za dobrze wiedział, jak niemożliwa jest walka z żywym kamieniem. Zdołał zadać maleńką ranę Alverstone'em, ale Hadrian miał rację – sztylet na nic się zda w starciu z olbrzymem. Upadek z dachu katedry zniszczył golema, ale tym razem to się nie uda. Novron Wielki wyglądał na o wiele bardziej niebezpiecznego niż kamienna mała z bezużytecznymi skrzydłami. Jednak myśl, że mogliby ukryć się w ruinie i przeczekać golema jak letnią burzę, wydawała się tylko pobożnym życzeniem.

– To nie zadziała – powiedział Royce, kiedy słyszeli i czuli na

zewnątrz kroki zbliżającego się marmurowego olbrzyma.

– Dlaczego tak mówisz?

– Twierdzenie, że golem nie może wejść na poświęconą ziemię, nie może okazać się prawdziwe. Walczyłem z gargulcem na dachu Grom Galimus – wyznał Royce, jakby przyznawał się do straszliwego grzechu. Musiał krzyczeć, żeby było go słychać mimo huku kroków, które coraz bardziej się zbliżały. – Nie ma świętszych miejsc od katedry.

Royce i Hadrian czekali z wykrzywionymi twarzami.

Nic się nie stało. Kroki ucichły.

Przez otwarte wejście dostrzegli parę marmurowych nóg. Wznosiły się jak dwa brzoźowe pnie.

Hadrian spojrzał na Royce'a i się uśmiechnął.

Royce wzruszył ramionami.

– Może dach to nie to samo co poświęcona ziemia? Może tylko ołtarz jest święty. – Nie spodziewał się, że ograniczenia wiążące golema będą aż tak konkretne, ale nie potrafił inaczej wyjaśnić, dlaczego Novron Villara nie próbuje wpełznąć do środka i ich zabić.

– Nie próbuje też sięgnąć przez wejście – zauważył Hadrian. – Tylko tam stoi. Może nie wolno mu wejść do środka?

Royce pochylił się i zerknął na nogi.

– Nie możemy tu czekać całą wieczność, ale myślę, że bóg ludzi przeciwnie.

Ogromny Novron też się pochylił i zerknął na nich.

– Pamiętasz, co powiedział Griswold? Istnieje ograniczenie czasowe. Osoba ożywiająca golema nie może zbyt długo podtrzymywać połączenia, bo inaczej jego dusza ugrzęźnie w nim na stałe, czyniąc golema nieśmiertelnym i niepokonanym wrogiem.

Royce westchnął.

– Tyle że każdy, kto jest gotów zostać tutaj, żeby upiec serce dziecka, kiedy my kręcimy się na zewnątrz i go szukamy, to typ gotowy pójść na dno razem ze swoim flagowym okrętem *Zemsta*. Dlatego czekanie, aż Villar zerwie połączenie, może nie być najlepszym planem.

– Pewnie masz rację. Dobrze, że księżna jest bezpieczna.

– Tak... – odpowiedział Royce z kwaśną miną. – Koniecznie

podziękujemy za to Mariborowi.

– Czemu nie Novronowi? Przecież czeka na zewnątrz.

Royce zmarszczył brwi.

– Gdyby tylko... – zaczął mówić, a potem urwał, kiedy rozproszyła go nowa myśl. – Villar też musi być na poświęconej ziemi, żeby dokonać przywołania, prawda?

Hadrian skinął głową.

– A jeśli ją opuści, golem go zabije.

– Teoretycznie.

– Czyli nadal musi tu być.

Ruiny nie były zbyt rozległe. Nie było tu żadnych dodatkowych pomieszczeń poza celą, żadnych szafek czy zasłon, za którymi można się schować. Tylko wielkie kadzie do farbowania, stopy wełny i palenisko kuchenne. Mimo to Royce przeszedł się po pomieszczeniu, szturchając koce i zaglądając do garów, które były wielkie, ale zdecydowanie za małe, żeby nawet mir się w nich schował.

– Gdzie? – zapytał, poruszając jedynie ustami Hadrian.

Royce wzruszył ramionami. Spojrzał na skrzynki i stopy wełny. Musiał znajdować się niedaleko. Nie było go z nimi w pomieszczeniu, co znaczyło...

Villar zafundował Royce'owi pościg po dachach Rochelle. To nie był przypadek. Mir dobrze wiedział, dokąd zmierza, które naświetle do którego prowadzi okna, dokąd da się doskoczyć, jakie ulice są dostatecznie wąskie, żeby dało się nad nimi przeskoczyć. Już wcześniej tam bywał.

Villar ma słabość do dachów, pomyślał.

Spojrzał w górę i wskazał kopułę.

Hadrian otworzył szeroko oczy. Pokręcił głową.

– To niemożliwe. Tam jest golem. Dlaczego nie wespnie się po prostu i go nie zabije?

– Nie może go dosięgnąć.

– Ale mówiłeś, że gargulec...

– Gargulec był mały. Mniejszy. A Grom Galimus ma mnóstwo ozdób i oparcie dla rąk. Myślę, że Novron nie potrafi się wspinać po gładkich ścianach tej świątyni. Villar zaś mógł to zrobić bez większego wysiłku.

– Pewnie cały czas siedział tam na górze. To dlatego go nie znaleźliśmy – szepnął Hadrian. – Co teraz?

Royce nie odpowiedział.

– Jedyne sposoby, żeby to coś pokonać, to zabić Villara. Jeden z nas musi tam wejść. – Hadrian spojrział na wyjście. Nogi się nie poruszyły.

– A to znaczy, że drugi z nas musi odwrócić uwagę boga. – Westchnął.

– Ty jesteś świetny we wspinaczkach, więc...

– A ty znowu to samo! – warknął Royce.

– Co takiego?

Royce pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Nie rozmawialiśmy o tym dopiero co? O twoim durnym nawyku odgrywania bohatera? Te plamy na nogach to nie sok winogronowy.

– Tak... Wiem. – Hadrian zniżył głos. – Ale czas ucieka, a ja nie widzę innego rozwiązania. A ty? Ja nie wespnę się po tych pionowych ścianach, a ty wręcz przeciwnie.

– To oczywiste, że ty powinieneś odciągnąć uwagę tego stwora, ale nie w tym rzecz! – warknął Royce.

– A w czym?

– Nie musisz tak się wyrywać. Powinieneś spróbować przekonać mnie, żebym ja robił za przynętę, i chronić własny tyłek. – Royce podszedł jeden krok do wyjścia i marmurowych nóg. Były ogromne.

Hadrian się uśmiechnął.

– Myślisz, że jak tam wyjdę, to popełnię samobójstwo?

Royce skinął głową.

Hadrian zaś pokręcił swoją.

– Nieprawda. Jestem tego całkiem pewien. Nic mi nie będzie.

– A dlaczego tak myślisz?

– Bo w moim świecie są jednorożce.

– Nie istnieją żadne durne jednorożce.

– Owszem, istnieją. Właśnie na jednego patrzę. I wiem, że to bardzo szybka sztuka. – Hadrian zdjął pelerynę. – Gotowy?

– Villar pewnie wszystko słyszał – powiedział mu Royce.

– To nie mam czym się martwić.

Royce podał mu Alverstone'a.

– Weź to. Zranił wcześniej gargulca.

Hadrian pokręcił głową.

– Będziesz go bardziej potrzebował niż ja, mały jednorożcu. Gotowy?

– Nigdy więcej mnie tak nie nazywaj, bo inaczej to koniec, zabiję cię, o ile nadal będziesz żył.

– Umowa stoi.

* * *

Hadrian wyrzucił na zewnątrz pelerynę.

Marmurowa stopa opadła, depcząc materiał. Hadrian dał nura dokładnie między dwie białe, wypolerowane nogi. Zamierzał wykręcić salto i odbiec, ale zielona trawa za drzwiami okazała się iluzją. Pod źdźbłami kryły się kamienie. Hadrian przywalił ramieniem w ukryty kamień wielkości kuli u siodła, krzyknął z bólu i stracił rozpęd.

A rozpęd to wszystko, co miał, zanim golem się obrócił i druga stopa opadła.

Hadrian sturlał się jak kłoda po stoku, czując, jak ziemia pod nim podskakuje, gdy golem po raz drugi nie zdołał go rozdeptać. Wstał i pobiegł w gęstwinię. Golem pognął za nim. Hadrian nie był pewien, czy to robi. Gdyby Villar słyszał ich rozmowę, istniała spora szansa, że zignoruje przynętę. Zatem, albo niczego nie słyszał, albo uznał ich rozmowę za część podstępu. A może po prostu miał to w nosie. W każdym razie Hadrianowi deptał po piętach marmurowy posąg, przed którym nie miał szansy uciec ani którego nie mógł pokonać w walce.

Rzucił się w gęstwinię, mając nadzieję, że to spowolni golema. Ciernie wbijały mu się w ciało, rozdzierały ubranie i rozciąły policzek tuż pod lewym okiem. Jak królik ścigany przez wilka, przedarł się w gęste poszycie, szukając lepszej osłony.

Za jego plecami zadrżała ziemia. Gałęzie pękały, pnącza były zrywane. Ciernie nie przeszkadzały boskiemu imperatorowi.

* * *

Royce nie tracił chwili. Kiedy tylko golem się odwrócił, wybiegł z ruin. Wysoki wyskok pozwolił mu chwycić się koniuszkami palców starożytnej sztukaterii. Potem korzystał głównie ze szczelin. Pewnie, że były małe, ale mógł w nich przebierać. Wspiął się tak szybko, jak się dało. Wszystko szło idealnie. Zbyt idealnie. Nic nigdy nie układa się tak dobrze.

Dlaczego golem popędził za Hadrianem? Villar musiał nas słyszeć. Wie, że ja jestem prawdziwym zagrożeniem. Chyba że... nie jestem.

Royce pokonał krawędź dachu i wbiegł po krzywiźnie kopuły na szczyt. Dach świątyni był pusty.

Villara tam nie było.

* * *

Kamienie!

Pod krzewami i korzeniami starych drzew Hadrian odkrył cmentarzysko poprzewracanych kamiennych płyt. Kiedyś stanowiły część świątyni, ale odpadły i pozwalały się na siebie jak talia kart. Trzy prawie zasypane ziemią tworzyły jamę, do której Hadrian zdołał wpełznąć.

Głęboka jaskinia byłaby miłą niespodzianką, a tunel jeszcze lepszą, ale trafił jedynie na małą kieszeń.

Lepsze to niż nic, pomyślał.

Wyglądając na zewnątrz, patrzył, jak świat staje się coraz jaśniejszy, w miarę jak Novron Wielki wyrywa młode drzewka i krzewy. Bóg dokopywał się do niego.

* * *

Villara nie było na dachu, ale musiał znajdować się w pobliżu. Royce zszedł z kopuły i znowu wrócił do świątyni. Hadrian dużo dłużej nie wytrzyma.

Royce stał w małym pomieszczeniu pełen frustracji. Villar musiał gdzieś tu się kryć, ale nigdzie go nie widział. A czas uciekał.

Powiedziałem ci, że nie ma żadnych jednorożców!
Royce spojrział na żarzące się węgielki na ogniu.
Za to nie brakuje bezwzględnych, bezlitosnych zabójców.
Royce spostrzegł stos wełny.
Kto jak kto, ale ja to wiem. Sam jestem jednym z nich.

* * *

Hadrian wcisnął się najgłębiej, jak zdołał, w jamę pod kamieniami. Płyty były masywne, stanowiły solidną przeszkodę nawet dla siedemnastostopowego marmurowego boga, ale Hadrian ponownie przypomniał sobie, jak zdeterminowany jest Villar, kiedy golem złapał pierwszą płytę, uniósł ją i odrzucił jak worek z ziarnem. Zaraz za pierwszą powędrowała druga płyta, a Hadrian został odsłonięty, jego przytulna kryjówka zniknęła.

Podniósł się. Nie dało się z tym czymś walczyć. Mógł tylko uciekać i robić uniki. Patrzył na Marmurowego Novrona w nadziei, że zdoła zrobić unik przed jego kolejnym atakiem. Wtedy mógłby znowu spróbować uciec. Golem uniósł pięść, żeby go zmiażdżyć, ale ręka nie opadła. Hadrian czekał, ale Novron stał zupełnie nieruchomo. Jego oczy stały się puste... jak oczy posągu.

Royce był szybki, dostatecznie szybki.

Hadrian odsuwał się po trochu od marmurowego boga, wspinając się po stoku. Zobaczył, że zrujnowana świątynia płonie. Czarny dym i pomarańczowe języki ognia lizały wejście. Royce stał na zewnątrz ze sztyletem w ręku i patrzył, jak ruina się pali.

– Co się stało? – spytał Hadrian.

– Villara nie było na dachu – odpowiedział Royce, nie odrywając wzroku od wyjścia. – I znudziło mi się szukanie. A co z tobą? Gdzie twój towarzysz zabaw?

– Stoi w gęstwinie i wygląda jak posąg. – Hadrian zerknął na dym i płomienie. – Myślisz, że Villar nie żyje?

Royce pokręcił głową.

– Jeszcze nie.

– Nie? To dlaczego golem się nie rusza?
– Zgaduję tylko, ale myślę, że kiedy dym do niego dotarł, Villar spanikował i przerwał połączenie.
– Wiesz, gdzie on jest, co?
– Nie mogę tego udowodnić, ale przypuszczam, że tak. Skoro nie było go na dachu, jedyne, co zostaje, to kryjówka pod świątynią.
– Rozsądne założenie. Wejście jest pewnie ukryte.
– Do czego?
– Do grobowca. Tym właśnie jest to miejsce, kryptą albo grobowcem. To był sekretny grób, więc wejście do komory grobowej pewnie zamaskowano. Villar zapalił pudło, a potem wczołgał się do środka i uruchomił golema.

Patrzyli, jak ogień się rozprzestrzenia. Pożoga szalała trzydzieści stóp od nich, bliżej nie dało się podejść ze względu na żar. Kiedy ogień sięgnął krzaków, musieli cofnąć się bardziej.

– Jak wpadłeś na to, że to grobowiec?

Hadrian wskazał jedną z płyt, którą cisnął golem. Leżała parę stóp od nich. Wycięto na niej słowa:

Falkirk de Roche
Pierwszy uczeń Brana
Niech spoczywa w pokoju.

– Masz pojęcie, kto to taki?

Royce pokręcił głową.

– To musiał być ktoś ważny, ale pewnie, gdy minie dość czasu, nawet o ważnych ludziach się zapomina. To mógł być... – Urwał i wskazał. – Tam!

Coś poruszało się w wejściu. Zwolniło, a potem padło tuż za progiem.

Royce skinął głową.

– Tak, teraz nie żyje.

* * *

Kiedy morderczy posąg z niewiadomych przyczyn odbiegł, Genny potrzebowała kilku minut, żeby odzyskać oddech. Gdy marmurowy potwór nie wrócił, znalazła dwóch chłopców kryjących się w warsztacie powozowym. Wyglądali na porządne dzieciaki, z rodzaju tych, które pomogą kobiecie, która ledwie zdołała się podnieść. Powiedzieli, że są synami Wardleya Woffingtona. Musiała długo ich przekonywać, zanim wreszcie ją rozpoznali, i wtedy zdołała ich namówić, żeby wyszli. Kiedy już to zrobili, rozkazała im przygotować nosze i zanieść Armanda Caldera do lekarza, do czego wzięli się z szybkością desperatów, którzy wreszcie mogą skupić się na jakiejś normalnej czynności.

Potem Genny poszła, bardzo powoli, w dół wzgórza. Nie miała pojęcia, dokąd idzie i po co. Plac prezentował się makabrycznie, ale może ktoś jeszcze potrzebował pomocy, a w dodatku... miała tam z górki. Dotarła nad brzeg rzeki, ale nie zaszła dalej niż na skraj bruku, kiedy wreszcie ostatnie wydarzenia dotarły do niej i Genny się rozpląkała.

Nie ona jedna.

Ludzie zaczęli napływać na plac zewsząd. Nadchodzili mostem, Aleją Winną, ulicą Centralną, a nawet zaułkiem między galerią i katedrą. Wszystkie twarze wyglądały tak samo – wyrażały wstrząs, zgrozę, zdumienie, smutek. Ludzie byli w stanie tylko patrzeć i płakać. Setki mężczyzn, kobiet i dzieci, większość ubrana w niebieskie stroje bogaczy i arystokracji, leżały martwe razem z tymi, którzy obsługiwali ich podczas uczyty.

Z morza makabry wynurzyło się coś niezwykłego.

Genny spostrzegła go, chociaż obraz przed oczami miała rozmazany. Krępy jegomość o szpakowatej brodzie ubrany w niedopasowany napierśnik i niosący miecz. Upuścił broń i podbiegł do niej z szeroko otwartymi ramionami. Wpadł na nią i uściskał tak mocno, że ledwie mogła oddychać. Mocno przycisnął krzaczastą brodę do jej policzka.

– Myślałem, że cię straciłem – powiedział, kiedy odsunął się i spojrzał jej w twarz, jakby chciał się upewnić, że to naprawdę ona. Zobaczyła łzy ulgi.

– To samo myślałam o tobie. – Wskazała plac. – Ale ciebie tu nie było. Bo... szukałeś mnie?

– Tak. – Leo spojrzał jej w oczy. Usta mu drżały. – Myślałem, że nie żyjesz. Przez ponad dwa straszliwe tygodnie żyłem w tym bólu. A potem dostałem twój list. Zebrałem ludzi i przez całą noc i dzień przekopywałem się przez każdą rudere, sklep i stodołę, żeby cię odnaleźć. – Zaczął się śmiać, a potem zakrył usta i pokręcił głową. – Wróciłem, bo usłyszałem, że doszło do ataku... a ty... a ty tu jesteś. Nie wiem, jakim cudem, ale jesteś. Genny, ukochana, gdzieś ty się podziewała?

Genny zatrzymała się przy słowie „ukochana”.

– Leo, powiedz... Kochasz mnie?

Księżę uniósł brwi.

– Cóż to za pytanie?! Nie powiedziałem ci właśnie, że...

– Muszę to wiedzieć. Czy naprawdę mnie kochasz? – upierała się, łapiąc go za rękę i mocno trzymając.

– Jak możesz pytać o coś takiego?

– Bo wszyscy mówią, że ożeniłeś ze mną dla pieniędzy albo dla korony.

– To nieprawda – powiedział surowym tonem, a jego spojrzenie spochmurniało.

– To dlaczego? Dlaczego sypiamy w osobnych pokojach? Dlaczego nie przyszedłeś do mnie w noc poślubną... ani żadnej następnej? Dlaczego zachowywałeś taki dystans?

Burzowa chmura zniknęła z jego twarzy i Leo spuścił wzrok. Jego ból zamienił się we wstyd.

Czyli to prawda, pomyślała. On nie...

– Jestem starym człowiekiem, Genny. Mam swoje przyzwyczajenia. Niewielu ludzi lubię, jeszcze mniej ludzi lubi mnie. Życie tutaj, przetrwanie tutaj uczy cię, żeby nikomu nie ufać. Szybko się uczysz, że ludzie tylko biorą, nigdy nie dają. „Lojalność” to słowo, które znaczy „Co mogę od ciebie dostać i na jak długo”. Musiałem się chronić i to właśnie robiłem, ale człowiek wtedy zaczyna być samotny. Ty jednak jesteś inna, zrozumiałem to od pierwszej chwili. Taka pogodna, radosna, bystra i otwarta. Nigdy nie pytałaś, ilu mam

służących ani jak duże są moje posiadłości. To było takie dziwne.

Uśmiechnęła się.

– Nigdy nie pytałaś mnie o nic, poza tym, jaką whisky najbardziej lubię i co najchętniej jem.

– Żytnią whisky i sarninę w jabłkach – potwierdziła.

Skinął głową.

– Tonąłem, Genny, a jednocześnie czułem pustkę. Ty byłaś moim ratunkiem, jakiego już nie spodziewałem się znaleźć. Dałaś mi powód do życia, kiedy żadnego nie miałem. Potrzebowałem cię... ale ty nie potrzebowałaś mnie. Byłaś bogata, piękna, mądra... Co mogłem ci dać?

Piękna?

– Kim jestem? Egoistą. Nie powinienem prosić cię o rękę, ale nie potrafiłem się powstrzymać.

Genny otworzyła szeroko oczy.

– Żałujesz oświadczyć?

– Chciałem się z tobą ożenić – zapewnił ją. – Spodziewałem się jednak, że odmówisz. Pytanie było moim sposobem na zakończenie tego związku, nim zaszłoby to za daleko. Ale ty się zgodziłaś.

– Nie rozumiem, Leo. O czym ty mówisz?

– Powinnaś być królową i więcej nawet, ale nie mogę ci zapewnić niczego, na co zasługujesz. Wielu uważało, że jestem głównym kandydatem do korony, ale ja wiedziałem swoje. W Rochelle panuje chaos, a skoro nie potrafię zadbać o własne finanse, dlaczego biskup miałby postawić mnie na czele całego królestwa?

– Leo, mój kochany, nie zależy mi na byciu królową. To ciebie chcę. Tylko ciebie.

– Naprawdę? To wszystko? A co z dziećmi, Genny? Byłabyś cudowną matką. Twoje dzieci wyrosłyby na silnych, zdeterminowanych i uczciwych ludzi. Nie mogę ci tego dać. Nie mogę ci dać dzieci. Nie mogę dać dzieci żadnej kobiecie. Szczerze mówiąc, w ogóle niewiele mogę. Mieczy to niebezpieczna rzecz, a podczas bitew mężczyźni tracą oczy, ręce, nogi. Odniosłem ranę wiele lat temu w bezimiennej bitwie nad nic nieznaczącym strumykiem. Garstka mnichów opiekowała się mną w małym klasztorze. Nigdy nikomu nie powiedziałem, oni także tego nie wyjawili, za co jestem im wdzięczny,

ale tobie powinienem był powiedzieć. To nie w porządku, że zgodziłem się z tobą ożenić, skoro wiedziałem, że nie mogę być prawdziwym mężem. – Broda mu zadygotała, gdy zacisnął drżące usta. – Ale tak bardzo się w tobie zakochałem, Genny. Zamierzałem ci powiedzieć. Nawet jeśli miałabyś mnie opuścić. Skłamałem, ale przynajmniej nie związałem cię ze sobą na zawsze. Biskup anulowałby małżeństwo, które nie zostało skonsumowane.

– Więc mnie kochasz – powiedziała Genny; łzy popłynęły jej po policzkach.

– Całym sercem, kochana dziewczyno. To dlatego chcę, żebyś odzyskała wolność.

– Nie chcę wolności.

– Nie? A czego chcesz?

– Chcę podwójnego łóża, do diabła! – Złapała jego zarośniętą twarz i pocałowała go mocno.

Jego ramiona znowu zamknęły się wokół niej.

Rozdział 29

Córka Wintera

– Rozumiem, że wy dwaj byliście w to zamieszani – to były pierwsze słowa, jakie padły z ust Evelyn, kiedy nalewała sobie obowiązkową poranną herbatę.

– Nie wprost – odpowiedział Hadrian.

Pokrywka została zdjęta z jedzenia. Tego ranka podziękowania dla Novrona sprowadziły się jedynie do pochylenia głów przez wszystkich przy stole. Jak zwykle stół nakryty do śniadania prezentował się nienagannie i przedstawiał ucztę godną królów, cesarzy i przynajmniej dwóch bardzo cichych złodziei.

Evelyn nie spojrzała na żadnego z nich, skupiając się na bursztynowym płynie, który wlewała do porcelanowej filiżanki.

– Wkrótce przyjadą sereci. Gdy coś takiego dzieje się na ich własnym podwórku, muszą zareagować. Nie słyną z roztropności. Najpewniej będą szukać sprawiedliwości i nie będzie miało dużego znaczenia, kogo uznają za to wszystko odpowiedzialnym. – Podniosła wzrok. – Dwóch nic nieznaczących cudzoziemców znajdzie się na szczycie ich listy. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli wrócicie tam, skąd przyjechaliście.

– Wyrzucą nas pani? – spytał Hadrian.

– Tak – odpowiedziała i skinęła głową. – Wyrzucam. – Z brzękiem odłożyła łyżeczkę i zmarszczyła brwi. – Prawda jest taka, że już wynajęłam wasz pokój komuś innemu. Zatem spakujcie, proszę, swoje rzeczy i wynieście się przed południem. Z góry dziękuję.

Hadrian spojrział na nią i się uśmiechnął.

– Martwi się pani o nas, prawda?

Evelyn spiorunowała go wzrokiem.

– Proszę nie wygadywać głupot. Jesteście okropnymi ludźmi i nie pozwolę, żebyście dłużej kalali ten dom swoimi nikczemnymi sprawkami. Chcieliście znać prawdę, to proszę. Przestań się uśmiechać. Nie robię tego dla was. Nie! Więc przestań!

Pukanie do drzwi zakończyło tę jednostronną debatę. Evelyn wstała i prychnąwszy z irytacją, pomaszerowała do drzwi.

– Dzień dobry! – rozległ się na dole gromki głos.

– Och, dobry Mariborze! – Evelyn wyrwał się okrzyk. – Wasza Książęca Mość!

Royce i Hadrian natychmiast się poderwali. Wyszli z jadalni i dotarli do przedpokoju w tej samej chwili, w której weszła tam księżna Rochelle odziana w długą, czarną suknię, czarny szal i odpowiedni do tego kapelusz o szerokim rondzie, który wymaga uwagi, gdy człowiek porusza się w ciasnej przestrzeni. Księżna była dużą kobietą, a w całym swoim majestacie wydawała się dwa razy większa. Domagała się uwagi jak głośna pszczoła w małym pokoju. Jej twarz, okrągła i radosna, śmiała się, przez co jej oczy wyglądały jak sierpy księżycy.

Evelyn wygładziła koronkową serwetkę, która już i tak układała się idealnie.

– Ogromnie przepraszam, nie miałam pojęcia, że złoży mi pani wizytę. Proszę wybaczyć ten okropny bałagan!

– Och, bzdura, moja droga pani! – odpowiedziała księżna. – To ja powinnam panią przeprosić. Zjawiać się bez zapowiedzi o takiej godzinie i to po tak wielkiej tragedii. Nie byłabym zdziwiona, gdyby mnie pani odprawiła. Wykopała prosto do rynsztoka. Taka wspaniała kobieta jak pani spodziewałaby się, że zachowam się bardziej stosownie.

– Ja... ehm... – Evelyn zająknęła się i oniemiała.

– Trafiała kosa na kamień – szepnął Royce do Hadriana.

– Widzi jednak pani, mam powód i nawet jeśli nie jest on oczywisty ani nie uzna go pani za tak ważny, to zapewniam, że dla mnie jest

najwyższej wagi. A ponieważ jestem księżną tego miasta, to musi to mieć jakieś znaczenie, nieprawdaż? Oczywiście, że tak. Zatem mam nadzieję, że wybaczy mi pani to najście.

Potęźna kobieta przepchnęła się w głąb domu, zamiatając suknią tak, żeby nikt na nią nastąpił. Kiedy odsunęła się od drzwi, Hadrian spostrzegł elegancki powóz czekający na ulicy i zaskakująco duży oddział uzbrojonych żołnierzy, w tym Rolanda Wyberga, który zajmował się teraz ochroną księżnej.

– Szukam dwóch... – Księżna ich spostrzegła i uśmiechnęła się. – Ach, tu jesteście, nieprawdaż?

Powiedziała to tak, jakby spodziewała się jakiejś odpowiedzi, ale ani Royce, ani Hadrian nie mieli pojęcia, jak powinni zareagować. Cisza trwała ledwie sekundę i zaraz księżna uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Rozłożyła ręce.

– Moi wybawiciele!

Przeszła przez pokój i uściskała Hadriana serdecznie. Żaden niedźwiedz nie zrobiłby tego lepiej. Najwyraźniej zapomniała o jego ostrzeżeniu dotyczącym Royce'a, bo jego też objęła. Royce zeszywniał i zniósł objęcia najdzielniej, jak potrafił.

– Cała przyjemność po naszej stronie, Wasza Księżęca Mość.

– Dla was, drodzy chłopcy, po prostu Genny, ogromnie wdzięczna wam dama w opałach. Myślę, że chcielibyście o tym wiedzieć: mój mąż wysłał ludzi na wschodni stok, żeby poszukali Villara. Znaleźli spalone ruiny i dwa ciała.

– Dwa? – zapytał Royce.

– Villara i oryginalnego mieszkańca, Falkirka de Roche, mnicha z pierwszego wieku, od którego nazwę wzięła rzeka i miasto. De Roche spoczywał w grobie pod kopułą. Villar zaś... W każdym razie domyślam się, że to był Villar... Ciało spłonęło do tego stopnia, że nie dało się go rozpoznać. Znalezione także nieruchomy posąg Novrona. Ten potwór zabił niemal wszystkich arystokratów w mieście. Armand Calder i ja sama omal nie dołączyliśmy do ofiar Święta Wiosny.

Evelyn, która nadal nie odzyskała mowy, tylko patrzyła.

– Dobrze więc, jak znam mojego ojca, poprosił nie tylko o uratowanie mnie. Jestem przekonana, że wasze wynagrodzenie

zależy od tego, czy odstawicie mnie do niego. Cóż, nic z tego. Mąż mnie kocha, a ja jego i nigdzie się nie wybieram. – Podała Hadrianowi zapieczętowany pergamin. – Oto więc list do mojego ojca, w którym wyjaśniam, że jestem bezpieczna i szczęśliwa i że powinien wypłacić wam pełną obiecaną sumę. Jednak na wypadek gdyby miał inne poglądy na ten temat... – Odwróciła się i ryknęła: – Wentworth!

Drobny człowieczek z włosami związanymi w kucyk podbiegł i podał sakiewkę. Wziął ją Royce.

– Znajdziecie w niej siedemdziesiąt pięć złotych tenentów za wykonanie zadania i na pokrycie kosztów. Zapłaciłabym więcej, ale to już nie są tylko moje pieniądze, sami rozumiecie. Razem z mężem zamierzamy doprowadzić kwestie finansowe do porządku w tym mieście i musimy pilnować własnych wydatków. Mimo wszystko chciałam zadbać, żebyście nie wracali z pustymi rękami. Dlatego przyjmijcie je, proszę, wraz z zapewnieniem o mojej dożgonnej wdzięczności.

– Dziękujemy – powiedział Hadrian.

– Och, drogi chłopcze, to ja wam dziękuję! Gdyby nie wasza interwencja, nie żyłabym, mój mąż miałby złamane serce, a Alburn nie miałoby tak wspaniałego nowego króla!

– Czy biskup koronował pani męża? – zapytała Evelyn.

– Ha, ha! Nie. Rochelle będzie musiało zadowolić się tym, że my tu zostaniemy. Mój mąż wycofał swoją kandydaturę, kiedy nie zjawił się na uczcie. Najwyraźniej odnalezienie mnie było ważniejsze od korony. Nie, biskup wybrał Armanda Caldera, jedyne arystokratę, który wziął udział w uczcie i przeżył. Możliwe, że przez resztę życia będzie kulał, ale wygląda na to, że wyzdrowieje. Robi wrażenie przyzwoitego człowieka, a to dobrze, i lubi mnie, a to jeszcze lepiej. W Alburnie potrzebne są zmiany i myślę, że król Armand posłucha moich propozycji reform. Znaliście Mercatora Sikarę?

Obaj skinęli głowami.

– Nadzwyczajna osoba. Zginęła, próbując dostarczyć mój list do Leo, prawda?

– Tak – potwierdził Royce.

Księżna pokiwała głową.

– Biedna kobieta. Chciała tylko lepszego życia dla swoich ludzi. – Księżna uniosła rękę i pogroziła palcem. – Dopilnuję, żeby mirowie byli lepiej traktowani, przynajmniej w Rochelle. Zamierzamy z Leo uczynić to miasto przykładem dla reszty świata. Bezpieczną przystanią dla mirów, Calijczyków i małego, brodatego ludu. Kiedy ludzie zobaczą, jaki dobrobyt płynie z wykorzystywania tak licznych talentów, to na pewno zaczną nas naśladować. Cóż, naprawdę muszę już iść. Zatem dziękuję raz jeszcze, Hadrianie Blackwater i Roysie... Wybacz, nie wychyciłam twojego nazwiska. Jak brzmi?

Royce westchnął.

– Melborn.

Evelyn zgromiła ich wzrokiem.

– Myślałam, że nazywacie się Baldwin i Grim!

* * *

Hadrian wracał ze stajni, do której oddali swoje wierzchowce. Prowadził je ulicą Młynarską. Miał wyrzuty sumienia, że przez cały tydzień nie zaglądał do Tancerki. Stajenny narzekał, że powinni go ostrzec, że zamierzają porzucić zwierzęta na tak długo. Prawdę mówiąc, pewnie był bardziej rozczarowany, kiedy Hadrian wrócił. Przepadły wszelkie nadzieje na sprzedaż osieroconych koni. Musiał więc zadowolić się absurdalnie wysokim rachunkiem za opiekę nad nimi. Tancerka nie zdradzała żadnych oznak niewłaściwego traktowania, kiedy po drodze trącała Hadriana pyskiem w ramię.

Po powrocie do domu Evelyn Hemsworth zastał Royce'a czekającego na ganku w otoczeniu ich rzeczy. Wyglądał jak rozbitek na bezludnej wyspie.

– Co znowu narozrabiałeś? – zapytał Hadrian.

– Nic – odpowiedział Royce, wstając i rzucając mu sakwę. Wskazał kciukiem przez ramię. – Zjawiała się nowa klientka i Evelyn chciała, żebym szybko wyniósł rzeczy i jej nie przeszkadzał.

– Klientka?

– Aha. – Uśmiechał się dziwnie, trochę zaskoczony, a trochę

rozbawiony. – Nową klientką jest ta kobieta z dzieckiem, która powiedziała nam o tym miejscu.

Hadrian ostentacyjnie włożył palec do ucha i poruszył nim, zanim go wyjął.

– Przepraszam, ale wydawało mi się, że powiedziałaś, że Evelyn wynajęła pokój mirowi.

Royce skinął głową.

– I nie wiem, jak tego dokonała. Jak znalazła tę kobietę. Pewnie mieszkała w tym mieście całe życie i zna je całkiem dobrze. Ta staruszka jest pełna niespodzianek.

Zarzucił własną sakwę na konia, ale zanim ją przywiązał, zaczepił strzemiona o kulę, żeby sprawdzić popręg.

– Serio? – Hadrian oparł się o Tancerkę i pokręcił głową z niesmakiem. – Musiałeś sprawdzić? Nie wierzysz, że potrafię dobrze zapiąć popręg?

Royce nawet nie podniósł wzroku, tylko przesunął dłonią po rzemieniu, sprawdzając jego napięcie.

– Nie wierzę.

– Zaufanie, Royce. Musisz nauczyć się ufać ludziom.

Zostawił popręg, niczego nie poprawiając.

– Nie. Nie muszę.

Skończyli mocować bagaże. Zwierzęta stały niecierpliwie, postukując kopytami i zdradzając tęsknotę za drogą. Na ulicy pojawił się mleczarz i dostarczał dzbany z mlekiem, a kwiaciarka chodziła od drzwi do drzwi ze świeżo ściętymi fiołkami. Wystarczył jeden dzień, żeby miasto wróciło do swoich zwyczajów.

Hadrian dosiadł konia i chwycił wodze, ale Royce się zawahał. Umocował już swoje rzeczy, ale nadal wpatrywał się w okno ich dawnego pokoju.

– Zapomniałeś o czymś?

– O dywanie.

– Jakim dywanie? Och, czekaj! Nie mówisz poważnie!

– Po prostu idealnie wpasowałyby się w to okno i uderzyłyby o ulicę, prawie nie robiąc hałasu. – Royce rozejrzał się po ulicy. – Tu nigdy nie ma konstabli. Założę się, że moglibyśmy go sprzedać w Małym Gur Em

za pięć, może sześć złotych monet.

– Odjeżdżam. – Hadrian zaczął kierować Tancerkę, ale nagle się zatrzymał.

– Co? – spytał Royce. – Ty też zmieniłeś zdanie co do dywanu, hm?

Hadrian rzucił mu surowe spojrzenie.

– Nie. – Wskazał na drugą stronę ulicy na małego mopsa, który siedział na kawałku świeżo skopanej ziemi. – Musi być bezdomny. Często widywałem tu tego psa. Szkoda, że nie mam nic do jedzenia.

– To nie jest bezdomny pies. Ma obrozę – odrzekł Royce, ale nadal wpatrywał się w psiaka. Potem zmrużył oczy i na jego twarzy odmalowało się zdumienie. – To niemożliwe.

– Co takiego?

Royce porzucił konia i przeszedł przez ulicę.

Słysnął z nienawiści do psów i Hadrian, myśląc, że skrzywdzi szczeniaka, zeskoczył z siodła i podbiegł. Dogonił Royce'a akurat, kiedy ten pochylił się, żeby przyjrzeć się obroży parchatego psiaka.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– W co takiego? – dopytywał się Hadrian.

– To Pan Hipple.

– Nie! To niemożliwe! Nie chcesz chyba powiedzieć...

Royce skinął głową.

– Pies lady Martel. Ten, który narobił hałasu w posiadłości Hemleyów i przez którego omal nie zginął strażnik, biedny Ralph. Jakim cudem ten pies znalazł się tutaj?

Hadrian rozejrzał się po zaniedbanym polu pełnym przekrzywionych słupów.

– To cmentarz. Cmentarz dla biedaków. Może tu znajduje się grób lady Martel.

– Lady Martel nie zostałaaby pochowana na cmentarzu dla biedaków w Alburnie. To żona bogatego lorda z Melengararu.

– Ale czy Puck nie wspomniał o pamiętniku należącym do mnicha imieniem Falkirk?

– Nie. Powiedział o pamiętniku spisany przez kogoś imieniem Falkirk i że zdobyła go od mnicha.

– Ej, to naprawdę dziwne. Ciekawe, co tu robiła i jak umarła. –

Hadrian spojrział ze smutkiem na psa. – Naprawdę lojalne stworzenie. Słyszałem takie historie. Pies tak się przywiązuje, że czeka przy grobie na powrót swojego właściciela. Niektóre tam zdychają, bo nie potrafią odejść.

Royce nie odezwał się słowem. Patrzył tylko na psa i grób.

– Może powinniśmy zabrać ze sobą Pana Hipple’a – zasugerował Hadrian, pochylając się i wyciągając ręce.

Mały kundel o płaskim pysku położył po sobie uszy i warknął.

– Albo nie.

Wrócili do koni i wskoczyli w siodła.

– Może Evelyn go przygarnie – powiedział z nadzieją Hadrian.

– A może zginie pod kołami wozu mleczarza. Nie jestem pewien, który los byłby gorszy – dodał Royce.

Ulice były równie zatłoczone jak w dniu, w którym przyjechali, ale tym razem nurt płynął w tym samym kierunku, co oni – z miasta. Tak jak Royce i Hadrian, wszyscy je opuszczali i wracali do domów. U podnóża wzgórza zobaczyli, że plac uprzątnięto. Odgłos uderzeń młotkami oznajmił, że prace nad naprawą drzwi do galerii trwają. Dzwony Grom Galimus rozbrzmiały punktualnie, ale żaden sprzedawca nie rozstawił kramu. Na ich miejscu leżały pęki kwiatów ułożonych wokół pustego piedestału, gdzie kiedyś stał siedemnastopowy posąg Novrona. Wieńce, świece i z czułością nakreślone portrety mieszały się ze świeżo zebranymi kwiatami. Co dziwne, nie istniała żadna granica między bukietami dla służących i dla arystokratów. Żadna linia nie rozdzielała uprzywilejowanych od biednych. Żałoba pomieszała ich, ignorując dzielące ich różnice równie łatwo jak śmierć.

– Nie rozumiem, jak to wszystko się łączy – powiedział Hadrian, kiedy czekali, aż będą mogli przejechać mostem na Wyspę Gubernatora za trzema wozami pełnymi rodzin. – Jak czytanie pamiętnika mnicha sprzed kilku tysięcy lat mogło doprowadzić do śmierci lady Martel i Virgila Pucka? Może jakiś starodawny duch chce odzyskać książkę. Co przypomina mi o kolejnej zagadce.

– Mianowicie?

– Kto zabił Erasmusa Nyma?

Royce wzruszył ramionami.

– Pewnie golem go dopadł.

Hadrian pokręcił głową.

– Tylko Villar, Griswold i Erasmus potrafili je ożywić. Ty ścigałeś Villara po dachach, kiedy zginął Erasmus.

– Czyli musiał to zrobić Griswold.

– Nie. Uciekł z cmentarza. Poza tym przyjaźnili się. Nie miał powodu go zabijać.

– Mam przyjaciela i cały czas myślę o zabiciu go – odpowiedział Royce z powagą.

– O, czyli wreszcie przyznałeś, że jesteśmy przyjaciółmi?

– Nic nie mówiłem na twój temat. Nie bądź taki arogancki.

Wóz przed nimi ruszył, ale bardzo wolno. Znajdowali się na skraju mostu, którego nadal strzegł wielki gargulec, na którym kiedyś przysiadł Royce. Nawet w środku dnia, kiedy tyle wysokich budynków rzucało cień, stare miasto wydawało się mroczne. Kto wie, jakie sekrety skrywało.

Royce obrócił się gwałtownie w siodle i obejrzał za siebie.

– Co się stało? – zapytał Hadrian, też się oglądając, ale zobaczył tylko miasto i tłumy.

– Nic.

– O co chodzi?

Royce obejrzał się raz jeszcze i westchnął.

– Właśnie przyszło mi coś na myśl.

– Co?

– Dlaczego lady Martel pochowano w nieoznakowanym grobie. Ponieważ nikt nie odebrał jej ciała. Nie zostało zidentyfikowane.

– Myślę, że to oczywiste. Gdyby wiedzieli, kim jest, odesłaliby jej ciało do posiadłości Hemleyów.

– A jak myślisz, dlaczego tak się stało? Dlaczego nikt jej nie rozpoznał?

Na twarzy Hadriana odmalował się wstrząs.

– Nie chcesz chyba powiedzieć...

Royce skinął głową.

– A jeśli lady Martel nie miała twarzy?

Hadrian skrzywił się i owinął się ciasniej niebieskim szalikiem.

Przekroczyli rzekę i ruszyli ku odległym wzgórzom, na zachód. Kiedy dotarli na grań, odwrócili się, żeby ostatni raz spojrzeć na miasto. Z oddali usadowione w dolinie miasto w otoczeniu morza i gór wydawało się urokliwe, wręcz romantyczne.

– Co to za budowla? – zapytał Royce, wskazując coś, co wyglądało jak forteca dalej na wybrzeżu.

Widać było tylko zarys zamku na odległej górze, ale nawet z daleka prezentował się imponująco, niebezpiecznie i potężnie.

– Zamek Blythin – odpowiedział Hadrian. – To chyba tam uwięziono Glenmorgana III, a teraz to główna siedziba rycerzy Sereta. Upiorne miejsce. Chcesz je obejrzyć?

Royce naciągnął kaptur.

– Nie. Wracajmy do domu. Nigdy więcej tu nie wrócę.

Hadrian się roześmiał.

– Nigdy nie mów nigdy...

– Przestań.

– To brzmi jak wyzwanie rzucone bogom, którym jesteśmy obojętni...

– Mówię serio.

– Nie ma dla nich znaczenia, czy nam się powodzi, czy ponosimy klęskę albo się zmagamy...

– Teraz naprawdę zacznasz mnie denerwować.

– Oni tylko tarzają się ze śmiechu na ołtarzu...

Royce trącił końskie boki i pogalopował drogą.

Hadrian raz jeszcze obejrzał się na miasto. Pomyślał o Seton i nocy, kiedy pierwszy raz ją zobaczył pośród smrodu krwi i okrzyków wdów. Przypomniał sobie ojca, który kazał mu zabić kurczaka, pierwsze życie, które odebrał. I pomyślał o wielu latach wojen i rzezi na arenach Calisu.

– Patrząc na nasze nędzne, smutne życie.

Royce miał rację. Nigdy więcej tu nie wrócę.

Posłowie

Proszę bardzo. Oto kolejna przygoda Royce'a i Hadriana. Mam nadzieję, że spodobała Wam się ta wspólna wyprawa i nowe postacie, które poznaliście po drodze. Jeśli to była Wasza pierwsza podróż z tą parą, to mam nadzieję, że sięgniecie po pozostałe opowieści o niej. Jak pozostałe części „Kronik Riyrii” i ta książka powstała jako samodzielna powieść, która nie wymaga wcześniejszej znajomości Riyrii i która została domknięta tak zreżymie, żeby nie trzeba było czytać następnej części. Myślę, że na dobrą sprawę udało mi się tego dokonać, ale chciałbym poświęcić chwilę na wyjaśnienie paru drobiazgów.

No dobrze, zatem Virgil Puck, lady Martel i Falkirk de Roche wchodzą do baru... Przepraszam, czasem mój umysł zapędza się w dziwne miejsca, czy tego chcę, czy nie. A tak całkiem serio: w tej książce niewątpliwie pojawia się otwarty wątek i chcę to wyjaśnić. Mianowicie...

Ci, którzy czytali „Śmierć Dulgath”, może pamiętają, że historia zaczyna się od prostego zlecenia – wykradzenia pamiętnika, który znajduje się w posiadaniu lady Martel. Royce'a dopada wtedy mały psiak, który wabi się Pan Hipple. Kiedy początkowo pisałem tę scenę, nie zamierzałem przekształcać jej w coś więcej... Ot, zabawny, drobny incydent otwierający książkę. Sposób, żeby przypomnieć (albo przedstawić) czytelnikowi duet zwany Riyria. Tak czy inaczej, w tamtej książce wspomniałem, że lady Martel zaprzeczyła, jakoby pamiętnik skradziono i że doszło do jakiegokolwiek włamania. Napisałem te słowa głównie po to, żeby nie musieć wysłać z powrotem Royce'a, żeby zabił starego Ralpa, strażnika, który natknął się na bohaterów podczas ich skoku. Mimo to kradzież pamiętnika coś zapoczątkowała. W „Śmierci Dulgath” Royce

zastanawia się, dlaczego lady Martel zaprzeczyła kradzieży pamiętnika. Kiedy to pisałem, była to błahostka, ale potem pomyślałem „Czy nie byłoby świetnie, gdyby pamiętnik okazał się czymś więcej niż tylko pamiętnikiem?”. A jeśli tak, to czym miałyby się okazać?

Gdyby cykl zakończył się wraz ze „Śmiercią Dulgath”, pamiętnik mógłby być dokładnie tym, czym był na początku: rekwizytem, który pomógł rozpocząć książkę. Kiedy jednak zdecydowałem się napisać „Zniknięcie córki Wintera”, ten drobiazg przyciągnął moją uwagę i zacząłem się zastanawiać, co mógłby znaczyć dla przygód Riyrii w szerszym kontekście. I dlatego zyskał on nowe życie. Życie, które nie mogło dopełnić się w tej jednej książce – to nigdy nie było moim zamiarem – ale które mogłem przynajmniej zacząć pomału odkrywać. Zatem zgadza się: otworzyłem okno, którego potem nie zamknąłem. Jednak na swoją obronę dodam, że to bardzo małe okienko i w żadnym razie nie znaczy, że dramatycznie urwałem opowieść i zostawiam czytelnika w zawieszeniu. W końcu historia „Zniknięcia córki Wintera” wyjaśniła się. Genny jest bezpieczna, duet otrzymał zapłatę, a złoczyńca nie żyje. Sprawa zamknięta. Jeśli nigdy więcej nie usłyszycie o tym pobocznym wątku, uznacie, że właśnie tym był – drobiazgiem, który nigdy nie został rozwinięty. Literatura jest pełna takich wątków, podobnie jak życie.

To po co w ogóle go wprowadzać? Z tego samego powodu, dla którego tworzę różne motywy, które spinają kolejne tomy – to wzbogaca następne historie. Przewijające się szersze wątki to cecha charakterystyczna „Odkryć Riyrii” i jedna z tych rzeczy, które sprawiają mi wielką przyjemność podczas pisania tych książek. Próbowanie to tego, to owego, rozważanie, dokąd mogą prowadzić różne poszlaki, to ogromna część zabawy. Kiedy sięgniecie po następną książkę i zaczniecie odnajdywać ukryte pisanki, będzie to niezwykle satysfakcjonujące. Mówiąc krótko, drobna prowokacja sprawia, że następna książka będzie o wiele lepsza, niż byłaby bez tego fundamentu.

Czy to znaczy, że na pewno pojawi się następna część przygód Riyrii? To także musi pozostać jednym z tych denerwujących

otwartych wątków typowych dla literatury i życia, bo nie będę składał obietnic, o których nie wiem, czy zdołam ich dotrzymać. Z każdym rokiem mam coraz mniej czasu, a książki, które chcę napisać, się mnożą. Jeśli czytelnicy dadzą mi odczuć, że znudzili się parą, nie napiszę następnej części. Wtedy być może wypuszczę coś bezpłatnie (opowiadanie lub kilka słów wyjaśnienia), żeby wyklarować pewne zagadki. Jeżeli jednak nadal będzie zapotrzebowanie na kolejne przygody, mam początek, od którego mogę zacząć dziergać nowy szalik.

No dobrze, ostatnia rzecz, o której chciałem wspomnieć, i to jest uwaga tylko dla tych, którzy czytali „Odkrycia Riyrii”. Jeśli Genny i Leopold wydają się Wam skądś znajomi, to słusznie. Zetknęliście się księciem i księżną Rochelle w piątym tomie „Zdradziecki plan”. Ostatecznie pomagają Royce’owi i Hadrianowi i teraz rozumiecie, dlaczego byli do tego skłonni. Po tym, jak Riyria uratowała Genny życie i ponownie połączyła parę, książę i księżna na zawsze będą ich dłużnikami. Cieszę się, że miałem okazję opisać, jak do tego doszło.

Dobrze, myślę, że to wszystko, co chciałem powiedzieć. Raz jeszcze tylko podziękuję Wam za wsparcie i przypomnę, żebyście pisali do mnie, jeśli macie ochotę. Mój adres to:

michael@michaelsullivan-author.com.

Podziękowania

Już to mówiłem, ale można to powtórzyć: potrzeba bardzo wielu ludzi, żeby wyprodukować coś takiego jak powieść. Zważywszy, że zarabiam na życie pisaniem, spodziewalibyście się, że będę w stanie w pełni wyrazić swoją wdzięczność, ale słowa zawodzą mnie w takich chwilach. „Dziękuję” to za mało, a głębia mojej wdzięczności może rywalizować z Rowem Mariańskim.

Jak zawsze w pierwszej kolejności dziękuję mojej żonie, Robin. Ze wszystkich książek, jakie nasuwają mi się na myśl, w tej najwięcej zmian zawdzięczam jej uwagom po pierwszej lekturze szkiców. Nie tylko zwróciłam mi uwagę na problemy, ale też podsunęła rozwiązania nie dość, że pomysłowe, to jeszcze wnikliwie. Nasze „dyskusje” często były głośnie, zawsze namiętne, ale wypływały z tego samego – pragnienia, żeby to była jak najlepsza książka. Myślę, że całkiem dobrze nam się nad nią pracowało. Książka zyskała o wiele bardziej satysfakcjonujące zakończenie od tego, które początkowo stworzyłem, a jeśli jesteście związani z Kickstarterem albo należycie do grupy, która przeglądała wersję roboczą, to macie pewne pojęcie o tym, jak ciężko pracuje moja żona. Nie widzieliście jednak, ile pracy włożyła w tę książkę, zanim trafiła ona w czyjekolwiek ręce. Jej poprawki udoskonaliły powieść w stopniu, jakiego nigdy nie osiągnąłbym, pracując samemu, więc wszyscy jesteśmy jej dłużnikami.

A skoro już mowa o redakcji, to chcę podziękować niesamowitym redaktorom za ich niezwykły talent – Laurze Jorstad i Lindzie Branam. Obie redagowały wiele moich książek. Laura pracowała przy „Hollow World”, „Śmierci Dulgath”, „Age of Myth” i „Age of Sword”. Linda pomagała przy „Śmierci Dulgath”, „Age of Myth”, „Age of Sword” i będzie redagowała „Age of War”. Tylko niewielka grupa

ludzi wie, jaka istnieje różnica między moimi oryginalnymi pracami a tym, co ostatecznie zostaje wydane. Oni ratują mnie przed wyjściem na głupca, sprzątają po mnie i robią to z prawdziwym profesjonalizmem. To dla mnie zaszczyt, mieć ich w swojej ekipie, i ogromnie jestem im za to wdzięczny.

I tu gładko przejdziemy do czytelników wersji roboczej! Ponad dwadzieścia pięć osób podzieliło się swoimi odczuciami, a także oceniło poszczególne rozdziały i odpowiedziało na pytania w kwestionariuszu. Ostatecznie mieliśmy ponad 2100 ocen 525 rozdziałów! Dzięki wysiłkom Robin książka miała naprawdę dopracowaną strukturę, ale zawsze można coś poprawić i uwagi czytelników wersji roboczej przyczyniły się do ulepszenia wielu kluczowych scen. Wychwycili nawet rażąco niedomknięty wątek, który umknął zarówno Robin, jak i mnie, dzięki czemu zdołałem go stosownie domknąć. Nie ma tu dość miejsca, żeby wchodzić w szczegóły, ale mamy nadzieję napisać e-book „Making of the Disappearance of Winter’s Daughter” (coś podobnego zrobiliśmy przy okazji „Śmierci Dulgath” i „Age of Swords”). Jeśli nam się uda, będzie dostępny dla wszystkich zainteresowanych zakulisowymi aspektami pracy nad książką. Wystarczy, że napiszecie na adres michael@michaelsullivan-author.com, a dostaniecie kopię. Wpiszcie do tematu e-maila *Making of...* (i dalej tytuł właściwej książki), a natychmiast dostarczymy Wam to, czego potrzebujecie. Dziękujemy wszystkim czytelnikom wersji roboczej. Niektórzy nie życzyli sobie, żeby ich wymieniać, więc tu wspomnimy jedynie: Amy Lesniak Briggs, Michaela Jaya Brunta, Jeffrey’a Carra, Craiga Cato, Beverly Collie, Buffy Curtis, Marie-Louise Faering, Cathy Fox, Sheri L Gestring, Julianne Gaston, Chrisa Haughta, Craiga T. Jacksona, Toby’ego Johnsona, Evelyn Keeley, Stephen’a Kafkasa, Sarah i Nathaniela Kiddów, Franka Kincella, Jamie’ego McCullougha, Elizabeth Ocskay, Christine Pilkington, Slobodana Rakovica, Beth Rosser, Melanie Sanderson, Jeffrey’a Schwarza, Laurie Swensen, Scotta Vout oraz Sarah Webb.

Oprócz „czytelników beta” – oceniających wersję roboczą – mieliśmy jeszcze „czytelników gamma”. Kim są? Możecie ich uznać za ostatnią linię obrony. Otrzymują książkę po wprowadzeniu zmian

zasugerowanych przez „czytelników beta”, na ostatnim etapie prac redakcyjnych. Ich zadaniem jest wychwycić wszelkie wpadki, jakie umknęły nam wcześniej. „Czytelnikiem gamma” w przypadku tej powieści był Chris McGrath. Nie dość, że znalazł wiele literówek i błędów gramatycznych, to jeszcze wskazał kilka poważniejszych problemów, które zdołaliśmy naprawić przed drukiem.

A teraz czas na pozostałych, których nie mogę pominąć. Po raz kolejny skorzystaliśmy z niezwykłego talentu plastycznego Marca Simonettiego przy tworzeniu okładki. Jeśli nie znacie jego prac, koniecznie się z nimi zapoznajcie. Nie dość, że stworzył okładki do sześciu moich książek, to jeszcze stworzył niesamowite rzeczy między innymi do „Kronik Królobójcy” Patricka Rothfussa, „Pieśni lodu i ognia” George’a R.R. Martina, serii „Z mgły zrodzony” Brandona Sandersona i cyklu „Świata Dysku” Terry’ego Pratchetta. Odpowiada za okładki do francuskich wydań „Królewskiej krwi”, „Wieży elfów” i „Nowego imperium”. Jeśli chodzi o rynek anglojęzyczny, pracował nad okładkami do „Hollow World”, „Śmierci Dulgath”, „Age of Myth”, „Age of Swords” i „Age of War”.

Prawa do audiobooka zakupił Lee Jarit z Audible Studios. Zawsze był wielkim fanem moich prac i odwalił kawał świetnej roboty przy okazji „Śmierci Dulgath”. Przed wypuszczeniem „Zniknięcia córki Wintera” awansował na nowe stanowisko, dlatego trafiliśmy pod opiekę Kristen Lang. Nie będę kłamać, utrata Lee jako naszego orędownika była dużym ciosem, ale po spotkaniu z Kristen wiedzieliśmy, że trafiliśmy w dobre ręce. Zainteresowała się nawet moim nowym cyklem i wszyscy jesteśmy podekscytowani tym projektem. A wracając do „Zniknięcia córki Wintera”, Kristen wspaniale zadbała o naszą książkę i dopilnowała, żeby ludzie z marketingu stosownie się nią zajęli. Piszę to, zanim jeszcze to wszystko się wydarzyło, ale jestem pewien, że promocja wypadnie świetnie.

Dobrze, już prawie kończę... Ostrzegałem, że opublikowanie powieści wymaga wysiłku wielu ludzi. Na końcu pragnę podziękować fenomenalnemu Timowi Gerardowi Reynoldsowi. Tu już dwunasta książka, przy której współpracujemy z Timem, i bez względu na to, ile

razy mu dziękuję i go wychwalam, nadal nie potrafię ująć w słowach tego, co czujemy z Robin. Dziękujemy Ci, Tim. Dziękujemy, dziękujemy, dziękujemy. Niech Twoja gwiazda błyszczy coraz jaśniej, ale znajdź czas na nagrywanie moich książek!

Jak widzicie, moja ekipa nabrała kształtu i wspomaga mnie już od dawna. Większość moich współpracowników to ci sami ludzie, którzy pracowali dla tradycyjnych wydawców, a których wynająłem do tego projektu. Kiedy natrafiam na świetnych ludzi, staram się dobrze ich traktować i podsyłać im pracę. Mam nadzieję, że są tak samo jak ja zadowoleni z tego, jaki ostatecznie kształt przybrała ta książka. Myślę, że wyszła niegorsza... czy raczej: wyszła niegorzej? Lindo, Lauro, wybaczcie, nie mogłem się oprzeć pokusie.